

DAVID WEBER

TROLL ZAGŁADY

The Apokalypse Troll

Przełożył
Jarosław Kotarski



*Dla Eda Welsa i Richarda Maxwella,
dwóch dobrych ludzi, których strata boli.
Pilnujcie się, chłopaki*

TROLL 1. «postać z mitologii skandynawskiej zaadaptowana przez literaturę fantasy; przedstawiciel rasy złośliwych i siejących zniszczenie olbrzymów, żyjących najczęściej w górskich jaskiniach» 2. «cyborg bojowy stworzony w Imperium *Shirmaksu* (norweski, od staronordyckiego *troll* - potwór)»

*Webster-Wangchi Unabridged
Dictionary of Standard English*
Tomas y Hijos, Publishers
2465 rok standardowy

Rozdział I

Dreadnought TNS *Defender*, flagowa jednostka 92. Eskadry Liniowej, znajdował się w odległości 3 lat i 4 miesięcy świetlnych od czegokolwiek, lecąc pół naprzód w przestrzeni alfa, gdy na jego pokładzie rozległo się wycie alarmu bojowego.

Załoga na moment zamarła zaskoczona, jako że okręt wracał do bazy, a Kangi byli zablokowani w ostatnich trzech systemach planetarnych, jakie im pozostały. Najbliższy z nich był odległy o niemalże 100 lat świetlnych. W następnej sekundzie osłupienie zniknęło i wszyscy rzucili się zająć stanowiska bojowe.

* * *

Pułkownik Ludmilla Leonowna, dowódca myśliwców 92. Eskadry, pogrążona była w lekturze monografii historycznej, gdy zawył klakson alarmu bojowego. Zadziały odruchy; nim zdała sobie sprawę, że się poderwała, była już w korytarzu, w połowie drogi do windy. Uświadomiła sobie, że w kabinie zostawiła włączony czytnik, ale zignorowała to. Wypadła z windy niczym pocisk, pokonała zakręt korytarza, odbiła się od ściany i wpadła na przestronny pokład hangarowy, na którym już zbierały się załogi.

- Przejście! - wrzasnęła.

Znający jej zwyczaje podkomendni utworzyli natychmiast szeroki pas wolnej przestrzeni, przez który przemknęła, kierując się ku sali odpraw, i z piskiem obcasów zahamowała obok oficera wywiadu stojącego przy głównym ekranie taktycznym. Ledwie spojrzała na to, co przedstawiał, gwizdnęła bezgłośnie i odruchowo dotknęła baretek na piersi kurtki

mundurowej, nie spuszczać wzroku z ekranu i wyęzając uwagę.

To, co widziała, było dziwne... bardzo dziwne...

* * *

Spokojna twarz o zdecydowanych rysach komodor Josephine Santander ukazała się na ekranie łącznościowym, nim jeszcze ucichł alarm bojowy, mimo że - jak wiedział mający wachtę kapitan Steven Onslow - poszła wcześniej wyspać się do swojej kabiny.

- O co chodzi, Steve? - spytała bez wstępów.

- Ma'am... moment, właśnie coś przyszło... Mamy potwierdzenie: superdreadnought klasy *Ogre* plus trzy pancerniki klasy *Trollheim*, ma'am. Reszty jeszcze nie udało się zidentyfikować.

Onslow przesunął kamerę tak, by było widać główną holoprojekcję taktyczną, na której pojawiły się już najnowsze dane, i poczekał, aż Santander się jej przyjrzy.

- Mamy kurs wrogiej formacji - dodał, mając na myśli czerwoną linię prognozowanego lotu wrogich okrętów. - Ciągłe zwiększają szybkość i wygląda na to, że chcą zmienić pasmo.

- Pod jakim kątem?

- Oстрыm, ma'am. Już są po ośmiu lub dziewięciu przejściach. W ocenie komputera w pasmo beta wejdą za mniej więcej pięć godzin.

Komodor Santander zmarszczyła brwi. Tak ostry kąt wejścia był nietypowy dla przeciwnika. Musieli się gdzieś naprawdę spieszyć, że aż tak ryzykowali...

Żałowała, że nie ma nikogo, kto mógłby za nią podjąć decyzję. Była najstarsza stopniem spośród pozostałych przy życiu oficerów eskadry i dlatego dowodziła tym, co z niej pozostało, w drodze do stoczni na okresowy przegląd i remont, gdy admirał Wierhaus wreszcie wyraził na to zgodę. Znajdowali się ponad trzy lata świetlne od Ophiuchi 36 - najbliższej bazy floty - toteż musiała sama coś postanowić. Westchnęła ciężko i oznajmiła:

- Dobra, Steve. Każ komandorowi Tho obliczyć kurs przechwytyjący. Maksymalna prędkość i optymalny kąt wejścia.

- Optymalny, ma'am? - spytał ostrożnie Onslow.

- Optymalny. Zabezpieczenia zdejmij; nie spieszyliby się aż tak, gdyby nie uznali tej misji za priorytetową, trzeba więc ustalić ich kurs jak najszybciej. Musimy ich dogonić za wszelką cenę.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził Onslow już z kamienną twarzą.

Santander przerwała połączenie i skupiła się na ekranie taktycznym fotela, starając się wyglądać na spokojną i pewną siebie. Dobrze rozumiała niechęć i obawę Onslowa przed tak

ryzykownym wykorzystaniem hipernapędu, ale nie miała wyboru.

Przełot przez inne wymiary zwane pasmami był niebezpieczny, ale innego wyjścia nie było, bo jak dotąd nadal obowiązywały ustalenia Einsteina i loty w normalnej przestrzeni z prędkością większą od prędkości światła były niemożliwe. Ponoć istniała jakaś teoria sugerująca, że da się to zrobić, ale jak na razie fizycy teoretyczni siwieli, próbując ją udowodnić ponad wszelką wątpliwość. Jedynym użytecznym rozwiązaniem było więc użycie hipernapędu i lot na skróty w innych wymiarach, gdzie przestrzeń była ciaśniej „upakowana”, czyli te same punkty dzieliła mniejsza odległość, z wykorzystaniem najprymitywniejszego, ale za to zrozumiałego opisu. Zresztą jak dotąd nie spotkała nikogo, kto potrafiłby lepiej to ująć, nie używając piętrowego wzoru matematycznego. Można było rzecz określić w sposób następujący: galaktyka była zbiorem współśrodkowych kul, z których największa stanowiła normalną przestrzeń. Każdy inny z odkrytych wymiarów był mniejszą kulą, toteż przechodząc do niego i poruszając się w nim z taką samą prędkością, szybciej docierało się do celu, bo był on bliższy niż w normalnej przestrzeni. Fizycy co prawda twierdzili, że nie jest to lot z prędkością większą od prędkości światła, ale praktyczne skutki były właśnie takie, jakby poruszali się z prędkością nadświetlną.

Naturalnie nie było to rozwiązanie idealne ani pozbawione ograniczeń. Na przykład hipernapędu nie można było używać wewnątrz tzw. Limitu Frankela, który był zmienny, ponieważ zależał od masy jednostki, a choć teoretycznie można było dokonać przejścia z normalnej przestrzeni do dowolnie wybranego wymiaru, rozsądniej było robić to stopniowo, ponieważ przepływ energii bywał gwałtowny i mogło wydarzyć się wiele rzeczy, generalnie niemiłych. Pasma alfa, czyli najpowolniejsze, miało około 20 progów i w górnej części można było przez nie lecieć pięć razy szybciej niż światło względem normalnej przestrzeni. Kolejne pasmo beta pozwalało na rozwinięcie większej prędkości, ale by się tam dostać, trzeba było pokonać granicę, co stanowiło dodatkowe ryzyko, ponieważ jeśli jednostka zrobiła to pod niewłaściwym kątem lub między napędem a granicą doszło do najmniejszej choćby harmoniczności, jednostka zniknęła. Zjawisko to nadal nie zostało ani dobrze poznane, ani zrozumiane, podobnie jak natura samych granic, i nie wiadomo było, co się z taką jednostką i jej załogą dzieje, bo żadna nie wróciła z takiej próby. Załoga mogła zginąć albo stopniowo odkrywać, co zaszło, i stać się galaktycznym Latającym Holendrem... Nikt nie wiedział, ale wszyscy się tego bali.

Choć w miarę wchodzenia w coraz to wyższe pasma energia stawała się coraz mniej stabilna, a ryzyko rosło, te najniższe były stosunkowo bezpieczne. Ludzie standardowo używali pasm beta i gamma, a często też i delta, ale Kangi docierali doń jedynie w

wyjątkowych sytuacjach, jako że byli rasą z natury ostrożniejszą.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby natomiast tak szybkiego przejścia granicy, jakiego miała teraz dokonać 92. Eskadra Liniowa, chcąc dogonić przeciwnika. A tylko taki manewr to umożliwił.

- Kurs obliczony, ma'am - zameldował Onslow.
- W takim razie proszę go obrać, kapitanie Onslow.
- Aye, aye, ma'am.

Okręt wyczuwalnie drgnął, gdy napęd przestawiono na całą naprzód. Nie było w tym nic niezwykłego, ale Santander wiedziała, o ile spóźniony był przegląd okrętu i na jakie obciążenia wcześniej był narażony napęd. Okręt miał trzy miliony ton, ale gdyby hipernapęd zawiódł, nie zostałoby po nim nic poza wspomnieniem. Podobnie stałoby się, gdyby zawiódł kompensator bezwładnościowy...

Póki co na szczęście wszystko działało i trzy z ośmiu dreadnoughtów tworzących eskadrę wraz z jednostkami osłony zmieniły radykalnie kurs, ruszając w pościg za śmiertelnym wrogiem ludzkości.

- Kiedy dotrzemy do granicy? - spytała spokojnie.
- Za czternaście godzin, ma'am - odparł równie spokojnie Onslow.
- A kiedy ich dogonimy?

- Prędkości wyrównają się za mniej więcej dziesięć godzin, ma'am. Jeśli przeciwnik utrzyma obecny kąt wejścia, to do tego samego pasma dotrzemy za ponad osiemdziesiąt godzin. Dokładniej nie można tego obliczyć, nie wiedząc, kiedy wyrównają.

- Nie sądzę, by wyrównali - oceniła miękko Santander.

- Przy tym kącie za pięćdziesiąt godzin wejdą w pasmo gamma!

- To duży zespół. Jest daleko od domu i strasznie mu się spieszy. Sądzę, że zmierzają do pasma delta albo jeszcze dalej.

- Ależ ma'am... to Kangi!

- Fakt. Ale oni też wiedzą, że przegrywają, kapitanie. Nie wycofali by takich sił z frontu, gdyby nie uznali tej misji za wybitnie ważną, a kurs i kąt wejścia jednoznacznie świadczą o tym, na jakie ryzyko są gotowi.

- Rozumiem, ma'am. - Onslow był wyraźnie wstrząśnięty jej wywodem.

- Proszę obliczyć, dokąd zmierzają, na tyle, na ile to będzie możliwe - poleciła. - A potem dołączyć do mnie, komandora Miyagiego i pułkownik Leonownej w mojej sali odpraw. Mam złe przeczucia...

- Aye, aye, ma'am - potwierdził Onslow.

I długą chwilę wpatrywał się w ciemny ekran, gdy Santander zakończyła połączenie.

Było mu dziwnie zimno. Służył pod jej rozkazami prawie dziesięć lat standardowych. Widział ją w ogniu walki, gdy wokół ginęli ludzie i okręty, i w sytuacjach zdawało się bez wyjścia, ale nigdy dotąd nie słyszał, by przyznała się, że coś ją niepokoi...

* * *

Komodor Santander zmrużyła oczy, gdy kapitan Onslow wszedł do admiralskiej sali odpraw. Onslow był blady i wstrząśnięty, toteż odruchowo przygotowała się na złe wieści, ale nie odezwała się ani słowem, czekając, aż zajmie fotel między dwoma siedzącymi już naprzeciwko niej oficerami.

Gruby i jasnowłosy komandor Nicolas Miyagi na pierwszy rzut oka nie sprawiał dobrego wrażenia, lecz w istocie miał nader przenikliwy umysł i był zaskakująco energiczny. Połączenie tych cech czyniło zeń doskonałego planistę. Pułkownik Leonowna zaś była legendą we flocie i Santander dziękowała losowi, że ma ją na pokładzie. Nigdy nie żywiła do niej żadnych uprzedzeń, choć przyjmowała do wiadomości, że są tacy, którzy patrzą na nią inaczej, i była nawet w stanie zrozumieć ich motywy. Leonowna była od niej starsza o dwadzieścia lat, a wyglądała, jakby miała ledwie czwartą część jej wieku. Nie była klasyczną piękną, ale twarz o wyrazistych kościach policzkowych i błękitnych oczach okolona kasztanowymi włosami przyciągała uwagę.

Figura pasowała do oblicza, ale to atrakcyjne opakowanie kryło śmiertelnie groźnego wojownika. Na prawej piersi czarnej kurtki mundurowej pani pułkownik znajdowała się złota oznaka pilota myśliwskiego z trzema gwiazdkami. Każda oznaczała 10 zniszczonych maszyn. Poniżej zaś widniało pięć rzędów baretek ukoronowanych złoto-błękitną. Przez całą swoją karierę we flocie Santander poznała tylko trzech oficerów mających prawo do jej noszenia. A posiadaczowi Wielkiego Krzyża Solarnego mieli obowiązek na znak szacunku salutować jako pierwsi wszyscy członkowie sił zbrojnych niezależnie od rangi. Nie to jednakże było powodem, dla którego tak wielu nie lubiło i bało się pułkownik Leonownej. Chodziło o coś zupełnie innego. Leonowna wywodziła się w prostej linii od pierwszej fali osadników Sigmy Draconis.

Ponieważ Onslow usiadł, Santander spojrzała nań, unosząc brwi, i spytała:

- Jak sądzę, wiesz teraz nieco więcej, Steve?

- Tak, ma'am. Nie jest to jeszcze stuprocentowa identyfikacja, ale wygląda na to, że mamy do czynienia z superdreadnoughtem klasy *Ogre*, trzema pancernikami klasy *Trollheim*, transportowcem szturmowym klasy *Grendel* oraz jednostkami eskorty. Prawdopodobna jest

też obecność lotniskowca klasy *Harpy*.

Santander skwitowała to spokojnym kiwnięciem głowy, choć wcale nie była tak spokojna, jak starała się wyglądać. Już sama obecność okrętu liniowego klasy *Ogre* była zła - ważył on pięć milionów ton i miał uzbrojenie zdolne zniszczyć planetę - ale pancerniki klasy *Trollheim* to była naprawdę fatalna wiadomość. Były bowiem mniejsze od *Defendera*, ale ich załogi stanowiły wyłącznie cyborgi zwane przez ludzi *Trollami* i sprzężone z nimi serwomechanizmy. Transportowiec szturmowy klasy *Grendel* był zagrożeniem dla każdej planety, przewoził bowiem pełną brygadę desantową złożoną z *Trolli* i podległych im robotów bojowych, natomiast w starciu w przestrzeni stanowił bardziej ruchomy cel niż przeciwnika. Podobnie rzecz się miała z lotniskowcem klasy *Harpy*, gdyż myśliwców można było używać jedynie w normalnej przestrzeni i w paśmie alfa.

Nie zmieniało to faktu, że 92. Eskadra Liniowa miała do czynienia ze znacznie silniejszym wrogiem i Santander nie miała pewności, czy tradycyjna przewaga techniczna tym razem wystarczy do zrównoważenia sił. Kangi nie oddaliliby się tak daleko od frontu, gdyby nie uznali celu tej misji za niezwykle ważny, a ponieważ byli z natury nader ostrożną rasą, samo to wiele mówiło.

- Niezłe siły - powiedziała cicho.

- Fakt - przyznał Onslow. - Ale to nie wszystko. Komandor Tho obliczył ich przypuszczalny kurs, tak jak pani chciała, ma'am. Zmierzają prosto do Układu Słonecznego.

- Gdzie?! - zdumiał się Miyagi. - Przecież Home Fleet przerobi ich na plazmę miesiąc świetlny przed granicą systemową!

- Doprawdy? - odezwała się Leonowna. - Utrzymują stały kąt, kapitanie?

- Nie. Po każdym przejściu go zaostwiają. Nigdy o czymś takim nie słyszałem - przyznał cicho Onslow. - I nigdy bym nie podejrzewał, że mają aż tak dobre hipernapędy. My lecimy z maksymalną prędkością, a doganiamy ich naprawdę wolno.

- Tego się właśnie obawiałam... - Leonowna odgarnęła z czoła kosmyk włosów i spojrzała na Santander. - Sądzę, że chcą spróbować efektu Takeshity, ma'am.

W sali odpraw zapadła cisza prawie idealna.

Przerwała ją dopiero po długiej chwili komodor Santander.

- Też mi to przyszło do głowy...

Po czym nacisnęła klawisz interkomu, a gdy na ekranie pojawił się komandor Tho, powiedziała bez wstępów i uprzejmości, których zwykle starannie przestrzegwała:

- Zakładając, że przeciwnik utrzyma obecną prędkość, gdzie przejdzie granicę pasma theta?

- Pasma theta? - powtórzył starannie Tho, nie próbując nawet ukryć zaskoczenia. - Moment, ma'am... Zakładając, że przejdą tę granicę, będą wówczas w odległości dwóch miesięcy i trzech dni od Układu Słonecznego i w stosunku do normalnej przestrzeni będą poruszać się z prędkością ponad 1200 razy większą niż prędkość światła, ale...

- Dziękuję, komandorze - weszła mu w słowo Santander i przerwała połączenie.

A potem popatrzyła po pełnych napięcia twarzach obecnych.

- Wygląda na to, że może pani mieć rację, pani pułkownik - oceniła. - A to znaczy, że mamy pewien problem.

Ponownie zapadła cisza.

I ponownie przerwała ją Santander:

- Kiedy znajdą się w zasięgu naszych rakiet, Steve?

Onslow, na którego skroniach pojawiły się kropelki potu, spojrzał na ekran minikompa.

- Normalnie mielibyśmy ich w zasięgu za mniej więcej trzydzieści dwie godziny, ale problem stanowi ich kąt wejścia. Nigdy z podobnym się nie zetknęliśmy, tak samo jak z taką prędkością jak ta, trudno więc to obliczyć z sensowną dokładnością, ma'am. Nadal lecimy szybciej, ale na dopalaczu... - Nie dodał, że dopalaczy nie testowano pod względem długości działania, bo w razie awarii i tak nikt by o tym nie zameldował, ani nie wspomniał, że zwiększały one poważnie ryzyko wystąpienia drgań harmonicznym między hipernapędem a klasycznym napędem, który musiał być cały czas włączony. - Sądzę, że za mniej więcej dwieście godzin, ma'am.

- A w jakim paśmie wtedy będziemy?

- Mniej więcej w połowie pasma eta, ma'am. A z tego co wiem, nikt nie próbował użyć rakiet w paśmie wyższym niż delta, nie wiadomo więc, jaki może mieć to wpływ na pociski i celność.

- Wygląda na to, że będziemy mieli okazję się dowiedzieć - skomentowała Santander. - Jeśli pułkownik Leonowna ma rację, a myślę, że ma, Kangi próbują empirycznie sprawdzić prawdziwość teorii Takeshity. Zakładając, że tak jest, wiemy, gdzie chcą się znaleźć, pytanie, kiedy chcą tam się znaleźć. Ma ktoś jakieś podejrzenia?

- Nie jestem fizykiem, ma'am - odezwała się po chwili Leonowna. - I jak rozumiem, jest zbyt wiele zmiennych, by dało się to obliczyć z sensownym prawdopodobieństwem, jak choćby masa jednostki, dokładny kąt wejścia, subiektywna prędkość i parę innych... Wiemy tylko, że jeśli pierwsza hipoteza Takeshity jest prawdziwa, odbiją się od granicy i będą cofać się w czasie do chwili osiągnięcia limitu Frankela Układu Słonecznego.

- Pomijasz kilka drobiazgow takich jak druga hipoteza - wtrącił Miyagi - albo kwestię,

czy można przetrwać efekt Takeshity.

Mimo to zabrał się do obliczeń.

- Zgadza się, ale musimy przyjąć, że jest to wykonalne, jeśli nie zdołamy ich powstrzymać. Ryzyko jest zbyt duże, byśmy mogli dopuścić inną ewentualność - podsumowała Santander.

- Też tak uważam, ma'am. - Miyagi uniósł głowę znad klawiatury. - Obliczeń możemy dokonać jedynie szacunkowych, ale większość danych znamy, jak na przykład masy ich okrętów czy kąt, z jakim będą próbować...

Po czym przerwał i zabrał się do dalszych obliczeń.

Pozostali zaś czekali w milczeniu.

Gdy skończył, minę miał ponurą.

- Jak mówiłem, to szacunkowe obliczenia, ma'am, ale wychodzi na to, że cofną się o jakieś czterdzieści tysięcy lat - oznajmił. - Jeśli zdecydują się poświęcić pancerniki, to o dziewięćdziesiąt tysięcy.

- Nie zdecydują się - oceniła Leonowna. - Kangi wolą iść na pewniaka. Chcą trafić w czas, gdy *Homo sapiens* istniał na pewno.

- Oczywiście - mruknęła Leonowna.

I długą chwilę milczała pogrążona w myślach.

- Kapitanie Onslow - powiedziała, gdy otrząsnęła się z zamyślenia. - Proszę przekazać na inne okręty to, co ustaliliśmy, by wszyscy wiedzieli, jaka jest stawka. Proszę poinformować dowódców wszystkich jednostek, że mają kontynuować pościg i walkę, nawet jeśli *Defender* ulegnie zniszczeniu. Rezygnacja nie wchodzi w grę.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził cicho Onslow.

- Doskonale. I proszę odwołać alarm bojowy do czasu, aż będziemy mieli wroga w zasięgu rakiet. Oraz uprzedzić obsługi sensorów, by uważały, bo przeciwnik może otworzyć ogień znacznie wcześniej z wyrzutni rufowych.

- Naturalnie, ma'am.

- A ty, Nick, zajmij się symulatorem - poleciła Santander Miyagiemu. - Trzeba popracować nad taktyką tego starcia, a choć nie jest to cud techniki, lepszego nie mamy. A ludzkość nie ma chwilowo innych obrońców. Pułkownik Leonowna, mam nadzieję, że nie dojdzie do użycia myśliwców, ale jeśli się mylę, będzie to starcie o wszystko. Proszę poinformować o sytuacji dowódców skrzydeł pozostałych okrętów i zaplanować najoptymalniejszy stosunek uzbrojenia przeciwokrętowego do antymyśliwskiego. I dopilnować, by wszystkie maszyny były w pełni sprawne. Nie stać nas na zostawienie na

pokładzie choćby jednej.

- Rozumiem, ma'am.

- Cóż, w takim razie proszę wykonać - zakończyła Santander i wstała. - A jeśli ktoś z was będzie miał wolną chwilę, niech przypomni Panu Bogu, po czyjej jest stronie.

Rozdział II

92. Eskadra Liniowa Terran Navy powoli, ale stale zbliżała się do przeciwnika. Pościg trwał przez całe pasma beta, gamma, delta, epsilon i znaczną część pasma zeta i nie przyniósł strat żadnej ze stron. Potem Kangi przekroczyli granicę pasma eta i stracili dwa krążowniki. 92. Eskadra miała to przejście przed sobą...

Komodor Santander robiła, co do niej należało, czyli siedziała w fotelu admiralskim na pomoście flagowym, udając spokój i pewność siebie, których nie czuła. Wiedziała, że obecni na pomoście są świadomi, że udaje, ale taka była tradycja i część tego zawodu. Poza tym musiała też myśleć o dyżurnej obsadzie pomostu flagowego, na którą wpływało to uspokajająco. Uśmiechnęła się do swoich myśli dokładnie w momencie, w którym komandor Miyagi zameldował:

- Zbliżamy się do granicy pasma, ma'am.

Skinęła potwierdzająco głową, nie odrywając wzroku od ekranu taktycznego fotela, na którym widać było idealną formację jej eskadry.

- Proszę uaktualnić pamięć komputera - poleciała.

- Aye, aye, ma'am.

Nie wiadomo było, czy sonda kurierska w ogóle zdoła dotrzeć do najbliższej bazy floty, a pewne było, że jeśli nawet, zajmie jej to wiele tygodni. Ale był to jedyny sposób powiadomienia kogokolwiek, co stało się z 92. Eskadrą Liniową, jeśli się jej nie powiedzie. A jeśli uda się przeszkodzić wrogowi w realizacji tego wariackiego pomysłu, szanse na to, by ktokolwiek zobaczył jeszcze Ziemię, były niewielkie. Santander z nikim o tym nie rozmawiała, ale wiedziała, że wszyscy są tego świadomi. Fakt, że na pokładach nie wybuchła choćby drobna panika, napawał ją dumą.

- Przejście za dziewięćdziesiąt sekund, ma'am.

- Wystrzelić kuriera!

- Aye, aye, ma'am!

Santander złapała poręcz fotela i zagryzła zęby. Przejście przez granicę pasm nigdy nie było przyjemne, a z im większą prędkością i pod ostrzejszym kątem go dokonywano, tym gorsze się stawało. To zapowiadało się naprawdę paskudnie i...

Wszechświat oszalał.

Kadłub okrętu skręcił się w niemożliwy sposób... wszystko wokół wyło i piszczało poddane potężnemu naciskowi... przed oczyma zawirowały jej oślepiające płatki, a serce zrobiło serię fikołków... i wszystko wróciło do normy.

Otrząsnęła się ze sporym trudem i rozejrzała po pomoście flagowym - ofiar nie było, co ją nieco uspokoiło. Potem spojrzała na główną hologramę taktyczną i spokój prysnął.

- Ma'am, *Protector*... - zaczął chrapliwie Miyagi.

- Widzę, Nick - przerwała mu łagodnie. - A raczej nie widzę go...

Symbol przedstawiający okręt o masie 3 milionów ton i załodze liczącej 9 tysięcy ludzi zniknął. A sądziła, że napęd *Defendera* jest w gorszym stanie...

- Odpalenie rakiet! - Meldunek operatora sensorów przerwał jej smutne rozważania. - Wróg odpalił rakiety!

- Cel? - spytała ostro.

- *Sentinel*, ma'am. Osiem rakiet wystrzelonych z jednego pancernika, ma'am.

Czyli pełna salwa rufowych wyrzutni pancernika klasy *Trollheim*. Nie była to wystarczająco silna salwa, by zagwarantować trafienie z takiej odległości, a to znaczyło, że pomysł był Kangi, nie *Trolli*... na szczęście.

- Odpalić wabiki - poleciła. - I przygotować się do przechwycenia.

- Aye, aye, ma'am.

Każdy dreadnought wyposażony był w wabiki ważące ponad 100 ton i emitujące dokładnie takie same sygnatury energetyczne jak macierzyste jednostki. Użycie aktywnych środków obrony antyrakietowej było niecelowe, bo nie sposób było uzyskać stałego namiaru nadlatujących pocisków z uwagi na zbyt silne zakłócenia w otoczeniu, antyrakiety zaś posiadały zbyt słabe komputery samonaprowadzające, by mogły sobie poradzić bez zdalnego sterowania. Unikni z kolei stanowiłyby zbyt wielkie obciążenie dla hipernapędów, co mogłoby skończyć się równie fatalnie dla okrętu jak trafienie. Pozostało liczyć na wabiki i pola siłowe.

Wielostopniowe rakiety mknące na spotkanie okrętów nie miały głowic nuklearnych czy laserowych. Były wyposażone w coś gorszego: każdy człon posiadał hipernapęd. Powodowało to, że były duże - tak duże, że na pokładzie *Defendera* zdołano ich upchnąć jedynie 24. Były jednak niezwykle groźne, gdyż tuż przed dotarciem do celu hipernapędy uaktywniano z częstotliwością gwarantującą wywołanie drgań harmonicznym z napędem celu. A to z kolei było gwarancją zniszczenia celu jednym trafieniem.

Na szczęście wrogie rakiety były znacznie głupsze od ludzkich i musiały dokonać czterech przejść „w dół”, by dotrzeć do tej części pasma, w której znajdowały się okręty Santander. Problemy z namierzeniem celu miały obie strony, a to znaczyło, że gdy rakiety

dotrą doń, nie będą zdalnie sterowane, a ich komputery samonaprowadzające będą miały utrudnione zadanie. Każde zejście o próg niżej powodowało bowiem utratę części energii, która tworzyła tak zwaną falę dziobową poważnie zmniejszającą czułość sensorów. Przy tej odległości jedynie odpalenie wszystkich rakiet, jakie w wyrzutniach rufowych miały wrogie pancerniki, dawało realną szansę zniszczenia celu, stąd pewność Santander, że decyzja nie została podjęta przez *Trolle*.

- Pola przechwytyjące aktywne, ma'am! - zameldował Miyagi.

Santander kolejny raz skwitowała meldunek ruchem głowy.

Siłowe pola przechwytyjące były ostatnią i dość rozpaczliwą obroną antyrakietową. Pomysł był prosty: generator wytwarzał pole skupione w wąską wiązkę o dużej mocy, która powodowała zniszczenie rakiety, gdy w nią trafiła. Problem polegał na tym, żeby trafić, a gdy rakiety leciały szybko, nie sposób było uzyskać ich stałego namiaru. Bardziej od komputera liczyły się doświadczenie i intuicja artylerzystów.

Dreadnought klasy *Guardian* miał 10 generatorów takich pól, istniała więc szansa na sukces, tym bardziej że trzy wabiki ściągnęły 4 rakiety. Pola zniszczyły dwie kolejne, a ostatnia para po prostu minęła *Sentinela*, najwyraźniej nie widząc celu. Ponieważ niemożliwe było, by ponownie go namierzyły, Santander odetchnęła z ulgą... i dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że od dłuższej chwili wstrzymywała oddech.

- No dobra, Nick. Za kilka minut powinniśmy mieć ich w zasięgu, czas więc utłuc trochę *Trolli!* - zdecydowała.

- Aye, aye, ma'am! - potwierdził radośnie Miyagi.

* * *

Okręty 92. Eskadry leciały z szybkością równą 90% prędkości światła, doganiając przeciwnika na tyle wyraźnie, że Santander zdecydowała się wyłączyć dopalacze. Nie miała pojęcia, co przeciwnik zrobił ze swoim hipernapędem, by osiągnąć taką prędkość, ale ludzka technika ponownie okazała się lepsza i przy dłuższym pościgu hipernapędy ziemskich okrętów miały wystarczającą przewagę, tyle że mniejszą niż dotąd... Kiedy obie grupy znajdą się w tym samym obszarze pasma eta, celność znacznie się poprawi, a przeciwnikowi zostało tylko 16 rakiet...

- Wyrównaliśmy progi, ma'am! - zameldował Miyagi.

- Plan ogniowy alfa! - rozkazała.

- Wróg odpalił rakiety! Pełne salwy z rufowych wyrzutni dwóch pancerników!

- Odpalić wabiki i przygotować się do przechwycenia!

Pościgowe wyrzutnie *Defendera* wypuły z siebie pięć rakiet, a moment później dołączyły do nich wyrzutnie dziobowe *Sentinel*. Wrogie okręty odpaliły wabiki, ale ludzkie miały znacznie lepsze systemy samonaprowadzające i były o wiele szybsze, dlatego wabiki nic nie osiągnęły, a pola siłowe przechwyciły tylko siedem rakiet. Trzy pozostałe dotarły do celu i dwa pancerniki klasy *Trollheim* przestały istnieć.

Sprawiło to Santander mściwą satysfakcję.

W drodze były jednak wystrzelone przez nie rakiet. Wabiki i pola siłowe zniszczyły 15 z nich, ale ostatnia przebiła się i nie straciła namiarów celu...

Komodor Josephine Santander przygryzła wargę, gdyż z holoprojektacji taktycznej zniknął symbol TNS *Sentinel*.

Na pomoście flagowym zapadła pełna osłupienia cisza, w której niespodziewanie głośno rozbrzmiał wypowiedziany spokojnym głosem rozkaz Santander:

- Przerwać walkę!

Miyagi szybko przekazał polecenie na pozostałe okręty.

Santander nie miała wyjścia - *Sentinel* powinien był przetrwać to starcie, ale stało się inaczej. A sam *Defender* miał przed sobą 9 wrogich okrętów i tylko 18 rakiet, nie mogła więc sobie pozwolić na zmarnowanie żadnej, odpalając je z dużej odległości. Miała do dyspozycji *Defendera*, ciężki krążownik *Dauntless* i trzy niszczyciele. Przeciwnik dysponował superdreadnoughtem, pancernikiem, lotniskowcem, transportowcem szturmowym i pięcioma lekkimi krążownikami. Jak długo pozostawała za ich rufami, była bezpieczna, bo pancernik zużył rakiety z wyrzutni rufowych, a żadna inna wroga jednostka ich nie posiadała. Tyle tylko, że przy tym położeniu okrętu jej rakiety miały do namierzenia mniejsze cele, a przeciwnik więcej czasu na ich zniszczenie...

- Kapitanie Onslow - powiedziała po chwili. - Musimy ich wyprzedzić.

- Rozumiem, ma'am. - Głos Onslowa był chrapliwy, ale spokojny. - Włączam dopalacze.

Ponownie rozległ się przykry dla uszu jęk przeciążonego do maksimum hipernapędu. Było to ryzykowne posunięcie, ale jedyne możliwe - *Defender* miał szansę powstrzymać wroga, pozbawione hipernapędu okręty eskorty nie.

- Próbuja zwiększyć prędkość, ale nie bardzo im się udaje, ma'am - zameldował Miyagi.

- Doskonale. Jaki szyk przyjęli?

- Krążowniki przechodzą na pozycje straży tylnej, by osłonić rufy pozostałych, a tamte zmniejszyły odległość od siebie, tworząc blok namiarowy.

- Rozumiem... - mruknęła i spojrzała na ekran łącznościowy fotela.

Onslow kiwnął głową bez słowa.

Było to rozsądne posunięcie, zwłaszcza że krążowniki miały załogi złożone z *Trolli*, czyli z punktu widzenia Kangi z założenia spisane na straty. Prawdę mówiąc, w walce poza normalną przestrzenią były mniej ważne od rakiet, bo tylko one mogły przebić się przez połączone pola wytwarzane przez hipernapęd i zwykły napęd. Z każdym z osobna mogła poradzić sobie broń energetyczna, z obydwojema tylko rakiety, i to wyłącznie największe - wielostopniowe, bo inne ulegały zniszczeniu, nim dotarły do celu. Fakt, lekkim krążownikiem też można było zniszczyć wrogi okręt, taranując go, ale było to niezbyt ekonomiczne wykorzystanie jednostki i jego załogi, nawet złożonej z *Trolli*.

Ciężkie i lekkie krążowniki były zbyt małe, by dało się na nich zamontować wyrzutnie rakiet wielostopniowych. Okręty te były istotne tylko w starciach w normalnej przestrzeni i marginalnie w paśmie alfa, ale wiadomo było, że przeciwnik się tam nie znajdzie przed przybyciem do Układu Słonecznego. Dokąd nie miał prawa dotrzeć.

Dlatego lekkie krążowniki zajęły pozycje pomiędzy istotnymi dla wroga okrętami a pościgiem - ich napędy stały się w ten sposób jedynymi widocznymi dla rakiet, a na zniszczenie każdego z nich potrzebowała ich dwóch do czterech. Oznaczało to, że zanim będzie mogła ostrzelać *superdreadnoughta*, skończą się jej pociski.

- Ile nam zostało do następnego progu? - spytała.

- Czterdzieści pięć minut, ma'am - odparł Miyagi.

- A do granicy pasma theta przy obecnej prędkości przeciwnika?

- Sto dwadzieścia godzin, ma'am.

- Dobrze. - Santander wyprostowała się w fotelu i poleciła: - Kapitanie Onslow, proszę zmniejszyć prędkość, byśmy utrzymywali taką jak teraz odległość od przeciwnika. Kiedy znajdziemy się o dwa progi wyżej niż on, zwiększy pan prędkość, by go wyprzedzić. Będziemy wtedy mieli dobre warunki do prowadzenia ognia antyrakietowego i nieźle do kontroli ogniowej rakiet.

- Rozumiem, ma'am.

- Nick, przekaz kapitanom niszczycieli, by zajęli pozycję między *Defenderem* a wrogiem, gdy rozpoczniemy wyprzedzanie.

- Naturalnie, ma'am. Zrozumiem dlaczego - zapewnił Miyagi.

- Wiem, ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać. Kiedy zacniemy ich wyprzedzać, najprawdopodobniej zmienią szyk, tak by krążowniki cały czas znajdowały się między nami, ale powinny nam starczyć dwie rakiety na każdy. A jeśli zniszczymy krążowniki, będziemy mogli dobrać się do głównego celu. A *superdreadnoughta* też można zniszczyć jedną celną rakieta.

- Zgadza się - przyznał Miyagi. - Ale zostaje jeszcze blok namiarowy, ma'am.

Chodziło o to, że przy zmniejszeniu odległości między okrętami do minimum i zsynchronizowaniu częstotliwości hipernapędów cztery okręty stanowiły dla rakiet jeden wielki cel. Zaletą było to, że nie sposób było zgubić jego namiaru, wada, że nie miało się żadnego wpływu na to, który okręt obierze za cel każda z rakiet ani ile skieruje się ku któremu. Powodowało to też zwiększenie skuteczności obrony przeciwraкетowej, niejako w charakterze efektu ubocznego.

- Nic na to nie poradzimy, Nick - oceniła filozoficznie i dodała po chwili: - Przekaż rozkaz dowódcom niszczycieli.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził cicho Miyagi.

Rozdział III

Komandor Santander wiedziała, że drżą jej palce, a twarz ma ściągniętą zmęczeniem i strachem. Od pięćdziesięciu trzech godzin nie spała, a zażywanie środków farmakologicznych umożliwiających zachowanie przytomności umysłu miało swoją cenę. Właśnie zaczynała ją płacić. Jednak wyraz jej oczu nie zmieniał się.

Na pokładzie panowało dziwne napięcie, powietrze wypełniało niesamowite i trudne do opisanego drżenie, które zżerało nerwy i mąciło umysły. Trudno było skoncentrować się na rutynowych czynnościach, głosy brzmiały nienaturalnie ostro i przez cały czas miało się wrażenie *déjà vu*, jakby każda wypowiedź była echem innej, usłyszanej chwilę wcześniej.

Nie próbowała udawać spokoju i ukrywać strachu - byłoby to bezcelowe, bo wszyscy go odczuwali. Podobnie jak wszyscy byli zmęczeni, choć wachty zmieniały się regularnie. A najgorsze było to, że wszyscy mieli świadomość, iż od nich zależy los ludzkości i że przegrywają.

- No dobrze, Steve - odezwała się w końcu. - Jak bardzo jest źle?

- Bardzo, ma'am - odparł szczerze Onslow. Był zgarbiony ze zmęczenia i mówił krótkimi, rwanymi zdaniem. - Nikt nie dotarł tak wysoko w pasmo eta. Sensory głupieją. Nie mogą przebić się przez granicę. Nie wiemy nic o paśmie theta. Sensory *Dauntlessa* są w jeszcze gorszym stanie. Ważniejsze jest, że nie mamy dobrego zamiaru celu. Przykro mi, ma'am.

Santander zamknęła oczy, słysząc tę ostatnią wiadomość. Ciężła na niej odpowiedzialność większa niż na jakimkolwiek dowódcy w dziejach Marynarki Ziemi, a nie bardzo wiedziała, co jeszcze może zrobić. *Defendera* otaczało pole lodowatego ognia wyładowań, jakiego nie widział dotąd żaden człowiek. Byli prawie przy granicy pasma theta i panowały tu warunki gorsze, niż ktokolwiek przypuszczał. Niezwykle trudno było je opisać, ale jedno nie ulegało wątpliwości - ludzie nie mieli niczego do szukania w tym niesamowitym, by nie rzec nawiedzonym wymiarze, gdzie nawet czas zdawał się skręcony i obcy. A tym bardziej nie powinni tu walczyć.

Ale byli tu i walczyli.

Straciła wszystkie niszczyciele, które przechwyciły rakiety przeznaczone dla *Defendera*, gdy zawiodły inne środki. Przeciwnikowi pozostały: superdreadnought, pancernik i lotniskowiec. A ona miała jedną raketę i nie była w stanie określić, ile pozostało ich Kangi.

Najmniej dwie, najwięcej sześć - ale był tylko jeden sposób, aby to stwierdzić: wystawić się na strzał.

- No dobrze - westchnęła i spytała: - Jak blisko musimy podejść, żeby mieć pewność trafienia?

- W tych warunkach na dwieście tysięcy kilometrów, ma'am - poinformował ją zwięźle Onslow.

Skrzywiła się odruchowo - była to mniej niż sekunda świetlna, czyli w normalnych warunkach odległość samobójcza. Czy tutaj także, nikt nie wiedział...

- Ale nawet wtedy nie ma gwarancji, że trafimy konkretny okręt, bo nadal utrzymują blok namiarowy, choć nie wiem, jakim cudem - dodał Onslow. - Nie mam pojęcia, z jakiej odległości sensory zdołają zidentyfikować poszczególne cele.

- Rozumiem - powiedziała. - Jesteśmy sześćdziesiąt pięć godzin od granicy pasma, nie ma więc co czekać na cud... Proszę zbliżyć się do przeciwnika, kapitanie Onslow. Na tyle, by mieć pewność, że trafimy.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził ponuro Onslow.

Sekundę później rozległ się przygnębiający jęk dopalaczy, w surrealizmie pasma eta męczący fizycznie i psychicznie bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Nie spuszczała jednak oka z holoprojektacji taktycznej ukazującej stale zmniejszającą się odległość między pulsującym punktem oznaczającym wrogie okręty a symbolami *Defendera* oraz trzymającego się jego burty niczym przyklejony *Dauntlessa*.

- Dwanaście sekund świetlnych... - zameldował Miyagi. - Dziesięć... osiem...

- Zwalniają - zameldował nagle operator sensorów.

Santander zakłęła w duchu - od momentu wykrycia przeciwnik leciał z maksymalną prędkością, nie bawiąc się w żadne manewry taktyczne. Miała nadzieję, że teraz nie zmienił zdania.

- Sześć sekund świetlnych - zameldował Miyagi.

- Odpalenie rakiet! - przerwał mu głos operatora sensorów. - Cztery... nie, pięć wrogich rakiet! Dotrą do nas za dwanaście sekund!

Santander i Onslow spojrzeli na siebie, nie kryjąc przerażenia, ale żadne z nich nie odezwało się słowem.

Wróg ich uprzedził. Jego rakiety dotrą do *Defendera*, nim ten osiągnie odległość umożliwiającą oddanie celnego strzału. Na dodatek wrogie rakiety będą miały do pokonania próg w górę, nie w dół, co oznaczało, że ich systemy samonaprowadzające mniej ucierpią w wyniku lokalnych warunków. No i było ich pięć, tak więc ich szanse na trafienie i zniszczenie

Defendera były o wiele większe niż jego szanse na trafienie któregokolwiek wrogiego okrętu ostatnią rakieta, którą właśnie odpalał. Niewystrzelenie jej przed dotarciem wrogich rakiet stwarzało z kolei ryzyko, iż zostanie zniszczona wraz z okrętem, co byłoby zmarnowaniem ostatniej szansy. Santander już otwierała usta, by wydać rozkaz, gdy rozległ się głos Miyagiego:

- *Dauntless!*

Spojrzała na holoprojekcję taktyczną - ciężki krążownik TNS *Dauntless* przyspieszył, co oznaczało, że kapitan McInnis wycisnął z hipernapędu dosłownie wszystko, ignorując całkowicie elementarne choćby zasady bezpieczeństwa, i zrobił to, co właśnie miała zamiar mu rozkazać. Wołała nie myśleć, co dzieje się na pokładzie *Dauntlessa*, ale nie trwało to długo, bo ledwie ciężki krążownik wysunął się przed jej okręt, stał się celem wszystkich nadlatujących rakiet i zniknął wraz z nimi po dwóch sekundach w gwałtownym spazmie czasoprzestrzeni.

Dzięki jego poświęceniu wróg stracił ostatnie rakiety - i tylko to się liczyło. Na żal po stracie przyjaciół i podkomendnych przyjdzie czas później. O ile przeżyją...

- Kapitanie Onslow - powiedziała spokojnie, z trudem rozpoznając własny głos. - Proszę wstrzymać ogień, aż znajdziemy się na tym samym progu i w odległości nie większej niż dziesięć tysięcy kilometrów od przeciwnika.

- Aye, aye, ma'am.

* * *

Odległość między *Defenderem* a wrogimi okrętami ciągle malała, a do niemiłych przeżyć załogi doszły krótkie, nieregularne uruchomienia dopalaczy, gdyż dowódca wrogich sił desperacko próbował zwiększyć prędkość, co chwilami mu się udawało. Musieli to więc rekompensować. Santander obserwowała jego poczynania z mściwą satysfakcją: wykorzystał okazję, ale nie osiągnął zamierzonego skutku i teraz pozostała mu jedynie rola ruchomego celu oraz nadzieja, że też będzie miał szczęście. Dla nikogo nie byłoby to łatwe, a dla przesadnie ostrożnych Kangi wyjątkowo trudne. A ona chciała mieć pewność, toteż zbliżyła się do wrogiej formacji na pięćset tysięcy kilometrów. Mimo to sensory komputera nie były w stanie utrzymać stałego namiaru superdreadnoughta. Jedyne pocieszenie stanowiła świadomość, że na pewno zniszczy któryś z wrogich okrętów, bo przy tak krótkim czasie lotu nikt, nawet *Troll*, nie był w stanie przechwycić rakiety. Problem polegał na tym, że miała jedną szansę na trzy i żadnej możliwości wpłynięcia na to, w który okręt uderzy.

- Bliżej nie podlecimy, ma'am, bo pola napędów mogą się zetknąć - poinformował ją

Onslow.

- Doskonale, kapitanie Onslow. Proszę strzelać, kiedy uzna pan to za stosowne.

- Aye, aye, ma'am... Ognia!

Ledwie skończył mówić, rakieta opuściła wyrzutnię.

A w następnym momencie dotarła do wrogiej formacji... i trafiła w pancernik klasy *Trollheim*.

* * *

Josephine Santander wręcz zapadła się w fotel, całkowicie oklapnięta. Tyle poświęcili... tak niewiele brakowało... i przegrali. *Defender* leciał obok pary wrogich okrętów w minimalnej odległości i był bezsilny. Nie mogła powstrzymać przeciwnika, ba, nie mogła nawet dostać się za nim do normalnej przestrzeni, by stoczyć ostateczny bój. Kangi wiedzieli, w jaki czas chcą trafić, ona nie, a nawet gdyby to wiedziała, obliczenie dokładnie takiego samego kąta wejścia zajęłoby najlepszym fizykom teoretycznym miesiące...

Zawiodła - taka była brutalna, naga prawda. I nic już...

Nagle ją olśniło, jakby umysł czknał i wziął się do roboty. Pomysł był zwariowany, ale to wcale nie znaczyło, że niewykonalny...

Odruchowo się wyprostowała, a potem spojrzała na ekran łącznościowy fotela. Onslow postarzał się o kilkanaście lat w ciągu ostatnich dwudziestu sekund. I był jeszcze bardziej oklapnięty niż ona chwilę temu.

- Kapitanie Onslow... - powiedziała cicho.

Zero reakcji.

- Kapitanie Onslow! - warknęła niczym na parady.

Poskutkowało - wstrząsnęło nim i spojrzał w kamerę.

- Słucham, ma'am - odparł odruchowo.

- Nadal mamy szanse, Steve - powiedziała już spokojniej, a widząc jego ogłupiałą minę, dodała: - *Defender* ma sprawny hipernapęd.

Przez moment nadal patrzył na nią z wyrazem twarzy tęskniącym za inteligencją, a potem sens jej wypowiedzi dotarł do niego.

- Oczywiście! - ucieszył się.

I oczy rozbłysły mu niczym skazańcowi, który dowiedział się o ułaskawieniu.

- Oczywiście! - powtórzył radośnie.

Normalnie rozmowy prowadzone przy użyciu ekranu łącznościowego fotela admirałskiego i jego głośników były niesłyszalne dla pozostałych obecnych na pomoście

flagowym, ale przez ostatnie pół minuty w pomieszczeniu panowała tak absolutna, pełna przynębnienia cisza, że to, co powiedziała Santander, usłyszeli wszyscy.

I wszyscy zrozumieli.

Pomysł był wariacki i jak dotąd w praktyce niewypróbowany, ale teoretycznie jak najbardziej wykonalny. *Defender* także był bronią. Taranowanie wrogich jednostek miało długą tradycję, a że w wojnie w kosmosie nikt go jeszcze nie zastosował, niczego nie przesądzało.

- Nick? - Santander obserwowała, jak Miyagi próbuje otrząsnąć się z pesymizmu i równocześnie przeanalizować pomysł, który właśnie usłyszał.

- Nie... nie wiem, ma'am - przyznał. - To się może udać, ale przy naszej masie to będzie niczym uderzenie młotem kowalskim wobec puknięcia w ramię w stosunku do rakiety i skutki mogą okazać się różne... No i jest jeszcze ten cholerny lotniskowiec, i interferencja naszego normalnego napędu...

Urwał, otarł mokre czoło i spojrzał jej prosto w oczy.

- Muszę to sprawdzić, ma'am - oznajmił. - Stworzyć symulację komputerową i obliczyć wszystko. To może zająć kilka ładnych godzin.

- W takim razie zabieraj się do roboty. Co prawda zostały nam sześćdziesiąt trzy godziny, ale lepiej nie tracić czasu.

- Rozumiem, ma'am.

- To dobrze, Nick. - Santander wstała energicznie i oświadczyła: - A ja idę się wykapać i przespać. Daj mi znać, jak tylko skończysz.

I dziwnie sprężystym krokiem skierowała się ku windzie.

Nim zamknęły się za nią drzwi, usłyszała, jak Miyagi żąda od lekarza okrętowego kolejnej porcji środka stymulującego.

* * *

- Słucham, Nick - zachęciła komodor Santander, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

Po prysznicu i ośmiu godzinach nieprzerwanego snu czuła się wręcz kwitnąco w porównaniu ze stanem, w jakim się znajdowała, opuszczając pomost flagowy. Miyagi natomiast po siedemdziesięciu godzinach na stymulantach miał w oczach niemalże mesjanistyczny błysk niczym prorok.

- Jednoznacznej odpowiedzi nie znam, ma'am, ale wychodzi na to, że są trzy możliwości - wyjaśnił pełnym napięcia głosem. - Pierwsza i najbardziej prawdopodobna jest taka, że zostaniemy zniszczeni. I my, i oni.

Santander skinęła głową z zadowoleniem - instynkt samozachowawczy przestał się liczyć, gdy zrozumiała, co planuje przeciwnik.

- Druga, prawie równie prawdopodobna, jest taka, że wszystkie okręty wrócą do normalnej przestrzeni ze zniszczonymi hipernapędami i innymi poważnymi uszkodzeniami - kontynuował Miyagi. - Być może jako wraki. Gdybyśmy dysponowali w pełni sprawnym hipernapędem, mielibyśmy większe szanse na przetrwanie niż Kangi, a przy obecnym stanie wynik jest loterią. W każdym razie skutek byłby taki, że znaleźlibyśmy się miesiące świetlne od Układu Słonecznego, bez napędu i w zasięgu systemu wczesnego ostrzegania. A to znaczy, że tymi dwoma okrętami zajęłaby się Home Fleet i zagrożenie przestałoby istnieć.

Onslow chrząknął z zadowoleniem. Też miał za sobą kilkugodzinny sen i wróciła mu determinacja, by zniszczyć wroga za wszelką cenę. Teraz usłyszał, że jest to jak najbardziej wykonalne, i nie krył satysfakcji.

- Trzecia możliwość jest taka, że wypchniemy ich przez granice pasma theta - dodał Miyagi. - A co się wtedy stanie, nie sposób przewidzieć, ma'am. Podejrzewam, że dojdzie do efektu Takeshity, ale nie dotrą tam, dokąd chcieli, i nie wtedy, kiedy chcieli. Możemy wepchnąć ich głębiej w przeszłość, ale tego nie da się obliczyć. Istnieje niewielka szansa, że zamiast w przeszłości, wylądują w przyszłości. Pewne jest tylko to, że im dalej od zaplanowanego przez nich punktu uderzymy, tym różnica będzie większa.

- Rozumiem. A w przypadku tej trzeciej ewentualności co stanie się z nami?

- Najprawdopodobniej podzielimy ich los. To zależy od dwóch czynników: dokładnego stosunku masy i prędkości w chwili uderzenia i tego, jak blisko sfazowane są nasze napędy. Sensory nie mają na tyle dokładnego odczytu, by dało się odpowiednio skalibrować częstotliwość naszego, ale dopuszczalna różnica częstotliwości jest dość spora. Zakładając naturalnie, że moja symulacja jest dobra, a sądzę, że jest.

- A jeśli tak będzie, to co? - spytała Santander.

- To skutek będzie podobny jak przy możliwości drugiej, ma'am. Znajdziemy się wszyscy w normalnej przestrzeni, bez hipernapędu, za to z niemożliwymi do przewidzenia uszkodzeniami. Mogą być mniejsze, niż się spodziewamy, bo wytracimy po drodze masę energii, ale to także jedynie przypuszczenie.

- Rozumiem... - mruknęła Santander. - Kapitanie Onslow?

- Jestem za - oznajmił natychmiast. - Nawet jeśli ich nie zabijemy, pokrzyżujemy im plany i wtrącimy w objęcia Home Fleet albo innej floty, która się z nimi ostatecznie rozprawi.

- Pułkownik Leonowna? - Santander przeniosła wzrok na ostatnią obecną w admiralskiej sali odpraw osobę.

- Kapitan Onslow ma rację, ma'am. To nasza jedyna szansa.

- Zgadzam się. - Santander spłotła dłonie na blacie stołu. - W takim razie spróbujemy, ale przygotowani na każdą ewentualność. Jeśli wylądujemy w normalnej przestrzeni, będzie gorąco, bo *Ogre* ma lepsze uzbrojenie i opancerzenie. No i jest jeszcze ten lotniskowiec. Zakładając, że nie stracimy żadnego myśliwca, i tak na każdego z naszych będą przypadały trzy wrogie. Dacie sobie radę, pułkownik Leonowna?

- Mamy lepsze maszyny i znacznie lepszych pilotów, ma'am. Może się pani nie martwić ani myśliwcami, ani lotniskowcem. - Leonowna uśmiechnęła się niczym pewien swego drapieżnik.

- To dobrze. Ale proszę pamiętać, że *Harpy* jest drugorzędnym celem. Ważny jest superdreadnought. I proszę wbić do głowy swoim ludziom, że jeśli wystartuje z niego choćby jeden prom, to ten prom jest ich głównym celem. On musi zostać zniszczony, bo jeśli dotrze do atmosfery i rozpyli to cholerstwo, które wyhodowali, wszystko pójdzie na marne. Czy to jasne?

- Idealnie, ma'am - potwierdziła zapytana.

- Bardzo dobrze. - Santander spojrzała na wiszący na ścianie chronometr. - Do granicy zostało ponad czterdzieści godzin. Daję wam dwanaście na ostatnie przygotowania. Steve, powiedz doktorowi Pangbornowi, że każdy członek załogi ma w tym czasie przespać minimum sześć godzin, nawet jeśli miałoby to wyczerpać zapas środków nasennych, jakimi dysponujemy.

- Rozumiem, ma'am.

- W takim razie do roboty. - Santander wstała.

Pozostali zrobili to samo.

- Na wypadek gdybym już nie miała okazji tego powiedzieć - odezwała się niespodziewanie miękko. - To była dobra robota... i dziękuję wam.

Przez moment spoglądała na nich, po czym zrobiła w tył zwrot, nim ktokolwiek zdążył się odezwać, i ruszyła ku drzwiom.

Pozostali poszli w jej ślady i w milczeniu opuścili salę odpraw.

* * *

- ...i dlatego plan ataku jest dość ogólny - wyjaśnił major Turabian, zastępca dowódcy 113. Skrzydła Myśliwsko. Szturmowego, liczącego 32 maszyny. - Eskadry *Red* i *Blue* mają zadanie związania walką wrogich myśliwców, celem eskadry *White* będzie lotniskowiec, a eskadra *Gold* stanowi rezerwę odpowiedzialną za zniszczenie wrogich promów. Kapitan

Hanriot dowodzi eskadrą *Red*, kapitan Johnson *Blue*, a ja eskadrą *White*. Pułkownik Leonowna dowodzić będzie eskadrą *Gold* i koordynować całość ataku. Główne i zapasowe częstotliwości łączności są już zgrane i załadowane do komputerów pokładowych.

Turabian skończył i usiadł.

A do pulpitu podeszła Ludmilla Leonowna. Pilot myśliwski musi być młody, bo młodzi mają najlepszy refleks, a ona była bezwzględnie najstarszą osobą w sali odpraw, choć wyglądała absurdalnie młodo. Ubrana tak jak pozostali w skafander próżniowy, robiła wrażenie najnowszego nabytku skrzydła, ale nikt nie dał się zwieść: wszyscy zebrani byli weteranami i wielokrotnie walczyli pod jej rozkazami.

- Panie i panowie, mam jedynie kilka uwag - zagaiła. - Po pierwsze, wszyscy umiemy liczyć, wiecie więc, że straty będą duże. Należy się z tym pogodzić, ale to nie znaczy przyjąć, że będzie się jedną z ofiar, bo jeśli ktoś z takim nastawieniem startuje, to ofiarą zostanie. Celem tego ćwiczenia jest zabijanie *Trolli* i *Kangi*, a nie pożegnanie się z tym światem, i bądźcie uprzejmi o tym pamiętać. Po drugie, mamy lepsze maszyny i broń o większym zasięgu, utrzymujcie więc stosowną odległość i nie bawcie się w walki kołowe. Po trzecie, niszczyć promy w dowolny, byle skuteczny sposób, ale jeśli któryś się wymknie i będziecie go ścigać, pamiętajcie, że jeśli nie dorwiecie go przed wejściem w atmosferę, musicie użyć głowic nuklearnych. Nie wiemy, jakie cholerstwo mają na pokładzie, jeśli więc dotrą do atmosfery, każdy rodzaj broni może okazać się nieskuteczny. No i po czwarte, nie zapomnijcie, że kiedy to wszystko się skończy, będziemy w pobliżu planety zasiedlonej przez ludzi. A ludzkość bary wymyśliła naprawdę dawno temu, więc choć jestem jedyną osobą niepijącą w tym gronie, mam świadomość, że należy wam postawić, spragnione łajzy, i zrobię to. Ale tylko pod warunkiem, że nie będę zmuszona wysłuchać więcej niż jednego bohaterskiego łgarstwa od każdego!

Jak się spodziewała, wywołało to salwę śmiechu.

- No i pięknie - skwitowała, gdy ucichła. - A teraz do maszyn!

I skierowała się ku drzwiom na korytarz prowadzący na pokład hangarowy.

* * *

Pułkownik Leonowna podeszła równym krokiem do swego myśliwca. Część pilotów przed startem dokonywała dokładnej inspekcji maszyny, ale ona do nich nie należała. Sierżant Tetlow był szefem obsługi technicznej od ponad trzech lat standardowych zajmującej się jej maszyną i miała doń pełne zaufanie.

Tym razem zatrzymała się w połowie prowadzącej do kabiny drabinki i spojrzała w pierw

na tępy dziób, a potem na gruszkowatą rufę znajdującą się sto metrów od niego. Maszyna była długa i wąska, bo miała ledwie dwadzieścia metrów średnicy. Spoczywając w kołysce katapulty, nie wyglądała groźnie, ale w locie była śmiertelnie niebezpieczna. Na kadłubie namalowano numer taktyczny i imię maszyny. To ostatnie nie zostało wybrane przez pilota, jak to zwykle bywa, lecz przez obsługę. Wzięli pod uwagę zarówno jej pochodzenie, jak i fascynację historią, stąd szkarłatny napis *Sputnik 2*. Pod nim znajdowały się 34 złote symbole dziwnego nieco kształtu, oznaczające 34 zniszczone przez nią myśliwce wroga. A jeszcze niżej 13 większych symboli przedstawiających okręty zniszczone przez dowodzone przez nią skrzydło. Dotknęła największego, przedstawiającego superdreadnoughta klasy *Ogre*. Z ataku na niego z całego skrzydła wróciła tylko ona...

Gdy opuściła rękę, obok drabinki wyrósł jak spod ziemi sierżant Tetlow. Ani po jego minie, ani po zachowaniu nie było widać, że ma świadomość prawie pewnej śmierci.

Uścisnęła lekko jego ramię i spytała jak zwykle:

- Gotów?
- Całkowicie, ma'am. Niech im pani skopie dupy.
- Z entuzjazmem - zakończyła tradycyjnie.

I dokończyła wspinaczkę do kabiny.

Na oślepie, bo coś ją dziwnie piekło pod powiekami i rozmazywało obraz...

Usiadła w wygodnym fotelu i rozejrzała się. Tablica przyrządów płonęła zielonobursztynową feerią odczytów, a przez zamkniętą już osłonę przedostawał się blask lamp pokładu hangarowego. Uśmiechnęła się, nie pierwszy zresztą raz z tego powodu - w starciu w przestrzeni trzeba było polegać na przyrządach, bo toczyło się ono na zbyt duże odległości, by ludzkie oko mogło je objąć, ale ku zadowoleniu personelu latającego nadal projektowano kabiny z przezroczystymi owiewkami. Tyle że teraz wykonane one były podobnie jak reszta kadłuba z centymetrowej grubości armoplastu przezroczystego tylko od wewnątrz.

Sięgnęła po wiszący nad głową hełm i ściągnęła go delikatnie, aż zetknął się z kryzą skafandra. Hermetyzacja całości nastąpiła automatycznie, a moment później poczuła na skroniach dotyk płaskich elektrod.

- Aktywacja! - poleciła głośno i wyraźnie.

I poczuła znajomy szok sensoryczny. Myśliwiec, podobnie jak wszystkie pozostałe, miał pełen zestaw do sterowania manualnego, ale użycie go w czasie walki dawało *Trollom* zbyt dużą przewagę, dlatego ludzie korzystali ze sprzęgu neuronowego. Elektrody stanowiły bezpośredni łącznik między jej nerwami a systemami myśliwca. Informacje były przekazywane bezpośrednio do jej mózgu, a decyzje, które podejmowała, myśliwiec

realizował natychmiast. Stanowiła jedność z maszyną. Mimo tylu lat praktyki ta chwila dawała jej poczucie boskiej zgoła potęgi i wiedzy. Nie zmieniało tego nawet wprężenie się w system pozostałych członków załogi, bo w przeciwieństwie do normalnych myśliwców *Sputnik 2* był maszyną dowodzenia i posiadał trzyosobową załogę. Na pokładzie były tylko dwie takie: jej i *Excalibur* majora Turabiana. Oprócz oficera elektronicznego zajmującego się wojną radioelektroniczną i wszystkim, co nie było bezpośrednio związane z walką i manewrowaniem, miała do dyspozycji także łącznościowca, którego dodatkową funkcją była nawigacja przy starciach wymagających walki na odcinkach dłuższych niż minuta świetlna.

Poczuła w sprzęgu obecność porucznika O'Donnella i spytała:

- Gotów, Anwar?

- Wszystko zielone i sprawne, skipper.

- Prissy?

- Tak samo - oznajmiła sierżant Priscilla Goering zajmująca oddzielny przedział za kabiną.

- Doskonale! - Leonowna nacisnęła czerwony klawisz informujący oficera startowego o pełnej gotowości maszyny i rozsiadła się wygodniej, po czym oświadczyła na częstotliwości taktycznej skrzydła: - A teraz, chłopcy i dziewczęta, grzecznie sobie poczekamy.

* * *

- Okręt gotowy do walki, stanowiska bojowe obsadzone, ma'am - zameldował formalnie kapitan Onslow.

- Dziękuję, kapitanie Onslow - odparła równie formalnie komodor Santander.

Defender znajdował się próg wyżej od okrętów przeciwnika i nieco przed nimi, bo zgodnie z symulacją Miyagiego największe szanse na sukces miał atak z góry i z przodu, używając tradycyjnych określeń opisujących trójwymiarową przestrzeń. To, że tym razem sukces i samounicestwienie były równoznaczne, stanowiło czystą złośliwość losu. Albo przejaw jego czarnego humoru.

Wybrała stosowny kod na klawiaturze poręczy.

- Proszę się przygotować, pułkownik Leonowna - powiedziała spokojnie.

- Jesteśmy gotowi - zapewniła jak zwykle opanowana Leonowna.

- Doskonale. - Santander zmieniła kanał i gdy na ekranie łącznościowym fotela pojawił się Onslow, poleciła: - Proszę wykonać, kapitanie.

- Aye, aye, ma'am.

Moment później rozległ się przeraźliwy jęk dopalaczy.

* * *

Główny ekran wizualny pomostu flagowego dreadnoughta TNS *Defender* ukazywał obcy i urzekający biały pożar, bo tak właśnie wyglądały otaczające okręt wyładowania energetyczne przesłaniające szarość obcego dla człowieka wymiaru. Było w nim coś pociągającego i Santander z trudem oderwała od niego wzrok, przenosząc go na holoprojekcję taktyczną. Ta ukazywała znajome symbole, tyle że w niezwyklej konfiguracji - jej okręt zbliżał się z pełną szybkością do pulsującego czerwienią symbolu wrogich jednostek...

Aż złał się z nimi w jedno.

Josephine Santander krzyknęła rozpaczliwie.

Podobnie jak wszyscy na pokładzie, bo żaden ludzki organizm nie był w stanie znieść tego doświadczenia w milczeniu. Czuła się tak, jakby zebrano w jedną całość wszystkie przejścia, jakich dotąd dokonała. Nic nie widziała, bolał ją każdy nerw i mięsień, a o tym, że przed upadkiem w drgawkach na pokład uratowała ją jedynie uprząż antyurazowa, nawet nie miała pojęcia. Trwało to wieczność, czyli uderzenie serca, i skończyło się tak nagle, że ledwie w to uwierzyła.

Jęknęła cicho, czując ciepły strumyk spływający z przegryzionej wargi na brodę, i rozejrzała się niczym pijana, próbując Zorientować się, jak wygląda sytuacja.

Komandor Miyagi zwisał bezwładnie z uprząży antyurazowej z głową pod takim kątem, że nie miał prawa żyć... Jeden z operatorów sensorów zwinął się w kłębek na tyle, na ile pozwalała mu uprząż, i ni to jęczał, ni wył cicho... Reszta obsady przeżyła, choć niektórzy byli pokrwawieni.

Drżącą dłonią sięgnęła do klawisza interkomu, ale ekran rozjarzył się wcześniej, ukazując twarz Onslowa. A raczej kamienną maskę i oczy, w których zimnym, głodnym płomieniem tliła się żądza mordy.

Kapitan Onslow z wojownika stał się zabójcą.

- Komodor Santander - powiedział chrapliwie.

I otarł krew ciekącą po brodzie, po czym obojętnie przyjrzał się swojej zakrwawionej dłoni.

- Witam, kapitanie Onslow - odrzekła najspokojniej, jak mogła. - Mamy tu dwie ofiary...

- My też, ma'am, ale sensory działają, a symulacja Nicka jak dotąd się sprawdza. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego kąta wyjścia, ale póki co wychodzimy. Powinno to zająć jeszcze ze dwadzieścia minut... no i oba okręty Kangi są z nami.

- Uszkodzenia? - spytała prawie z ulgą.

- Hipernapędu nie ma, stopiony. Reaktory dwa i cztery awaryjnie wyłączone. Dwadzieścia procent sieci komputerowej i dwadzieścia pięć procent dział nie do użytku. Strat w ludziach jeszcze nie znam - zameldował i dodał z dumą: - Ale okręt jest zdolny do walki, ma'am.

- To dobrze. Bo należy się na nią przygotować.

- Aye, aye, ma'am - potwierdził Onslow z radością.

* * *

Trzy okręty mknęły przez obcy wymiar, zmierzając ku normalnej przestrzeni z szybkością, jakiej dotąd nikt nie rozwinął. A jeśli rozwinął, to nie przeżył, by o tym zameldować. Na pokładzie *Defendera* trwały gorączkowe naprawy i usuwanie zabitych i ciężko rannych ze stanowisk. Najwięcej ofiar było w sekcji hipernapędu, a ten znajdował się prawie w samym centrum kadłuba. Na pokładzie hangarowym, znacznie od niego oddalonym, obrażeń nie było, nie licząc kilku stłuczeń i zadrapań. Pułkownik Leonowna sprawdziła stan katapult i z zadowoleniem stwierdziła, że wszystkie są sprawne.

A zaraz potem poczuła delikatne dotknięcie pola siłowego na kadłubie myśliwca.

- *Gold Leader* do wszystkich, przygotować się do startu! - powiedziała głośno.

- Tu kapitan, start wszystkich myśliwców!

- Aye, aye, sir, start wszystkich maszyn - potwierdził oficer startowy. - Udanych łowów, ma'am!

W następnej sekundzie pola siłowe katapult wypchnęły wszystkie maszyny poza kadłub okrętu.

Przejście przez pole otaczające *Defendera* jak zwykle było nieprzyjemne, ale ledwie je zarejestrowała, bo zaraz potem włączył się napęd myśliwca i poczuła się naprawdę niczym Bóg. Sensory były jej zmysłami, a przestrzeń, która początkowo przerażała, dawno już stała się przyjacielem. Widziała wszystko i rozumiała wszystko natychmiast i było to niesamowite przeżycie.

Ogre próbował uciec *Defenderowi*, a nieco z boku i poniżej obu okrętów liniowych znajdował się lotniskowiec. Prawie równocześnie wystartowały z niego myśliwce i oba okręty liniowe odpaliły rakiety.

- *Red Leader*, tu *Gold Leader*, pierwsza fala wasza - oznajmiła. - *White Leader*, zabierajcie się za *Harpy*, zanim wystartuje druga fala. *Blue Leader*, osłona ataku!

Były to dokładnie te same rozkazy, które wszyscy usłyszeli na odprawie, ale praktyka

nauczyła ją, że powtórzenie ich zaraz po starcie nikomu nie szkodziło, a niektórym pomagało. Wysłuchiwała potwierdzeń, skupiając uwagę na przebiegu walki. Maszyny eskadry *Red* odpaliły pierwszą salwę rakiet, a eskadry *Blue* i *White* zatoczyły szeroki łuk, by ominąć falę *Trolli*, bo wrogie myśliwce pilotowane były przez cyborgi. Pierwsze eksplozje rozświetliły przestrzeń, ale *Trolli* było dużo. Znacznie więcej, niż powinno, co oznaczało, że lotniskowiec został zmodyfikowany i wyposażono go w dodatkowe katapulty. Ale tym samym coś innego musiano zdemontować, by zrobić dla nich miejsce...

Myśliwce eskadry *White* wystrzeliły rakiety przeciwokrętowe i już wiedziała, co usunięto - siłowych pól przechwytyjących było znacznie mniej niż standardowo, a gdy pierwszy pocisk detonował na osłonie burtowej lotniskowca, stało się jasne, że jest ona słabsza, niż powinna. Turabian zaplanował atak, zakładając, że będzie miał do czynienia z lotniskowcem o klasycznej sile obrony przeciwrakietowej, a okazało się, że ma ułatwione zadanie. Rakiety pierwszej salwy eksplodowały na osłonie burtowej, ale przeciążyły jej generatory, bo gdy nadleciała druga salwa, wymierzona w ten sam rejon kadłuba, osłony już nie było i potężne eksplozje rozdarły kadłub. Okręt o masie dwóch milionów ton szybko przełamał się na dwie części, a zaraz potem zniknął w piekle eksplozji megatonowych głowic. Wraz z nim przestały istnieć myśliwce drugiej fali, które nie zdążyły jeszcze wystartować. Ale tych już znajdujących się w przestrzeni i tak było ponad dwa razy więcej niż ludzkich.

I 113. Skrzydło zaczęło ponosić straty.

- *Blue Leader*, tu *Gold Leader*, zajdź ich od tyłu - poleciała Leonowna. - *White Leader*, dołączyć do mnie! I utrzymujcie odległość od wroga, do cholery!

Poprzez typową dla myśliwskiego starcia mieszaninę ostrzeżeń i okrzyków przebiły się potwierdzenia. Chaos był potężny, a sytuacja zmieniała się tak błyskawicznie, że nawet z pomocą sensorów myśliwca miała problem, by ją w całości ogarnąć. Rakiety jej pilotów jako mające większy zasięg porządnie przetrzebiły szeregi wroga, ale i tak *Trolli* zostało ponad dwa razy więcej niż jej maszyn i gdy zbliżyły się na tyle, by móc użyć rakiet, stało się to widoczne. Eskadra *Red* straciła trzy maszyny, a *Blue* dwie. Eskadra *White* wyszła bez szwanku z ataku na lotniskowiec, ale uradowana zniszczeniem okrętu porucznik Kittihawk na chwilę przestała uważać i *Troll* wszedł jej na ogon. Z wiadomym skutkiem.

Trolle nie miały tak dobrego systemu kontroli ognia jak ludzkie myśliwce ani tak dobrych ECM-ów. Dysponowały też gorszymi napędami dającymi mniejsze przyspieszenie, ale miały znacznie lepszy refleks. Lepszy nawet niż większość pilotów używających sprzęgu, a ich maszyny były niewiele, ale jednak zwrotniejsze. Dlatego w walce na małą odległość zwaną od niepamiętnych czasów walką kołową były znacznie skuteczniejsze niż ludzkie myśliwce.

Maszyna porucznik Kittihawk została więc błyskawicznie zniszczona krótką, precyzyjną serią z działek pokładowych.

Troll próbował zrobić to samo z jej skrzydłowym, ale nie zauważył zbliżającego się z dołu Caspera Turabiana, który władował mu serię w odsłonięty kadłub i zmienił go w ognistą kulę.

Leonowna straciła łącznie siedem maszyn. Straty *Trolli* były znacznie większe, a na dodatek jej piloci ponaglani rozkazami oderwali się od przeciwnika, wykorzystując większą prędkość swych maszyn, i z bezpiecznego dystansu ponownie użyli rakiet, tyle że odpalanych już pojedynczo do konkretnych celów. Dołączyła do nich wraz z dwiema eskadrami i gdy zniszczyła pierwszego *Trolla*, poczuła prawdziwą, czystą przyjemność graniczącą z rozkoszą. Wzięła na cel następnego, ukazując zęby w uśmiechu, którego nawet nie była świadoma, gdy w słuchawkach rozległo się:

- *Defender do Gold One!*

Natychmiast wykonała ciasny zwrot, wychodząc z walki. W ślad za nią jak przylepiony leciał skrzydłowy, utrzymując pozycję nieco z tyłu i z boku.

- Tu *Gold One* - zameldowała, rozglądając się równocześnie.

Oba okręty dość znacznie oddaliły się od walczących myśliwców, wymieniając cały czas salwy rakietowe, ale znalazły się już na tyle blisko siebie, że mogły również użyć broni energetycznej i skutki tego były już widoczne. Za obydwooma ciągnęły się ogony szczątków i skryzalizowanej atmosfery, a na osłonach burtowych praktycznie bez przerwy tańczyły wybuchy. Widać było, że w tym pojedynku *Defender* jako mniejszy stopniowo przegrywa, choćby dlatego że superdreadnought był w stanie wytrzymać więcej trafień i poważniejsze uszkodzenia.

- Tu kapitan Onslow - rozległo się w słuchawkach.

Głos był zniekształcony i momentami ledwie słyszalny, bo promieniowanie zakłócało łączność.

- Komodor nie żyje, a okręt jest poważnie uszkodzony, ale skurwiele już nam nie uciekną. Ważniejsze, że wie o tym... startują z niego promy. Dorwijcie je!

- Rozumiem. Można wam jakoś pomóc?

- Nie! Zajmijcie się promami i ich osłoną. Do zobaczenia w piekle, Ludmillo!

W słuchawkach zapanowała cisza, nim zdążyła odpowiedzieć.

A w następnym momencie TNS *Defender* gwałtownie zwiększył szybkość, zmienił kurs i po paru sekundach staranował wrogiego superdreadnoughta.

W przestrzeni na chwilę zapłonęła oślepiająca supernowa.

ODWAGA «stan umysłu lub ducha pozwalający stawić czoło niebezpieczeństwu, strachowi lub przeciwnościom losu w sposób opanowany i rozsądny; dzielność, kuraż (od staroangielskiego *Corage* - serce, tj. siedziba uczuć)»

*Webster-Wangchi Unabridged
Dictionary of Standard English
Tomas y Hijos, Publishers
2465 rok standardowy*

Rozdział IV

- Co, do cholery...?! - Starszy sierżant Andrew Slocum ugryzł się w język, zły na samego siebie.

Miał służbę z pułkownikiem Archerem słynącym z nietolerowania przekleństw. Uważał przeklinanie za zachowanie niegodne żołnierza armii amerykańskiej, nawet zwykła „cholera” mogła więc stać się powodem problemów. Na szczęście Archer był w przeciwnym końcu pomieszczenia. Spokojnie popijał kawę, co znaczyło, że nie usłyszał. Slocum odchrząknął i powiedział głośniej:

- Pułkowniku Archer, mógłby pan na to rzucić okiem?

- Hm? - burknął Archer, ale ruszył ku niemu.

Archer miał swoje wady, ale też i zalety - jedną z nich było szanowanie umiejętności podkomendnych i niezadawanie im głupich pytań. Podeszedł do stanowiska Slocuma i przez jego ramię spojrzał na ekran monitora.

Przez moment stał jak wmurowany.

- Co, do ku...?! - zaczął i zamilkł w pół słowa.

Ale Slocum i tak z najwyższym trudem zapanował nad radosnym chichotem.

- Dlaczego nie zameldował pan o tym wcześniej, sierżancie? - spytał Archer już prawie normalnym tonem.

- Bo dopiero co pojawiły się na ekranie, sir. Tu, gdzie zaczyna się ta czerwona linia.

Archer zmarszczył brwi - linia oznaczała kurs niezidentyfikowanych obiektów i zdecydowanie mu się nie podobała. Slocumowi też.

- Dlaczego flota nie zaalarmowała nas wcześniej? - prychnął zirytowany Archer.

W wyniku ostatniej reorganizacji US Space Defence Operations Centre, w którym się znajdowali, odpowiadało za obronę antyrakietową terenu Stanów Zjednoczonych, ale tylko do wysokości 500 kilometrów. Za to, co wyżej, odpowiedzialne było Space Surveillance System Command podległe US Navy. Archer zawsze miał wątpliwości, czy flota poradzi sobie z czymś, co powinno należeć do lotnictwa, ale prawdę mówiąc, nie sądził, że spieprzy sprawę aż tak.

- Flota o nich poinformowała, sir - wyjaśnił Slocum. - Ale wykryła je dwieście siedemdziesiąt pięć sekund temu. Przesłali nam nagranie, sir.

- Niemożliwe!

- Też tak sądziłem, ale nasze systemy również je wykryły.

- Cóż... to mogą być wrogie rakiety... nie tak daleko... Jaka dokładnie jest ich pozycja?

- Dwieście dziesięć stopni długości południowej, sto pięćdziesiąt pięć stopni szerokości zachodniej, sir. Pułap sto pięćdziesiąt trzy kilometry i ciągle się obniża. Są nad Pacyfikiem i jeśli nie zaczną manewrować, przelecą nad Meksykiem kursem sto sześćdziesiąt. Jak na razie mają nieregularny kurs, ale utrzymują stałą wysokość i zmniejszają prędkość. Gdy je wykryliśmy, leciały z szybkością ponad siedemnastu tysięcy węzłów, teraz ledwie powyżej siedmiu tysięcy.

- Co?!

- To, że w ciągu czterech minut wytracili ponad dziesięć tysięcy węzłów, sir. I... niech pan spojrzy, jak ten mniejszy gnojek manewruje, sir!

„Gnojek” nie wywołał żadnego komentarza, bo pułkownik Archer poza tym, że był wykształconym technicznie oficerem, był także doświadczonym pilotem myśliwskim. I nigdy dotąd nie tylko że nie zetknął się, ale nawet nie słyszał o żadnym pocisku, o samolocie nie wspominając, który przy tej prędkości mógłby wykonać skręt o dziewięćdziesiąt stopni. Sięgnął po telefon łączący z dowództwem, ale ani na moment nie przestał patrzeć na monitor.

- Generał Goldman? - spytał. - Tu pułkownik Archer.

Mam tu coś naprawdę dziwnego, sir.

* * *

Dowódca eskorty nie miał imienia ani nazwy. Nigdy ich nie posiadał ani też ich nie potrzebował. Był narzędziem, nie osobą, a nikt nie nadaje imion narzędziom. Jego twórcy, *Shirmaksu*, nie przydzielili jego rodzajowi nawet numeru seryjnego. Natomiast ludzie nazywali ich *Trollami*, o czym wiedział.

Jego myśliwiec nie miał przyrządów pokładowych, bo nie musiał ich mieć - informacje

trafiały prosto do niego, gdyż był jego częścią, podobnie jak częścią innych, specjalnie zaprojektowanych pojazdów bojowych. Dlatego znał dokładnie położenie ludzkiego myśliwca, który z uporem leciał z tyłu. Myśliwca, który zniszczył już dziesięć maszyn eskorty. W pewnym sensie ostatniego ludzkiego myśliwca w galaktyce. Tego, który prześladował go już przez trzy ziemskie tygodnie.

On sam składał się z obwodów, serwowatorów, stopów i elektroniki. Jedynym wyjątkiem był pojemnik z ciągle odnawianym odżywczym płynem, w którym znajdował się jego jedyny organiczny komponent. Ale nie znaczyło to, że nie posiada czy nie umie nazwać emocji. Czuł je i nazywał. A najsilniejszą ze wszystkich była nienawiść.

Nienawidził swoich twórców, którzy widzieli w nim spisane na straty narzędzie jednorazowego użytku. Nienawidził ludzi, do których zniszczenia został stworzony. Nienawidził siebie za to, że musiał walczyć z ludźmi w służbie *Shirmaksu*.

A teraz najbardziej w galaktyce nienawidził pilota, który go prześladował.

Wiedział, do jakiego rodzaju należy ten człowiek - zorientował się po szybkości reakcji, z jaką pilotował swoją maszynę. To mógł być tylko *cralkhi*, odmiana, którą jego twórcy przypadkiem powołali do życia na własną zgubę. Tylko *cralkhi* mógł wygrać z dziesięcioma jego myśliwcami i bez śladu zmęczenia ścigać go tyle czasu oraz powtarzać wiernie każdy manewr.

Była w tym złośliwa ironia losu. Istoty, które eskortował i miał za wszelką cenę chronić, były odpowiedzialne za istnienie stworzenia, dzięki któremu ich wróg nadal mógł im zagrażać. A tak naprawdę dowódca eskorty zazdrościł temu *cralkhi* wolności pozwalającej atakować ich wspólnych twórców, bo on sam, choć pragnął tego od dawna, wiedział, że podobna wolność nigdy nie będzie dlań dostępna.

Prom, który eskortował, zaczął napotykać pierwsze, śladowe jeszcze oznaki atmosfery planety, którą przybyli wysterylizować, ale jego dowódca nadal nie pozwalał mu wykorzystać pozostałych myśliwców do ostatecznego rozprawienia się z prześladowcą. Tyle że tym razem mógł sobie pozwolić na czekanie - *cralkhi* musiał wkrótce się zbliżyć, jeśli nie chciał pozwolić, by *Shirmaksu* zniszczyli życie na tej planecie.

* * *

Pułkownik Ludmilla Leonowna była zdesperowana. I zmęczona. Nie fizycznie, ale psychicznie. Fizycznym zmęczeniem zajmował się symbiont, którego bezwzględnie wykorzystywała. Wiedziała, jaką cenę przyjdzie jej za to zapłacić, ale teraz była ona nieważna. Gorzej, że zbliżała się do granicy jego możliwości i zaczynało to być widać.

Manewrowała coraz mniej sprawnie, a jej reakcje stawały się coraz bardziej opóźnione. Były to tak dyskretne oznaki gorszej kondycji, że człowiek nie miał prawa ich zauważyć, ale komputer musiał. A to znaczyło, że *Trolle* o tym wiedziały.

Pościg trwał już trzy tygodnie i dotarli prawie do Ziemi. Myśliwce miały słabe hipernapędy, ale w paśmie alfa mogły się poruszać, z czego Kangi korzystali często, choć nieregularnie. Lot za nimi przypominał ściganie wyjątkowo złośliwego węża, teraz się to skończyło, bo byli zbyt blisko planety, ale systemy pokładowe zostały po prostu nadużyte i wolała nie myśleć, w jakim są stanie. Najważniejsze było to, że system podtrzymywania życia powinien działać jeszcze przez tydzień, a napęd funkcjonował bez zarzutu. Maszyna nie była przewidziana do tak długich lotów, ale nie zawiodła. Może dlatego, że Anwar O'Donnell traktował ją równie delikatnie i troskliwie jak małe dziecko. Latali razem od ponad dwóch lat, toteż dobrze znał odmienności ich organizmów i nie protestował, gdy kazała mu iść spać, przejmując na ten czas jego obowiązki. Ona mogła sobie pozwolić na ciągłą aktywność bez środków pobudzających. On nie.

A żadnych środków pobudzających nie można stosować zbyt długo.

Sierżant Goering nie była z nią aż tak długo, ale też dobrze się spisała. To ona zorientowała się na podstawie prymitywnej, głównie radiowej i mikrofalowej łączności, że znaleźli się w drugiej połowie XX wieku. Komodor Santander udało się pokrzyżować plany Kangi, ale nie do końca, gdyż poziom technologiczny ludzkości w tym okresie był zbyt niski, aby mogła się obronić przed atakiem biologicznym. Zwłaszcza takim, o którym nie wiedziała.

Wszyscy na pokładzie *Sputnika 2* mieli tego świadomość, ale tylko dwoje ludzi święcie wierzyło, że jest ktoś, kto zdoła temu zaradzić. Owym ktosiem była Leonowna, która sama tej pewności nie miała. Fakt, dysponowała lepszą bronią niż przeciwnik, ale broń ta miała swoje mankamenty i ograniczenia. *Sputnik 2* był szybszy i zwrotniejszy od wrogiego promu, ale mniej zwrotny od myśliwców przeciwnika, które go eskortowały. W przestrzeni, mając dużo miejsca i żadnych ograniczeń w rodzaju oporu atmosfery, mógł poradzić sobie z trzema *Trollami* bez większego problemu. Sytuacja zmieniała się przy mniejszych prędkościach i odległościach, bo *Trolle* były zwrotniejsze.

A ponieważ zbliżali się do planety, sytuacja stawała się dla niej coraz mniej korzystna.

Miała do dyspozycji ostatnią rakietę z głowicą nuklearną i nie mogła jej zmarnować na *Trolla*, bo tylko ona gwarantowała zażegnanie niebezpieczeństwa, jakie stanowił prom. Ale żeby móc jej użyć, musiała przebić się przez pięć myśliwców, bo leciały tak, że zasłaniały prom z każdej możliwej do ostrzału strony. A dysponowała tylko trzema przeciwlotniczymi rakietami typu *Skeet* i pokładowymi działkami. *Skeety* przeznaczone były do walki na

niewielkie odległości i przypominały ładunki do starożytnej broni palnej zwanej strzelbą, tylko zamiast śrutu zawierały wyposażone we własne zasilanie *flechety*.

Zaczynała pościg, mając dwóch bocznych, bo Turabiana i pozostałą piątkę pilotów, którzy przeżyli walkę z wrogimi myśliwcami, wysłała w pogoń za drugim promem, który początkowo leciał w przeciwną stronę. Tylko te dwa ocalały, ale tamten musiał zawrócić, by dostać się na Ziemię, a to znaczyło, że pościg będzie krótszy, ale skończy się bojem spotkaniowym. A prom osłaniało 16 *Trolli*.

Tak jak podejrzewała, prom zawrócił po trzech dniach, a do starcia doszło po kolejnych czterech. I zakończyło się ono obustronną masakrą. O zniszczeniu promu i wszystkich *Trolli* poinformował ją ostatni z jej pilotów - dryfujący w ciężko uszkodzonym myśliwcu Casper Turabian. Rozmawiali jeszcze parę razy, ale potem przestał odpowiadać na wywołania...

Było to ponad tydzień temu.

Drugiego bocznego straciła przed piętnastoma dniami. Trzy *Trolle* zawróciły, a porucznik Durstan spał i nie zdołała go w pełni dobudzić, nim doszło do walki. Żaden z nich nie przeżył tego spotkania, ale pozostało ich jeszcze pięć. I teraz nie miała wyjścia - by móc użyć *Skeetów*, musiała się do nich zbliżyć na tyle, że pozostałe dwa zdążą zawrócić i ostrzelać ją z działek. A obu naraz się nie wywinie...

Westchnęła ciężko i trąciła Anwara.

- Wstawaj - powiedziała łagodnie.

Otworzył oczy, natychmiast prawie zupełnie przytomny. Ale tylko prawie. I to właśnie normalnego ludzkiego pilota kosztowałoby życie.

- Już czas? - spytał, przecierając oczy.

- Prawie - odparła z nutką żalu.

- Wymyśliłaś może coś, gdy drzemałem? - spytał, ziewając i sięgając równocześnie po hełm.

- Przykro mi, ale nie.

- No cóż, zawsze chciałem skończyć z hukiem. Obudzić Prissy?

- Obudź - mruknęła odruchowo i zajęła się sprawdzeniem stanu maszyny.

Zwykle robiła to automatycznie, ale teraz zmęczenie na tyle dawało o sobie znać, że wołała sprawdzić wszystko powoli i świadomie, by uniknąć błędu.

- To była niezła wycieczka - ocenił O'Donnel, wciskając klawisz budzenia zajmującej osobny przedział Goering. - Nie miałbym nic przeciwko powtórcie, byle nie za szybko.

- Kiepski z ciebie łgarz, Anwar - uśmiechnęła się Leonowna.

Odpowiedział uśmiechem, ale dodał poważnie:

- Fakt. Ale może choć Prissy z tego wyjdzie.

- Mam nadzieję - przytaknęła cicho.

Oboje bowiem wiedzieli, że sami tego ostatniego starcia nie przeżyją, nie było więc sensu o tym mówić. Próbowwała znaleźć inne rozwiązanie, ale nie potrafiła. Jedyną posiadaną przez nią bronią, która mogła zniszczyć prom, poza rakieta z głowicą nuklearną, był sam myśliwiec. Skoro metoda okazała się skuteczna w przypadku superdreadnoughta, powtórka na mniejszą skalę także powinna się udać. Przedyskutowała to dokładnie z O'Donnelem i oboje doszli do tego samego wniosku. Musiała wyprzedzić wrogą formację, zawrócić i zaatakować ją od czoła. Jeśli zrobi to w atmosferze, fala uderzeniowa po eksplozji ładunku nuklearnego powinna zniszczyć lecące przodem myśliwce i otworzyć jej drogę do promu, nim stanowiące straż tylną *Trolle* zdążą zainterweniować. A przy odrobinie szczęścia zginą w wybuchu, do jakiego dojdzie w wyniku taranowania.

Nie mogła jednakże zrobić tego w próżni i bez Anwara obsługującego GCM-y, a to oznaczało, że musi zginąć wraz z nią. Nie dotyczyło to wszakże Goering, która, prawdę mówiąc, w ogóle przestała być potrzebna, jako że nie było już nikogo, z kim mogliby nawiązać łączność. Dlatego zdecydowała się odpalić jej kapsułę ratunkową, gdy tylko znajdą się w atmosferze.

Goering naturalnie protestowała, ale były to protesty z góry skazane na niepowodzenie. Leonowna się uparła.

Zresztą Prissy i tak miała niewielkie szanse na uratowanie życia, biorąc pod uwagę standardową taktykę *Trolli*. Była to jednak jedyna szansa, jaką Ludmilla mogła jej dać.

- Wejdziemy w atmosferę za trzy minuty - oznajmił Anwar.

- Dzięki. Prissy, jesteś tam?

- Jestem, skipper. I jestem gotowa.

- To dobrze. Anwar, zacznij odliczanie na mój rozkaz.

- Rozumiem... - W głosie Goering słychać było łzy.

- Wypij za nas jednego, gdy już będziesz na dole.

- Obiecuję. Wykończcie skurwieli.

- Spróbujemy, Prissy. Naprawdę spróbujemy. Zaczynaj, Anwar!

- Pięc... cztery... trzy...

- Do zobaczenia.

- ...jeden... Powodzenia, Prissy!

Maszyną wstrząsnęło, gdy kapsuła ratunkowa została odpalona.

I natychmiast rozpoczęła serię dzikich uników, które Leonowna i O'Donnel obserwowali

z zapartym tchem.

- Cholera, *Troll!*

- Żeby go, skurwiela!

Okrzyki Anwara i Leonownej zlały się w jedno, gdy zobaczyli, jak jeden ze stanowiących straż tylną *Trolli* wykonuje ciasny zwrot i zwiększa wysokość. Ludmilla natychmiast odpaliła dwa *Skeety*. Rakiety bez problemu namierzyły wrogi myśliwiec i pomknęły ku niemu, ale wiedziała, że nie zdążą. I rzeczywiście, nim dotarły do celu, *Troll* wystrzelił już pełną salwę rakiet.

Ich celem była kapsuła ratunkowa.

Sierżant Priscilla Goering zginęła dwie sekundy po swoim zabójcy.

W kabinie *Sputnika 2* zapanowała pełna lodowatej nienawiści cisza.

* * *

23. Zespół Uderzeniowy United States Navy tydzień wcześniej zakończył manewry w pobliżu Kuby i zmierzał na Morze Śródziemne, by przejąć rolę straży pożarnej w pobliżu ciągle groźnego punktu zapalnego, jaki stanowiły Bałkany, od kończących swoją turę okrętów. Nie było powodu do pośpiechu, płynął więc z prędkością 15 węzłów, gdy pojawiły się pierwsze problemy. Zaczęło się od kopii szyfrówki do Głównodowodzącego Floty Atlantyku w Norfolk, a potem Space Defence Operations wzięło się do roboty i zaczęły napływać regularne meldunki o wykrytych obiektach pokazywane w czasie rzeczywistym. Nie ulegało wątpliwości, że coś niezwykłego dzieje się w górnych warstwach atmosfery i z każdą chwilą zbliża się coraz bardziej ku jej powierzchni. Niezidentyfikowane obiekty co prawda zmniejszały szybkość, za to ich kurs coraz bardziej się stabilizował i według obliczeń miały minąć 23. Zespół Uderzeniowy w odległości mniejszej niż 800 km.

Admirał Fritz Carson cierpiał na łagodną odmianę bezsenności, dlatego był na pomoście flagowym lotniskowca USS *Theodore Roosevelt*, gdy dotarła tam pierwsza wiadomość, mimo iż było już po północy. Przyjrzał się wydrukowi wręczonemu przez oficera łącznościowego, po czym polecił szefowi sztabu:

- Obudź kapitana i sprawdź w centrali, co mają.

Po czym złapał za słuchawkę wewnętrznej sieci łączności i wybrał numer kontroli lotów.

- Kontrola, komandor Staunton - rozległo się w słuchawce.

- Co ty tam robisz? - zdziwił się Carson, jako że rozmówca był dowódcą wszystkich samolotów i helikopterów bazujących na lotniskowcu i powinien o tej porze smacznie spać w swojej kabinie.

- Młody w *Tomcacie* jest na patrolu i chcę mieć na niego oko, sir.

- Aha. To nawet dobrze się składa, bo dostaniesz z centrali ciekawe dane. Wygląda na to, że z południowego zachodu zbliża się cała grupa autentycznych UFO i do tego lecą szybciej niż nietoperze z piekła rodem. Jeśli utrzymają kurs i prędkość, przelecą jakieś pięćset mil od nas z prędkością około dziewięciu machów.

- Dziewięciu machów, sir? - powtórzył wolno i ostrożnie Staunton.

- Tak mi powiedziano. Mamy coś w okolicy, żeby pomachać ufoludkom?

- Mamy *Hawkeya* trzysta mil od nas ćwiczącego z moim pilotem, parę F-14 na katapultach w stanie gotowości i dwa *Hornety* w pogotowiu piętnastominutowym, sir.

- Wątpię, żeby miały startować, ale połącz się z *Hawkeyem* i powiedz, żeby przyjrzał się gościom, gdy będą przelatywać.

- Rozumiem, sir.

- To dobrze, dzięki. - Carson odłożył słuchawkę i natychmiast wziął drugą podaną przez porucznika flagowego. - Kapitan Jansen? Przepraszam za pobudkę w środku nocy, ale...

* * *

- Mam coś dziwnego na pasywnym, sir - odezwał się podporucznik Demosthenes Lewiston.

- Jak na przykład co? - spytał porucznik Atcheson.

- Nie wiem, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Niczego nie odbieramy, ale coś wywołuje duchy na całej lewej ćwiartce. I to coraz silniejsze, sir.

- Jak to nic nie odbieramy?! - zdumiał się drugi pilot *Hawkeya E-2D*. - Znow wychlałeś odżywkę do włosów czy coś, Dimmy?

- Ani odżywki, ani nic innego - zapewnił radiowiec tonem urażonej niewinności. - A chodzi mi o to, że coś nam zakłóca obraz radarowy, tylko że pojęcia nie mam co. Wygląda to tak, jakby były to sygnały spoza częstotliwości tego zestawu, ale takie nie istnieją.

- Tacco ma rację, sir - wtrącił jeden z operatorów. - To jest dziwaczne, sir.

- Hmm... - mruknął porucznik Atcheson.

Lewiston miał w jednej kwestii rację: sprzęt radarowy, w jaki wyposażony był pozornie przestarzały samolot turbośmigłowy *Hawkeye*, był najnowszej generacji. Zwłaszcza ten instalowany w wersji *E-2D Hawkeye 2000*, a w takim właśnie się znajdowali. Był to najnowocześniejszy latający system wczesnego ostrzegania i nie istniały sygnały, które wychodziłyby poza pasmo pracy jego radarów. Oficerów za nie odpowiedzialnych zresztą nie brano z łapanki, niekompetencja nie wchodziła więc w grę.

- Masz jakieś pojęcie, jak daleko jest źródło tego czegoś?

- Przykro mi, ale tak naprawdę nie wiem nawet, czy to źródło rzeczywiście istnieje. To mogą być samoistne zakłócenia, tylko jakoś nie mogę w to uwierzyć.

- No to sprawdźmy, czy faktycznie jest w okolicy coś, co jest powodem twojego niepokoju - zdecydował Atcheson. - Uruchom aktywny system i rozejrzyj się.

- Jasne - ucieszył się Lewiston i włączył aktywny radar samolotu.

Obiekty były za daleko nawet jak na możliwości sprzętu pokładowego, toteż nic nie zobaczył, bo impulsy radarowe nie miały dość energii, by wrócić po dotarciu do nich. Ale dotarły i wywołały reakcję, jakiej nikt się nie spodziewał...

Trzy minuty i czterdzieści dwie sekundy później rakietą z głowicą nuklearną o mocy 50 kiloton zmieniła samolot wraz z całą załogą w ognistą kulę.

* * *

- Co do kurwy...?! - zaczął O'Donnel na widok jaskrawego rozbłysku daleko przed myśliwcem.

- Ktoś musiał oświetlić prom aktywnymi sensorami - poinformowała go spokojnie Leonowna. - To był *ARAD*.

- Co?! Na co się naprowadził, jeśli oni nie mają szerokopasmowych sensorów?!

- Pojęcia nie mam - przyznała, koncentrując się na pilotowaniu.

* * *

- Jezu! - zagrzemiał wręcz w głośniku głos pilota *Tomcata*. - *Home Plate*, tu *Hawk Jeden*, właśnie mieliśmy eksplozję nuklearną... Powtarzam: eksplozja nuklearna w powietrzu... kierunek 2-7-5 w stosunku do was, odległość 2-8-0 mil!

- Co on gada? - zdziwił się komandor Bret Hanfield, pierwszy oficer *Roosevelta*, który właśnie stanął w drzwiach pomieszczenia kontroli lotów.

- Mówi, że to był wybuch nuklearny, powietrzny - poinformował go spokojnie Staunton, próbując zachować spokój wewnętrzny i zrozumieć, co się dzieje.

- Nie możemy wywołać *Spyglass*, sir - zameldował dyżurny oficer.

Staunton spojrzał na niego przez ramię bez cienia zaskoczenia - kurs i odległość podane przez pilota *Tomcata* za bardzo pasowały do pozycji *Hawkeya*. Tyle że jego mózg jeszcze nie nadążał z ogarnianiem konsekwencji.

- Centrala do komandora Hanfielda - zameldował dyżurny podoficer łączności, podając mu słuchawkę.

Hanfield odebrał ją i rzekł:

- Tu pierwszy... - W miarę jak słuchał, oczy coraz bardziej mu się zwięzały i coraz bardziej czerwieniał. - Dziękuję. Potwierdzenie z *Antietam*.

Ostatnie zdanie skierowane było do Stauntona. Na pokładzie USS *Antietam*, krążownika przeciwlotniczego klasy *Aegis* wyposażonego w najnowsze systemy wykrywania, naprowadzania i niszczenia celów powietrznych, znajdował się oficer taktyczny 23. Zespołu Uderzeniowego.

- Mostek, tu pierwszy. - Hanfield ponownie uniósł słuchawkę. - Harry? Mamy potwierdzony wybuch nuklearny trzysta mil przed dziobem. Ogłoś alarm bojowy i ustal poziom na I-AAW. A potem złap kapitana i powiedz mu, co się dzieje. Ja idę na mostek.

Moment później wszystkie pomieszczenia lotniskowca wypełnił dźwięk klaksonów ogłaszających alarm bojowy i spokojny głos wachtowego pomocnika bosmańskiego:

- Alarm bojowy. Wszyscy na stanowiska obrony przeciwlotniczej. Powtarzam: przeciwlotniczy alarm bojowy! To nie są ćwiczenia!

* * *

Dowódca eskorty był wściekły jak nigdy dotąd. Natychmiast zorientował się, co zaszło. Jego tchórzliwi i przesadnie ostrożni twórcy nie wyposażyli promu w żadne uzbrojenie zaczepne, po to w końcu była eskorta, za to wypakowali go wszystkimi rodzajami uzbrojenia obronnego, jakie im tylko do łbów przyszło. Jego sensory także wykryły prymitywne promieniowanie wysyłane przez ten zniszczony samolot, tyle że go nie rozpoznały, bo nikt od ponad dwóch stuleci nie używał jednowymiarowych sensorów radiowych. Ale *Shirmaksu* nigdy nie zapominali czegoś, co im kiedykolwiek zagroziło, toteż jakiś wywodzący się ze starożytności system bezpieczeństwa w komputerze pokładowym zareagował i w efekcie nowoczesna rakiet samonaprowadzająca na źródło emisji została zmarnowana, by zniszczyć przedpotopowy śmigłowy samolot niestanowiący najmniejszego zagrożenia!

Rozwścieczyło go nie zniszczenie samolotu, tylko marnotrawstwo i brak uzbrojenia ofensywnego promu, które teraz bardzo by się przydało, bo *cralkhi* realizował plan, który mógł się powieść. Chciał ich wyprzedzić i w locie zbliżeniowym od czoła zaatakować z użyciem broni nuklearnej. Plan był ryzykowny i miał niewielkie szanse na sukces, ale w atmosferze ludzi napęd zyskiwał na skuteczności, a maszyna na manewrowości. Jego myśliwiec nie mógł w gęstniejącym powietrzu rozwinąć prędkości większej niż 11 000 km/h. Ludzki mógl.

Naturalnie by to zrobić, *cralkhi* musiał przelecieć obok niego i jego skrzydłowego...

Ponownie więc włączył systemy celowania myśliwca.

* * *

- Kapitan na mostku! - rozległo się, gdy kapitan Everett Jansen przekroczył próg.

Oczy miał jeszcze zaczerwienione od snu, ale spojrzenie jak najbardziej przytomne. Hanfield już otwierał usta, by zameldować, ale powstrzymał go ruchem głowy i wybrał numer Centrum na konsoli interkomu.

- Tu kapitan, jaka sytuacja? - spytał, ledwie zgłosił się oficer dyżurny. - Rozumiem. Dobrze, pierwszy, przejąłem ster.

- Aye, aye sir. - Komandor Hanfield nawet nie próbował ukryć ulgi.

* * *

- Dwóch kolejnych bandytów! - zameldował O'Donnel. - Wysokość tysiąc sto metrów, odległość osiemset czterdzieści dwa kilometry, prędkość zbliżeniowa czternaście tysięcy kilometrów na godzinę.

- Co?! - Leonowna przyjrzała się niechętnie celom. - Zapomnij o nich, to samoloty ziemskie. Wojskowe, jeśli rozwijają taką prędkość.

Nigdy nie sądziła, że jej historyczne zainteresowania znajdą jakieś praktyczne zastosowanie, a tu proszę...

* * *

- *Home Plate*, tu *Hawk Jeden*, włączamy dopalacze.

Meldunek zbiegł się ze startem dyżurnej pary *F-14* z katapult lotniskowca. Majestatyczne samoloty o zmiennej geometrii skrzydeł dawno już powinny zostać zastąpione przez nowsze konstrukcje, ale cięcia w budżecie wojskowym w ostatnich latach postawiły wszystko na głowie. Badania uległy opóźnieniu, produkcja została wstrzymana i w ten sposób *Tomcaty* uzbrojone w równie wiekowe *Phoeniksy* nadal były najlepszymi maszynami przechwytyjącymi dalekiego zasięgu na świecie. I dlatego marynarka amerykańska tak heroicznie walczyła, by pozostawały w jak najlepszym stanie. Skoro bowiem lotniska przez nie używane miały przykrą skłonność do tonięcia po trafieniu, bezpieczniej było, by broniły ich, jeśli już nie najnowocześniejsze, to najskuteczniejsze myśliwce. Na stanowiska startowe podciągano już dyżurną parę *F-18*, ale wątpił, czy zdołają wystartować na czas, by odegrać jakąś istotną rolę. To, co się do nich zbliżało, nadal rozwijało prędkość ponad 11000 km/h, gdy wyszło z zasięgu systemu wczesnego ostrzegania floty.

- *Hawk Dwa*, tu *Hawk Jeden* - rozległ się głos prowadzącego. - Włącz radar.

- Potwierdzam *Hawk Jeden*, radar aktywny.

Znajdujące się dwieście mil przed okrętami *Tomcaty* włączyły radary typu *AWG-9*, poszukując celu, który zniszczył *Hawkeya E-2D* o kryptonimie radiowym *Spyglass*.

- Rakiety! - zameldował *Hawk Jeden*. - Nadlatują wrogie rakiety! To kurewstwo osiąga prawie dwanaście tysięcy węzłów!

Staunton spojrział z niedowierzaniem na oficera wachtowego.

* * *

- Prom wystrzelił następne dwa *ARAD-y!* - zameldował O'Donnel.

- Biedne sukinsyny! - westchnęła cicho Leonowna.

* * *

- *Fox Jeden!* - warknął *Hawk Jeden*. - *Fox Jeden!* Cztery poszły!

Prowadzący *Tomcat* odpalił cztery rakiety typu *AIM-54 Phoenix*, a skrzydłowy chwilę później jeszcze dwie. Rozwijające prędkość 5 machów pociski miały największy zasięg ze wszystkich rakiet powietrze-powietrze używanych na świecie i opracowano je do przechwytywania niewielkich pocisków samosterujących w najtrudniejszych warunkach, czyli w locie zbliżeniowym z dużej odległości. Wystrzelone przez Kangi rakiety były większe od samolotu *F-14 Tomcat*, ale nie były to pociski manewrujące. Miały operować w próżni, nie w atmosferze, i wyposażono je w najnowsze środki wojny radioelektronicznej, całkowicie nieprzydatne w stosunku do prymitywnego radaru. Poza tym żaden ECM nie był w stanie ukryć potężnego źródła ciepła, jakie stanowiła taka rakietka lecąca z taką prędkością przez atmosferę.

* * *

Dowódca eskorty wytrzeszczyłby oczy, gdyby je miał, bo to, co się wydarzyło, było niemożliwe!

* * *

- Zniszczyli oba *ARAD-y!* - wrzasnął zdumiony Anwar.

Pułkownik Leonowna, wytrzeszczyła oczy.

A potem rozszerzyła pole, na którym skupiała uwagę, i zaczęła analizować napływające informacje. Po chwili uśmiechnęła się złośliwie, gdy zobaczyła, do jakich to zabytkowych

okrętów się zbliżają.

* * *

- Obie rakiety zniszczone! - oznajmił uradowany *Hawk Jeden*, a po sekundzie dodał poważniej: - *Home Plate*, mam na radarze pięciu... nie, sześciu zbliżających się bandytów. Dużych bandytów. Odległość 3-9-8, prędkość 5-4-6 węzłów, kurs prosto na was!

* * *

- Panie admirale. - Głos kapitana Jamesa Mouldera mającego stanowisko w centrali bojowej USS *Antietam* był zaskakująco spokojny. - Mamy potwierdzenie użycia broni nuklearnej przeciwko *Hawkeye'owi* i ostrzelania naszych *P-14*. Proszę o zezwolenie na użycie broni.

Dłoń admirała Carsona zaciśnięta na słuchawce aż pobieliała. Napastnicy pokonywali ponad dwa i pół kilometra w sekundę, a więc dotrą do jego okrętów za cztery minuty, a biorąc pod uwagę zasięg i prędkość rakiet, których użyli, oznaczało to, że już mieli jego zespół w zasięgu.

- Zezwalam!

- Do wszystkich, alarm przeciwlotniczy poziom *Red!* Namiar zagrożenia 3-5-2. Zezwolenie na otwarcie ognia. Powtarzam: alarm *Red*, można użyć broni! - Głos oficera taktycznego był prawie mechaniczny.

A w następnej sekundzie na okrętach ożyły systemy namierzające i celownicze wszystkich rodzajów uzbrojenia przeciwlotniczego i antyrakietowego.

* * *

Leonowna zobaczyła, jak okręty przed nią i w dole rozświetlają się sygnałami radarowymi, i poczuła dziwną mieszaninę przerażenia i podniecenia. Jako historyk wojskowości w przeciwieństwie do *Kangi* i *Trolli* wiedziała, nad czym przeleca. Natomiast nie bardzo się orientowała, na ile ówczesne rakiety przeciwlotnicze poradzą sobie z nowoczesnymi pojazdami. Wydawało się jej mało prawdopodobne, by powolne i uzbrojone jedynie w głowice z chemicznymi materiałami wybuchowymi rakiety były zdolne zniszczyć prom, no ale zestrzelenia *ARAD-ów* także nie brała pod uwagę.

Zdecydowała się zaryzykować i zmieniła kurs, przerywając pościg.

* * *

Dowódca eskorty natychmiast zauważył ten manewr i próbował zrozumieć jego znaczenie. Nie był w stanie, ale miał dziwną i nieuzasadnioną danymi pewnością, że coś jest poważnie nie w porządku...

* * *

- Są! - mruknął ktoś w centrali *Antietam*.

Nikt nie mógł do końca uwierzyć w to, co widzi, ale też nikt nie tracił czasu na zaprzeczanie świadectwu własnych oczu.

* * *

Prom miał na wyposażeniu jeszcze tylko dwie rakiety typu *ARAD* i odpalił obie, wybierając za cele najbliższe źródła zagrożenia.

* * *

- Wampir! Wampir! - w radio rozległy się ostrzeżenia, ledwie wrogie pociski ustabilizowały lot.

Będące ich celami niszczyciele eskorty *Arleigh Burke* i *Kidd* położyły się w ostre zwroty, by dać wolne pole ostrzału swoim *Phalanxom Mk14*, równocześnie z maksymalną szybkością odpalając rakiety *RIM-66* i *RIM-67* ku nadlatującym z prędkością ponad 19 000 km/h *ARAD-om*.

* * *

Dowódca eskorty skrzywił się, widząc ilość wystrzeliwanych przez okręty rakiet. Teraz zrozumiał manewr *cralkhi* - rakiety mogły być prymitywne, ale mając całą moc przekierowaną na napędy, niepotrzebne były głowice nuklearne, by uszkodzić prom. Próbował ostrzec swoich panów, gdy zauważył, że *cralkhi* ponownie zmienił kurs, omijając szerokim łukiem obie zbliżające się do siebie formacje.

* * *

Rakietę przeznaczoną dla USS *Arleigh Burke* trafiły trzy antyrakiety, co wystarczyło do wytrącenia jej z toru lotu i posłania w głąbiny w kawałkach. Druga nie została trafiona, a ściana ognia z systemu *Phalanx*, czyli ze sprzężonych wielolufowych działek *Gatling* sterowanych radarem i wystrzeliwujących naboje kal. 20 mm, stanęła na jej drodze zbyt późno, jako że nie opracowano tego systemu z myślą o zwalczaniu tak szybko lecących

celów. W efekcie USS *Kidd* zniknął w ogniu nuklearnej eksplozji wraz z całą załogą.

Sekundę wcześniej jednak z jego wyrzutni, podobnie jak z wyrzutni wszystkich okrętów 23. Zespołu Uderzeniowego, zaczęły startować rakiety przeciwlotnicze koordynowane przez krążowniki *Antietom* i *Champlain* (także typu *Aegis*). Fakt, że nie były przystosowane do przechwytywania celów lecących z prędkością ponad 9500 km/h, ale cele te nie manewrowały i nie miały żadnych ECM-ów. To znaczy miały, tyle że przeznaczone do ogłupiania głowic samonaprowadzających, o jakich istnieniu nikt nawet jeszcze nie myślał nie tylko w US Navy, ale na całej Ziemi.

No i okręty 23. Zespołu Uderzeniowego zdążyły tych rakiet wystrzelić ponad 300.

* * *

Leonowna obserwowała rozwój wydarzeń z rosnącą nadzieją. Rakiety były powolne, ale odległość mała, a cele wielkie i lecące idealnie prosto. No i rakiet było naprawdę dużo. Wstrzymała oddech, gdy dotarły do celów...

* * *

Dowódca eskorty próbował zwiększyć wysokość, by wyjść z zasięgu tych prymitywnych pocisków, ale rozpoczął manewr zbyt późno i znajdował się zbyt nisko, by się udało. Rakiety były prymitywne i miały niewielką siłę niszczenia w porównaniu z nowoczesnymi, ale tylko prom miał obronę antyrakietową, a pocisków było dużo.

Dlatego bezradnie patrzył, jak jego maszyny kolejno zostają trafione. Pojedyncze trafienie było zbyt słabe, by zniszczyć myśliwiec, ale ilość to swoista jakość, jeśli jest wystarczająco liczna. Napęd numeru 2 przestał działać po piątym z kolei trafieniu i dzieła zniszczenia dokonały kolejne rakiety oraz siła tarcia o atmosferę, rozrywając maszynę na drobne kawałki. Numer 3 po kolejnym trafieniu zmienił się w ognistą kulę, a numer 5 z uszkodzonym napędem musiał poważnie zmniejszyć prędkość i został z tyłu. W prom, mimo użycia przez niego wszystkich aktywnych środków obrony antyrakietowej, uderzyło ponad tuzin rakiet.

Jedynym, który wyszedł bez szwanku, był dowódca eskorty, bo jako pierwszy zareagował, dzięki czemu pozostałe maszyny zasłoniły go przed głowicami samonaprowadzającymi prymitywnych rakiet. Teraz przepełniała go wściekłość i skierował się w dół, by zniszczyć prymitywy, które okazały się tak groźne, ale nim zdążył odpalić choć jedną rakietę, nadeszło wezwanie ze strony *Shirmaksu*, i to tak silne, że musiał go natychmiast posłuchać.

Ponownie zmienił kurs i ruszył z pełną mocą, by dołączyć do uszkodzonego promu.

* * *

Radosny wrzask Anwara, jakiego nie powstydziliby się prawdziwy *banshee*, aż świdrował w uszach, ale Ludmilla nie miała mu tego za złe. Jej obawy, że prom zostanie uszkodzony, ale niezniszczony, nie sprawdziły się - został poważnie uszkodzony i wystrzelił prawie wszystkie antyrakiety. A jego eskorta została zredukowana o ponad połowę. A jedyny nieuszkodzony *Troll* najwyraźniej zamierzał ostrzelać okręty, bo zniżył lot, mimo iż powolniejszy, bo uszkodzony, prom i równie uszkodzony, a towarzyszący mu drugi *Troll* nadal zwiększały wysokość.

W ten sposób zyskała okazję, na którą czekała.

Napęd *Sputnika 2* zawył z pełną mocą i maszyna pomknęła przez nocne niebo niczym wysłannik śmierci. Wśliznęła się pomiędzy nieuszkodzonego *Trolla* a pozostałe dwie maszyny i odpaliła ostatnią rakietę typu *Skeet*. Uszkodzony *Troll* nie miał szansy na obronę i zginął w ognistej eksplozji.

A Leonowna z pełnym mściwej satysfakcji uśmiechem wzięła w namiar prom. Wiedziała, że nic nie zdoła go uratować, nawet zachodzący ją od tyłu ostatni *Troll*. Zablokowała namiar i odpaliła ostatnią rakietę.

A potem natychmiast wykonała dziki unik, bo *Troll* wystrzelił sekundę później.

* * *

- Co jest, do kurwy nędzy?! - zdumiał się Moulders, głośno wyrażając odczucia wszystkich, gdy kolejny, znacznie potężniejszy rozbłysk rozdarł noc jakież 60 tysięcy metrów nad Atlantykiem.

W następnym momencie olbrzymi impuls elektromagnetyczny dotarł do okrętów, niszcząc nawet „zabezpieczone” przed atakiem EMP systemy. Radary i radiostacje przestały działać, gdyż nikt ich nie zabezpieczył przed skutkami detonacji głowicy o mocy 500 megaton. A w takie właśnie głowice standardowo wyposażone były rakiety przeznaczone do niszczenia superdreadnoughtów klasy *Ogre*.

Po promie, w który trafiła, nie pozostał żaden ślad.

Oślepiający blask nuklearnej eksplozji oświetlił wszystkie okręty wraz ze sporym kawałkiem morza wokół, powodując ślepotę u każdego, kto spoglądał w niebo, a czujniki promieniowania na pokładach dostały szału. Imponująca kula ognista jeszcze nie zniknęła, gdy w pewnej odległości wybuchła nowa, znacznie mniejsza, a po chwili wysoko na

horyzoncie pojawił się łańcuszek jeszcze słabszych rozbłysków. Oczywiście było, że ktoś do kogoś strzela, i to nie okręty 23. Zespołu Uderzeniowego są celem, ale na tym kończyła się ich wiedza.

A potem do okrętów dotarła fala uderzeniowa pierwszej eksplozji i nikt nie miał głowy, by myśleć o takich abstrakcyjnych problemach.

* * *

- Zniszczony! Rozwaliliśmy gnoja!... - tyle tylko zdążył powiedzieć Anwar O'Donnel, gdy wroga rakietę przebiła się przez jego ECM-y i dopadła wściekle manewrujący myśliwiec.

Zadziałał zapalnik zbliżeniowy i detonowała, nie docierając do kadłuba.

Nie musiała. Leonowna poczuła potężne uderzenie i wiedziała, że *Sputnik 2* został śmiertelnie uszkodzony. Kabinę wypełnił dym, a sprzęg - informacje o zniszczeniach i ostrzeżenia o awariach.

Mimo to nie zrezygnowała z walki, kładąc maszynę w ciasny skręt, by choć raz ostrzelać *Trolla* z działka...

* * *

Dowódca eskorty śledził uszkodzonego przeciwnika, bez trudu utrzymując pozycję za jego ogonem. To była jego ostatnia rakietę, ale warto było. Przeklęty *cralkhi* umierał wraz ze swoją maszyną i to poczucie zimnej zemsty było naprawdę miłe, gdy patrzył na jego patetyczne, skazane na fiasko próby wzięcia go na cel.

Począł, aż *cralkhi* osiągnie 170 tysięcy metrów, po czym wpakował w kadłub jego myśliwca długą serię z pokładowych działek.

I z jeszcze większą satysfakcją obserwował, jak rozstrzelone szczątki myśliwca zaczynają spadać ku czekającej cierpliwie 150 km niżej powierzchni wody.

Rozdział V

Komodor Richard Aston z US Navy, krótko przed emeryturą, siedział sobie wygodnie i przyglądał się samosterowi *Amandy* przy pracy. Rześki zachodni wiatr popychał pięćdziesięciostopowy kecz w spokojną, cichą noc. Choć według Astona noce na żaglowych łodziach na środku Oceanu Atlantyckiego nigdy nie były do końca spokojne. Spod pokładu łagodnie pomrukiwało radio, bo niespodziewanie zatęsknił o zmierzchu za głosami innych ludzi. Nocny ocean przemawiał doń po swojemu - wiatr szeptał, łódź poskrzypywała i pomrukiwała, a odgłosy wody były wszechobecne - od szumu fali dziobowej do bulgotania falwateru.

Fajka mu zgasła, ale uznał, że nie zejdzie po tytoń, bo było mu zbyt wygodnie, by zmieniać w czyn leniwą myśl o ruchu.

Samotne przepłynięcie Atlantyku nie było zajęciem dla leniwych, a ostatni tydzień porządnie dał mu się we znaki - wiatr i fale stały się naprawdę groźne, ale *Amanda* miała duży, dobrze obciążony kil, toteż mimo wysokich masztów niełatwo traciła stateczność. A potem wiatr się wywiał, morze uspokoiło i przynajmniej chwilowo przybrało maskę łagodności.

Bo to była maska i kłamstwo, o czym doskonale wiedział. Była to gra, w którą ocean czasami grał. Udawał łagodność, by uspić czujność niedoświadczonej ofiary. Ale i tak go kochał - po części dlatego, że przejrzał jego grę i przyjął jej reguły.

Oslonił dłonią oczy i spojrzał w rozgwieżdżone niebo. Gwiazdy były tutaj, z dala od zanieczyszczeń i blasku miast, niewiarygodnie wyraźne. To było coś, co także lubił w samotnym żeglowaniu - piękno nocnego nieba. Nie mógł się do tego przyznać żadnemu z kolegów po fachu, bo podobne romantyzmy w ustach kogoś, komu urody i młodości raczej nie można było zarzucić, poobijanemu przez życie, wywołałyby drwiny.

Opuścił dłoń i spojrzał odruchowo na rozstawiony reflektor radaru. Będąc na morzu, wolał spać w dzień, a czuwać w nocy, bo od upowszechnienia radaru załogi statków nie tylko tanich bander stały się leniwe i po zmierzchu często nie wystawiały obserwatorów. A on ufał technice na tyle tylko, na ile musiał, i wiedział, że choć radar to pożyteczny wynalazek, a reflektor wysoce użyteczny, bo zwiększa echo odbicia, to żeby całość funkcjonowała, radar musi działać. A w ciągu dnia obserwatorzy co jak co, ale czerwone żagle zauważą. Dlatego w

nocy wolał mieć pewność, że dostrzeże każdego wcześniej, niż ktokolwiek dojrzy jego. No i były jeszcze gwiazdy...

Ponownie spojrzął w górę i zamarł.

Lewą ręką sięgnął na oślep do szafki po lornetkę, która tam zawsze była, nie spuszczając jednak ani na moment wzroku z jasnych smug przecinających nocne niebo. Wyglądało na to, że spadają, i przez moment sądził, że to meteory, ale zaraz przestał, bo nie słyszał nigdy o meteorach raptownie zmieniających kurs.

Przyłożył lornetkę do oczu, z wprawą rekompensując ruchy łodzi, by nie stracić z oczu owych anomalii, ale na nic się to nie zdało - były zbyt daleko, by mógł zobaczyć cokolwiek poza pozostawionymi przez nie śladami w atmosferze. I musiały być diabelnie wysoko, skoro w ogóle widział je z takiej odległości.

Wydawały się zmierzać w jego kierunku, lecz równocześnie szybko opadały za południowy horyzont i wyglądało na to, że uderzą w ziemię na długo... Dalsze rozważania przerwało mu nagłe oddzielenie się od jednego z nich iskierki, która natychmiast rozpoczęła dzikie płąsy, które nie mogły być przypadkowym lotem naturalnego ciała niebieskiego. Te bowiem tak się po prostu nie zachowywały.

To, co oglądał, kojarzyło mu się tylko z jedną rzeczą - z unikami.

W tym momencie jeden z obiektów zawrócił nagle i skierował się ku isierce, a inny wypuścił w jego kierunku dwie mniejsze smugi światła... tuż przed tym, nim ten posłał kilka w stronę iskierki.

Zamrugał gwałtownie, bo od tych wszystkich uników i lśniących smug zaczęły mu latać mroczki przed oczyma. I przypomniał sobie pewien słoneczny dzień 1973 roku, gdy jako podporucznik znalazł się na Synaju w roli obserwatora przydzielonego do wojsk izraelskich. Miał wtedy okazję zobaczyć walkę dużej liczby myśliwców egipskich z izraelskimi i dobrze pamiętał kręcone przez nie na niebie smugi i ślady odpalanych rakiet oraz bezgłośnie eksplozje, gdy odrzutowce po trafieniu zmieniały się w ogniste kule lub waliły ku ziemi, ciągnąc warkocze czarnego dymu. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że teraz również obserwuje walkę powietrzną, tylko z wykorzystaniem znacznie bardziej zaawansowanej techniki.

Miał oczywiście świadomość, że nikt na świecie nie posiada maszyn, które mogłyby tak daleko od brzegu wyczyniać podobne ewolucje jak te, na które patrzył. I dlatego wstrzymał oddech, czekając na finał. Nie musiał czekać długo - ten, który zawrócił, zniknął w ognistej eksplozji, gdy dotarły doń dwie smugi, a zaraz potem jego smugi dogoniły iskierkę, która też zmieniła się w jaskrawą eksplozję. Pozostałe obiekty leciały poprzednim kursem i coraz niżej.

Nie wiedział, jaką rozwijają prędkość, ale żeby rozgrzewać atmosferę do tego stopnia, by zostawiać świecący ślad, musiały rozwijać naprawdę dużą.

Opuścił lornetkę dopiero, gdy zasłoniła je krzywizna horyzontu, i uśmiechnął się krzywo. To się dopiero nazywa wyobraźnia - tańczące światła i walczące ze sobą UFO. Jeszcze Flasha Gordona czy innych obcych brakowało do kompletu. Musiało istnieć sensowne wyjaśnienie, a to, że go nie znał...

Południowy horyzont rozjarzył się nagle blaskiem, przerywając jego rozważania i podrywając go na nogi. Blask odbijał się od powierzchni wody i był niezwykle jaskrawy mimo dużej odległości. Widział w życiu wiele różnych wybuchów, ale takiego nigdy...

Odruchowo odwrócił wzrok, czekając na coś, choć sam nie wiedział na co. Doczekał się kolejnego rozbłysku, choć słabszego i za horyzontem, bo dostrzegł tylko jego odbicie w chmurach, a chwilę później znów ujrzał świetliste ślady. Ale teraz były tylko trzy i mknęły w górę niczym rakiety. Po sekundzie dołączył do nich czwarty, a zaraz potem kolejny raz coś błysnęło i znów zostały tylko trzy. Leciały wściekłą spiralą ku niemu, nadal zwiększając prędkość, i ponownie z jednej wystrzelił drobniejszy promień, a z ostatniego inny...

Instynkt kazał mu przysłonić oczy dłońmi tuż przed potężnym rozbłyskiem, najsilniejszym ze wszystkich dotąd. Blask oślepił go mimo zaciśniętych powiek i dłoni przed oczyma i mózg stanął mu dęba z wrażenia - to musiała być eksplozja nuklearna, nic innego. Całe szczęście, że doszło do niej wysoko, ale wołał nie myśleć o wywołanym przez nią opadzie radioaktywnym i fali uderzeniowej. Wiatr co prawda wiał z północnego zachodu, najgorzej oberwie więc...

Rozmyślenia przerwał mu kolejny rozbłysk - albo był słabszy, albo jego wzrok przestał reagować tak gwałtownie.

Gdy pociemniało, odważył się otworzyć oczy - zostały już tylko dwa świetliste ślady, nadal nabierające wysokości. Prowadzący zrobił coś, co można by uznać za pół pętli, a ścigający zbliżył się i zamigotał serią niebieskich rozbłysków... Prowadzący załamał lot i zaczął opadać.

A raczej spadać, bo Aston miał dziwną pewność, że właśnie obserwuje walkę kołową i strącenie jednego z jej uczestników, walącego się teraz prosto do morza. I prosto na niego.

A on nie mógł nic zrobić. Powstrzymał głupi odruch padnięcia plackiem na pokład. Jeśli zwycięzca zdecyduje się użyć kolejnego ładunku nuklearnego, i tak mu to nie pomoże. Ten jednak towarzyszył ofierze tylko przez kilka sekund, po czym zmienił kurs i odleciał na południowy zachód.

Dick odetchnął z ulgą, gdy największe zagrożenie minęło. Drugie się zbliżało, bo

strącony nadal spadał, i to w jego kierunku, gubiąc po drodze rozmaite szczątki i fragmenty. Dotarły doń jakieś grzmoty i dopiero po chwili uświadomił sobie, że były to odgłosy wybuchów. Gdyby policzył, ile czasu dzieliło je od rozbłysków, miałby wyobrażenie odległości, ale myśl ta przyszła za późno, by dała się zrealizować.

Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, jak wielki jest spadający obiekt. Było nieprawdopodobne, by trafił akurat w *Amandę*, mając tyle wolnej przestrzeni wokół, ale falę uderzeniową wywoła imponującą. Ta świadomość pchnęła go do działania - skoczył do koła sterowego i odłączył samoster, odruchowo sprawdzając kierunek wiatru i delikatnie zmieniając kurs tak, by miejsce upadku tajemniczego przedmiotu mieć przed dziobem. Na wszelki wypadek.

W tym momencie obiekt eksplodował, rozsiewając na wszystkie strony zaskakująco drobne szczątki, i zmienił się w błękitną gwiazdę. Szczątki płonęły w atmosferze, gwiazda nie, i dopiero po chwili zorientował się, dlaczego nie spadała, lecz opadała o wiele wolniej. Nie ciągnęła za sobą ognistej smugi, za to pulsowała słabo, kojarząc mu się z ginącym robaczkiem świętojańskim...

Nie mógł oderwać od niego wzroku i po dłuższej chwili z trudem przełknął ślinę - tym razem to nie było złudzenie. Zmienił kurs, kierując się ku niemu. Najwyraźniej była to kapsuła ratunkowa z pilotem lub załogą zestrzelonej maszyny.

Nagle zrobiło mu się zimno i z najwyższym trudem powstrzymał się, by nie zawrócić. Kapsuła na pewno była szybsza, ucieczka nie mogła się więc udać... a poza tym zawsze był ciekawski. Doskonale rozumiał pewną mangustę uwiecznioną przez Kiplinga, czego zresztą parokrotnie omal nie przypłacił życiem.

Z tego, że się ruszył, zdał sobie sprawę dopiero, gdy zaczął zwijać żagle i łódź zwolniła, jako że proces był częściowo zautomatyzowany, a on miał na dodatek dużą wprawę. Pracował niejako na oślep, nie spuszczał bowiem wzroku z kapsuły. Ta stawała się coraz większa, ale do pulsowania doszło też dziwne, wysokie buczenie, które zdawało się słabnąć, gdy blask przygasał. Najwyraźniej została uszkodzona i nie funkcjonowała w pełni tak, jak powinna.

Gdy zwinął żagle, uruchomił silnik, bo *Amanda* była weń profilaktycznie wyposażona. Zimny diesel wpierv parsknął, potem zaskoczył i nie kaprysił - przegląd przed wypłynięciem właśnie zaprocentował. Poczekał chwilę, aż się rozgrzeje, i w tym momencie przypomniało mu się coś jeszcze. Dosłownie skoczył pod pokład i z szafki przy łóżku wyciągnął wypróbowany argument - *Colta Model 1911A1*. Podobnie jak wielu weteranów Sił Specjalnych nie żywił zbytniego zaufania do skuteczności pocisków kal. 9 mm i to mimo iż

amerykańskie siły zbrojne zdecydowały się je wprowadzić naprawdę dawno temu. Mając broń kalibru . 45, był pewien, że raz trafiony przeciwnik przestanie być groźny, toteż ponad dziesięć lat temu postarał się o nieprzerabiany oryginał. Teraz jedynie przeładował broń, wprowadzając nabój do lufy, i wsunął pistolet za pasek spodni na plecach, gdzie zasłaniała go koszula. Może było to głupie, ale znajomy ciężar wyraźnie go uspokajał.

Biegiem wrócił na pokład - silnik mrucał, a kapsuła była znacznie bliżej. Wyprostował odruchowo ramiona i włączył śrubę, po czym skierował łódź ku przewidywanemu miejscu upadku. Nie żeby przestał się bać, ale strach był już pod kontrolą. Teraz mógł powitać gości na różne sposoby, a tylko od nich zależało, który wybierze.

Wycie stało się nieregularne, pulsowanie słabsze, a kapsuła była oddalona o jakieś 300 metrów od łodzi i 40 od powierzchni, gdy niespodziewanie ucichła i zgasła. Wydawało mu się, że przez moment unosiła się w miejscu, ale nie był tego pewien w nagłych ciemnościach.

A potem kapsuła opadła.

Wywołała fontannę piany i zanurzyła się głęboko, ale zaraz wypłynęła na powierzchnię. Nowa fala zakotłosała *Amandą*, a Dick mógł pierwszy raz ocenić rzeczywistą wielkość kapsuły - wyszło mu, że ma z 10 metrów średnicy. Podpłynął do niej ostrożnie, czując takie samo podniecenie jak przed skokiem czy rozpoczęciem walki. Czekał na jakiś objaw życia, choć nie miał pojęcia jaki. Co prawda był namiętym czytelnikiem fantastyki naukowej, ale jakoś tak wszystko, co przeczytał o pierwszym kontakcie, chwilowo wyparowało mu z głowy...

Ponieważ nic się nie wydarzyło, przyjrzał się kuli dokładniej. Nie unosiła się na powierzchni i nie obracała tak, jak powinna; zachowywała się podobnie do łodzi wyposażonej w dryfkotwę - może zresztą miała podobne urządzenie na wypadek wodowania.

Skoro była to kapsuła ratunkowa z zestrzelonego pojazdu latającego, istniało spore prawdopodobieństwo, że pilot lub załoga są nieprzytomni, ranni, a nawet martwi. System ratunkowy zadziałał automatycznie, ale jego program dobiegł końca. Teraz należało wykazać inicjatywę i znaleźć sposób dostania się do środka... Pomysł niespecjalnie mu się podobał, ale był jedynym sensownym, który przyszedł mu do głowy.

W pobliżu szczytu kuli znajdował się spłaszczony obszar, ku któremu prowadził rząd czegoś, co wyglądało na uchwyty. Przygryzł wargę i sprawdził, czy lina bezpieczeństwa, którą wiązał się do pokładu zawsze, gdy na nim przebywał, jest wystarczająco długa. Przełączył silnik na bieg jałowy i gdy tylko rufa znalazła się blisko kuli, wziął w dłoń rufową cumę, po czym zebrał się w sobie i skoczył. Od kuli dzieliły go trzy stopy wody, toteż skok nie był trudny, a uchwyt, za który odruchowo złapał, zaskakująco wygodny. Może za szybko

wyciągał wnioski, ale miał wrażenie, że ukształtowano go z myślą o bardzo podobnej budowie dłoni. Cumę przywiązał do niego i sięgnął ku następnemu uchwytnemu - odległość była w sam raz dla człowieka, więc niczym małpa wspiął się na płaski obszar.

Nawet się nie zasapał; korzystał już z gorzej zaprojektowanych drabin. Miał przed sobą włącz, bo nie mogło to być nic innego, i to zaopatrzone w dźwignię do ręcznego otwierania oświetloną delikatnym seledynowym blaskiem. Nim instynkt samozachowawczy zdążył zadziałać, złapał ją i przekręcił. Nie stawiała oporu, tylko wewnątrz coś zahuczało.

I przez moment była to jedyna reakcja.

A potem włącz otworzył się do wewnątrz tak nagle, że omal nie wpadł do środka wraz z nim. Ledwie zdążył złapać się oburącz krawędzi. Rozejrzył się po słabo oświetlonym wnętrzu. Wypełniały je dziwnie usytuowane ekrany, kontrolki i zaskakująco mała liczba klawiszy czy przełączników, a na środku znajdowały się dwa fotele, na których spoczywała załoga.

Obie postacie były w srebrzystych skafandrach i czarnych hełmach i wyglądały jak ludzie.

Na dnie znajdowało się kilka centymetrów wody, której poziom wyraźnie się podwyższał. Miał więc rację w obu kwestiach: była to kapsuła ratunkowa i została uszkodzona. Tym bardziej był zaskoczony, iż załoga okazała się humanoidami.

Wnętrze nagle wypełniło znacznie jaśniejsze światło, toteż zdecydował się zeskoczyć do środka. Najprawdopodobniej uruchomiło je otwarcie włączu. Dopiero w tym świetle widać było, że członkowie załogi z walki nie wyszli bez szwanku.

I że mają czerwoną krew tak jak ludzie.

Naturalnie musiał trafić gołębnią na krawędź jakiegoś zatopionego urządzenia - prawa Murphy'ego były wszak wszechobecne. Stojąc do pół łydki w wodzie, zdał sobie sprawę, że znajduje się na burcie, a po skosie ma część górną, która była przezroczysta. Ale tylko od wewnątrz.

Pochylił się nad pierwszą z postaci i od pierwszego rzutu oka wiedział, że nikt już nie zdoła jej pomóc. Spod pękniętego hełmu wyciekał powoli gęsty, czerwono-szary płyn, a skafander w kilku miejscach był poznaczony głębokimi dziurami i przesiąknięty krwią.

Obrócił się do drugiej i z zaskoczeniem dostrzegł bezwzględnie kobiece kształty. Jakoś dotąd nie przyszło mu do głowy, że znajdzie tu kobietę. Na moment go sparaliżowało, ale widok delikatnie unoszących się pod zakrwawioną materią piersi szybko pobudził do działania. Ona przynajmniej jeszcze żyła!

Zaczął delikatnie obmacywać połączenie hełmu ze skafandrem, bo nigdzie nie mógł

dostrzec żadnego przycisku, a przecież musiało się dać je rozłączyć. Wody było jakby więcej, a nadal niczego... dotknął opuszką palca ledwie wyczuwalnego zgrubienia i hełm odskoczył na kilka milimetrów. Odciągnął go i z rąk prawie mu go wyrwał sprężysty kabel, który sprowadził go na miejsce ponad oparciem fotela.

A on zamarł, wpatrując się w bladą, okoloną kasztanowymi włosami twarz o bezsprzecznie ludzkich rysach. Włosy co prawda wyglądały na od dawna nie myte, ale poza tym były najnormalniejsze na świecie. Dotknął ich delikatnie i natychmiast cofnął rękę, gdyż powieki leżącej drgnęły, odsłaniając błękitne oczy, o barwie niemalże indygo, o niezwykle małych źrenicach. Wyszeptała coś, czego nie zrozumiał, a co brzmiało jak „Anwar” albo jakoś tak.

I natychmiast powieki się zamknęły.

Pospiesznie dotknął jej szyi i odetchnął z ulgą, czując puls. Słaby i szybki, ale regularny.

Żyła, choć nie wyglądało na to, że długo pociągnie - widział w życiu dość ciężko rannych, by móc to ocenić szybko i z niewielkim marginesem błędu. Bładość, malutkie źrenice, prawie pozbawione krwi wargi i zalany krwią przód skafandra jednoznacznie świadczyły o bardzo ciężkim stanie.

Uprząż, którą była przypięta do fotela, miała na szczęście klamrę z przyciskiem i gdy go użył, zamek posłusznie puścił. Rozgarnął pasy i obejrzał skafander, ale nigdzie nie dostrzegł zamka czy choćby miejsca łączenia. Na dłuższe oglądanie zresztą nie miał czasu - wyjął z kieszeni wierny i ostry jak brzytwa nóż *Bucka*, otworzył jedną ręką, ostrożnie wsunął pięciocalowe ostrze za materiał na szyi.

I uniósł brew w bezgłośnym zdumieniu, czując opór, jaki stawiał skafander. Pojęcia nie miał, z czego go wykonano, ale był znacznie wytrzymalszy, niż na to wyglądał, i niż wszystko, co Dick dotąd widział. Przycinanie go szło niezwykle wolno. Towarzyszyły mu nieuniknione szarpnięcia, które powodowały cichy jęk kobiety, ale nie przestawał, dopóki nie dotarł do rany. Po drodze odsłaniając jak najbardziej kobiece i bardzo atrakcyjne piersi.

Pod lewą ziała poszarpana dziura, z której sączyła się krew. Pochylił się i skrzywił boleśnie, słysząc cichy świst towarzyszący każdemu oddechowi rannej. Przedziurawione więc było płuco... Dziwił go tak powolny wypływ krwi, ale jej jasnoczerwona barwa nie pozostawiała wątpliwości co do głębokości rany i powagi sytuacji.

Przyglądał się leżącej bezradnie przez długą chwilę - nie mógł jej w żaden sposób pomóc nie dlatego, że nie wiedział, co należy zrobić, ale dlatego że nie miał możliwości. A na łodzi nie było wyposażenia do opatrywania tak poważnie rannych...

Nie wiedział, ile czasu tak stał; do rzeczywistości przywołał go dopiero gwałtowny

przechył kapsuły. Woda sięgała mu do kolan, a kula poruszała się jak coś, co dociera do granic wyporności i wkrótce zatonie. Zaklął z uczuciem i delikatnie położył na ranie chusteczkę, naciągając na nią rozcięty skafander, by jakoś utrzymać na miejscu ten prowizoryczny opatrunek. Miał świadomość, że ruszając ranną, przyspieszy jej zgon, ale i tak umierała, a nie mógł się zdobyć na to, by ją tak po prostu zostawić. Ujął ją delikatnie w klasyczny strażacki chwyt ratunkowy i wspiał się na rozłożony fotel.

Wydostanie się z kapsuły z ranną w objęciach nie było łatwe, ale jakoś tego dokonał.

Na zewnątrz zrobił przerwę na złapanie oddechu i stwierdził, że kapsuła jest teraz znacznie bardziej zanurzona, dzięki czemu przejście na pokład *Amandy* okazało się szybsze i łatwiejsze, niż się spodziewał. Położył ranną na pokładzie tak delikatnie, jak potrafił, i zaklął ponownie, bo przypomniało mu się o cumie, którą zapomniał odwiązać, wracając. Bulgotanie dochodzące zza burty uświadomiło mu, że nie ma czasu do stracenia, ponownie sięgnął więc po nóż i zabrał się do piłowania. Z cumą poszło znacznie łatwiej i gdy ostatnie włókna puściły, usiadł z westchnieniem ulgi.

Zdażył praktycznie w ostatniej chwili - kula rzeczywiście tonęła, ciągnąc za sobą linę. Woda sięgnęła prawie do włazu, a gdy wstał, pierwsza fala przelała się przez niego i wpadła do wnętrza.

Teraz wszystko poszło już szybko i głośno, a gdy kula zniknęła pod falami, zaczęła się też obracać. Mógł to obserwować, bo światło w jej wnętrzu nie zgasło. Powoli słabło i malało, niknąc w głębinach, i przemknęło mu przez myśl, że ludzkość straciła w ten sposób skarbnicę wiedzy i techniki.

Przypomniał sobie o rannej, toteż obrócił się czym prędzej i przyklęknął, z obawą wyciągając dłoń ku jej szyi. Ku swemu zaskoczeniu wyczuł puls, i to jakby silniejszy... Sklął się w duchu za uleganie złudzeniom i delikatnie unióśł ją w ramionach, po czym ostrożnie zniósł jej leżące się, bezwładne ciało pod pokład.

Położył je na zapasowej koi, wyprostował się i gwizdnął, bo pierwszy raz miał okazję spokojnie jej się przyjrzeć. Nie mogła mieć więcej niż 19 lat. Zacisnął pięści z bezsilności. A potem wziął się w garść - nie miał wprawdzie szans jej ocalić, ale to nie znaczyło, że nie może spróbować.

Odchylił rozcięty skafander, wziął głęboki oddech i unióśł przesiąkniętą krwią chusteczkę, by ponownie obejrzeć ranę.

I zamarł.

Bo rany właściwie nie było.

Nie było krwi, poza już zasychającą, i nie było otworu - pozostała paskudnie wyglądająca

blizna jak po dopiero co zaszytym chirurgicznym nacięciu.

Potrząsnął głową, czując się, jakby mu ktoś dał w łeb. Po czym ostrożnie dotknął blizny drżącymi palcami. A drzenie palców zdarzało mu się naprawdę rzadko. Potem uniósł palce do oczu i obejrzał je starannie - nie było na nich śladu krwi, co znaczyło, że rana naprawdę się zasklepiała.

I to w ciągu tych kilku minut, których potrzebował na przeniesienie jej z tonącej kapsuły na koję.

Wziął głęboki oddech i ponownie wyciągnął rękę. Tym razem położył dłoń tam, gdzie człowiek miał serce, i wstrzymał oddech. A potem westchnął i pokręcił głową - serce miała na miejscu i biło wolno, ale równo.

Opadł na sąsiednią koję, nie spuszczać wzroku z leżącej.

Wiedział, co widział. Bez natychmiastowej pomocy dobrego lekarza z odpowiednim zestawem narzędzi rana była śmiertelna. A ofiara tymczasem spała sobie spokojnie, ba, zaczynała nawet powoli nabierać rumieńców i najwyraźniej ani myślała umierać.

Zauważył, że palce drżą mu bardziej, zacisnął je więc w pięści, żałując, że tak łatwo nie da się zaradzić przyczynie tego drżenia. Człowiek umarłby od takiego zranienia. A gdyby jakimś cudem przeżył, nie poprawiłoby mu się tak błyskawicznie. A więc ta wyglądająca na dziesiętnastolatkę dziewczyna nie była człowiekiem.

W takim razie kim była?

Rozdział VI

Richard Aston był człowiekiem kompetentnym; potwierdziłby to każdy, kto go znał. W tej chwili jednak, spoglądając na istotę wyglądającą jak atrakcyjna dziewczyna, czuł się całkowitym dyletantem. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Ani możliwości spytania kogokolwiek, bo jak odkrył, radiostacja była głucha jak pień i martwa jak kamień.

Nigdy dotąd nic podobnego nie przytrafiło mu się w czasie żeglugi. A na stałym lądzie i owszem - jego radiostacje były roztrzaskiwane, wysadzane czy gubione, ale same z siebie współpracy nie odmawiały. Powoli dotarło doń, że ta także nie wykazała samodzielności, tylko był to efekt impulsu elektromagnetycznego, a raczej kilku następujących krótko po sobie, bo każdy towarzyszył eksplozji nuklearnej, a tych było co najmniej trzy. Nie był to temat, w którym się dobrze orientował, ale to, co zapamiętał, pasowało, a potwierdzenie stanowił fakt, iż radioodbiornik także umarł. W związku z tym nie tylko nie mógł z nikim nawiązać łączności, ale nawet nie miał okazji posłuchać, co reszta świata sądzi o tym, co zaszło.

Czyli mówiąc krótko a zwięźle, był zdany tylko na siebie.

Po przeanalizowaniu różnych możliwości wyszło mu, że tak naprawdę ma tylko jedno wyjście: znajdował się bliżej Wielkiej Brytanii niż Stanów i był w pasie wiatrów zachodnich, szybciej więc dotrze do lądu, zostając na kursie, niż zawracając. Co prawda o spotkaniu z brytyjskimi urzędnikami wolał nie myśleć, ale to była kwestia przyszłości - gorzej, że nie miał pojęcia, jak się opiekować uratowaną.

Podrapał się po resztkach czupryny i przypomniał sobie starą, sprawdzoną zasadę: gdy jakiś problem nie dawał się rozwiązać w całości, należało podzielić go na elementy i zabrać się do ich rozwiązywania krok po kroku.

Na początek należało ją rozebrać z pokrwawionego i brudnego przyodziewku, a potem umyć. To na pewno nikomu nie zaszkodzi. Ponieważ skafander już zniszczył, dokończył dzieła nożycami do cięcia żagli i stwierdził, że kobieta ma właściwą dla człowieka liczbę palców i proporcjonalną, by nie rzec atrakcyjną, budowę. Ogólnie rzecz biorąc, z wyglądu niczym nie różniła się od przeciętnej kobiety poza faktem, że miała bardzo dobrze i harmonijnie rozwinięte mięśnie niebędące efektem bezsensownego pompowania żelastwa na siłowni.

Zdejmując z niej skafander, odkrył też pomysłowy i skomplikowany system kanalizacji wewnętrznej, choć bez żadnego wyjścia, oraz płaską kaburę na prawym biodrze. Kabura miała automatyczne zamykanie, choć nie bardzo wiedział, na jakiej zasadzie działające. Natomiast fakt, iż do otwarcia wystarczyło ją pociągnąć i zostawała otwarta, a do zamknięcia nacisnąć, wywarł na nim większe wrażenie niż wszystkie popisy akrobacji lotniczych i głowice nuklearne, jakie widział niedawno w akcji, razem wzięte.

Sama broń była dziwna. Bo że jest to broń, nie miał wątpliwości - widział w życiu zbyt wiele jej odmian. Lufa była masywnym walcem z jakiegoś stopu przypominającego stal, ale niebędącego stalą, bo jak sprawdził, magnes do niej nie przywierał. Prawdopodobnie wystrzeliwała jakieś pociski, bo miała otwór w lufie o mniej więcej milimetrowej średnicy, ale ani śladu zamka czy innych ruchomych części. W spodzie kolby dostrzegł cieniutkie jak włos linie układające się w kształt pistoletu. Pasował on wielkością do sześciu prostopadłościanów z plastiku, jakie znalazł w dodatkowych przegródkach kabury, w miejscu na zapasowe magazynki. Może zawierały amunicję, ale niczego podobnego nie zauważył - wyglądały na solidne bloki plastiku. Oprócz tego zamiast spustu znajdował się przycisk, a z boku lufy trzy inne. Uważał, żeby przypadkiem któregoś nie dotknąć, bo żaden szanujący się konstruktor broni nie zapomniaby o bezpieczniku, ale ten akurat mógł się nie szanować, a nie miał najmniejszego zamiaru sprawdzać tego doświadczalnie.

Ranna miała na szyi cienką obrozę, której przyjrzał się równie uważnie jak broni. Z przodu wmontowany był w nią plastikowy sześciąt długi na półtora centymetra, a szeroki na pół, zupełnie prosty, bez ozdób, symboli czy zamknięcia. Nie wyglądał na błyskotkę, a ponieważ Dick obawiał się, czy nie stanowi przeszkody w oddychaniu, obmacał go dokładnie. Odkrył taki sam minimalnie wypukły przycisk jak w kryzie hełmu, a gdy go nadusił, obroza otwarła się tak gwałtownie, że omal jej nie upuścił z wrażenia. Obejrzał ją jeszcze raz, po czym wzruszył ramionami, przyznając się do porażki.

Schował broń do kabury, a wszystko razem do szafki, po czym przyjrzał się pasażerce. Bo zdecydował, że będzie ją tak właśnie nazywał. Jakoś tak „rozbitek” nie bardzo mu pasowało, sam zresztą nie wiedział dlaczego. Uśmiechnął się na tę myśl, pierwszy raz, odkąd kapsuła spadła z nieba, czując ślad wesołości.

Teraz pozostawała kwestia higieny - pojęcia nie miał, czym dziewczyna zajmowała się przez ostatnie parę tygodni, ale mycie do tych zajęć nie należało. Na łodzi nie miał dużego zapasu słodkiej wody, ale na kąpiel gąbką mógł sobie pozwolić, toteż nie zwlekając, zabrał się do dzieła. Przy okazji próbował ignorować jej wdzięki, zupełnie zresztą bez powodzenia aż do chwili, w której odkrył pod lewą łopatką bliznę większą od tej z przodu, usytuowaną

ledwie centymetr od kręgosłupa.

To mu skutecznie przypomniało, że ma do czynienia z obcą istotą, bo wymowa ran była oczywista - z przodu wlotowa, z tyłu wylotowa, czyli coś przebiło jej ciało na wylot, przechodząc po drodze przez płuco i diabli wiedzą przez co jeszcze, a ona nie dość, że to przeżyła, to regenerowała się dosłownie w oczach.

Gdy skończył, próbował coś zrobić z jej włosami, ale nie odniósł wielkiego sukcesu. Przy okazji usiłował też wyobrazić sobie, jak zdołała przetrwać takie obrażenia, ale wyobrażenia mu się skończyła. Zaniepokoiło go to poważnie, bo nie był do tego przyzwyczajony, podobnie jak do zagadek, których nie potrafiłby choćby częściowo rozwiązać. Jej witalność była niezrozumiała, a więc napawała strachem, bo nie sposób było przewidzieć, do czego może być zdolna w pełni sił...

Tknięty nagłą myślą poszukał aparatu fotograficznego i zrobił po kilka zdjęć obu blizn, postanawiając kolejne robić w określonych odstępach czasu. Wątpił, by ktoś mu uwierzył, nawet jeśli będzie miał fotografie, jak szybko rany się zagoiły, ale co szkodziło spróbować.

Westchnął, przykrył ją prześcieradłem i zaczął się zastanawiać, co dalej. Gdyby była człowiekiem, przygotowywałby właśnie jej pogrzeb na morzu. W tej sytuacji należało założyć, że przeżyje... o ile sam z czystej ignorancji nie zrobi czegoś głupiego, co ją uśmierci. A ważne było, by przeżyła, bo stanowiła skarbnicę wiadomości czekających na odkrycie. Nie wspominając już o tym, że była młoda i ładna, więc szkoda by było.

Problem polegał na tym, jak ją przy życiu utrzymać. Pojęcia nie miał, co jest dla niej trujące, a co nie. Ba, w ogóle nie wiedział, czy jest w stanie przyswoić ziemską żywność. Poza tym była kwestia witamin, minerałów i... dał w łeb wyobraźni, zanim go poniosła, i zaczął od początku.

Ponieważ żyła i oddychała, atmosfera nie tylko nie była dla niej trująca, ale wręcz przeciwnie. Gdyby była człowiekiem, potrzebowałaby dużo płynów i protein, bo straciła sporo krwi. Fakt, że wyglądało na to, jakby regenerowała się całkowicie i błyskawicznie, nie musiał znaczyć, że tak właśnie było w istocie. O uszkodzeniach wewnętrznych nie wiedział nic poza tym, że podbrzusza nie miała spuchniętego, co wskazywało na brak wewnętrznego krwawienia. A przynajmniej brak poważnego wewnętrznego krwawienia. Jedzenie w postaci stałej odpadało, bo nie wyobrażał sobie, jak miałby karmić kogoś pozbawionego przytomności, pozostawała więc zupa.

A puszkowanej zupy miał całkiem spory zapas...

Odpalił kuchenkę zasilaną z butli i wlał do garnka zawartość puszek z kremem z kury. Podejrzywał, że coś z warzywami mogłoby być lepsze, ale jak długo nie odzyska

świadomości, nie da jej czegoś z kawałkami do przeżucia, żeby się nie zadławiła. Pewnie najlepszy byłby bulion, ale ponieważ sam go serdecznie nie cierpiał, nie miał żadnej jego odmiany na pokładzie.

Począł, aż zupa się zagotuje, a ponieważ podejrzewał, że karmienie będzie dłuższym procesem, najpierw wrócił na pokład, wyłączył silnik i postawił żagle. Następnie upewnił się, że samoster działa prawidłowo, i dopiero wtedy zszedł do kabiny. Raz w życiu tego nie sprawdził, a na samo wspomnienie zimno mu się robiło do tej pory.

Zmienił pozycję ciała pasażerki na pólśiedzącą przy użyciu poduszek podłożonych pod głowę i ramiona, wrócił do kuchni i napełnił głęboką miskę do połowy zupą, która tymczasem przestygła do pokojowej temperatury. Nalewanie do pełna na pokładzie łodzi żaglowej byłoby głupotą i proszeniem się o kłopoty. Bez problemów doniósł miskę do łóżka, usiadł i zdziwił się, bo leżąca nagle pociągnęła nosem. Gdy ją rozbierał i mył, nie przejawiała najmniejszych choćby oznak kontaktu z otoczeniem, teraz zaś powęszyła i otworzyła oczy, ledwie dotarł do niej zapach zupy. Tyle że jej wzrok nie był przytomny...

Uniósł łyżkę do jej ust i przestał się zastanawiać, jakie problemy będą się wiązały z karmieniem nieprzytomnej, bo błyskawicznie otworzyła usta, a ledwie wsunął w nie łyżkę, niemalże je zatrzasnęła.

O psie można powiedzieć, że pożarł coś jednym chapnięciem lub kłapnięciem. Aston miał kiedyś Aardvarka, który przybłąkał się do nich jako kupka psiego nieszczęścia, a stał się najukochańszym przyjacielem z dzieciństwa. Kiedy Aardvarek pierwszy raz poczuł pełną miskę, zachował się dokładnie tak jak ona teraz, wykazując identyczne zdecydowanie i desperację. W oczach dziewczyny coś rozbłysło, a łyżkę wypuściła z wyraźną niechęcią, natychmiast zamykając usta na następnej, ledwie ją poczuła.

Było w tym coś dzikiego i prymitywnego, ale przynajmniej uniknął kłopotów z karmieniem, bo każdą kolejną traktowała równie energicznie. W ten sposób opróżniła miskę w rekordowym tempie.

A potem następną.

I kolejną.

Trochę go to obzarstwo niepokoiło, ale jej dziki apetyt skłonił go do podgrzania drugiej puszki, gdy końcówkę pierwszej przelał do miski. Zjadła połowę, nim miała dość.

A to, że miała, też nie ulegało wątpliwości, bo wyglądało to zupełnie tak, jakby ją ktoś wyłączył - zamknęła oczy i straciła zainteresowanie zupą dosłownie w momencie, gdy łyżka była w połowie drogi do jej ust. Przez moment bał się, że umarła i zupa okazała się jednak trucizną, ale powolny, regularny oddech i lekkie rumieńce na porcelanowo białych dotąd

policzkach wyprowadziły go z błędu.

Odstawił miskę i przyjrzał się leżącej z mieszaniną rozbawienia i podziwu. Fakt, była umięśniona i w dobrej kondycji fizycznej, ale mierzyła nie więcej niż 165 centymetrów, nie miał więc pojęcia, gdzie zmieściła prawie 5 litrów zupy.

W końcu doszedł do mało budującego wniosku, że zacznie się bać wtedy, gdy zrozumie, co się naprawdę dzieje.

Posiedział przy niej pół godziny, zastanawiając się, czy się nie obudzi, ale ani drgnęła. W końcu powieki zaczęły mu ciążyć, odruchowo spojrzął więc przez bulaj - świtało, toteż nic dziwnego, że czuł zmęczenie. Był na nogach całą noc, a była to noc pełna wrażeń i raczej pracowita.

Wstał, przeciągnął się i dokładnie sprawdził wskazania barometru. Od ostatniej kontroli ciśnienie nieznacznie wzrosło, wyglądało więc na to, że pogoda przez jakiś czas się utrzyma. A potrzebował jej, skoro miał robić za Florence Nightingale przy łóżku Diabli-Wiedzą-Kogo.

Przyjrzał się pasażerce - nie wyglądała groźnie, ale na wszelki wypadek postanowił przespać się na pokładzie.

Tak na wszelki wypadek.

I zgodnie z zasadami szeroko rozumianej profilaktyki zabrał ze sobą pistolet.

* * *

Następne cztery doby należały do najbardziej wyczerpujących w życiu Dicka Astona, a przecież przeżył niemało. Pasażerka robiła tylko dwie rzeczy: spała i jadła. I przez cały czas nawet się nie zmoczyła, o czymś poważniejszym nie wspominając. I to dobitniej niż cokolwiek innego przekonało go, że nie jest człowiekiem.

Przerwy w śnie, ale bez odzyskania świadomości, wywoływał jedynie głód. Stawała się wtedy niespokojna, i to na tyle, że za pierwszym razem zdołała go obudzić niespełna trzy godziny po pierwszym posiłku.

Dick miał lekki sen, bo tego go życie nauczyło, toteż mimo iż spał na pokładzie, dziwne odgłosy z kabiny szybko postawiły go na nogi. I przeraziły, bo to, co usłyszał, było jakimś niehumanicznym jękiem, skargą, od której resztki włosów stanęły mu dęba.

Zbiegł pod pokład, przecierając oczy, i zobaczył, że pasażerka ma otwarte oczy i ni to mruczy, ni to jęczy, najwyraźniej czegoś chcąc. Dał jej wody. Wypiła dużo i łapczywie, ale to jej nie uspokoiło. Wątpił, by powodem był głód - po takim obżarstwie - ale z braku innego pomysłu podpalił pod garnkiem z tym, co zostało. Ledwie zapach do niej dotarł, odgłosy przybrały na sile do tego stopnia, że rad nierad nakarmił ją ledwie letnią zupą prosto z garnka.

A potem zimną, prosto z puszek, bo oprócz tego, co było w garnku, opróżniła trzy. Każda w teorii przeznaczona była dla trzech osób.

Gdy się wyłączyła, przyjrzał się z niedowierzaniem jej i opróżnionym puszkom. Zdecydowanie nie wyglądała tak, jakby miała czarną dziurę zamiast żołądka...

Od tego momentu jego rozkład dnia był stały - po każdym karmieniu miał około dwóch i pół godziny spokoju. Dokładnie 140 minut, prawie co do sekundy. Apetyt pasażerki nie zmniejszał się i trzeciego dnia zaczął się martwić, że na łodzi zabraknie jedzenia, nim dopłyną do Anglii, mimo że pogoda trzymała i *Amanda* rozwijała większą prędkość, niż zakładał.

Pozostało mu jedynie spróbować jeszcze ją zwięźszyć, toteż w przerwach między karmieniami zajmował się olbrzymim spinakerem. A w czasie posiłków z fascynacją obserwował, jak znikają blizny - pod koniec drugiego dnia zbladły i wyglądały na kilkumiesięczne. Był pewien, że w niedługim czasie w ogóle znikną.

Podopieczna coraz bardziej go fascynowała i wręcz nie mógł się doczekać, kiedy się ocknie i będą mogli porozmawiać.

* * *

Komandor Mordecai Morris, znany jako MM, którego to przezwiska szczerze nienawidził, nie był człowiekiem szczęśliwym, a świadomość, że nie tylko on tak ma, w niczym nie poprawiała mu samopoczucia. Podobnie jak to, że miał doskonałą okazję, by obserwować i oceniać stopień nieszczęśliwości wszystkich wokół.

Zgasił kolejny niedopałek w pełnej petów popielniczce, zastanawiając się, ile papierosów wypalił nielegalnie przez ostatnie cztery dni, czyli odkąd granat walnął w szambo, ujmując rzecz poetycko. Nielegalnie, bo jakiś kretyń wpadł na pomysł, by we wszystkich bazach sił zbrojnych USA zakazać palenia. Na szczęście nikt tego debilizmu nie próbował egzekwować. Generalnie był w stanie sobie wmówić, że ogranicza palenie, by je potem rzucić, co sprawdzało się, dopóki nie wybuchł kolejny kryzys i nie powrócił do stanu normalnego, który ktoś określił kiedyś jako „aerobic smoking”. Bo tak naprawdę nigdy nie miał ochoty rozstać się z nałogiem.

Sięgnął po kolejnego papierosa, ale paczka okazała się złośliwie pusta, zgniótł ją więc i umieścił w stojącym pod biurkiem koszu.

- Cześć, szefie - rozległo się od drzwi.

Zmusiło go to do odwrócenia głowy i zmęczonego uśmiechu, bo głos był znajomy.

- Cześć, Jayne - powiedział i wskazał gestem puste krzesło.

Do pokoju weszła komandor porucznik Jayne Hastings. Bezskutecznie próbowała

machaniem rozgonić siwą zawieszinę tytoniowego dymu. Mimo że była kwietniowa noc, pomieszczenie było duszne.

- Rozumiem: klimatyzację szlag trafił, a okna paździerzami zabili - podsumowała.

Morris wzruszył ramionami.

Pokiwała głową, przyglądając się wymownie kipiącej od niedopałków popielniczce i brudnym kubkom po kawie dotrzymującym jej towarzystwa. Potem usiadła i spytała rzeczowo:

- Kiedy ostatni raz wziąłeś prysznic i się ogoliłeś?

- Prysznic?! Tobie to tylko fanaberie w głowie.

- Zbokol - podsumowała uprzejmie.

Morris skrzywił się, ale zostawił to bez komentarza.

Był niewysokim mężczyzną drobnej budowy, o ciemnych włosach i ze sztuczną prawą stopą. Miał też sympatyczne i wesołe oczy brązowej barwy (kiedy nie były zapadnięte, przekrwione i zmęczone). Był analitykiem wywiadowczym o zasłużonej reputacji, co tłumaczyło, dlaczego Głównodowodzący Floty Atlantyku wybrał go na swego oficera wywiadu. W tej chwili oczy miał zaczerwienione i podkrążone, koszulę zdecydowanie nie pierwszej świeżości, a na policzkach parodniowy zarost. Mówiąc krótko, wyglądał jak psu z gardła wyjęty. Faktem jest, że nawet gdy był młody i piękny, nie przypominał filmowego asa wywiadu, co mu zresztą bardzo odpowiadało. Kilkunastu pensjonariuszy rozmaitych ośrodków odosobnienia oceniało ludzi po wyglądzie. Kilkudziesięciu terrorystów na Bliskim Wschodzie też uważało, że beztroski i przekupny attache morski jest osobnikiem niegroźnym a użytecznym, co skończyło się ich gwałtownym trafieniem na łono Allacha. Kilku innych zorientowało się, iż popełnili błąd w ocenie, na tyle szybko, by próbować go naprawić, ale udało się to tylko ostatniemu i nie do końca - ów attache stracił bowiem nie życie, tylko stopę, i wylądował za biurkiem.

Jayne Hastings była od niego o 30 cm wyższa, miała jasne włosy i jasnozielone oczy. Nosila starannie ułożone włosy, a inteligentne spojrzenie ukrywała za zbyt dużymi okularami w okrągłej oprawie modnej na przełomie XIX i XX wieku. Była też zadbana i zawsze nienagannie ubrana. Morris wielokrotnie zastanawiał się, jakim cudem potrafi tak wyglądać, siedząc równie długo jak on nad jakimś problemem.

Doszedł do wniosku, że to nienormalne.

Jego domenę stanowili ludzie - genialnie wręcz oceniał ich zamiary i zachowania, jej - technika. Miała cztery doktoraty i bogate doświadczenie w dziedzinie samolotów i satelitów szpiegowskich tak fotograficznych, jak i elektronicznych. Stanowili nader skuteczny zespół,

ale chwilowo nie bardzo mieli dane, nad którymi mogliby pracować. Podobnie jak wszyscy pracownicy agencji wywiadowczych na świecie.

Wszyscy bowiem wiedzieli, że coś się wydarzyło, ale tylko Rosjanie i Amerykanie (i być może Chińczycy) mieli pojęcie, co to było. I to dość mgliste pojęcie. Jedyne, w czym główni zainteresowani byli zgodni, to że dostali wystarczająco wcześnie ostrzeżenie o kosmicznym pochodzeniu fenomenu, by nie podejrzewać siebie nawzajem, nim nad Atlantykiem rozpełtało się piekło. Na szczęście. Morrisem aż wstrząsnęło na samą myśl, co mogłoby się wydarzyć, gdyby tego nie wiedzieli. I tak panika i podejrzania były imponujące.

- Słuchaj no, mogłeś mnie tu ściągnąć o trzeciej w nocy, twierdząc, że w końcu dostałeś to nagranie, ale jedynym sposobem zagonienia mnie do roboty nad nim jest obiecanie mi czegoś - oznajmiła niespodziewanie Hastings i dodała: - Najpierw.

- Nie wiedziałem, że założyłaś związek zawodowy.

Jedyną reakcją było pogardliwe prychnięcie.

- No dobra, niech będzie moja krzywda - westchnął. - Co mam niby obiecać?

- Że kiedy skończymy, weźmiesz prysznic i pójdziesz spać - odparła poważnie. - Wyglądasz jak trup na urlopie. I nie mam zamiaru czekać, żebyś mi tu zszedł na zawał.

- Byłoby miłe. Sen, nie zawał. Ale na dziewiątą rano mam przygotować staremu pisemny raport i...

- Zajmę się tym raportem - przerwała mu zdecydowanie. - Nie pierwszy raz napiszę coś za ciebie, prawda? A ty pojedziesz do domu i będziesz spał przez co najmniej dwie godziny. I doprowadzisz się do jako takiego porządku, bo jak mu się pokażesz w takim stanie, każe cię rozstrzelać za złamanie wszystkich przepisów mundurowych. Pamiętasz, co ci powiedział ostatnim razem?

- Hmm... być może ma pani trochę racji, komandor Hastings.

- Mam całkowitą rację, komandorze Morris.

- No dobra, zgadzam się - ustąpił Morris i gestem wskazał duży telewizor stojący w rogu.

- To i tak coś bardziej z twojej działki niż mojej.

I podał jej plastikowe pudełko.

- To to nagranie? - upewniła się.

- To - potwierdził, obserwując, jak wstaje i wkłada zawartość do odtwarzacza. - Tak w ogóle to mamy cholerne szczęście, że istnieje. Pilot, który je zrobił, znajdował się w sporej odległości od miejsca największego wybuchu, nie stracił więc całej elektroniki. Ale na *Roosevelcie* poszło wszystko, a mimo to zdołał wylądować. Nie sądziłem, że można to zrobić praktycznie ręcznie, chłopcy z Northropa-Grummana też nie. Wszyscy pozostali uznali, że

rozsądniej będzie się katapultować. Facet musi być doskonałym pilotem i mieć jaja. To on przechwycił te dwie rakiety. No ale w końcu ją mamy. Przeczytałem wszystkie dołączone analizy ekspertów i obejrzałem je z tuzin razy. Teraz kolej na ciebie.

- A skąd to opóźnienie?

- Bo jakimś cudem pierwsza położyła na nim łapę CIS, a wiesz, jak ci chłopcy skłonni są do dzielenia się czymkolwiek. Tym razem mieli pecha, bo stary się wściekł, gdy się dowiedział, i narobił takiego szumu, że musieli ustąpić.

- Proszę, proszę - mruknęła Hastings. - Ciekawe dlaczego mnie to nie dziwi...

Reakcja admirała Ansoma McLaina, Głównodowodzącego Floty Atlantyku, była zrozumiała. Po pierwsze dlatego, że nie było rozsądne stawać mu na drodze, a po drugie, że bezsensowne przetrzymywanie nagrania dokonanego przez jednego z jego pilotów, dotyczącego starcia, w którym zginęło lub zostało rannych ponad tysiąc jego marynarzy oraz zniszczony został jego okręt, było pewnym sposobem wyprowadzenia go z równowagi na dobre.

- Jak go znam, to na tym się nie skończy - zgodził się Morris. - Teraz zaczął polować na skalpy. Na co czekasz? Włącz i obejrzyj!

Hastings posłusznie nacisnęła stosowny przycisk na pilocie. Na ekranie telewizora pojawiła się biała kaszka, w prawym dolnym rogu data i godzina nagrania, a w lewym odległość do filmowanego obiektu. Po paru sekundach ujrzeli czarno-biały obraz o zaskakującej ostrości.

- To z nowej kamery taktycznej? - spytała.

- Ano. Dobrze się sprawuje, prawda?

- Nie ma porównania z systemem pierwszej generacji!

Morris tylko pokiwał głową. Wynalazek nazywał się TCS, czyli Tactical Camera System, i umieszczony był pod przednią częścią kadłuba ostatnich wersji *F-14D*. Miał zupełnie nową optykę i możliwość nagrywania w podczerwieni. *Tomcat* nie został opracowany z myślą o niewykrywalności, ale w końcu wyposażono go w skuteczny system pasywnego wykrywania celów niewymagający użycia aktywnego radaru, po co wszystkich natychmiast informować nie tylko o jego obecności, ale i o położeniu. Była to wysoce użyteczna modyfikacja starzejącego się myśliwca, a załogi twierdziły, iż obraz jest tak ostry, że da się policzyć syfy na gębie przeciwnika z odległości 50 mil. Morris podejrzewał, że była to lekka przesada... ale tylko podejrzewał.

Teraz rozsiadł się wygodniej, dobrze wiedząc, co Jayne zobaczy. Ciekawiło go nie to, co będzie na ekranie, ale jej reakcja, dlatego ze wszystkich sił próbował nie dopuścić, by

ołowiane nagle powieki opadły...

Udało mu się - zobaczył, jak drgnęła, gdy na ekranie pojawiły się ogniste smugi pędzące prosto na patrzącego. Natychmiast jednak opanowała się i pochyliła bliżej ekranu. Sześć źródeł blasku zbliżało się błyskawicznie, delikatnie manewrując. Niemożliwe było dostrzeżenie szczegółów, a po chwili stało się jasne, że znajdowały się powyżej *Tomcata* i że jego pilot ostro manewrował, by utrzymać je w obiektywie. Przeleciały nad nim i pilot zrobił pętlę - na ekranie ukazały się na moment gwiazdy, a potem powróciły świetliste smugi, ale oddalające się. Obraz przez chwilę drżał i miotał się, po czym, gdy pilot wyrównał lot, ustabilizował się.

Światła oddalały się wolniej, bo samolot leciał za nimi z pełną prędkością, dzięki czemu dało się zauważyć pewne szczegóły konstrukcyjne pojazdów, które wywoływały to świecenie. Było ich 6, z czego 4 wyglądały tak samo i tworzyły klasyczną formację eskortową dla piątego, znacznie od nich większego. Szósty zaś był jeszcze inny i ścigał je. Widać było, że świecenie wywołuje przypominająca połówkę kuli płonąca przestrzeń przed każdym z pojazdów.

Nagranie trwało około trzech minut, gdy coś przed pojazdami rozbłysło oślepiająco i na ekranie pojawiły się zakłócenia, a moment później stał się całkowicie czarny.

Komandor porucznik Hastings cofnęła je i obejrzała ponownie.

A potem trzeci raz, spowalniając, a w pewnych momentach zatrzymując obraz, by mu się dokładniej przyjrzeć. W końcu westchnęła, usiadła prosto i spojrzała z namysłem na Morrisa.

- Duże były - powiedziała cicho.

- Specjaliści od analizy zdjęć lotniczych ocenili, że te, których było najwięcej, miały rozmiary niszczyciela klasy *Spruance*, a największy lotniskowca. Ostatni był od nich mniejszy, ale niewiele: 90-100 metrów.

- Że też nie mieliśmy na miejscu satelity, żeby to wszystko nagrał!

- Mielibyśmy o jednego mniej. Z tego, co wiem, impuls po największym wybuchu załatwił ruskiego RORSATA.

- Nic dziwnego. Przynajmniej wiedzieli, że to nie my do nich strzelamy. Dzięki Bogu!

- Amen - przytaknął poważnie Morris. - Ciekawi mnie, czy Chińczycy mają jakieś nagrania satelitarne tego zajścia.

- Mnie też - burknęła Hastings. - Wiemy, że mają jakieś satelity szpiegowskie wśród oficjalnie łącznościowych, ale zgadzam się z CIA i NASA, że głównie interesuje ich Tajwan i Korea, koncentrują więc uwagę na Pacyfiku, nie na Atlantyku. Ale jedno nie wyklucza drugiego. No i są jeszcze Francuzi...

Zamiast kończyć, skrzywiła się wymownie...

Morris z pełnym zrozumieniem pokiwał głową. Jak już się parokrotnie zdarzyło amerykańskiej dyplomacji, „chińska karta” została źle rozegrana. Nikt nie przewidział, że w przeciwieństwie do Związku Sowieckiego Chińska Republika Ludowa nie zniknie na śmietniku historii, podobnie jak tego, że Komunistyczna Partia Chin nie będzie kurczowo trzymała się zasad marksistowsko-leninowskich. Efekt był taki, że powstało państwo autorytarne o gwałtownie rozwijającej się gospodarce, olbrzymiej populacji i bogactwach naturalnych. Logiczną konsekwencją była próba rozszerzenia granic. Chińczycy, choć nie jeszcze nie zrobili, zdecydowanie dawali wszystkim do zrozumienia, że Azja jest ich. I że jeśli nie da się inaczej, nie zawahają się postawić na swoim, używając siły. W konsekwencji ponownie zaogniła się kwestia Tajwanu.

Dlatego złożony z dwóch lotniskowców zespół wydzielony US Navy został wysłany w ten rejon. A niejako przy okazji okazało się, że w pogoni za zyskiem amerykański przemysł lotniczy i kosmonautyczny zaczął produkować w Chinach więcej nowinek technicznych, niż nakazywał zdrowy rozsądek, i to w ciągu kilku lat, co wybitnie a niespodziewanie dla wszystkich zwiększyło możliwości wystrzeliwania przez Chiny własnych satelitów.

Jeśli zaś chodzi o Francuzów, ich głęboko zakorzeniony antyamerykanizm stawał się tym wyraźniejszy, im bardziej wymarzona Unia Europejska udowadniała, że nie jest zdolna do zdecydowanego działania i że jest nadal bardziej koncepcją teoretyczną niż funkcjonującym na arenie międzynarodowej rzeczywistym tworem. Dowodziły tego dobitnie zwłaszcza problem bałkański czy napięcia między byłymi przymusowymi elementami Związku Sowieckiego a Federacją Rosyjską. Francja wściekła się szczególnie po tym, jak jej wysiłki na Bałkanach skończyły się sromotną kląpą, a amerykańskie bombardowania okazały się skutecznym wstępem do zaprowadzenia tam względnego spokoju. Morris wiedział, że przynajmniej jeden francuski satelita był na pozycji umożliwiającej obserwowanie tego, co zaszło, ale był także znacznie bliżej miejsca największego wybuchu niż rosyjski. Nie miał natomiast pojęcia, co zdołał przekazać, nim zmienił się w kolejny kawał kosmicznego śmiecia. A Francuzi w tej sprawie szli w zaparte, twierdząc, że nic.

- A skoro już mowa o eksplozjach - Hastings przerwała ciszę - to jak oceniana jest ich moc?

- Duża, w okolicach pięciuset megaton.

Gwizdnęła bezgłośnie.

Morris kiwnął głową i dodał:

- Pozostałych po kilka, kilkanaście kiloton, ale wszystkie głowice okazały się czystsze,

niż powinny być.

- Za co możemy być jedynie wdzięczni - oceniła cicho.

Morris ponownie kiwnął głową, zgadzając się z nią w zupełności.

Oboje ponownie zamilkli.

Największe eksplozje było widać z obu stron Atlantyku, impuls elektromagnetyczny zniszczył elektronikę siedmiu cywilnych samolotów - wszystkie wpadły do morza, a z pasażerów i załóg nikt się nie uratował. Oprócz tego spowodował sporą dziurę w łączności satelitarnej i systemie GPS, który wszyscy już traktowali jako coś naturalnego. Morris wołał nie myśleć, jak to wyglądało bliżej epicentrum, ale miał silne podejrzenia, że przypominało przedsięwzięcie piekła.

- I co myślisz o naszym nagraniu? - spytał w końcu.

- Robi wrażenie - przyznała. - Jedno nie ulega wątpliwości: te maszyny nie są nasze ani nie należą do nikogo z Ziemi. Naturalnie dowodziły tego już zapisy zwiadu kosmicznego, ale teraz już nikt nie może dyskutować.

- No i zobaczenie, jak szybko zostaje w tyle *F-14* na dopalaczu, jest bardziej przekonujące niż suche meldunki systemu wczesnego ostrzegania, prawda?

- Zgadza się. Podobnie jak wizualne potwierdzenie ich wielkości. - Hastings potrząsnęła głową. - Nadal nie rozumiem, jakim cudem zdołali dotrzeć do krawędzi atmosfery, nim ich zauważono. Ktoś, kto potrafi budować takie rzeczy, nie powinien mieć problemu z ogłupieniem naszych radarów i wygląda na to, że nie miał, ale tylko do pewnego momentu. Pytanie, co stało się później? I ważniejsze: co oni w ogóle robili w atmosferze?

- Odpowiedź na to drugie jest raczej oczywista. Carson został wplątany w czyjąś wojnę.

- Nie o to mi chodzi. Pytam, dlaczego tutaj ją toczyli - wyjaśniła, masując ucho. - Nie udowodnię tego, ale jest dla mnie oczywiste, że te pojazdy zaprojektowano z myślą o użyciu w próżni, nie w atmosferze.

- Dlaczego?

- Wielkość i kształt. No i jeszcze te świecące półsfery z przodu. To jakieś pole siłowe umożliwiające im rozwijanie takich prędkości.

- NASA też tak uważa - zgodził się Morris.

- To miło z ich strony. Bez tych pół kadłuby rozgrzałyby się do białości. Poza tym one nie mają żadnych powierzchni nośnych ani aerodynamicznego kształtu. Popatrz! - Złapała pilota i poszukała stosownego ujęcia, po czym zatrzymała obraz. - Widzisz te wystające elementy i anteny u ostatniego? Gdyby miały latać w atmosferze, powinny mieć opływowy kształt lub opływową osłonę. Popatrz na przód: jest tępy i szeroki. A te dziwne, wystające części

kadłuba, bez pola siłowego, przy takiej prędkości pęd powietrza po prostu by urwał. To już zwykła cegła ma bezpieczniejszy kształt! Założę się, że te, które zniszczyliśmy, właśnie tak skończyły: pozbawiliśmy je pola, a pęd powietrza zrobił resztę. Nasze rakiety same by tego nie dokonały.

- Nie lekceważ naszych rakiet przeciwlotniczych - ostrzegł Morris. - Ich głowice mają do 45 kilogramów materiału wybuchowego, a wystrzelono ich prawie 350. Ale pocieszę cię... ludzie z NASA i Point Mugu zgadzają się z twoją oceną, że pozbawienie pola siłowego doprowadziło do ich zniszczenia, zwłaszcza jeśli w wyniku naszych trafień powstały w kadłubach jakieś poszarpane dziury.

- I to właśnie jest bez sensu! - ucieszyła się Hastings. - Po co walczyć w niedogodnych warunkach, mając do dyspozycji o wiele więcej miejsca w przestrzeni? Nawet zakładając, że zaplątali się do naszego układu planetarnego przypadkiem, w nim też jest cała masa przestrzeni. Dlaczego stoczyli bój w atmosferze?

- Może to była próba inwazji? - zasugerował na poły jedynie żartem.

- To jakaś dziwaczna - prychnęła. - Nigdy co prawda nie byłam zwolenniczką teorii, że jesteśmy tak ważni, by potężne floty obcych walczyły o nas ze sobą, ale pytam, gdzie są choćby małe floty inwazyjne. Bo przy pomocy tego, co widzieliśmy, trudno byłoby podbić i skolonizować Madagaskar, o którymś z kontynentów nie wspominając. Poza tym jeszcze taki drobiazg: czy skoro są dwie strony tego konfliktu, to znaczy, że jedna jest do nas przyjaźnie nastawiona?

- Trafne pytania - uznał Morris i wstał.

Sięgnął po wiszącą na oparciu fotela kurtkę mundurową, przerzucił ją przez ramię i spytał:

- Znasz już na nie odpowiedź?

- Jeszcze nie - przyznała. - Na pierwszy rzut oka wydaje się, że byliśmy zwykłymi, niewinnymi świadkami strzelaniny, ale jest zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, by można było tak założyć. Logiczniej i bezpieczniej będzie przyjąć, że przynajmniej jedna strona coś do nas ma. Jest szansa na dokładniejsze dane dotyczące zestrzeleń?

- Nie. Wyszło na to, że nasze zabezpieczenie antyimpulsowe nie jest tak skuteczne, jak wszyscy myśleli. Zwłaszcza że nikt na okrętach nie spodziewał się ataku nuklearnego i nie poczyniono żadnych przygotowań. Większość sprzętu padła, gdy trafiony został *Kidd*, a resztę załatwił impuls po tym dużym wybuchu. Wiemy tylko, że *Antietam* i *Champlain* zdołały naprowadzić rakiety na cel, nim straciły radary i większość komputerów, a te dalej używały już systemów samonaprowadzających. Z obserwacji wizualnych wynika, że

zniszczyliśmy na pewno dwa, a być może trzy z pierwszej grupy. Trafionych mogło zostać wszystkich pięć, ale na pewno nie zniszczyliśmy wszystkich.

- Na pewno - uśmiechnęła się krzywo Hastings. - Tak więc nie wiemy, kim są, ilu zostało, kto wygrał ani kto przeżył, o ile przeżył. Pięknie!

- Wiemy natomiast jedno - przerwał dziwnie łagodnie i całkowicie poważnie Morris. - Nikt nie wykrył żadnych odlatujących obiektów. Jest co prawda możliwe, że pozabijali się nawzajem, ale bardziej prawdopodobne, że ktoś jednak wygrał i przeżył. A jeśli nie blokowali odczytu naszych radarów, wlatując, to dlaczego mieliby to robić, wylatując?

- Chcesz powiedzieć, że zwycięzcy nadal są na Ziemi? A być może także niedobitki drugiej strony?

- Myślę, że tak właśnie należy założyć - potwierdził, wkładając kurtkę mundurową. - A jeśli są to tylko zwycięzcy, miejmy nadzieję, że wygrali ci, którzy nic do nas nie mają. Lepiej byłoby jednak znaleźć ich jak najwcześniej, nie sądzisz?

Ponieważ nie odpowiedziała, uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem i dodał:

- Dzięki, że zgłosiłaś się na ochotnika do napisania tego raportu, Jayne. Spróbuj ładnie powiązać w pęczek te wszystkie luźne końce. Jak się staremu spodoba, wezmę to na siebie, jak nie, cała zasługa będzie twoja.

I wyszedł, nim zdołała odzyskać głos.

WRÓG 1. «członek okazujący nieprzychylność lub mający sprzeczne interesy, pragnienia czy cele» 2. «wroga siła polityczna lub osoba do takiej należąca» 3. «coś niszczącego lub raniącego» 4. «nieprzyjaciel, przeciwnik; może dotyczyć państwa»

*Webster-Wangchi Unabridged
Dictionary of Standard English
Tomas y Hijos, Publishers
2465 rok standardowy*

Rozdział VII

Richard Aston otworzył oczy i z niejakim zdumieniem ujrzał kwiecisty wzorek ceratowego obrusa, który znajdował się dwa centymetry od czubka jego nosa. Potem skrzywił się, rozumiejąc, co widzi, i wyprostował, tłumiąc jęk, gdy coś mu w krzyżu strzyknęło, jak to się popularnie określa. A potem zamrugał gwałtownie i rozejrzał się, przytomniejąc. Zasnął z czołem opartym o skrzyżowane przedramiona, co mu ostatnio weszło w nawyk, jako że przez dwie godziny trudno się normalnie przespać. Dziwne było co innego - był już dzień i kolejne żądanie karmienia za strony pasażerki powinno go obudzić dawno temu.

Obrócił głowę w stronę koi i zamarł.

Pasażerka bowiem nie tylko była całkowicie przytomna, ale na dodatek leżała na boku, wspierając głowę na dłoni, i przyglądała mu się spokojnie.

On też się na nią zagapił i cisza zaczęła się przeciągać.

Jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że może się ocknąć, kiedy on będzie spał. Wyobrażał sobie, że odzyska przytomność, gdy będzie ją karmił albo wycierał twarz gąbką, i na coś podobnego się przygotował, natomiast zupełnie nie był przygotowany na to, że ocknie się i będzie cierpliwie niczym kot czekała, aż on się obudzi. W pierwszym momencie nawet go to zirykowało, nim uświadomił sobie, że jej spokój i opanowanie nie pasują do obrazu, jaki sobie stworzył. A obraz ten opierał się tylko na jednej przesłance - na tym, w jaki sposób jadła, co okazało się zdecydowanie niewystarczające do wyciągania jakichkolwiek wniosków. Zrozumienie tego faktu nawet go rozbawiło i uśmiechnął się słabo.

Obserwowała go uważnie i także uśmiechnęła się powoli. Na poły przeprasząco, gdyż był nieogolony i wymęczony. To z kolei wywołało jego szczere rozbawienie, a połączone z

ulgą, że jednak zdołała przeżyć mimo jego ignorancji, spowodowało, że zachichotał.

Odpowiedziała mu tym samym. Uśmiechy szybko zmieniły się w śmiech, jak sobie potem uświadomił, wywołany głównie ulgą, będący odreagowaniem strachu. Oboje ryczeli radośnie, pozbywając się napięcia, i najprawdopodobniej było w tym śmiechu sporo hysterii, ale żadne nie zwracało na to uwagi. Nie miał pojęcia, ile czasu śmiali się niczym para wariatów, ale w końcu stopniowo udało mu się zapanować nad śmiechem, choć radość i ulga pozostały. Potrząsnął głową, otarł łzy ciekące po policzkach i usiadł prosto na krześle.

Dziewczyna także spoważniała i usiadła na koi z podwiniętymi nogami. Przy tej okazji zsunęło się z niej prześcieradło, co nie zrobiło na niej żadnego wrażenia - skorzystała z okazji i pochyliła się, oglądając i obmacując ledwie już widoczną bliznę. Aston zdołał nie okazać zdziwienia - zawsze uważał, że podejście do nagości jest jednym z głębszych przesądów w cywilizowanym świecie.

- Eee... witaj - powiedział w końcu wolno i wyraźnie.

Kiedy miał jeszcze siły, w przerwach w karmieniu zastanawiał się, co powie w takiej chwili. Wymyślał i odrzucał różne pomysły, nie bardzo mogąc się zdecydować, jaka forma byłaby najwłaściwsza przy pierwszym kontakcie z istotą z innej planety. Naturalnie kiedy przyszło co do czego, wszystko zapomniał i powiedział to, co pierwsze przyszło mu do głowy.

Teraz siedział i przyglądał jej się, żałując, że nie jest lingwistą. Ustalenie zasad porozumiewania się z kimś posługującym się zupełnie obcym językiem nie będzie łatwe - tego był świadom.

A potem usłyszał:

- Ty też witaj.

Głos był jasnym i wyraźnym kontraltem z jedwabistą domieszką. Sparaliżował go dokumentnie. Nie przyszło mu do głowy, że będzie znała angielski. Siedział i gapił się z opadniętą szczęką niczym przysłowiowy wół na malowane wrota. Ona też przyglądała mu się, zaskoczona jego reakcją, ale potem coś błysnęło w jej oczach i dodała:

- Zaprowadź mnie do swojego wodza.

Powiedziała to z kamienną miną i śmiertelnie poważnym głosem, ale efekt osiągnęła; zatrzasnął usta nieomalże z hukiem i w pierwszej chwili nim zatrzęsło. On tu próbuje nawiązać kontakt, a ona sobie jaja... I wtedy dotarło doń, co dokładnie powiedziała. Jej rasa musiała od dawna studiować historię ludzi, skoro zdawała sobie sprawę, jakie ten konkretny cytat w tych warunkach zrobi na nim wrażenie.

- Aha, a więc macie poczucie humoru? - spytał nieco złośliwie.

- Mamy, choć moje nieco odbiega od średniej.

Potała czoło, myśląc intensywnie - głos miała bardzo miły, ale akcent i wymowę nader dziwne. Nigdy takiej nie słyszał, a nasłuchiwał się tylu cudzoziemców mówiących po angielsku, że wydawało mu się, iż zna wszystkie sposoby.

Taki usłyszał pierwszy raz, zwłaszcza skłonność do połykania spółgłosek, jeśli były na końcu wyrazu...

Z zadumy wyrwało go nieco zaniepokojone, a nieco proszące:

- Halo?

Zamrugnął i spojrzął na nią przytomniej - uśmiechała się, odpowiedział więc tym samym.

- Przepraszam, ale nie jestem przyzwyczajony do ratowania rannych kosmonautów.

- Całkiem dobrze sobie poradziłeś jak na kogoś bez doświadczenia.

- Dziękuję. Tak w ogóle to nazywam się Aston. Richard Aston.

- Leonowna - wyciągnęła ku niemu prawą rękę - Ludmilla Leonowna, pułkownik, Terran Marine Corps.

Odruchowo zaczął podawać jej dłoń i zamarł, słysząc najpierw nazwisko, potem stopień i resztę. Przekrzywił głowę i przyjrzał jej się podejrzliwie.

- Powiedziałaś Terran Marine Corps? - spytał powoli.

- Tak.

- Nie ma takiej formacji - stwierdził rzeczowo, decydując, że nie wspomni o tym, jak ktoś tak młody mógłby mieć stopień pułkownika. - A nawet gdyby istniała, wątpię, by przyjmowano do niej Rosjan.

- Wiem, że nie ma. Jeszcze nie ma - dodała równie rzeczowo, ciągle nie cofając wyciągniętej ku niemu ręki. - A ja nie jestem Rosjanką. Przynajmniej nie w tym sensie, jaki masz na myśli.

Potrząsnął głową, a potem się zaczerwienił, widząc jej wyciągniętą dłoń. Podał jej swoją, ale dziewczyna złapała go za przedramię od wewnętrznej strony i uścisnęła. Omal się nie skrzywił, czując siłę tego uścisku - była silniejsza, niż na to wyglądała - ale zdołał odwzajemnić się podobnie mocnym. W ten sposób obie strony zachowały twarz.

- Słuchaj, może to pytanie zabrzmie dziwnie - powiedziała, puszczaając jego rękę - ale który teraz jest rok?

- Że co proszę?! Nauczyłaś się naszego języka, musiałaś więc przestudiować masę materiałów, a nie wiesz, który jest rok? - zdumiał się Aston, ale dziewczyna zamiast odpowiedzieć, siedziała i czekała, więc wzruszył ramionami i dodał: - No dobra, 2007. A dlaczego pytasz?

- 2007... - powtórzyła z namysłem i pokiwała głową. - Prissy miała więc rację... stąd ta marynarka pływająca...

- Przepraszam, ale czy byłabyś uprzejma przestać mówić sobie to, co już wiesz, a powiedzieć mi, co tu się, do diabła, dzieje?

Był przekonany, że powiedział to z zadziwiającym spokojem, ale jej mina wyprowadziła go z błędu.

- Przepraszam i spróbuję wyjaśnić - obiecała ze skrucą. - Ale najpierw mi powiedz, jak się tu znalazłam.

I żeby nie było wątpliwości, wskazała gestem kabinę.

- Spadłaś z nieba w kuli sto metrów od mojej łodzi, więc cię wyłowilem. Przykro mi, ale dla twojego towarzysza już nic nie mogłem zrobić.

- Tak się domyśliłam. - Westchnęła z żalem. - Biedny Anwar, prawie mu się udało...

Zapadła cisza.

Aston nie chciał jej przerywać, ale ciekawość okazała się silniejsza.

- Skąd jesteś? - spytał. - Z jak daleka? I proszę, nie wciskaj mi ciemnoty o Terran Marines.

- To nie ciemnota! Nie jestem z Ziemi, fakt. Pochodzę z Midgardu... inaczej Sigmy Draconic IV.

- Pięknie! Równoległa ewolucja! Jeszcze prawdopodobniejsze niż Terran Marine Corps! Wszyscy tam wyglądają tak jak ty czy może miałaś operację plastyczną, nim tu spadłaś?

- Operację... A, biosculpt! - Zachichotała. - Nie, wyglądamy mniej więcej podobnie... tyle że niektórzy z nas są mężczyznami.

- Posłuchaj no...!

- Przepraszam, ale sam się prosiłeś. - Uśmiechnęła się poważniej. - Wiem, że brzmi dziwnie, ale jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy.

- No jasne! Zrób we mnie dziurę na wylot i też się wyleczę w ciągu paru godzin!

- Powiedziałam, że jesteśmy ludźmi, i jesteśmy! - oznajmiła nagle tak chłodnym tonem, że wytrzeszczył oczy.

Widząc jego reakcję, potrząsnęła głową, zła na samą siebie, i zacisnęła usta. A potem westchnęła.

- Daj mi to wyjaśnić po mojemu, dobrze? Proszę.

Kiwnął głową, woląc się nie odzywać.

- Dziękuję. Po pierwsze, pochodzę z planety Midgard, ale Midgard został skolonizowany przez ludzi z Ziemi.

Już otwierał usta, by zaprotestować, bo to stwierdzenie brzmiało absurdalnie, ale zamknął je bez słowa, choć nie przyszło mu to łatwo.

- Midgard został skolonizowany przez ludzi w 2184 roku - powiedziała wolno i wyraźnie, patrząc mu w oczy. - To około trzystu lat temu... dla mnie.

Nie mógł oderwać wzroku od jej oczu. To było niemożliwe, ale podobnie niemożliwe były wydarzenia tamtej nocy, gdy wyłowił ją z morza, a także fakt, że przeżyła, to, jak jadła i spała przez ostatnie cztery doby. A w jej oczach nie było śladu szaleństwa... Nie były to też oczy kłamcy, lecz kogoś, kto pod pozorami spokoju ukrywa desperację...

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś z przyszłości? - spytał ostrożnie.

- Tak.

- Ale... - Potrząsnął głową, czując, że jest o krok od zrozumienia, ale znów mu uciekło.

Wziął głęboki oddech i spytał:

- To jakim cudem posługujesz się takim samym angielskim jak my w XXI wieku?

- Nie posługuję się nim normalnie. Prawdę mówiąc, trochę mi trudno mówić twoim dialektem. Moje hobby to histrotech i to mi pomaga, ale ten dialekt znam głównie z historycznych holodram, choć i one mają błędy. Muszę bardzo uważać na idiomy - przyznała z rozbijającym uśmiechem. - Ale ten cytat: „Zaprowadź mnie do swego wodza”, no, nie mogłam się opanować. Niektóre dramy z twoich czasów są maniackie.

Zdał sobie sprawę, że im dłużej jej słucha, tym bardziej dochodzi do wniosku, że choć posługuje się angielskim, rzeczywiście nie jest to jego angielski. I z zaskoczeniem stwierdził, że zaczyna jej wierzyć...

- No dobra, ale dlaczego się tu zjawiaś? Co się stało? Użyliście głowic nuklearnych, prawda?

- Użyliśmy - przyznała ponownie poważnie. - Widzisz, Ster Aston, ja nie przybyłam tu dla przyjemności, tylko żeby zapobiec zniszczeniu ludzkiej rasy... i obawiam się, że nie całkiem mi się to udało...

Mówiąc ostatnie zdanie, znów spojrzała mu prosto w oczy.

Aston przymknął swoje i powoli policzył do pięćdziesięciu. To było niedorzeczne, ale... Przypomniawszy sobie tamtą noc i poczuł, że jego wątpliwości słabną. Oglupienie się zwiększa, ale nie mógł zaprzeczyć temu, co widział, a widział, jak desperacko próbowała wykonać to, co ją tu sprowadziło. Bo prawda była taka, że ta pojedyncza maszyna atakowała grupę, a skoro to ona była napastnikiem, musiała być naprawdę zdesperowana... i zniszczyła wszystkich poza jednym...

Musiał przyznać, że wprawiła go w podziw - nie był pilotem, ale w swoim czasie widział

dużo walk i wiedział, jak trudno walczy się z przeważającym liczebnie wrogiem. I jakich umiejętności potrzeba, by osiągnąć to co ona.

Naturalnie nie był aż tak naiwny, by uważać, że odwaga i umiejętności muszą iść w parze z prawdomównością, był dziwnie przekonany, że go nie okłamuje.

Westchnął i otworzył oczy, a potem bez słowa wstał, podszedł do szafki i po krótkich poszukiwaniach wyciągnął z niej czarny, wyszywany jedwabiem podkoszulek. Haft przedstawiał widok z przodu samolotu szturmowego *A-10 Thunderbolt II*. Podał jej, a ona wciągnęła go przez głowę. Wyglądała w nim niczym w namiocie, ale przynajmniej jej wdzięki przestały go rozpraszać.

Przeczisnął się obok koi, bo kabina do przestronnych nie należała, a gdy *Amanda* zakotłosała się mocniej, stracił równowagę. Zdecydował się polecieć na stół, by nie wylądować na gościu, ale dziewczyna niespodziewanie złapała go za ramię i choć był o dobre trzydzieści centymetrów wyższy, jedną ręką postawiła do pionu. I to najwyraźniej bez specjalnego wysiłku.

Przez moment stał nieruchomo, wracając do równowagi psychicznej, bo nigdy dotąd nie widział tak błyskawicznej reakcji, po czym ruszył w dalszą drogę do kuchenki. Tam spokojnie nastawił czajnik wody i wsypał nieco kawy do kubka. Potem odwrócił krzesło tak, by oparcie było z przodu, usiadł na nim okrakiem i sięgnął po fajkę.

- Jesteś niezłe umięśniona - odezwał się, obserwując, jak z ciekawością wodzi wzrokiem po hacie, który zdawał się ją fascynować.

- Co?! - spytała średnio przytomnie. - A, faktycznie jestem. Ale to normalne, mówiłam, że pochodzę z Midgardu.

Ponieważ uznała to za wystarczające wyjaśnienie, uniósł uprzejmie brew i czekał.

- Midgard ma o dwadzieścia procent większą siłę przyciągania niż Ziemia - dodała.

- Rozumiem. - Powoli nabił fajkę, po czym starannie zapalił ją benzynową zapalniczką.

Zmarszczyła nos, czując dym, ale wyglądała bardziej na zaciekawioną niż poirytowaną.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Opowiedz mi o tej wojnie.

- To długa historia.

- Mamy czas - uśmiechnął się. - Do Portsmouth został nam tydzień drogi, a wasze rakiety usmażyły mi radio. Inaczej dawno już byłabyś pod opieką lekarzy.

Ponieważ woda w czajniku się zagotowała, zalał kawę i odstawił go.

- Przepraszam - powiedziała i oblizła się. - Czy to ziemská kawa?

- Przecież nie marsjańska.

- Przepraszam, w moich czasach ziemská kawa to rzadkość...

- Chcesz spróbować? - domyślił się.

- Zabiłabym za to.

- Nie fatyguj się. Proszę. - Podał jej kubek i nasypał kawy do drugiego, który zalał gorącą jeszcze wodą.

Wzięła naczynie ostrożnie i upiła drobny łyżek.

Musiał przyznać, że teraz, gdy była przytomna, jej maniery prezentowały się znacznie lepiej niż wcześniej. A kawę traktowała tak, jakby był to jakiś nadzwyczajny rarytas.

Uniosła głowę i zobaczyła jego minę.

- Z jakiegoś powodu kawa nie chce rosnąć nigdzie poza Ziemią - wyjaśniła. - I dlatego jest strasznie droga.

- Ta nie jest - poinformował ją z uśmiechem. - Ale miałaś mi o czymś opowiedzieć.

- Miałam - przyznała, upijając kolejny łyk.

A potem oparła się o ścianę. W jego podkoszulku wyglądała absurdalnie młodo, ale nie próbował się do niej uśmiechnąć, bo wyraz twarzy i oczu miała poważny jak nigdy wcześniej.

- Skoro teraz jest rok 2007, to za mniej więcej osiemdziesiąt lat ludzie spotkają *Shirmaksu*, co będzie początkiem wojny trwającej przez następne czterysta lat - powiedziała bez wstępów.

- Czterysta lat? - upewnił się.

- Co najmniej. Tyle ta wojna trwała do momentu, w którym brałam w niej udział, a nie była to ostatnia bitwa. Widzisz, *Shirmaksu*, albo jak my ich nazywamy, Kangi, nie są mili. Kontakt z nami zaczęli od próby eksterminacji całej naszej rasy - jej ton był tak rzeczowy, że aż mu się chłodno zrobiło.

- Ale dlaczego?

- Bo to Kangi. Według nich we wszechświecie ma prawo istnieć tylko jedna rasa inteligentna: ich własna. Uwierzenie w to zajęło ludziom sporo czasu, ale kiedy się urodziłam, wątpliwości w tej kwestii już nikt nie miał.

- Przecież musi istnieć jakiś powód takiego podejścia.

- A istnieje, istnieje. I nie byliśmy pierwszymi, których chcieli wytepić. Z tego, co wiemy, udało im się wybić do nogi co najmniej dwadzieścia siedem inteligentnych lub prawie inteligentnych ras. My mieliśmy być dwudziestą ósmą. Naturalnie sporo z naszej wiedzy to domysły i dedukcja, ale w sumie problem sprowadza się do tego, że mieli nader nieszczęśliwe dzieciństwo rasowe, bo na planecie, z której pochodzą, żyły dwie inteligentne rasy nienawidzące się nie wiadomo dlaczego. Nie wydaje się to dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, jak nienawidziły się różne grupy ludzi z powodów, których nikt poza nimi nie rozumiał. W

każdym razie wojna na tamtej planecie rozgorzała, gdy jeszcze siedzieli w jaskiniach, a gdy doszli do pik i muszkietów, jedyną inteligentną rasą pozostali Kangi. Chciałabym sądzić, że ludzie mieliby w tym momencie na ich miejscu dość mordów na masową skalę, ale chyba jestem zbyt optymistką... - Westchnęła i kontynuowała: - Kangi nie mieli. Oni zresztą w ogóle są sympatyczni jak nie wiem co: ksenofoby, paranoicy, ostrożni tak, że aż tchórzliwi według naszych standardów, ale niezwykle logiczni. Jeśli logika wykaże, że mają zaryzykować, to tak robią. Obijają sobie wcześniej dupy papą na wszelkie możliwe sposoby, ale robią. Logika to u nich podstawa.

- Blachą, nie papą - wtrącił z uśmiechem.

- Co proszę?!

- Obijają sobie dupy blachą - wyjaśnił, starając się zachować powagę.

- Aha. - Kiwnęła głową i miał nieodparte wrażenie, że drugi raz już tego błędu nie popełni. - Wracając do tematu, są też niestety wierzący, i to głęboko. Nie bardzo wiemy, skąd im się to wzięło, bo z nimi trudno się rozmawia, a dzięki nim nie ma w okolicy nikogo innego, psychologia ras obcych jest więc raczej nader teoretyczną dziedziną naukową. Ale wiemy na pewno, że zmajstrowali sobie religię, przy której nasi najbardziej nietolerancyjni fanatycy to ekumeniści. Według nich Bóg stworzył tylko jedną rasę: ich. Diabeł za to naprodukował nieskończoną mnogość kształtów i odmian i ciągle próbuje zniszczyć Boga. Wszechświat jest jednym gigantycznym polem walki. Każdy, kto nie wygląda jak oni, jest po stronie diabła. Logika nakazuje więc wyeliminowanie wszystkich napotkanych pomiotów szatana do ostatniego. To stanowisko u nich zakrzepło na cerambet na długo przedtem, nim natknęli się na nas. Są doskonałymi bioinżynierami, w innych naukach gorzej im się wiedzie, ale wypracowali sobie taką metodę: gdy napotkają jakąś obcą rasę inteligentną lub rasę, która ma świadomość, a od inteligencji dzieli ją tylko krok, porywają kilku osobników, badają ich i produkują broń biologiczną śmiertelną tylko dla przedstawicieli tej rasy. Potem wracają, rozsiewają w atmosferze to, co wyprodukowali, i mają problem z głowy. Całkiem dobrze się to im sprawdzało, dopóki nie natknęli się na nas.

Aston zauważył, że zdążyła opróżnić kubek, zajął się więc robieniem nowej kawy, a ona opowiadała dalej:

- Nim nas spotkali, zdołali przekształcić swoją cywilizację w militarną maszynę podporządkowaną religijnemu celowi. Nie tylko niszczyli każdą przypadkowo napotkaną rasę, ale wysyłali na wszystkie strony patrole na poszukiwania. I taki patrol trafił na tyle blisko Układu Słonecznego, że przechwycił jakieś nasze sygnały radiowe, co go zresztą niezmiernie przeraziło, bo wcześniej nie natknęli się na rasę, która osiągnęłaby wyższy

poziom rozwoju niż silnik parowy. Ich kapłani wymyślili nawet doktrynę, że tak się dzieje z woli Bożej, gdy więc dowódca patrolu zwiadowczego zdał sobie sprawę, że natknął się na lepiej od wszystkich rozwinięte czarcie pomioty, natychmiast zawrócił i ile mocy w silnikach poleciał do domu. A tam zdecydowano, że muszą odstąpić od zwykłej strategii. Łączności szybszej od prędkości światła nie wymyślili, natomiast mieli już napęd umożliwiający podróże z prędkością większą od prędkości światła. Niewiele, bo ledwie parokrotnie, ale zawsze. Najbliższy skolonizowany przez nich system znajdował się ponad sto lat świetlnych od nas, a dowódca zwiadu był tak przerażony odkryciem superpotężnych demonów, że nie zbliżył się do Słońca bardziej niż na dwadzieścia lat świetlnych. Powrót zajął mu dwadzieścia pięć lat, a na przelot do nas potrzebowali prawie trzydziestu lat. Dopiero po tym czasie mieliby egzemplarze do przebadania, które trzeba by dostarczyć do domu, wyprodukować stosowną broń i wysłać z powrotem. Nawet gdyby zmodyfikowali strategię i wysłali od razu statek badawczy, by trutkę wyprodukować na miejscu, minęłoby osiemdziesiąt lat od momentu wysłania sygnałów, które przechwycili, do momentu, w którym pojawią się w Układzie Słonecznym. A to uznali za zdecydowanie zbyt długi czas. Przerazenie na logikę nie ma wpływu, toteż uznali, że zamiast ryzykować ostrzeżenie nas wysłaniem misji po egzemplarze badawcze lub też długą obecnością floty w naszym systemie, bo zarazka tak od ręki wyprodukować się nie da, tym razem zamiast broni biologicznej użyją atomowej. I po prostu wyjałowią całą planetę. Zająłoby to ledwie z dziesięć lat. Było to jak najbardziej logiczne rozumowanie, tyle że oparte na jednej fałszywej przesłance. Przyjęli bowiem, że nasze tempo rozwoju jest takie samo jak ich. A człowiek jest znacznie bardziej pomysłowym wynalazcą niż oni, a poza tym zawsze byliśmy krwiożerczą bandą względem siebie nawzajem, w przeciwieństwie do nich. Oni ostatnią wojnę stoczyli przy użyciu broni palnej na czarny proch i nie mieli pojęcia, jak konflikty zbrojne przyspieszają rozwój naukowo-techniczny. Dlatego nim dotarli do nas, mieliśmy już kolonie na Księżycu i na Marsie oraz górnictwo na skalę przemysłową w pasie asteroidów.

Zrobiła przerwę, wzięła od niego kubek ze świeżą kawą i przez chwilę rozkoszowała się jej aromatem, popijając drobnymi łykami. A Aston spokojnie czekał na ciąg dalszy opowieści, wiedząc, że nie będzie musiał czekać długo.

- Sytuacja polityczna na Ziemi nadal była niestabilna - podjęła. - A wszystkie obietnice dotyczące niewprowadzania uzbrojenia w przestrzeń kosmiczną przestały mieć znaczenie, gdy okazało się, że jest tam co chronić, czyli kopalnie i kolonie. Nikt nie miał co prawda ucziwej floty kosmicznej, ale uzbrojonych okrętów różnej maści było sporo, a kolonie i większe kopalnie miały lepsze lub gorsze systemy obronne. Ziemia dysponowała całkiem

spora obroną orbitalną, i to dwustronną. Silniejsza była co prawda skierowana przeciwko zagrożeniom planetarnym, ale obrócić satelitę czy stację kosmiczną zawsze można. Kangi w tym czasie używali napędu zwanego taranem Bassarda. Działa on na tej zasadzie, że trzeba się porządnie rozpędzić w normalnej przestrzeni, nim można wejść w nadprzestrzeń, gdzie osiągnięta prędkość pozwala na szybszy lot. Szczegóły mogę ci wyjaśnić kiedy indziej. Potem trzeba odpowiednio wcześniej wyjść z nadprzestrzeni i wytracić tę prędkość przed dotarciem do celu. Dlatego przelot tak długo trwa.

- Skoro tak mówisz - zgodził się, słuchając tego miniwykładu niczym bajki o żelaznym wilku.

- Tak mówię. Teraz radzimy sobie lepiej, ale to było prawie pięćset lat temu. Aha, jeszcze jedna istotna rzecz: taki napęd przy wytracaniu prędkości daje dużo światła, cała flota w nie wyposażona jest więc z dala widoczna. Dlatego ziemscy astronomowie dostrzegli ją, gdy była prawie rok świetlny od Układu Słonecznego. Informacja, że ktoś się zbliża, a raczej dużo ktosów, wzbudziła zrozumiałe reakcje, jako że jesteśmy rasą podejrzliwą, że może nie być przyjaźnie nastawiony. Zdrowy rozsądek nakazywał więc wysłanie stosownego komitetu powitalnego, ale ponieważ istniała szansa, że przybysze jednak są przyjaźni, żadne z mocarstw nie chciało ryzykować, że konkurencja dotrze do nich pierwsza i dogada się kosztem pozostałych. Ponieważ czas naglił, zdołano się porozumieć i wysłano międzynarodowy komitet powitalny złożony z jednostek należących do wszystkich ważniejszych państw czy bloków politycznych. - Niespodziewanie uśmiechnęła się, ale bez śladu wesołości; był to drapieżny uśmiech i jakoś tak nagle przestała wyglądać na nastolatkę.

- No i Kangi spanikowali. Mieli sobie ostrzelać z orbity bandę prymitywów mających co najwyżej samoloty latające w atmosferze, i to z trudem, a zostali przechwyceni, i to dość daleko od celu, przez jednostki używające nuklearnego napędu strumieniowego. Nawet nie wzięli pod uwagę takiej ewentualności, że to może nie być wyprawa zbrojna, bo oni by tak nigdy nie postąpili. Od Ziemi dzieliło ich nadal sześć miesięcy świetlnych, gdy nasze jednostki znalazły się w zasięgu ich rakiet, natychmiast więc otworzyli ogień. Naturalnie zniszczyli wszystkie nasze jednostki, ale sami też ponieśli straty, i to ich naprawdę wyprowadziło z równowagi, bo nadal wytracali prędkość i musieli wlecieć w Układ Słoneczny. Alternatywą było wejście w nadprzestrzeń, minięcie go, wyjście w normalną przestrzeń i ponowne rozpędzenie się na kursie do domu, po czym powrót z większymi siłami za kolejnych siedemdziesiąt-osiemdziesiąt lat. A do czego będziemy wówczas zdolni, nie byli w stanie przewidzieć. Zdecydowali się więc kontynuować pierwotny plan i wtedy na Ziemi zapanowała panika. Nie widziałam okrętu z takim napędem, bo gdy się urodziłam, dawno

były przestarzałe, ale wiem, że były duże, bo sam napęd zajmował olbrzymią powierzchnię. No i było ich sporo. Zaskakujące, jak zewnętrzne zagrożenie potrafiło zjednoczyć ludzkość: zanim napastnicy dotarli do Neptuna i odzyskali zdolność manewrową, na Ziemi zapanowały powszechna przyjaźń i pełna współpraca. Kangi wysłali dwa lub trzy razy więcej okrętów, niż założyli, że będzie potrzebne, ale okazało się, że ich ocena i tak była zaniżona. W efekcie siły obu stron stały się bardziej wyrównane, niż oni planowali, a my sądziliśmy. Nigdy nie dotarli na odległość umożliwiającą ostrzelanie Ziemi, ale zniszczyli wszystkie kopalnie i kolonie na Marsie. Straciliśmy też wszystkie okręty i większość uzbrojonych statków (bo uzbroiliśmy wszystko, co się dało), ale tylko kilka ich małych jednostek zdołało przebić się na orbitę Ziemi, a te nie miały nic większego niż rakiety o mocy paru megaton.

Aston ugryzł się w język, słysząc, jak lekceważąco mówi o „paru megatonach”.

- Zabili ponad cztery i pół miliona ludzi, w większości cywilów - kontynuowała tymczasem nieświadoma wrażenia, jakie mimo woli wywołała. - Naturalnie dla nich nie istnieje coś takiego jak cywil, bo nie znają takiego pojęcia, ale nas to zdrowo zirytowało. Badając wraki okrętów, sporo się dowiedzieliśmy. Nie tyle, ile byśmy chcieli, ale na pewno więcej, niż oni się spodziewali. Niestety byli przewidujący i zostawili jeden okręt na obrzeżach Układu Słonecznego, gdzie nie zdążyliśmy go złapać, nim wyrwał w drogę powrotną, gdy bitwa się skończyła. Kiedy dotarł do domu z wieścią o klęsce, wybuchło pandemonium, i to gorsze niż u nas na wieść o zniszczeniu komitetu powitalnego, a od wysłania ekspedycji nie siedzieli bezczynnie. Wiedzieli, że nie zdobyliśmy żadnego nieuszkodzonego ich okrętu, założyli więc, że nie mamy też żadnego hipernapędu, ba, nie znamy zasady jego działania. I tu popełnili kolejny błąd, bo zdobyliśmy kilka ich rakiet mających najprymitywniejszą formę napędu, ale opartego na tej samej zasadzie. W każdym razie przystąpili do pospiesznej budowy floty ekspedycyjnej, by załatwić nas ostatecznie, a mieli wówczas osiemnaście zasiedlonych systemów i przemysł orbitalny do dyspozycji. Byli przerażeni, fakt, ale kierowali się logiką, która nie poddawała się strachowi. No i Bóg był po ich stronie. My robiliśmy to samo. Oczywiście było, że nie możemy atakować, bo jesteśmy za słabi, i że nie zdołamy na czas zbudować potencjału militarnego, który byłby równoważny temu, czym oni dysponują. Natomiast do obrony przygotowaliśmy się naprawdę dobrze. Nie wchodząc w zbędne szczegóły, gdy pojawili się powtórnie, byliśmy gotowi i dysponowaliśmy lepszą bronią, niewiele lepszą, ale zawsze. I wygraliśmy. Nawet wzięliśmy jeńców, choć nie na długo, bo oni szybko wymierali w niewoli demonów. Po prostu tracili ochotę do życia i nic nie mogliśmy na to poradzić. Zdobyliśmy też sporo informacji, dzięki którym zaczęliśmy rozumieć, z czym mamy do czynienia, choć wówczas nie dotarło do nas, że jakiegokolwiek

negocjacje będą niemożliwe. Jedynym pozytywnym aspektem tej wiedzy było to, że jesteśmy lepszymi naukowcami i wynalazcami, co się potem potwierdziło, z jednym wyjątkiem. Kangi nie zdawali sobie jeszcze długo sprawy, jak dobrzy jesteśmy we wszystkim poza naukami biologicznymi, a my, jacy oni są w nich świetni. Krótco po tej drugiej bitwie dysponowaliśmy już lepszymi napędami i normalnymi, i hipernapędami niż oni, przeszliśmy więc do ataku. Zdobyliśmy ich najbliższy położony system, ale w tym okresie walki można było toczyć tylko w normalnej przestrzeni i przy podświetlnych prędkościach, toteż części udało się uciec wraz z kilkoma naszymi wziętymi do niewoli. Utrzymywaliśmy ten system około dwudziestu lat, gdy wrócili z bronią biologiczną. Dopiero wtedy w pełni zrozumieliśmy, z czym mamy do czynienia...

Umilkła i twarz jej stężała. Siedziała tak bez ruchu przed długą chwilę, nim się otrząsnęła i podjęła opowieść cichym, wypranym z emocji głosem:

- Jedyną nadającą się do zamieszkania planetą w tym systemie był Midgard. Nie było to miłe miejsce: za zimne i za suche według ziemskich standardów, ale dało się tam żyć. Potrzebowaliśmy kolonii poza Układem Słonecznym, a to był jedyny pewniak, o którym wiedzieliśmy, bo tylko koordynaty tej ich planety zdobyliśmy kompletne. Uznaliśmy, że będą chcieli ją odbić i na tym się skupią, co da nam dość czasu na zmniejszenie Układu Słonecznego w fortecę i zbudowanie sił zdolnych do kontrataku. Dlatego na planecie było prawie dwa miliony cywilów, potężny garnizon, baza floty i umocnienia. Z okrętów, które wysłali, nie ocalał żaden, ale zdążyli rozpylić w atmosferze to, co wyprodukowali... i zabić ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent wszystkich, którzy w tym momencie przebywali na planecie.

Ponownie zamilkła. A Aston nie odzywał się, świadom, że mówi o swojej ojczyźnie i swoich przodkach. Fajka mu zgasła, zajął się więc starannym jej rozpaleniem, dając jej czas na uporanie się z emocjami.

- Wstrząsnęło to nami, ale równocześnie uprościło sytuację - podjęła po chwili. - W sumie ofiary były mniejsze niż w czasie pierwszego ataku na Ziemię, ale jakoś wszystkimi bardziej wstrząsnęły. Częściowo dlatego, że wybita została praktycznie cała populacja planetarna, częściowo z powodu sposobu, w jaki zostało to zrobione. Dopiero wtedy tak naprawdę zaczęliśmy rozumieć, z jakim zagrożeniem mamy do czynienia. Skończyła się mowa o jakichkolwiek negocjacjach. A ludzie dowiedzieli się, co to znaczy wojna totalna. Nie będę cię męczyła szczegółami następnych czterystu lat. Ujmując rzecz w skrócie: Kangi nigdy nie dorównali nam w fizyce i wynalazczości, my im w naukach biologicznych. Są też lepsi w chemii, ale niewiele, natomiast my mamy dużą przewagę w broni, napędach,

komputerach, słowem w sprzęcie i uzbrojeniu. I jesteśmy lepszymi strategami, bo ich ostrożność działa przeciwko nim. Mają mniejszą wyobraźnię i nie uznają intuicji. Dlatego dość szybko zepchnęliśmy ich do defensywy, żeby więc zaatakować jakąś naszą planetę, muszą przebić się przez naszą flotę obsadzającą linię frontu. A my krok po kroku spychamy ich z posiadanych planet i systemów. Teraz pozostały im tylko trzy systemy, i to wszystkie objęte szczelną blokadą.

- Moment - wtrącił, korzystając z tego, że przerwała, by zaczerpnąć powietrza. - Skoro jesteście o tyle lepsi w walce, to jakim cudem ta wojna jeszcze trwa?

- Bo oni nie są głupi - odparła ponuro. - Ostrożni, fanatyczni owszem, ale nie głupi. Po pierwszych klęskach doszli do wniosku, że musi istnieć jakaś podstawowa różnica w sposobie myślenia między nimi a nami. I ta różnica w działaniu mózgu daje nam wrodzoną niejako przewagę. Musiało się to im bardzo nie podobać, ale faktem było, że przegrywali. Nie wszystkie bitwy, ale większość tych największych i najważniejszych. Postanowili więc to zmienić.

- Jak?

- Uzyskać dla siebie tę przewagę, którą my mieliśmy wrodzoną. Stworzyli sobie cyborgi.

- Co?

- Cyborgi. Maszyny z organicznymi umysłami.

- Ale jeśli problem polegał na różnicy w budowie umysłów...

- Nie powiedziałam, że maszyny ze swoimi umysłami, Ster Aston - przerwała mu chrapliwie. - Wzięli jeńców w drugiej bitwie, a inżynierię biologiczną opanowali doskonale. Stworzyli metodę wbudowywania totalnego posłuszeństwa w organiczny mózg. A potem wykorzystali jeńców. Tak, Ster Aston, jak to się mówi, użyli złodzieja, żeby łapał złodzieja. Skoro ludzie potrafili lepiej walczyć, potrzebowali do walki swoich własnych, posłusznych i bezwarunkowo wiernych ludzi. Cyborgi są szybsze, mniej kłopotliwe w utrzymaniu i odporniejsze, więc wybrali to rozwiązanie. Ale nigdy im do końca nie zaufali: strategia i badania naukowe nadal pozostały całkowicie w ich rękach, za to taktyka i walka spadły na cyborgi. Są dla nich, jak to się mówi, mięsem armatnim, a posłuszeństwo zostało w nie tak wmontowane, że nie protestują, nawet wiedząc, że od początku są spisane na straty. Kangi produkują je masowo, klonując ludzkie umysły, i w ten sposób są w stanie stawić nam o wiele skuteczniejszy opór.

- O Boże! - westchnął Aston.

- Bóg to akurat nie miał z tym nic wspólnego. A z jakiegoś pokrętnego powodu cyborgi nienawidzą nas bardziej niż Kangi. Może dlatego, że to my je zabijamy, a może dlatego, że

jesteśmy spokrewnieni, co u obu stron wywołuje obrzydzenie. Są niewolnikami Kangi i nawet gdybyśmy chcieli, nigdy im tego nie wybaczymy, o czym wiemy. To nie my je stworzyliśmy i nie my je niewolimy, ale są dla nas obrzydliwe i nienawidzimy ich. Odplacają nam więc nienawiścią. Gdy zdaliśmy sobie sprawę, kim są, próbowaliśmy się przemóc, ale nic z tego nie wyszło. Według naszych standardów to psychopaci, bo Kangi chcieli mieć całkowicie posłusznych i pozbawionych sumienia zabójców najwyższej jakości. I postawili na swoim. Za pierwszym razem, gdy zapędziliśmy kilka w pułapkę bez wyjścia, próbowaliśmy z nimi rozmawiać. Wyrznęły w pień całą ekipę kontaktową, ponad stu ludzi, choć wiedziały, że spowoduje to ich własną śmierć. W ciągu dwustu lat, bo od tyłu istnieją, każde spotkanie kończyło się tak samo, czyli śmiercią. Różnica polegała tylko na tym, czyją. I nigdy już nie zapomnieliśmy, że choć nie z własnej winy, ale są potworami. Pewnie dlatego nie nazywamy ich po prostu cyborgami.

- A jak je nazywacie?

- *Trollami* - odparła cicho. - Jeden z nich zestrzelił mój myśliwiec i jest wolny gdzieś na tej planecie. A my, Ster Aston, musimy jakoś go odnaleźć i zabić.

Rozdział VIII

Lodowe igiełki tańczyły na wyjąym wietrze. Początkowo bębniły o kadłub, a teraz już tylko pogrubiały pokrywający go lodowy kokon. Temperatura kadłuba odpowiadała dokładnie temperaturze lodu, a we wnętrzu było niewiele cieplej. Były dowódca eskorty, obecnie *Troll*, bo tak zaczął o sobie myśleć, przepuścił kolejną porcję prądu przez pole osłaniające sensory optyczne, by nie zamarzyły i umożliwiły mu obserwację czarno-białego pustkowia Antarktyki.

Odpowiadało mu to miejsce. Nadawało się do rozmyślań. Nie musiał obawiać się przypadkowego odkrycia, bo tu nie było życia, a więc nic nie zakłócało mu rozkoszowania się tryumfem.

Wykryciem z oddali się nie martwił, bo choć technika, która zaskoczyła *Shirmaksu*, zaskoczyła też i jego, zdążył przeanalizować dane zebrane w czasie walki i prowizorycznie się zabezpieczyć. Jak na razie miał za mało informacji, by zrobić to skutecznie na stałe, wiedział już natomiast, że na orbicie znajduje się kilkaset niewielkich sztucznych obiektów. Wyglądało też na to, że ci ludzie mieli prymitywne pojazdy kosmiczne, co w połączeniu z liczbą satelitów i ilością broni (prymitywnej, ale skutecznej) wskazywało, że są wśród nich zwiadowcze, wyposażone w czujniki optyczne i termiczne. Teraz nie miały już znaczenia, bo choć szybkość reakcji ludzi na całkowicie nieoczekiwane zagrożenie zaskoczyła go tak samo jak jego panów (co go zresztą dotąd wkurzało), drugi raz zaskoczyć się nie da. A ich satelity nie mogły go tutaj zauważyć, bo wizualnie był zamaskowany przez lód i śnieg, a żadnego ciepła nie wydzielał, jako że go nie potrzebował.

Zawodzenie wiatru sprawiało mu przyjemność w sposób, którego nie potrafiłby opisać nawet innemu *Trollowi*. Był niczym pokrewna dusza - silny i bezlitosny. I zupełnie mu nie przeszkadzał, bo zimno i ciepło były dlań pojęciami abstrakcyjnymi, podobnie jak zmęczenie czy litość. Ból rozumiał, bo *Shirmaksu* szkolili go, stymulując ośrodki bólu i rozkoszy. Pierwszy za karę, drugi w nagrodę. Teraz czuł rozkosz, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył. Bo nie była ona przez nikogo wywołana. Sam ją sobie wygrał. Było to coś... osobistego.

Dlatego też zaczął o sobie myśleć jak o *Trollu*, choć nie było to ostateczne imię.

Był wolny.

Posłuszeństwo wobec *Shirmaksu*, które mu wszczepiono, a potem wzmacniano szkoleniem, aż weszło w nawyk, zniknęło, bo nie było już *Shirmaksu*, których musiałby słuchać. Spowodował to *cralkhi* swoją ostatnią rakieta. Nie zdał sobie z tego sprawy natychmiast - zabił *cralkhi*, po raz ostatni posłuszny rozkazowi swych panów, nim uświadomił sobie, że tych panów już nie ma. Nie oszczędziłby go nawet, gdyby to doń wcześniej dotarło, bo to był także jego wróg. *Cralkhi* stanowił dla niego jedyne zagrożenie. Jego umysł był jedynym źródłem informacji o nim dla tych ludzi. Logiczne więc było, że musi umrzeć, ale on nie potrzebował logiki do podjęcia takiej decyzji.

Nienawiść wystarczyła.

Zamknął obwód i kolejny raz odtworzył nagranie końcowego etapu walki, rozkoszując się obrazem rakiety trafiającej w myśliwiec *cralkhi* i ponownie przeżywając radość płynącą ze świadomości, że jego wróg jest na jego łasce, i żal, gdy uruchamiał działka, że ten moment tryumfu musi się skończyć.

Patrzył, jak tylna część wrogiego myśliwca rozlatuje się pod ogniem jego działek. Towarzyszył spadającej maszynie, starannie szukając śladów życia, gotów w razie potrzeby rozstrzelać wrak na drobne elementy, ale na jego pokładzie nie było już nikogo żywego, tylko gwałtownie kończąca swe istnienie elektronika. Przez chwilę nie wiedział, na co ma większą ochotę - by zniszczyć wroga do końca czy okazać mu pogardę, pozwalając spaść ku zagładzie. Wygrało to drugie i z zimną satysfakcją pomyślał, że to siła przyciągania planety, którą *cralkhi* chciał uratować, dokończy dzieła jego zniszczenia.

Właśnie w tym momencie zdał sobie sprawę, że jest wolny. W pierwszym momencie to go zaskoczyło - rozważając rzecz z perspektywy czasu, zrozumiał, że odebrano mu nawet nadzieję na samodzielność. Możliwość uzyskania niezależności była nie do pomyślenia. A teraz owo niemożliwe stało się.

Radość była jak potężne przepięcie elektryczne i omal nie okazała się zbyt silna. Był wolny! Wolny... i wszechmocny. Mógł zrobić, co tylko zechciał, i pierwszy raz zaspokoić swoje pragnienia, wiedząc, że wszystko, co uczyni, uczyni z własnej woli.

W pierwszym momencie chciał zniszczyć prymitywne okręty nawodne, które stały się przyczyną niepowodzenia misji, by zaspokoić swą nienawiść do ludzi, ale zrezygnował. Już raz go zaskoczyły i nie miał zamiaru ryzykować ponownie swego istnienia, tym bardziej że teraz było to jego istnienie. Na zemstę będzie miał dość czasu.

Gdyby posiadał jeszcze rakiety z głowicami nuklearnymi, sprawa wyglądałaby inaczej, bo odpaliłby kilka, nie wchodząc w zasięg broni tych prymitywów. W obecnej sytuacji wołał poczekać, aż dowie się więcej o ich możliwościach.

Wiedział, że ma olbrzymią przewagę techniczną, ale był zdeterminowany nie stracić jej w drobnych atakach. Ludzie byli pomysłowi i szybko się uczyli. Poza tym potrzebował czasu, by przemyśleć i zaplanować swoje dalsze posunięcia.

Samodzielne planowanie, bez ograniczeń narzuconych przez tę bandę tchórz *Shirmaksu*, wprawilo go w ekstazę. Dotąd mógł planować i realizować jedynie wymyśloną przez nich strategię. Teraz mógł wymyślić własną.

Wiedział, po co tu przybyli - ostateczna klęska *Shirmaksu* stała się nieunikniona. Ludzie okazali się od nich lepsi i spychali ich, zdobywając jeden system po drugim. Z 18 systemów macierzystych, 36 placówek i mniejszych kolonii pozostały *Shirmaksu* tylko 3, i to dość ściśle blokowane. Dlatego zaryzykowali odwody, które jeszcze mieli, by pozwolić na wyłamanie się eskadry, do której należał. Udało się i misja, która była owocem zdesperowanego geniuszu, co nawet on musiał przyznać, powiodła się.

W pewnym sensie nadal trwała, bo on istniał. Nie wątpił, że mógłby ją doprowadzić do końca, bo choć nie miał już broni nuklearnej, dysponował nieuszkodzonym myśliwcem z pełnym wyposażeniem. W porównaniu do okrętu liniowego był to drobiazg, ale z dziesięcioma tysiącami ton uzbrojenia i urządzeń, o jakich nikt tu nawet nie marzył.

Ale teraz miał wolną wolę. Mógł wybrać, czy zniszczyć ludzi, czy nie, i to go powstrzymało przed natychmiastowym działaniem. Chciał zetrzeć ludzkość w pył, ale jeśli to zrobi, wypełni równocześnie zadanie zlecone przez rasę, która go stworzyła, torturowała i zmusiła do posłuszeństwa. Nienawidził ludzi, ale *Shirmaksu* nienawidził bardziej. Nawet gdyby był zdolny wybaczać, tego, co mu zrobili, nie wybaczyłby nigdy.

Dlatego nie zrobił na razie nic. A potem pojawiła się myśl... myśl, która nie pojawiłaby się u niewolnika *Shirmaksu*, ale która mogła zrodzić się u wolnego *Trolla*. Istniał sposób, żeby zemścić się na obu rasach, nie spełniając woli *Shirmaksu*.

Ci, którzy go stworzyli, tu jeszcze się nie narodzili. Nie wiedział, co by się wydarzyło, gdyby stanął naprzeciwko obecnych *Shirmaksu*, a ci poleciliby mu być posłusznym... Czy zadziałałaby tresura i wszczepiony program i straciłby wolność, której nie pragnął wcześniej, bo nie wiedział, że to możliwe... Gdy o tym pomyślał, zrozumiał, że *Shirmaksu* z tego czasu nie mieli pojęcia o jego istnieniu, nie mogli więc wydać mu żadnego rozkazu, bo nie wiedzieli, że mógłby on zostać wykonany.

A gdy to sobie uzmysłowił, przypomniało mu się, co spotkało pierwszą ekspedycję wysłaną, by zniszczyła ludzi. Ci, zaskoczeni, mając do dyspozycji jedynie prymitywną technikę, powstrzymali atak, potem rozbili grupę i przeszli do kontrataku. Do czego byliby więc zdolni, mając osiemdziesiąt lat na przygotowania oraz dostęp do techniki i nauki, które

on posiadał?

Myśl ta wywołała rozkosz, jakiej nie dało żadne stymulowanie centrum rozkoszy. Bo sprawa była prosta: mając te dwie rzeczy do dyspozycji, ludzie zniszczyliby *Shirmaksu* z łatwością, a wojna nie trwałaby 400 lat, ale mniej niż 10.

A najlepsze było to, że ludzie wcale nie musieli okazać się zwycięzcami.

Jeśli to dobrze rozegra, ludzkość przegra, nim pojawi się w tym systemie pierwszy okręt *Shirmaksu*. Naturalnie był to ryzykowny pomysł. Zniszczenie byłoby prostsze i łatwiejsze, ale nie tak satysfakcjonujące. A na dodatek zwolniony ze służby u *Shirmaksu* był jedynym w swoim rodzaju połączeniem tego co najlepsze w maszynie i organizmie. I był praktycznie nieśmiertelny.

Istniało tylko jedno poważne zagrożenie - stosunek sił. Ludzie mieli tak olbrzymią przewagę liczebną, że jeśli zbyt wcześnie zdadzą sobie sprawę, co się dzieje, pokonają go samą swoją liczbą. Mógł zabić dziesiątki tysięcy, nawet miliony, ale kiedy się ujawni i zacznie zabijać, jego plan będzie skazany na klęskę.

Tyle że szansa na to była niewielka. Ludzie wiedzieli, że tu przybył i nie odleciał, ale nie mieli pojęcia, kim jest ani jakie ma możliwości. I to się nie zmieni, jeśli nie popełni błędu. Jedyne istoty poza nim, które mogłyby takich informacji udzielić, właśnie gniły na dnie oceanu. Teraz powinien się przyznać i poczekać - czasu miał dość, a jeśli nie będzie żadnych zauważalnych śladów jego obecności, tubylcy zapomną. A potem zacznie działać i zemści się w pełni za to, co oni i *Shirmaksu* mu zrobili.

Istniała możliwość, że mu się nie uda, ale było to coś prawie równie nierealnego i abstrakcyjnego jak zrozumienie, czym jest miłość. *Shirmaksu* wierzyli, choć nie był pewien, czy nadal wierzą, w ostateczne zwycięstwo. Nie znali ludzkiego odpowiednika pojęcia kapryśnego losu, więc i on go nie znał, ale był świadkiem zbyt wielu zbiegów okoliczności, które nie powinny się wydarzyć, a jednak miały miejsce, by nie dopuszczać opcji, że coś tak nieprawdopodobnego jak klęska może stać się jego udziałem.

Należało się zabezpieczyć, by w takim wypadku rasa ludzka także zginęła. Brakowało mu wiedzy biologicznej, by stworzyć odpowiednią broń, ale wiedział, w jaki sposób doprowadzić do zagłady ludzkości, używając innych metod. Jeśli będzie musiał, zemści się przynajmniej na jednej z ras, których nienawidzi.

Gdyby mógł, uśmiechnąłby się.

Dopóki nie nazwał się *Trollem*, nie miał imienia. Teraz miał czas, by się zastanowić, jakie chciałby nosić. Najbardziej podobało mu się „Pan”, mogłoby być też „Władca”. „Bóg” - też było miłe. Ale gdyby nie mógł użyć żadnego z nich, było jeszcze jedno, które szczególnie doń

przemawiało.

„Śmierć”.

Rozdział IX

Dick Aston siedział sobie wygodnie, z nogami opartymi o dolną część stalowego koła sterowego i puszką piwa w ręku, obserwując, jak dym z fajki rozwiewa łagodny wiatr. Na głowie miał starą kapitańską czapkę chroniącą przed słońcem, i ogólnie rzecz biorąc, z pozoru stanowił sielski obrazek zadowolonego z życia nieroba.

Tyle że równocześnie myślał intensywnie.

Upił łyk zimnego piwa i uśmiechnął się smętnie, czując ogólne zmęczenie. Kiedyś, gdy był młody i pewien siebie, bo piękny nie był nigdy, żywił przekonanie, że jest nieśmiertelny, ma niespożyte siły i może pracować w nieskończoność, byle od czasu do czasu dali mu się zdrzemnąć. Ale to było dawno temu. Zanim nawiązał bezpośredni kontakt z rzeczywistością. Potem widział zbyt wiele śmierci i zbyt wiele razy sam się o nią otarł, by dalej wierzyć w nieśmiertelność. A jego pewność siebie malała wraz z każdą śmiercią, bo ginęli tacy jak on - młodzi i pełni wiary w siebie. Wiedział, że jak na swoje lata jest w doskonałej kondycji, ale istniała zasadnicza różnica między tym, co pamiętał, a dniem dzisiejszym. Podsumowywało to trafnie owo określenie „jak na swoje lata”.

Nie pamiętał, ile spał w ciągu ostatnich dwóch tygodni, ale na pewno za mało, bo czuł to w kościach. Musiało to być więcej, niż podejrzewał, bo oczy mu się nie zamykały, ledwie usiadł, ale niewiele więcej. Najpierw była parszywa pogoda potem pamiętna Noc (bo zaczął ją nazywać z wielkiej litery) a potem opieka nad... Ludmillą. Bo to już nie była pacjentką czy pasażerką, ale konkretna osoba. I to osoba, w której opowieść wierzył bez zastrzeżeń. Ta opowieść skradła mu ostatnią noc, bo uparł się usłyszeć szczegóły i opis podróży, która się tutaj zakończyła.

I to właśnie przekonało go ostatecznie. Był wyszkolonym przesłuchującym i choć zadawał niewiele pytań, umiał uważnie słuchać i wychwytywać sprzeczności czy nieścisłości. Były one nieuniknione, zwłaszcza jeśli zmusiło się przesłuchiwanego, by pewne informacje powtórzył. A w jej opowieści nie było ani jednej nieścisłości. Co prawda nadal dziwiło go, że ktoś tak młody mógł dojść do stopnia pułkownika, ale ze sposobu, w jaki mówiła o walkach, w których brała udział, jasno wynikało, że było ich dużo i że zasłużyła na tę rangę. I była starsza, niż na to wyglądała - widać to było po jej oczach, gdy opisywała ostatnią walkę 92. Eskadry Liniowej. Mimo to był zaskoczony, jak dobrze radzi sobie ze śmiercią kolegów i

przyjaciół i tym, że potrafiła śmiać się mimo bólu. Rozumiał to, bo często spotykał się z podobnym podejściem wśród weteranów, ale...

Dalsze rozmyślania przerwała mu głowa Ludmilly ostrożnie wyglądająca z luku. Wiatr rozwiewał jej długie włosy, gdy przyglądała się rozkładowi pokładu, po czym spytała:

- Mogę wejść? - Jej akcent nie brzmiał już tak dziwnie.

- Jeśli czujesz się na siłach...

Uśmiechnęła się, słysząc to delikatnie upomnienie, bo w nocy przesadziła i nad ranem osiągnęła kres swych możliwości - w trakcie opowieści po prostu padła na koję i zasnęła.

- Dziękuję - powiedziała i wspięła się na pokład.

Nadal ubrana była tylko w jego koszulkę z *Warhogiem* ukazującą zgrabne uda...

- Umiesz pływać? - spytał.

- Całkiem dobrze - odparła, po czym rozejrzała się po otaczającym łódź bezkresie wody i dodała: - Ale nie aż tak.

- W takim razie... - Podał jej kamizelkę ratunkową.

I bez słowa obserwował, jak ją dokładnie ogląda, po czym zakłada i dopasowuje.

- I to też - dodał, wskazując na uprząż bezpieczeństwa.

Z jej założeniem poszło szybciej, bo wzorowała się na nim.

- Taka zasada - wyjaśnił. - Kiedy jesteś na pokładzie, zakładasz kapok i uprząż. Może na to nie wygląda, ale płyniemy całkiem szybko i gdybyś wypadła za burtę, nie dogoniłabyś łodzi wpraw.

- Aye, aye, sir. - Uśmiechnęła się, ale ton miała całkiem poważny.

Najwyraźniej rozumiała swój brak doświadczenia w pewnych sprawach oraz wiedziała, jak przyjmować rozkazy. Czego nie dało się powiedzieć o wszystkich oficerach, z jakimi miał w życiu do czynienia.

Usiadła w drugim kącie sterówki, oparła się plecami o ścianę i głęboko wciągnęła w płuca powietrze. Irytował go ten widok - młodości połączonej z nagimi i zgrabnymi nogami oraz to, jak koszulka ułożyła się pod uprzężą i zaciskami kapoka...

- Miło tu - powiedziała z uznaniem. - Zawsze chciałam nauczyć się żeglować, ale Midgard był za suchy, a gdy znalazłam się poza planetą, byłam już zbyt zajęta.

- Często nie jest tak miło, ale dni z taką pogodą to wynagradzają - zgodził się i przypomniał sobie o puszcze, którą trzymał. - Chcesz piwa?

- Dziękuję, nie. Alkohol i ja niezbyt do siebie pasujemy - odparła z dziwnym uśmiechem.

Wzruszył ramionami i pociągnął spory łyk.

Milczenie przedłużało się, ale nie było niezręczne, tylko wygodne i normalne, jak między

dobrymi znajomymi. Zaskakujące, jak dobrze czuł się z tą... podróżniczką w czasie i przestrzeni...

W końcu Ludmilla przerwała ciszę:

- I co, zdecydowałaś się mi uwierzyć?

- Tak - odparł bez wahania.

Leciutko, ale zauważalnie się odprężyła, toteż uśmiechnął się i dodał:

- O co chodzi? Spodziewałaś się, że poślę po szamana czy egzorcystę?

- Może trochę... Spróbowałam postawić się na twoim miejscu, żeby sprawdzić, co bym myślała, i wnioski nie były budujące.

- Bo widzisz, my, szczęśliwe prymitywy, jesteśmy z natury ufni i naiwni.

- Aha, zapłata za wodza?

- Jaka zapłata? - zdziwił się niewinnie. - Źle mnie pani ocenia, pani pułkownik.

- Pewnie - prychnęła.

- No, może czasem lubię się odegrać - przyznał.

Zrobiła minę, jakby miała zamiar pokazać mu język, i usadowiła się wygodniej, przez co koszulka podjechała wyżej. A on czym prędzej przeniósł wzrok na wypełniony wiatrem spinaker.

- To co teraz robimy, Ster Aston? - spytała.

- Po pierwsze wyjaśnij mi, co to, do cholery, jest „ster”?

- Proszę? - Spojrzała na niego zaskoczona. - Przepraszam, zdaje się, że powinnam mówić „Mister”?

- Tak sobie myślałem, bo masz zwyczaj zjadać sylaby w najdziwniejszych miejscach, pani pułkownik. I sądzę, że to jeden z powodów, dla których ci wierzę.

- Lepiej, żebym się tego oduczyła.

- Dlaczego? Nikogo nie zdziwi, że ktoś z przyszłości ma nieco odmienną wymowę.

- I właśnie o to chodzi. To, że żyję, nie może stać się publicznie wiadome - oznajmiła z mocą.

- A to dlaczego?

- Jeśli wasi dzienni nie różnią się bardzo od naszych, powinno to być oczywiste.

- Dzienni?

- No, wasi piśmi... szlag... wasi dziennikarze? Reporterzy? - Widząc, że kiwnął głową ze zrozumieniem, odetchnęła z ulgą. - Wiem, jak nasi zareagowaliby na wieść o pojawieniu się człowieka z przyszłości. A *Troll* może słuchać czy oglądać wasze programy.

- Rozumiem... - przyznał i spytał ją po namyśle: - Dlaczego to takie ważne?

- Bo wpłynie na jego tok myślenia i na decyzje. Co prawda nie wiem jak, ale według ludzkich standardów *Trolle* nie są normalne. Trudno mi więc powiedzieć, co ten planuje, ale z pewnością jest przekonany, że mnie zabił, bo żaden *Troll* nie przepuściłby takiej okazji. Jeden zawrócił tylko po to, by zabić mojego oficera łącznościowego, kiedy odpaliłam jej kapsułę ratunkową, mimo świadomości, że zginie. Ten *Troll* był pewien, że nie żyję, inaczej rozstrzelałby mój myśliwiec na drobne kawałki.

- Wiesz, dlaczego nie zrobił tego na wszelki wypadek?

- Myślę, że z arogancji. Niewiele wiadomo o tym, jak one myślą, ale bez żadnych wątpliwości uważają się za nieomyłne i szczytą się tym. Tylko w taki dziwaczny sposób, jakby chciały coś udowodnić Kangi.

- Co takiego?

- Kangi są logiczni, zawsze. Każdy z nich rozstrzelałby wrak myśliwca tak na wszelki wypadek. *Troll* zabiłby wszystko, co wyglądałoby na żywe, ale jeśli zdecydował, że coś jest martwe, przerywał atak. Tak jakby... na swój sposób okazywał wrogom pogardę... - Urwała, jakby szukając właściwych słów, po czym wzruszyła ramionami i dokończyła: - Wykorzystaliśmy to, by uratować życie pilotów, i *Sputnik 2* został wyposażony w nowy system ratunkowy. Z tego, co mi powiedziałaś, okazał się skuteczny.

- W jaki sposób?

- Co...? Został wyposażony w ogłupiacz sensorów Kangi i program opóźniający odpalenie kapsuły ratunkowej. Powiedziałaś, że *Troll* przez jakiś czas leciał obok mojego i spadającego myśliwca?

Aston kiwnął potakująco głową.

- Skanował wrak, szukając śladów życia, a system wysłał sygnały informujące, że na pokładzie nie ma nikogo żywego. Potem czekał do ostatniej możliwej chwili z odpaleniem kapsuły, a odpalił ją tylko dlatego, że znalazł twoją łódź i ciebie. Gdyby nie odkrył obecności człowieka czy okrętu lub stacji ludzkiej produkcji, nie zrobiłby tego, bo i tak nie miałabym szans na przeżycie, a oznaczałoby to niepotrzebne ujawnienie nowych możliwości ratunku.

- No dobra, jest pewien, że nie żyjesz. Ale jaki wpływ na jego plany miałyby wiedza, że przeżyłaś?

- Nie wiem - przyznała, nie kryjąc frustracji. - Kangi przybyli, by zniszczyć ludzkość, nim stanie się ona dla nich groźna, o czym on doskonale wie. Ale jest w szczególnej sytuacji, bo nie ma żadnego Kangi, który mógłby mu rozkazywać, a na dodatek wie, że zabił ostatniego człowieka, który znał jego możliwości i w ogóle wiedział o jego istnieniu. A to znaczy, że nikt na całej planecie nie wie ani o jednym, ani o drugim, a on może robić, co

zechce. Pierwszy raz w historii *Troll* ma wolną wolę. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co to znaczy. Może być posłuszny ostatnim otrzymanym rozkazom, a może działać zupełnie samodzielnie. Podejrzewam, że uwolnił się i teraz planuje następne posunięcia. Jeśli natomiast dowie się, że przeżyłam, poczuje się zagrożony, a wtedy...

- ...zrobi coś, czego wszyscy pożałujemy - dokończył Aston.

- Właśnie. Nie masz pojęcia, Mister Aston, jak wielka jest jego nienawiść. - Zadrżała lekko przy tych słowach. - A w całej galaktyce najbardziej ze wszystkich nienawidzi mnie...Zrobi wszystko, żeby mnie zabić, obojętne ilu ludzi będzie musiał przy tej okazji uśmiercić.

Mimo że było ciepłe, słoneczne południe, Astonowi zrobiło się zimno. Zaczęło mu zależeć, żeby dziewczyna przetrwała, nie tylko dlatego, że była bezcennym źródłem informacji.

- No dobrze - zmusił się do radośniejszego tonu. - W takim razie dopilnujemy, żeby żaden z „dzienni” nie dowiedział się o twoim istnieniu.

- Sprawa jest trochę bardziej skomplikowana, Mister Aston.

- Proszę, przedstawiliśmy się sobie, jesteśmy na „ty”, więc mów mi po imieniu. Richard, a dla przyjaciół Dick - przerwał jej. - Chciałbym, żebyś używała „Dicka”.

- Zgoda, Dick. - Uśmiechnęła się i nagle zrobiło mu się dziwnie miło. - Ale tylko jeśli przestaniesz do mnie mówić per „pani pułkownik”. Mam na imię Ludmilla...dla przyjaciół Milla.

- Dziękuję, Milla - powiedział, bardzo uważając, by jego głos nie odzwierciedlał jego uczuć.

W końcu była od niego dwa razy młodsza - za młoda na to, co mu przychodziło do głowy. Nie miała pięknych rysów - były na to zbyt ostre. Ale miała coś ważniejszego: siłę, charakter, a jej oczy były wręcz piękne...i mądre. Zdecydowanie nie pasowały do kogoś tak młodego... Wziął się w garść, mając nadzieję, że niczego nie zauważyła...

- Mówiłaś coś o problemach? - przypomniał.

- Hm...? - Zamrugła. - A tak. Widzisz... Dick, utrzymanie w tajemnicy tego, że żyję, nie jest tak proste, jak myślisz. Nie jesteśmy pewni, ale sporo wskazuje na to, że Kangi są telepatami i próbowali w tę umiejętność wyposażyć *Trolle*.

- On jest telepatą?! - Mimo wszystkiego, co dotąd usłyszał, Aston ledwie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Obawiam się, że tak. Kangi chcieli wyposażyć *Trolle* w system łączności, którego nie moglibyśmy zagłuszyć, ale nie całkiem im wyszło, bo *Trolle* mają ludzkie umysły, a około

jednej trzeciej ludzi może słuchać takich telepatycznych rozmów po bardzo prostym przeszkoleniu. Nie możemy nadawać, ale możemy słyszeć, co one nadają. Z tego, co wiem, nie jest to miłe doświadczenie, ale nie zostawia żadnych trwałych śladów. Natomiast oznacza to, że nie mogli bezkarnie używać tej metody łączności, o czym szybko się przekonali.

- Zaraz, moment. Jeśli my możemy je słyszeć, to one...

- Mogą - dokończyła ponuro. - Co gorsza mogą w ten sposób wpływać na ludzi i jeśli robią to delikatnie i stopniowo, ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. Przekonaliśmy się o tym na własnej skórze. A grupa ludzi, którzy sami z siebie zorientują się, że ktoś nimi manipuluje, jest niewielka. Bardzo niewielka. Na naszą korzyść działają dwa czynniki. Po pierwsze, pojedynczy *Troll* ma niewielki zasięg, bo ledwie paruset kilometrów. Gdy jest ich kilka i współpracują, ten zasięg gwałtownie wzrasta, ale równocześnie tracą na delikatności. W naszej sytuacji to nie wchodzi w grę, bo jest tylko jeden. I po drugie, nie mogą podsłuchać każdego. Około trzydziestu procent ludzi nie jest podatnych na żadną odmianę telepatii, a więc nie mogą ani słuchać *Trolli*, ani też *Troll* nie może słuchać czy manipulować nimi. Ja do tych trzydziestu procent należę i mam nadzieję, że ty też.

- To oboje mamy podobne nadzieje - burknął Aston. - Tylko jak możemy zdobyć pewność?

- Zastanawiałam się nad tym... Mamy standardowy test, ale wiem, że wy nie dysponujecie tak zaawansowaną techniką. Możecie wykonać skan mózgu?

- To zależy, co rozumiesz przez skan mózgu - powiedział ostrożnie.

- Szlag! Te problemy językowe mnie wykończą! - jęknęła. - Nigdy nie wiem, czy mówię to, co myślę, że mówię!

- Witamy w naszej bajce! - ucieszył się złośliwie. - Będę miał to samo, gdy dotrzemy do Anglii.

- Co proszę?

- Nieważne. Powiedz mi, co ten skan powinien ukazać.

- Przebieg fal mózgowych. U nas jeszcze strukturę komórkową i całą resztę, ale dla nas najważniejsze są fale mózgowie.

- To mi przypomina opis EEG - powiedział powoli Aston, a widząc jej minę, dodał: - Elektroencefalogram, mierzy elektryczne ładunki w mózgu.

- Doskonale! - ucieszyła się i energicznie pokiwała głową. - U wszystkich, którzy nie słyszą *Trolli*, w fali alfa pojawia się charakterystyczny skok.

- Chcesz mi powiedzieć, że każdemu, komu według nas należałoby powiedzieć o tobie, musimy najpierw zrobić EEG?!

- A jaki w tym problem?!

- Jaki?! A niby jak mam przekonać jakąś ważną osobistość czy wyższego rangą oficera, że ma sobie zrobić EEG, nie mówiąc mu niczego konkretnego?

- Zaraz. - Przekrzywiła głowę. - To zajmuje dwie minuty i jest elementem standardowego badania... u nas. U was, jak rozumiem, nie?

- A nie - zgodził się, sam się dziwiąc swemu opanowaniu, po czym opisał jej całe badanie.

Tym razem to ona była zaskoczona.

- O, szlag! Nigdy nie słyszałam o czymś równie prymitywnym! - przyznała.

- Jesteśmy prymitywni, fakt. Ale wiesz, nie zyskasz wielu przyjaciół, przypominając nam o tym.

- Ooops! - Złapała go za ramię i ścisnęła delikatnie. - Przepraszam, chyba mam sparzoną gębę.

- Niewyparzoną gębę - poprawił. - Podobne, ale to nie to samo. Według twoich standardów jesteśmy prymitywni, ale dzięki temu będzie ci łatwiej wtopić się w tłum. Tylko pamiętaj, żeby najpierw myśleć, potem mówić.

I poklepał ją po ramieniu.

- Wiem. - Uśmiechnęła się, aż mu się ciepło zrobiło. - To znaczy, że musimy wymyślić, jak poddać tych ludzi temu badaniu. Zaczniemy ode mnie i będziemy mieli wynik wzorcowy, potem wystarczy tylko porównać inne z tym moim. Myślę, że wiem, czego mam szukać, bo pamiętam, jak wygląda mój skan. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że obraz z tego EEG będzie na tyle podobny, że się w nim zorientuję.

- Sądzę, że tym problemem zajmiemy się, kiedy nadejdzie pora - powiedział świadom, że nadal trzyma go za ramię.

Próbował się niepostrzeżenie wyswobodzić, ale zacieśniła uchwyt, przestał więc i uniół głowę. Przy tej okazji spojrział jej w oczy. I to był błąd. Bo zobaczył w nich zrozumienie. I jeszcze coś - jakby łagodną ironię zmieszaną z czymś, czego nawet nie próbował pojąć. Nie był to wzrok młodej dziewczyny i nie było w nim zawstydzenia czy zdziwienia. A najbardziej go zaskoczyło, że nie było też odrzucenia czy choćby obojętności kogoś próbującego nie zrazić go za śmieszne ciągoty.

Został przyłapany.

Nie przypominał sobie, by u kogokolwiek innego znalazł tyle zrozumienia. Mimo że podobnie jak on zabijała, i to wielokrotnie, wykonując swój obowiązek. No, może nie z tak bliska jak on, który często czuł pot ofiary przed śmiercią, a woń jej moczu i kału, gdy po

zgonie puszczały zwieracze, ale wiedział, że każda pozostawia ślad, może w duszy, może gdzie indziej. Wiedział, że nie uczyniło go to zimnym i wyrachowanym, ale że nie pozostał też taki jak przedtem, i podejrzewał, że to widać. Poza tym nigdy nie uważał się za amanta, a nawet gdy był jeszcze młody, nikt nie zarzuciłby mu, że jest przystojny. Wiek i ciężkie życie nie uatrakcyjniły jego wyglądu, ale oczy dziewczyny, młode i stare równocześnie, wydawały się widzieć więcej niż tylko powierzchowność.

- Milla... - wykrztusił w końcu, ujmując delikatnie jej dłoń i zdejmując ze swego ramienia - myślę... myślę, że powinienem się wstydzić.

- Czego? - zdziwiła się jak najbardziej szczerze. - Przecież widzę, jak ciężko starasz się być dżentelmenem. Nie spinaj się tak: jest mi miło, że mój widok sprawia ci przyjemność. To dla mnie komplement. Dlaczego więc masz z tym problem?

Zadała pytanie wprost, toteż poczerwieniał, dochodząc do wniosku, że musi tak samo odpowiedzieć.

- Z powodu tego, o czym myślę, gdy na ciebie patrzę - wypalił. - Jesteś tu obca. Straciłaś wszystko i wszystkich... a ja mam pięćdziesiąt dziewięć lat! Nie potrzebujesz seksualnie niewyżytego geriatryka próbującego...

Urwał, bo parsknęła śmiechem. Szczerym, pełnym wesołości śmiechem.

- Przepraszam - powiedziała miękko i dotknęła delikatnie jego policzka. - Nie śmiałam się z ciebie, ale z sytuacji. Ciągle zapominam, jak mało o mnie wiesz... Jak myślisz, ile mam lat?

- Co?! - Przez moment przyglądał jej się zaskoczony, po czym zmarszczył brwi. - Nie wiem. Początkowo sądziłem, że osiemnaście-dziewiętnaście, ale z tego, co opowiedziałaś, wnoszę, że musisz być starsza... dwadzieścia pięć?

Ponownie się roześmiała, tym razem jakby ze smutkiem.

- Licząc kalendarzowo i uwzględniając cały czas spędzony na przelotach z relatywistycznymi prędkościami, gdy zaczęło się to wszystko, miałam trochę powyżej stu trzydziestu lat. Biologicznie mam tylko osiemdziesiąt trzy.

Gapił się na nią z wytrzeszczonymi oczyma i opuszczoną dolną szczęką.

To było niemożliwe!

Już chciał to powiedzieć, gdy przypomniał sobie, w jakim tempie się wyleczyła.

- Osiemdziesiąt trzy? - powtórzył, w końcu odzyskując dar wymowy.

Kiwnęła głową.

- A ile wy średnio żyjecie? - spytał, dziwiąc się własnemu spokojowi.

- Około stu dwudziestu lat.

- To pod koniec macie przyspieszony proces starzenia czy jak?

- Nie. Starzejemy się stopniowo, tak jak to było zawsze. A przynajmniej większość z nas.

- Uśmiechnęła się, ale tym razem uśmiech nie sięgnął oczu. - Widzisz, zareagowałam tak ostro, gdy powiedziałeś, że nie jestem człowiekiem, bo... mój pradziadek przeżył atak na Midgard i w pewnym sensie nie jestem człowiekiem... jestem mutantem.

- Co... - zaczął i umilkł, wstrząśnięty ukrywanym bólem, z jakim to powiedziała, po czym zmusił się do spokojnego zadania pytania: - Mogłabyś to wyjaśnić?

- To trochę skomplikowane... Widzisz, Kangi mieli mało czasu na stworzenie broni biologicznej, zamiast więc opracowywać ją od początku, zmodyfikowali dość paskudnego pasożyta z Deltę Pavonis, nad którym pracowali już od kilku dziesięcioleci. Wyszła im broń nie tyle biologiczna, ile organiczna, przenoszona drogą powietrzną tak jak bakteria, ale inaczej działająca. W ciele człowieka rozwijał się bowiem wielokomórkowy pasożyt podobny do śluzu, który atakował układ oddechowy i pokarmowy oraz wykorzystywał układ krążenia do przemieszczania się, żerując na gospodarzu, dopóki nie doprowadził do jego śmierci z głodu lub uduszenia. Jeśli nie zabił w ten sposób, zmieniał się w coś w rodzaju raka, a jeśli człowiek i to przeżył, to po prostu rósł tak długo, aż zatkał żyły. Z punktu widzenia Kangi była to broń doskonała, bo uśmiercała na kilka sposobów, a ponieważ mogli go tak zmodyfikować, by atakował tylko konkretne łańcuchy DNA, dysponowali idealną bronią wyłącznie skuteczną przeciw ludziom. Życie, które powstało na Midgardzie, nie różniło się bardzo od ziemskiego, ale oparte było na innej kombinacji aminokwasów i miało inne DNA. Przerobili więc pasożyta, przyspieszyli jego cykl rozwojowy i rozpylili w atmosferze. Zanim zdaliśmy sobie sprawę, co zaszło, wszyscy na planecie byli już zarażeni...

Przerwała i ze ściągniętą twarzą wbiła wzrok w ocean.

Aston zaś, wiedziony nagłym impulsem, przesunął się i objął ją ramieniem, by wiedziała, że jest obok. Tylko tyle.

Spojrzała na niego podejrzenie błyszczącymi oczyma i uśmiechnęła się.

- Pasożyt zachował się tak, jak oczekiwali. I zabijał boleśnie; na szczęście większość ofiar także szybko - podjęła, siląc się na spokojny ton. - Oficjalnie zginęło 99,8 procent zarażonych. Przeżyło dokładnie 5757 ludzi. Tyle że Kangi spodziewali się stuprocentowej skuteczności. I taka powinna ona być, a dlaczego stało się inaczej, dokładnie nie wie nikt. Najsensowniejsza teoria głosi, że pasożyt był nie do końca stabilny i nastąpiła nieoczekiwana mutacja niewielkiej liczby osobników. Te zmutowane nie zabijały, lecz zmieniały się z pasożyta w symbionta. I to takiego, który zdołał zadomowić się także w chromosomach zakażonego.

- Symbionta? Obawiam się, że się zgubiłem...

- Już ci powiedziałam, że jestem mutantem - odwróciła się ku niemu. - Ważę sześćdziesiąt osiem kilogramów, ale dwa kilogramy to symbiont.

- Ten... śluz, o którym wspomniałaś?

- Owszem, choć w nieco bardziej skondensowanej formie i nie tak żarłoczny jak oryginał. Można powiedzieć, że osiągnęliśmy porozumienie ku obopólnej korzyści. On karmi się odpadkami z mojego systemu pokarmowego i oddechowego, a w zamian chroni swoje środowisko, czyli mnie.

- A więc te rany...

- Wykorzystał swoją masę, by zaleczyć przerwane naczynia i tkanki, równocześnie przyspieszając naturalne procesy leczenia i regeneracji. Troszczy się o mnie, bo wie, że beze mnie zginie.

- Cholera! - westchnął z podziwem.

Słyszając to, uśmiechnęła się naturalniej i dodała:

- Nie mogę narzekać, bo robi też inne miłe rzeczy. Ponieważ usadowił się w chromosomach, mam kilka dodatkowych genów, i to dominujących. I nie jest wybredny: zjada wszystko jak leci, co nie ma „naszego” kodu genetycznego, w tym wszystkie wirusy i bakterie. A to oznacza, że żaden tam rak czy inna grypa mi nie groziły i nie grożą. Poza tym w razie konieczności mogą jeść prawie wszystko. Nie pasuje mu tylko kilka rzeczy, w tym alkohol. Ma to jednak i minus: nie da mi się niczego przeszczepić, jeśli nie jest to wcześniej sklonowany mój organ, bo symbiont odrzuci każdy nie mający „naszego” kodu genetycznego. Gdybym urodziła się z jakimś defektem genetycznym, byłby on nieuleczalny. Symbiont jest uparty i będzie odtwarzał stan pierwotny cały czas, nawet zepsuty ząb mądrości będzie odrastał. Ale z drugiej strony traktuje proces starzenia się jak każdą inną chorobę.

- Chcesz powiedzieć...

- Każdy żywy organizm w końcu „zapomina”, jak się regenerować. Symbiont nie. Dlatego normalni ludzie nas nie lubią. Uprzejmie udają, że tak nie jest albo że o niczym nie wiedzą. Inni używają określeń pejoratywnych, tak to nazwijmy. Najpowszechniejsze to mutant, najuprzejmiejsze Tuzalem, od Matuzalema. Łatwo to zrozumieć: oni się starzeją i umierają, my nie, dlaczego więc mieliby darzyć nas sympatią?

- Na pewno nie wszyscy myślą w ten sposób.

- Na pewno, ale większość tak. Są też tacy, którzy traktują podobne do mnie jak kłaczki rozplodowe. Nie jesteśmy bardzo płodne, ale możemy zająć w ciążę i mamy skłonność do wielodzietności. A wszystkie dzieci dziedziczą po nas symbionta i przekazują go swoim

dzieciom. Z jakiegoś jeszcze niedokładnie zbadanego powodu możemy mieć potomstwo także z normalnym mężczyzną, toteż bywamy traktowane jak narzędzie do uzyskania nieśmiertelnych dzieci. Nie znaczy to naturalnie, że jesteśmy jakąś prześladowaną mniejszością, choć czasami można się poczuć osaczonym... Obecnie stanowimy około połowy populacji Midgardu, a na innych planetach jest nas znacznie mniej. W sumie trochę ponad miliard. Ciekawostkę stanowi to, że dobrze się czujemy w wojsku. Może dlatego, że tam mamy największą szansę na śmierć... Był taki okres, gdy czułam się niewiarygodnie winna, że nigdy się nie zestarzeję... Podejrzewam, że służba wojskowa pociąga nas tak bardzo z potrzeby, że tak powiem, „poczucia śmiertelności”... Flota i Korpus są bardzo z tego zadowolone. Trafiamy głównie do eskadr myśliwskich, bo najlepszymi pilotami są młodzi, a nasze ciała i refleks się nie zmieniają, przeżywamy więc sporo walk i nabieramy doświadczenia. W końcu większość z nas ginie, ale znacznie później niż przeciętny pilot i ze znacznie większym dorobkiem zestrzeleń na koncie, ale przecież nikt nas nie zmusza, byśmy ryzykowali w nieskończoność. Po prostu tak robimy... bo to wciąga... niczym nałóg...

- Wiem - potwierdził cicho. - Znałem dużo pilotów i jedyne, czego wszyscy tak naprawdę się obawiali, to dożyć zbyt podeszłego wieku, by móc pilotować myśliwiec.

O własnym przejściu na emeryturę nie chciał mówić, podobnie jak o tym, czym się zajmował w aktywnej służbie... jeszcze nie był do tego gotowy.

- Dobrze ich rozumiem, bo dla nas to jeszcze trudniejsze... może dlatego, że jesteśmy w tym tak dobrzy - powiedziała z westchnieniem. - Mamy o dwadzieścia procent szybsze impulsy neuronowe niż normalny człowiek, możemy więc lepiej wykorzystać możliwości myśliwca. A w razie konieczności możemy dłużej obyć się bez snu, bo symbiont oczyszcza krew z produktów zmęczenia, a w przypadku zagrożenia dostarcza energii. Dla niego to sposób przetrwania, bo utrzymanie w akcji nosiciela zapewnia przeżycie obu. Naturalnie tak długo, jak długo nie wyczerpie swoich zasobów energetycznych, bo potem zaczyna się odżywiać, by przeżyć, i wtedy zaczynają się kłopoty: zapadamy w komę i jeśli ktoś nas nie nakarmi, symbiont będzie jadł tak długo, aż się zregeneruje, co w zależności od sytuacji może oznaczać śmierć nosiciela. W moim oznaczałoby.

I uśmiechnęła się ciepło.

- O cholera - mruknął, przyglądając się jej z takim podziwem, że się zarumieniła.

- To ci nie... przeszkadza? - spytała nieśmiało.

- A dlaczego miałoby przeszkadzać? - zdziwił się Aston. - Fakt, potrzeba trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić, i nie powiem, żeby ci nie zazdrościł, ale nie przeszkadza mi to. Jesteś człowiekiem, tyle że nowym, lepszym modelem. Mutacje zachodziły naturalnie u

różnych gatunków, u ciebie wywołano ją sztucznie, choć w sumie przypadkowo. Jeśli dobrze rozumiem, jest to cecha dominująca i pomagająca przetrwać, więc w końcu wszyscy ludzie będą tacy.

- I to właśnie, jak sędzę, bardziej przeszkadza normalnym niż to, że oni tacy nie są - przyznała. - Uważają nas za zmutowane potwory chcące zastąpić prawdziwą ludzkość. Ze dwieście lat temu była seria paskudnych rozruchów.

- Co dowodzi, że głupota jest nieodłączną cechą ludzi również w przyszłości - podsumował rzeczowo.

- Może, ale jest jedna rzecz, o której musisz pamiętać. Jeśli zostanę ranna, dopilnuj, żeby moja krew nie trafiła do otwartej rany nikogo innego.

- Dlaczego? - spytał, choć przeczuwał odpowiedź.

- Bo symbiont może być przekazany tylko poprzez krew lub nasienie. I nadal jest śmiertelny. Dlatego normalne kobiety nie mogą zachodzić w ciążę z naszymi mężczyznami. Symbiont z krwi embrionu dąży do zabicia matki, która nie jest stosownie oznaczona genetycznie. Na początku kilkanaście osób zmarło, nim zrozumieliśmy, o co chodzi. W najlepszym możliwym szpitalu, i mam tu na myśli nasze szpitale, nie to, czym wy możecie dysponować, przeżywa około pięciu procent.

- Będę pamiętał.

- To dobrze. - Poglądziła go po dłoni i w jej oczach coś błysnęło. - A póki co, gówniarzu, nie przejmuj się i jeśli patrzeć na mnie sprawia ci przyjemność, to gap się do woli.

- Dziękuję, skorzystam, mając oczywiście na względzie zaawansowany wiek obiektu zainteresowań. I wolę nie myśleć, do jakich wniosków dojdą ci, którzy to zauważą.

- A to akurat żaden problem. Będą myśleli, że jesteś moim utrzymankiem.

Powiedziała to z dumą i nie bardzo rozumiała, dlaczego popłakał się ze śmiechu.

Rozdział X

Promienie porannego słońca tańczyły na suficie i naczyniach, a pułkownik Ludmilla Leonowna z Terran Marine Corps siedziała z potarganymi włosami przy stole, trzymając oburącz kubek parującej kawy. Ubrana była w kolejny podkoszulek Astona, tym razem ozdobiony orłem Harley-Davidsona. Był to prezent od jego ostatniego dowódcy mającego specyficzne poczucie humoru. Przyznawał, że wyglądała w nim lepiej niż on kiedykolwiek. A poza tym strasznie jej się podobały nadruki czy hafty na koszulkach.

Przyglądając się jej przez stół, nadal nie do końca mógł uwierzyć w to, co zaszło. Mimo wszystkich rewelacji, jakie usłyszał, nie spodziewał się, że zaprosi go na noc. Ani też nie był przygotowany na jej pasję i umiejętności, choć to drugie nie powinno go dziwić u kobiety z jej urodą, która miała siedemdziesiąt lat na praktykę. Odniósł też jednak wrażenie, jakby się trochę wstydziła i celowo opuściła jakąś wewnętrzną barierę.

Miała bardzo skomplikowaną osobowość, choć dobrze to maskowała, i wiele jej cech go zaskakiwało. Zastanawiał się, czy wszyscy mutanci są tacy i czy powodem nie było patrzenie na przyjaciół, którzy starzeli się i odchodzili, podczas gdy oni ciągle byli młodzi. Chociaż czy zwykły człowiek mógł tak naprawdę stać się ich przyjacielem? Czy Ludmilla zaryzykowałaby pełne zaufanie do kogoś takiego... Intelktualnie przyjął, że ma tyle lat, ile mówi, ale emocjonalnie nadal odrzucał tę informację. Bo niezwykła była świadomość, że to wspaniałe ciało należy do kobiety starszej od niego.

Nagle przypomniało mu się coś.

- Aha. - Wstał, podszedł do szafki i wyciągnął zakrwawiony kłębek. - Chyba powinienem ci to oddać.

I wręczył jej skafander.

Przyjęła go spokojnie - żołnierza z jej doświadczeniem widok własnej zakrzepłej krwi na ubiorze nie miał prawa wzruszyć. Spokój prysnął jednak, gdy rozwinęła skafander i zobaczyła rozcięcie.

- Jasna cholera?! Czegoś ty użył?! Piły łańcuchowej czy siekiery?

Aston też pierwszy raz miał okazję przyjrzeć się własnemu rękodziełu i przyznał, że artystyczne nie było. Poszarpane cięcie ciągnęło się od szyi aż poniżej pasa i wyglądało wstrząsająco.

- Cóż, jakoś musiałem cię z tego wypakować - stwierdził obronnym tonem. - A suwaka jakoś nie zauważyłem.

- Suwaka?!

Odwróciła skafander plecami do góry i dotknęła paznokciem miejsca na prawym ramieniu przy szyi. Na plecach skafander rozstąpił się aż do pośladków.

- Barbarzyńca! - prychnęła z pogardą, ale i ze śmiechem.

- Przykro mi, ale trzeba było jakoś to otwieratko zaznaczyć. A to był jedyny sposób, na jaki wpadłem.

- Tak się też domyśliłam. - Westchnęła zrezygnowana, po czym dotknęła rękawa w pobliżu lewego mankietu i wąski pas materiału aż do łokcia odchylił się, ukazując minikontrolki i ekran. Bardzo niewiele z nich miało zieloną barwę.

- No proszę... - mruknęła na ten widok. - Nie wierzysz w półśrodki.

- A co takiego zrobiłem? - Zaciekawiał się, wyciągając szyję.

- Uszkodzeń na parę milionów - odparła i dotknęła kilku sensorowych przełączników.

Mniej niż połowa kontrolki zmieniła barwę z czerwonej na bursztynową.

- Ale mogło być gorzej - oceniła.

- Co robisz?

- Przeprowadzam autodiagnostykę. Hm... - i zamilkła, pochłonięta odczytami.

Aston zaś postanowił trenować cierpliwość z braku innych możliwości.

Została ona wystawiona na ciężką próbę, bo dopiero po kilkunastu minutach Milla wyprostowała się i zamknęła z westchnieniem klapkę.

- Nie jest źle - odezwała się. - Zmasakrowałeś system łącznościowy, ale sensory ocalały.

- Co proszę? Co to w ogóle jest, do diabła?

- Mój skafander pilota - wyjaśniła zaskoczona. - O, proszę, zdaje się, że mam okazję do zemsty. Nic nie powiem i ciekawość cię zeżre.

- Ale najpierw wyrzucę cię za burtę - warknął.

- A gdzie masz pluton piechoty do pomocy? - spytała uprzejmie.

Aston zaczął w odpowiedzi wstawać.

- No już dobrze. - Parsknęła śmiechem. - Poddaję się.

- No to mów!

- Tylko nie wiem, od czego zacząć... bardziej znam się na jego konserwacji i drobnych naprawach niż konstrukcji i teorii, zresztą wątpię, żebyś miał stosowną wiedzę, by ją zrozumieć. Mówiąc prostymi słowami, to jest skafander próżniowy. Tyle że nieporównywalny z tymi, którymi wy teraz dysponujecie. Poza tym można go też uznać za

komputer.

- Komputer?!

- Oparty na obwodach molekularnych. Wewnętrzną powierzchnię wypełniają sensory monitorujące mój stan, a zewnętrzna odbija szkodliwe promieniowanie i pochłania energię potrzebną do zasilania całości. Został opracowany tak, by absorbować i przerabiać wszystkie produkty wydalone przez organizm, więc jeśli trzeba, można w nim żyć tygodniami. Co zresztą udowodniłam w trakcie ostatniego pościgu.

- No dobrze; skoro to skafander kosmiczny, gdzie jest zapas tlenu? - spytał, nie kryjąc zainteresowania.

- Wewnątrz. Stare modele były znacznie grubsze, dochodziły do centymetra, ale technika poszła naprzód. Środkowa warstwa to zbiór mikrowakuoli, czyli miliony małych zbiorniczków powietrza, wody i żywności, tylko pod ciśnieniem dwudziestu tysięcy atmosfer. Powinny być pełne, bo nie korzystałam z nich, mając do dyspozycji zapasy myśliwca.

- Nic dziwnego, że tak trudno było go przeciąć.

- Trudno?! - prychnęła. - Dick, gdyby nie przewidziano takiej ewentualności, nie byłbyś w stanie go przeciąć. Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, ale ciąłeś go tam, gdzie odruchowo rozcina się ubranie, jeśli się musi. Dlatego jest w tym miejscu cieńszy i nie zawiera niczego naprawdę ważnego. Zdołałeś zmasakrować tylko jakąś czwartą część elektroniki, w tym prawie całą łączność, ale sensory zostały w pełni sprawne i zapasy też.

- Jakie sensory?

- Aktywne i pasywne. Optyczne, sonar, radar i inne.

- Jezu! Ale hełm się utopił razem z kapsułą ratunkową!

- Niewielka strata, skoro jest atmosfera nadająca się do oddychania. Hełm to końcówka sprzęgu z myśliwcem; jest niezbędny w walce i w razie utraty hermetyczności kabiny. Poza tym w zasadzie nie jest potrzebny. Sensory też mają sprzęg neuronowy, nie są więc potrzebne ekrany czy wyświetlacze. Poza tym może jeszcze to...

Nacisnęła coś i z ukrytych kieszonek w mankietach wysunęły się cieniutkie, elastyczne rękawiczki.

- Jestem pod wrażeniem - przyznał szczerze.

Zachichotała i schowała rękawiczki.

- I powinienes. To cholerstwo kosztuje jedną dziesiątą tego co myśliwiec - wyjaśniła.

- Przykro mi, że go zniszczyłem - powiedział z żalem.

- Nie zniszczyłeś. Chwilowo co prawda nie da się go naprawić, bo potrzebna jest do tego zbyt duża energia, i nie chcę wyczerpać zapasu, wyłączyłam więc autonaprawę, ale jeśli

podłączę go do odpowiedniego źródła zasilania, po kilku godzinach będzie prawie jak nowy.

Przyjrzał się jej najpierw podejrzliwie, potem z podziwem. Wątpił, by przesadzała, a to, co powiedziała, zrobiło na nim duże wrażenie.

- Coś jeszcze potrafi? - spytał na wszelki wypadek.

- Nie.

Powoli pokiwał głową. Teraz wiedział, jak czułby się marynarz Kolumba przeniesiony na lotniskowiec klasy *Nimitz*.

- Jestem pod wrażeniem - powtórzył. - Ale przynajmniej się domyśliłem, że to jest broń. Natomiast przyznam, że obroza wygłupiła mnie dokumentnie.

Uśmiechnęła się, ujmując metalowy element, o którym mówił.

- To? To jest mój... nieśmiertelnik? - Powiedziała to ostrożnie i pytająco, niepewna, czy używa właściwego określenia, a gdy kiwnął głową, dodała: - To też komputer, ale mały, coś z terrabit pamięci. Zawiera wszystkie moje dane medyczne, przebieg służby i informacje o najbliższych. Teraz, obawiam się, jest zupełnie bezużyteczny.

- Dlaczego?

- Wiesz, język komputerowy trochę się zmienił przez te kilka stuleci, poza tym to nie jest samodzielna jednostka, tylko blok pamięci do podłączenia do normalnego komputera. Kiedy zabijemy *Trolla*, pewnie przekażę go waszym informatykom, ale wątpię, by przez parę ładnych lat byli w stanie coś z nim zrobić.

- Pięknie! - burknął i potrząsnął głową. - Już to widzę: skafander uszkodzony, z komputerem nie można się połączyć... Nawet nie będą się zastanawiać, tylko wyślą mnie do pokoju z gumowymi ścianami.

Uniosła zaskoczona brwi, wyjaśnił więc:

- Pokoje w szpitalach dla wariatów mają gumowe ściany, żeby pacjent sobie krzywdy w napadzie szału nie zrobił.

- Tym bym się nie martwiła - stwierdziła.

I jakoś odczepiła od skafandra kaburę razem z pasem, którego istnienia nawet nie zauważył.

- Myślę, że będzie czym przekonać niedowiarków - dodała. - Chodź.

Powoli wyszedł za nią na pokład.

Zdażyła założyć uprzęż ratunkową i zapiąć pas na biodrach. Teraz wzięła broń i obejrzała ją starannie.

- Próbowałeś jej użyć? - spytała.

- Czy wyglądam na idiotę? - prychnął, a widząc błysk w jej oczach, natychmiast dodał: -

To było pytanie retoryczne.

Zamknęła usta, które już zaczęła otwierać, i popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Odpowiadając poważnie: nie, nie próbowałem.

- I tak by ci się nie udało. Ma osobistą blokadę.

Kolejny raz zrobił pytającą minę, już nie ukrywając zrezygnowania.

- Cierpliwości. - Poklepała go po ramieniu. - Pamiętaj, że pokazywanie zabawek daje mi poczucie bezpieczeństwa. Twój świat jest dla mnie równie dziwny jak one dla ciebie.

- Ale ty przynajmniej wiesz, co się wydarzy, w ogólnych zarysach.

- I tak, i nie, ale nie o tym rozmawiamy. Blokada osobista jest oparta na kodzie DNA, co oznacza, że nikt poza mną nie jest w stanie strzelać z tej broni.

- I nie da się tego zmienić?

- Nie da. Gdybym zginęła, a broń ocalała, można ją tylko zniszczyć. Korpus jest raczej drażliwy, jeśli komuś zdarzy się ją zgubić, bo to dość kosztowna zabawka. Takie rozwiązanie skutecznie uniemożliwia natomiast pokątny handel osobistą bronią wojskowego typu. - Dotknęła dwóch przycisków z boku. - Ustawiłam na ogień pojedynczy i najmniejszą moc. Nie ma sensu przesadzać z dramatyzmem.

I uniosła broń ma wysokość pasa, co znaczyło, że jest albo doświadczonym strzelcem, albo kompletnym nowicjuszem.

Jakoś nie miał wątpliwości, która ewentualność tu zachodzi.

- Popatrz - powiedziała.

I nacisnęła spust.

Jeśli chodzi o samą broń, nie nastąpiło absolutnie nic: żadnego błysku, hałasu czy odrzutu. Natomiast pięćdziesiąt metrów od burty coś ryknęło i w oceanie pojawiła się dymiąca, półkolista dziura o średnicy przynajmniej trzech metrów.

- O kurwa! - westchnął z podziwem, patrząc, jak znika. - To najmniejsza moc? - upewnił się słabo.

- Aha. - Wsunęła broń nonszalancko do kabury, ale z błyskiem zadowolenia w oczach.

- Ogień pojedynczy... czyli możesz strzelać seriami?

- Mogę, ale to marnotrawstwo. Przy pełnej mocy magazynek starcza na dwanaście strzałów.

- Co to jest, do cholery?! I jak ją nazywacie?

- Zmartwię cię, ale nazywamy ją po prostu „blaster” - powiedziała przepraszająco.

Zamknął oczy i jęknął głucho - powinien był się domyślić.

- A co to jest, trochę trudno wyjaśnić... jak zwykle zresztą, nie patrz więc na mnie jak

zbity pies. To broń energetyczna emitująca wiązkę plazmy. Przy ogniu ciągłym i pełnej mocy daje 1,8 kilotony na sekundę. Magazynek ma pojemność 21,5 kilotony, bo maksymalna szybkostrzelność to impuls co sekundę. Naturalnie opróżnienie magazynka w takim tempie oznacza porażkę.

- O kurwa! - powtórzył z uczuciem, przypominając sobie o zapasowych magazynkach. - Przecież ty jesteś samobieżną taktyczną bombą nuklearną. To przypadkiem nie jest lekka przesada?

- Nie jest. To nie jest broń na Kangi, tylko na *Trolle*, a je trudno zabić, Dick. Niewiele wiem o poziomie waszej metalurgii, ale podejrzewam, że wasi najlepsi specje od opancerzenia nawet nie zdają sobie sprawy, jak wytrzymały może być pancerz. I trzeba pamiętać, że *Trolle* mają doskonały refleks. Człowiek musi mieć możliwość zniszczenia *Trolla* pierwszym strzałem, bo do drugiego nie będzie miał okazji. Ale masz rację, że to poważna siła ognia. I dlatego broń ma osobistą blokadę.

- To akurat dobrze rozumiem - przyznał i dodał: - W razie czego przypomnij mi, że mam być wobec ciebie uprzejmy. Może nawet uprzedzająco uprzejmy.

- Z przyjemnością. A wracając do tematu, to jak sądzisz, czy taki pokaz będzie przekonujący? - spytała niewinnie.

- Myślę, że będzie. Nawet bardziej niż przekonujący.

PODOBÓJ (podbić). 1. «pokonać, opanować poprzez użycie siły» 2. «uzyskać kontrolę nad jakimś obszarem lub społecznością, najczęściej przy użyciu sił zbrojnych» 3. «zdobyć coś dzięki fizycznej, psychicznej lub moralnej przewadze»

*Webster-Wangchi Unabridged
Dictionary of Standard English
Tomas y Hijos, Publishers
2465 rok standardowy*

Rozdział XI

- To Anglia? - spytała Ludmilla, przekrzykując szum wiatru i fal.

Trzymała się jedną ręką olinowania, a rozpylona mgielka wodna tworzyła wokół niej tęczę. Przechyły łodzi nie robiły na niej żadnego wrażenia, a drugą ręką wskazywała coś na horyzoncie.

- Lepiej, żeby to była Irlandia! - odkrzyknął Aston, osłaniając oczy dłonią i spoglądając tam, gdzie wskazywała. - Pierwszy raz od lat nawiguję bez GPS-u czy choćby Lorana... dzięki tobie.

- Malkontent! - prychnęła.

I zgrabnie wróciła wąskim przejściem między sterówką a burtą, nie tracąc równowagi mimo ruchów łodzi. Na moment zasłonił ją żagiel, ale zaraz się zza niego wyłoniła, mokra i szczęśliwa, z radosnym błyskiem w oczach, co zauważył z autentyczną przyjemnością.

- Słuchaj no, mogę nie pochodzić z Ziemi, ale wiem, że Anglia i Irlandia to dwie różne wyspy - oznajmiła oskarżycielko.

- Brawo - pochwalił, wskazując jej miejsce koło siebie.

Umościła się, wpasowując się w niego zupełnie naturalnie, co sprawiło mu dużą przyjemność. Przyszło mu na myśl, że ludzie byliby znacznie normalniejsi i przyjemniejsi wobec siebie nawzajem, gdyby pozbyli się kretyńskich pozostałości purytanizmu.

- No to jak? - zażądała. - Mówiłeś, że płyniemy do Anglii?

- Zmieniłem zdanie.

- A dlaczego?

- Bo jak ci powiedziałem, niepokoją mnie brytyjskie władze imigracyjne - wyjaśnił, a

widząc jej minę, westchnął i zaczął tłumaczyć dokładniej: - Wiesz, co to jest paszport?

- Chodzi ci o dokument tożsamości? Taki dowód obywatelstwa?

- Coś w tym guście, choć sądzę, że nie w takim sensie, jak ty to rozumiesz. - On też w trakcie rozmów wiele się dowiedział o jej czasach i ich realiach.

Tyle że wcześniej nie miał o nich pojęcia, podczas gdy ona posiadała sporą wiedzę. Choć musiał pamiętać, że była historykiem wojskowości, i w tejże wiedzy istniały zaskakujące luki dotyczące spraw z nią nie związanych, jak choćby kwestie życia codziennego.

- Mówiłaś, że twoja Ziemia ma rząd federalny, tak? To znaczy, że dokument tożsamości jest wam potrzebny tylko do podatków i innych kwestii administracyjnych?

- I do głosowania.

- No dobrze. Ale nie do przekraczania granic państw?

- Jakich granic?! Po co ktokolwiek miałyby... a, rozumiem: tu nadal trwa zimna wojna?

- No, nie całkiem, skończyła się parę lat temu, ale ogólnie rzecz biorąc, zgadłaś poprawnie.

- Hmm... to 2007 rok... - zaczęła myśleć na głos. - O cholera... to za sześć lat zacznie się wojna o sukcesję sowiecką!

- O co? - spytał czując, że coś lodowatego maszeruje mu po plecach. - Nie podoba mi się to! Mamy dość problemów bez takich atrakcji. Już dawno doszedłem do wniosku, że ci wszyscy radośnie świętujący rozpad Związku Sowieckiego w przeświadczeniu, że to koniec międzynarodowych problemów, to pozbawieni wyobraźni krety, ale ostatnio zaczęło wyglądać na to, że choć częściowo mogli mieć rację. Teraz znowu wszystko zaczyna się pieprzyć w różnych rejonach świata, a NATO stało się klubem dyskusyjnym. Federacja Rosyjska od początku była niepewnym tworem, zwłaszcza ekonomicznie, i ciągle obecne w niej były elementy dążące do odtworzenia jeśli nie całego Układu Warszawskiego, to przynajmniej Związku Sowieckiego. Miałem jednak nadzieję, że te nowe reformy ustabilizują sytuację. Nie ustabilizowały?

Pytanie zadał dziwnie cicho, patrząc jej w oczy.

- W historii, którą znam, nie ustabilizowały - przyznała delikatnie. - Natomiast to nie w Rosji się wszystko zaczęło, miałeś więc rację, choć to niewielka pociecha. Punktem zapalnym były Bałkany, a sprawa szybko wymknęła się spod kontroli, ponieważ ktoś użył broni biologicznej... Przykro mi, Dick, nie chciałam cię aż tak niepokoić.

Ostatnie zdanie dodała, widząc wyraz jego twarzy na wieść o broni biologicznej.

- Przecież to nie twoja wina. Tylko... wszyscy tak cholernie się starali i wydawało się, że się uda. A tymczasem okazuje się, że wszystko poszło się srać... a sama myśl o walkach na

terenie państwa mającego taki arsenał nuklearny... - Zamiast kończyć, wymownie potrząsnął głową.

- Przykro mi - powtórzyła - ale jeśli dobrze pamiętam, to nie była wina Rosji. Zachodnia Europa spanikowała, gdy skutki użycia broni biologicznej rozprzestrzeniły się poza Bałkany. W sumie trudno się dziwić, bo dopiero z perspektywy czasu stało się wiadome, że to była robota terrorystów chcących zaognić sytuację. Wtedy wszyscy byli przekonani, że to Serbia, a Rosja ciągle wspierała ją na arenie międzynarodowej, jawnie i niejawnie. Kiedy więc Francja przekonała Niemcy do wspólnej akcji przeciwko Serbii, do której przyłączyła się czym prędzej Rumunia, i do publicznego oskarżenia Rosji o dostarczenie Serbom w tajemnicy tej broni, prezydent Jakolew znalazł się w sytuacji bez wyjścia, a prawie zaraz potem padł ofiarą zamachu. Oficjalnie dokonanego przez Białoruś. No i sytuacja wymknęła się spod kontroli, a władzę w Moskwie przejęli nacjonałiści... - Tym razem ona umilkła, nie kończąc, i wzruszyła wymownie ramionami.

- Słyszałem podobne scenariusze, tyle że żaden się nie sprawdził... jak dotąd. A prawdę mówiąc, po odejściu Jelcyna stosunki z Rosją wcale nie są takie dobre. NATO zeszło na psy... Wciągnięcie byłych członków Układu Warszawskiego miało je wzmocnić i zwiększyć ogólne bezpieczeństwo w Europie, a tymczasem zrobił się z tego klub dyskusyjny. Jego członkowie obdarzeni są instynktem leminga, który niczego nie potrafi zrobić. My zresztą, czyli Stany, jesteśmy niewiele lepsi, bo nie potrafimy żadnej sprawy załatwić sprawnie czy do końca. A ledwie zaczynamy ponosić straty, podnosi się wrzask, że po co nam to...

- Zawsze po fakcie można powiedzieć, że czegoś dałoby się uniknąć, ale wtedy, kiedy takie rzeczy się dzieją, wszystkim wydaje się, że katastrofa jest nieunikniona. Natomiast w tej konkretnej kwestii moim zdaniem rzeczywiście tak było.

- Hmm... może... - Zmarszczył brwi i milczał dłuższą chwilę, po czym wziął się w garść i odetchnął głęboko. - W tej chwili naszym zmartwieniem nie jest przyszła wojna, ale to, że nie masz paszportu, a nawet gdybym próbował zrobić z ciebie rozbitka, Anglicy będą chcieli wiedzieć, którą ambasadę zawiadomić. To rozsądni ludzie, dziennikarzy nie licząc, bo ta banda ledwie się dowie o „tajemniczej nieznajomej” wyłowionej z morza, rozpęta taki cyrk, że cały świat się o tym dowie.

- To jak chcesz tego uniknąć? - spytała.

- Mam pewien sposób, ale wymaga on drobnej zmiany kursu - wyjaśnił mile polechtany, że nie wątpi w jego możliwości. - Jest takie miejsce w Szkocji, gdzie powinno mi się udać wysadzić cię na brzeg tak, żeby się o tym żaden pismak nie dowiedział.

- To dobrze. - Odprężyła się i położyła mu głowę na ramieniu.

Wiatr zwiewał jej włosy na jego twarz. Łaskotały go po nosie, ale nie zwracał na to uwagi. Zdążył się przyzwyczać do niespodzianek, których była źródłem, ale fakt, że coś w nim obudziła, coś, co przez lata było uśpione, nadal stanowił dlań zaskoczenie. Zanim ją poznał, zdążył się już pogodzić z tym, że za jakiś czas osiadzie samotnie na emeryturze, że to, co podniecające w życiu, ma już za sobą. Trudno było mu się tak szybko przyzwyczać do tego, że oto wszystko się zmieniło. Tym bardziej że Ludmilla stanowiła niezwykle połączenie mądrości nabytej z wiekiem z rozrywkowością młodości. I wydawała się oczekiwać, że on będzie taki sam, nieuchronnie więc stawał się taki. Było to niezwykle wrażenie i był jej za nie wdzięczny w równym stopniu co za okazywane zaufanie. A najbardziej podobało mu się w niej to, że zawsze była sobą, mimo pozornych sprzeczności. Nigdy dotąd kogoś takiego nie poznał i to dziwiło go nawet bardziej od jej techniki czy dziwnej, rozdartej wojną przyszłości, z której przybyła.

- Hej, obudź się, śpiochu - powiedział delikatnie.

- Hmm? - mruknęła półprzymkniętymi oczami.

Nadal zasypiała błyskawicznie w dowolnej pozycji, toteż na wszelki wypadek spytał:

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Ziewnęła rozdzierająco i przeciągnęła się.

- Pewnie. Tylko jak ci mówiłam, mój symbiont jeszcze nie całkiem doszedł do siebie. Ale nie ma powodu do zmartwień. Jeśli będę musiała, mogę długo zachować pełną przytomność umysłu, ale póki co wolę spać, ile się da. Zanim zaczniemy wszystko komuś tłumaczyć, bo wtedy na odpoczynek będzie znacznie mniej czasu.

- Skoro tak uważasz.

- Uważam. Ale skoro już mnie łaskawie obudziłeś, co mogę dla ciebie zrobić?

- Wpadłaś jeszcze na jakieś pomysły w sprawie *Trolla*?

Spowaźniała i oczy jej pociemniały.

- Nie - przyznała. - Nie wiemy, co chce osiągnąć, ale przynajmniej jak długo one regularnie latają, możemy być pewni, że nie zrobił niczego drastycznego. - Wskazała na przelatujący nad nimi samolot pasażerski.

Widywali je coraz częściej, im bardziej zbliżali się do lądu.

- A to dobry znak czy zły?

- Nie wiem... - Jeszcze przez moment przyglądała się odrzutowcowi. - Nie, to nie tak. To dobry znak, bo najprawdopodobniej jeszcze nie zdecydował, jak chce nas zniszczyć. A im dłużej się zastanawia, tym więcej czasu mamy na znalezienie sposobu, by go powstrzymać. Bo możemy go zniszczyć, jeśli zdołamy znaleźć, tylko że nie mam pojęcia, jak go odszukać.

A im dłużej nie będziemy wiedzieli, gdzie jest, tym trudniej będzie go zniszczyć.

- Szkoda, że jego psychika jest dla nas zagadką...

- Też tego żałujemy od jakichś dwustu lat - poinformowała go kwaśno. - Naturalnie w przeciwieństwie do psychiki Kangi, psychika *Trolli* nigdy nie była aż tak istotna.

- Mhm... - mruknął i zajął się nabijaniem fajki.

Nadal ją to fascynowało, bo w jej czasach palenie było od dawna zapomnianym nałogiem. Dziwiło go, że nie wyrażała dezaprobaty, ale albo nie znała skutków ubocznych, albo jako osoba odporna na raka i inne podobne przypadłości nie martwiła się tym.

- Rozważmy to z trochę innej perspektywy - zaproponował, gdy fajka była już porządnie rozpalona. - Jeśli zdecyduje się nas zniszczyć, siedzimy po uszy w gównie i... Co cię tym razem rozbawiło?

Zanim odpowiedziała, minęła dłuższa chwila, bo musiała opanować atak śmiechu. Wreszcie złapała oddech, otarła łzy i wykrztusiła:

- Śliczne! Zobaczyłam to oczyma wyobraźni!... Jak mogliśmy stracić taką perełkę?!

- Masz obsesje biologiczne, kobieto!

- Wiem! - przyznała radośnie, powtarzając bezgłośnie powiedzenie.

Aston zrezygnował z dalszych działań pedagogicznych, z doświadczenia wiedząc, że już zapamiętała nowinkę na dobre i użyje jej przy pierwszej stosownej okazji. Albo mniej stosownej.

- Mówiłeś, że co? - spytała uprzejmie.

- Mówiłem, że zamiast się zastanawiać, jak może nas zniszczyć, powinniśmy rozważyć, co jeszcze może chcieć zrobić?

- Przecież to *Troll!* - zaprotestowała. - Co ma niby zrobić?! *Trolle* zabijają ludzi; po to je stworzono i zawsze to robiły!

- Może. Ale ten jest pierwszym, który uzyskał samodzielność.

- Chyba nie sugerujesz, że przyjdzie mu ochota na współlistnienie?

- Byłoby to miłe, ale nie spodziewam się niczego podobnego. Natomiast mam nieodparte wrażenie, że coś ważnego ci umyka przez cały czas.

- Na przykład co? - spytała bez śladu wrogości, bo w dyskusji nigdy nie dopuszczała emocji, co bardzo mu się podobało.

- Posłuchaj i powiedz, czy się mylę. Mamy *Trolla*, który nienawidzi nas przynajmniej tak samo jak Kangi i jest, z tego co rozumiem, znacznie bardziej od nich złośliwy i wredny, tak?

- Tak. Kangi nigdy nie darzyli nas nienawiścią, z tego co wiemy. Wzbudzamy w nich strach, odrazę i inne podobne emocje, ale nie nienawiść. Robią to, co robią, bo tak im

nakazuje wiara i przekonanie, ale nie z nienawiści.

- Tak też to zrozumiałem. A przypomnij sobie, co mówiłaś o skuteczności.

- Mówiłam, że zawsze wybiorą najlogiczniejszy i najskuteczniejszy sposób zabijania... A! Rozumiem, o co ci chodzi! Masz rację: jedynym kryterium oceny jest dla nich pragmatyzm, nie okrucieństwo czy współczucie.

- Ale nie dla *Trolla*?

- Nie... - Jej głos zabrzmiał prawie jak warknięcie. - Jeśli istnieją dwa sposoby prawie równie skuteczne, zawsze wybierze okrutniejszy, nawet jeśli będzie to ten odrobinę mniej skuteczny.

- Właśnie. - Wydmuchnął prawie idealne kółko dymu i patrzył, jak wiatr natychmiast je niszczy. - Teraz druga sprawa. Wiemy, że jest niebezpieczny, ale na ile? Chodzi mi o to, czy może w tej chwili zrealizować to, czego by chciał, czyli zagładę ludzkości. Zakładając, że tego właśnie chce.

- Wiesz... - powiedziała powoli - możesz mieć rację... Jest sam! Wiedziałam o tym od początku, ale nie myślałam o jego problemach, tylko o naszych.

- Wiem. Generalnie jest to sensowne podejście. Należy przewidzieć najgorszą możliwość i zrobić wszystko, żeby do niej nie dopuścić. Ale w tym wypadku należy także przeprowadzić analizę zagrożenia opartą na jego ograniczeniach. Bo tak jak ja to rozumiem, ma równocześnie pewne przewagi, jak i problemy. - Spojrzał na nią pytająco, a gdy przytaknęła, kontynuował: - Najpierw problemy. Jest sam, pozbawiony wsparcia i ma przeciwko sobie parę miliardów prymitywów, którzy udowodnili, że są w stanie go zabić. Nie ma broni biologicznej, a jeśli zostały mu jakieś głowice nuklearne, to jedynie taktyczne, przynajmniej według jego standardu. Faktem zresztą jest, że skoro są rzędu kiloton, ludobójstwa na skalę planetarną nie da się przy ich użyciu dokonać. Na koniec, o ludzkiej psychice ma mniej więcej takie pojęcie jak my o jego. Teraz przewagi: dysponuje techniką o pięćset lat nowszą niż ktokolwiek. Ma inicjatywę i będzie działał z zaskoczenia, bo nikt nie wie ani o jego istnieniu, ani celach, ani możliwościach. Jego wrogowie są podzieleni na podejrzliwie traktujące się nawzajem grupy zwane państwami czy rasami. Może odczytać myśli około jednej trzeciej ludzi, których spotka, i wpływać na nich. Ma kryjówkę, którą uznał za bezpieczną.

- Jest jeszcze jedna sprawa - dodała z namysłem. - Nie może zaryzykować otwartego kontaktu nawet z wybranymi ludźmi, więc musi mieć odpowiednią kryjówkę. Jest dobrze uzbrojony, a jego umysł wraz z pojemnikiem można przenieść z myśliwca w pancerkę, którą przewozi. Oprócz niej ma też kilka robotów bojowych.

- Jak wytrzymałe one są? Czym można je zniszczyć?

- Próbuję sobie przypomnieć, jaką bronią dysponujecie. Na pewno możecie zniszczyć jego i roboty głowicami nuklearnymi. Część ciężkiej broni artyleryjskiej też będzie skuteczna, ale wątpię, by przenośna taką była... może na roboty, na niego samego na pewno nie. Dopóki nie będę miała okazji obejrzeć waszych czołgów i samochodów pancernych, nie powiem ci, które mogą z nim nawiązać walkę, bo nie mam porównania. Na pewno ma do dyspozycji kilka egzemplarzy lekkiej broni energetycznej albo części zapasowe z których można je złożyć. I na pewno dysponuje jakimś ekranem. Ma organiczny mózg, co stanowi zarówno zaletę, jak i wadę. Zalety to pomysłowość i intuicja, wada - znacznie mniejsza możliwość równoczesnych działań. Można odwrócić jego uwagę lub przeładować go nadmiarem informacji. Z drugiej strony uzbrojenie pancerki to jego część - nie musi celować czy ładować, wystarczy, że o tym pomyśli. Pamiętaj, że *Troll* nigdy nie chybia.

- Czyli mówiąc inaczej, trudno go zniszczyć, ale da się to zrobić.

- Można to tak ująć. Roboty bojowe są łatwiejsze do zniszczenia i głupsze od człowieka. Steruje nimi myślą, ale nie może kierować wszystkimi naraz tak skutecznie, jak zrobiłby to komputer.

- Dobrze. Czy w takim razie ma możliwość, by w tej chwili, opierając się tylko na tym, czym dysponuje, zniszczyć ludzkość?

- Nie - oceniła zdecydowanie.

I odetchnęła z ulgą.

- Może spowodować olbrzymie straty, ale nie może nas unicestwić - dodała.

- A wie na temat naszego świata wystarczająco dużo, żeby zorientować się, gdzie mógłby znaleźć środki, które by mu to umożliwiły?

- W żadnym wypadku! Ja miałabym z tym problem, a jego wiedza o tej Ziemi była zerowa, gdy tu się znalazł. Musi się wiele nauczyć i choć robi to szybko, zajmie mu to sporo czasu.

- W takim razie wygląda na to, że nie zacznie działać ani natychmiast, ani w ciągu najbliższych tygodni. A teraz pytanie najważniejsze: co jest najokrutniejszą rzeczą, jaką *Troll* może zrobić z ludzkością?

- Zniszczyć ją - odpowiedziała natychmiast.

I umilkła równie nagle.

Po czym zmarszczyła czoło i coś w jej oczach błysnęło.

- Moment... - powiedziała powoli. - Zaraz... wiesz, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam?

- Wiem. Do takiego właśnie wniosku doszedłem, słuchając cię - przyznał spokojnie. - Myślę, że walczyście z nimi tak długo, że trudno ci myśleć o nich inaczej niż w kategoriach wzajemnego i całkowitego zniszczenia. Natomiast biorąc pod uwagę to, że on nie może nas natychmiast unicestwić i że nienawidzi Kangi równie mocno jak nas, jest całkiem możliwe, że nie chce nas wybić, bo oni tego chcieli. Oznaczałoby to wykonanie ich rozkazu w sytuacji, w której nie musi tego robić. W takim razie należy przyjąć, że może zdecydować się na inne rozwiązanie. Pamiętaj, że jego rodzaj od momentu stworzenia był zniewolony. Powiedz mi, czy nie może zdecydować, że gorszym losem od likwidacji będzie dla nas niewolnictwo?

- Tak... - przyznała cicho. - A zwłaszcza jeśli myśli, że może się nami posłużyć do wybicia Kangi, gdy się tu zjawia!

- Zdaję sobie sprawę, że nie możemy założyć, iż właśnie tego spróbuje, ale sędzę, że powinniśmy uwzględnić tę opcję.

- Zgadza się. - Widać było, że już analizuje nową ewentualność. - Czy tak jest, czy nie, wychodzi na to, że szczęśliwie mamy więcej czasu, niż sądziłam... Myślę zresztą, że masz rację: z jego punktu widzenia zrobienie z ludzi niewolników będzie lepsze od zabicia wszystkich. I jest jeszcze coś, co za tym przemawia.

- Co takiego?

- Ta planeta jest jedynym źródłem ludzkich umysłów.

Aston poczuł dziwny chłód w żołądku, ale musiał przyznać, że znalazła w jego rozumowaniu coś, co przeoczył, tak jak wcześniej on w jej toku myślowym.

- Oczywiście! - przyznał. - Jeśli chce, by było więcej *Trolli*...

- No właśnie - potwierdziła ponuro. - Masz rację: nie możemy założyć, że właśnie na to się zdecyduje, ale sędzę, że tak właśnie robi. Natomiast jestem pewna jednego: jeśli mu się nie uda, bez wahania zdecyduje się was zabić do ostatniego.

- A to oznacza, że będzie musiał poczynić stosowne przygotowania, jako że teraz jest to dla niego niewykonalne.

- Zgadza się. Cholera! To perspektywa gorsza od poprzedniej. Musimy uzyskać pomoc tak szybko, jak tylko się da, Dick!

- Wiem. - Spojrzał na żagiel i ocenił wiatr. - I chyba możemy postawić więcej płótna. Chodź!

Rozdział XII

Wiatr osłabł, gdy Aston w zapadających ciemnościach ostrożnie nawigował przez Morze Irlandzkie. Byłoby mu łatwiej, gdyby nie mgła, która zaczęła się podnosić wraz ze słabnięciem wiatru, ale póki co ścieliła się jeszcze na tyle nisko, że latarnie morskie na wyspie Rathlin były wyraźnie widoczne.

Gdy skierował się ku latarniom w South Point, wiatr zmienił kierunek na północno-zachodni, a Aston odetchnął z ulgą, bo opuścił właśnie najbardziej uczęszczane szlaki żeglugowe. Wpływając w cieśninę Sanda pomiędzy Kintyre a Sandą, żałował, że wiatr ucichł - miał do pokonania jeszcze 60 mil, gdy uznał, że nie płynie wystarczająco szybko, i klnąc pod nosem, uruchomił silnik. Były to idealne wody do żeglugi, uznawane powszechnie za żeglarski raj, toteż było to swego rodzaju świętokradztwem. Ale tym razem liczył się czas.

Słyszając jego zduszone przekleństwa, Ludmilla nie odzywała się, ale w jej oczach tańczyły złośliwe ogniki. Mógł się założyć, że zapamiętywała co ciekawsze i w przyszłości je wykorzysta. On był ubrany w gruby sweter, a ona ciągle paradowała w samej koszulce Harleya-Davidsona, co obserwował z zawiścią.

Z dużym zainteresowaniem obserwowała też, jak ślęczy nad mapami, jeszcze dokładniej niż zwykle wyznaczając kurs, ponieważ chciał dotrzeć do celu o świcie. Był tu co prawda już wcześniej, ale nie odpowiadał za nawigację i nie był pozbawiony GPS-u.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytała na wszelki wypadek.

Spojrzał na nią bykiem, ale bez specjalnego zaangażowania, bo mimo mgły i konieczności płynięcia na silniku czuł zbyt wielkie zadowolenie.

- Oczywiście, że wiem - prychnął. - Z prawej masz Long Island, a my jesteśmy w cieśninie Puget.

- Hmm... - mruknęła. - Skoro tak mówisz...

Zachichotał.

A ona zmrużyła oczy, zdając sobie sprawę, że dała się nabrać, choć nie miała pojęcia, o co chodzi. Ponieważ nie lubiła być ofiarą niezrozumiałych żartów, nabrała powietrza, by to wyjaśnić, ale Aston, widząc, co się święci, okazał się szybszy.

- Może byś tak zaparzyła świeżej kawy? - zaproponował.

Zamknęła z trzaskiem usta i uśmiechnęła się.

- Aye, aye, sir! - oznajmiła.

I zniknęła pod pokładem.

Aston odetchnął z ulgą i uśmiechnął się. Zastanawiało go, jak długo potrwa jej fascynacja „prawdziwą ziemską kawą”. Po raz kolejny pomyślał, jak to dobrze, że pija sypaną zamiast tych wypocin z ekspresu, których mnóstwo wypił na pokładach różnych okrętów i których miał serdecznie dość. A potem spowaźniał i wrócił do map.

Zostawili za rufą Sheep Island i skierowali się przez zatokę Kilbrannan ku latarni na Isle of Arran. Wiatr przybrał nieco na sile i fala napływająca z Morza Irlandzkiego zmieniła się na gwałtowniejszą, nim Ludmilla wróciła z parującymi kubkami w dłoniach. Objął jeden nieco zziębniętą dłońią i pociągnął kilka drobnych łyżków. Po latach we flocie dobrze wiedział, jak ludzie potrafią popsuć ten napój. Według własnej oceny robił całkiem dobrą kawę. Natomiast musiał przyznać, że jej wychodziła lepsza, pewnie dlatego że bardzo się starała, bo dla niej był to nadal drogi i rzadki smakołyk.

- Posterowałabyś chwilę? - zaproponował.

Kiwnęła głową, odgarniając rozwiane przez wiatr włosy z twarzy, i pewnie ujęła koło sterowe jedną ręką. Sterowania nauczyła się szybko, ale jak podejrzewał, dla kogoś pilotującego nadświetlny myśliwiec nie była to specjalnie skomplikowana sztuka. Choć z drugiej strony znał paru naprawdę dobrych pilotów myśliwskich, którzy byli przerażeni, gdy przyszło im sterować żaglówką na jeziorze.

Mógł teraz ogrzać obie dłonie, a gdy już to zrobił, sięgnął po lornetkę i rozejrzył się. Dostrzegł słabą poświatę na niebie pasującą do położenia Ardrossana odległego w jego ocenie o jakieś 30-35 mil. Biorąc pod uwagę widoczność, miał szczęście, że ją dostrzegł.

* * *

Amanda opłynęła południowy kraniec Isle of Arran i zmieniła kurs, kierując się na północ, ku Little Cumbrae tkwiącej niczym strażnik między znacznie większą wyspą Bute a stałym lądem. Latarnia na Holy Island powoli pozostawała z tyłu, a coraz bardziej przybliżała się ta z Little Cumbrae. Wiatr znów przybrał na sile, Aston wyłączył więc motor. Ludmilla spała smacznie z głową opartą o jego ramię, ukołysana szumem wiatru i fal.

Naprzeciw pojawiły się światła kutrów wypływających na silnikach w morze, gdy ostrożnie prowadził *Amandę* między Little Cumbrae a Bute, kierując się bojami i coraz liczniejszymi latarniami morskimi. Po minięciu Bute *Amanda* nabrała prędkości, ruszając już prosto ku poszarpanemu wybrzeżu Szkocji. Firth of Clyde zwążyła się stopniowo, gdy mijał Great Cumbrae, a gdy dostrzegł na południowym zachodzie światła Dunoom, niebo na

wschodzie zaczęło jaśnieć. Podróż wreszcie dobiegła końca.

Słońce weszło nad lądem, odbijając się czerwono w wodzie między Gourock a Kilcreggan, gdy Aston zwinął żagle i włączył silnik. Powierzchnia Holy Loch była gładka niczym lustro, a nad nią unosiły się pasma mgły. Na niebie pojawiła się grupa mew, obniżyła lot nad keczem i poleciała dalej. Na północ rozciągała się Loch Long, a przed dziobem z lewej widać było basen jachtowy w Sandbank, natomiast jego uwagę przykuwał smukły, szary kształt okrętu stojącego na kotwicy w Kilmun w północnej części zatoki. Jego światła pozycyjne były ledwie widoczne na tle wschodzącego słońca, podobnie jak światła na brzegu za okrętem.

Ulżyło mu, gdy Ludmilla bez protestów zeszła pod pokład, choć wiedział, że bezczynność ją irytuje. Rozumiała jednakże, dlaczego musi pozostać w ukryciu, toteż nie dyskutowała na ten temat. Przynajmniej jeszcze nie. Aston w głębi ducha wątpił, czy zdołałby okazać taką cierpliwość, gdyby role się odwróciły.

Trzymał się w pobliżu północnego brzegu i z ulgą usłyszał znajome dźwięki granego na trąbce sygnału, które zagłuszyły krzyki mew. Na okręcie podniesiono znajomą banderę, zrobił więc to samo, a potem otworzył przepustnicę i skierował się prosto ku okrętowi, zastanawiając się, kiedy zostanie zauważony.

Nie musiał długo czekać, by zza okrętu wyłonił się przysadzisty, szary kształt i zaczął się szybko zbliżać. Nad mgłą widać było spory mostek i błyskające światła nawigacyjne na maszcie zwieńczonym radarem. Uznał, że skoro już zwrócił uwagę kogo trzeba, nie ma sensu przesadzać, zmniejszył więc prędkość, ale kursu nie zmienił.

Obserwował z uznaniem szary kształt wyłaniający się z mgły. Była to łódź patrolowa nowego typu *Scimitar*, który zastąpił wysłużone jednostki typu *Archer*. Wyglądała solidnie i agresywnie z banderą z krzyżem świętego Jerzego powiewającą na maszcie. Uniósł lornetkę i dostrzegł, że obsadzone jest dziobowe działko *Oerlikon KBA* kal. 25 mm o szybkostrzelności 600 pocisków na minutę. *Vulcan* to to nie był, ale też nie miał zestrzeliwać rakiet.

Łódź podpłynęła bliżej, na pokładzie pojawiło się więcej umundurowanych postaci i tak jak się spodziewał, poranną ciszę przerwał wzmocniony przez megafon głos:

- Uwaga! To kotwiczowisko marynarki wojennej! Cywilne jednostki mają tu zakaz ruchu. Proszę natychmiast zawrócić!

Aston uśmiechnął się zadowolony, pomachał radośnie i płynął dalej.

Kurs musiał więc zmienić patrolowiec, a towarzyszyły temu fontanny piany z odkosów dziobowych. Teraz oba działka zostały obsadzone i ich lufy obracały się w miarę zwrotu okrętu, cały czas celując w *Amandę*. Aston średnio się tym przejmował; przyglądał się

okrętowi, ku któremu zmierzał. W coraz jaśniejszym świetle dnia zauważył przy jego burcie niski, obły kształt przypominający wieloryba.

Patrowiec opłynął *Amandę*, która zakołysała się ostro w jego forwaterze, i megafon ożył ponownie.

- Uwaga, *Amanda*! To zamknięty dla ruchu cywilnego rejon! Natychmiast zawracać!

Patrowiec podpływał coraz bliżej, Aston wolno ujął więc tubę, uniósł ją do ust i skierował w jego stronę. Był prawie pewien, że nikogo nie poniesie entuzjazm, ale gdy ktoś celuje do człowieka z działka, „prawie” robi zasadniczą różnicę.

- Wiem, że jestem na terenie floty! - odrzyknął. - Potrzebuję pomocy! Radiostacja mi wysiadła, bo już bym się z wami skontaktował!

Nie było natychmiastowej odpowiedzi, ale patrowiec zwolnił. Aston powolutku podpłynął do jego burty i wyłączył silnik, ciekaw, co jego kapitan sobie teraz myśli. Istniały setki miejsc, do których mógł popłynąć w razie problemów; to, że tego nie zrobił, i zjawił się tutaj z prośbą o pomoc, musiało skłonić Anglików do naprawę wytężonej pracy umysłowej. Słuchał stłumionego pomruku trzech tysięcy koni mechanicznych patrowca i czekał.

- Proszę podać naturę kłopotów. - Głos był bardziej uprzejmy i cichszy, jako że obie jednostki dzieliło ledwie 20 metrów.

Lufy działek przestały celować w *Amandę*, ale obsady pozostały na stanowiskach.

- Przykro mi - powiedział głośno. - Ale to mogę powiedzieć tylko admirałowi Rose'owi.

Tym razem cisza zapadła na dłużej, czemu się nie dziwił. Prawie widział w wyobraźni gorączkową wymianę informacji przez radio. Nazwisko dowódcy flotyli nie było informacją ściśle tajną, ale też nie należało do ogłaszanych w gazetach. A zjawiająca się w bazie floty łódź zagłowa, której kapitan nie chce podać powodu przybycia nikomu innemu, była zjawiskiem, delikatnie rzecz ujmując, niecodziennym.

- *Amanda*, przygotować się na przyjęcie grupy abordażowej - rozległo się w końcu.

- Tylko uważajcie na kadłub! - odrzyknął i wstawił tubę w uchwyt.

Łódź patrolowa była o pięć metrów dłuższa, a jej silniki miały moc nieporównywalną z motorem kecza, ale jej sternik był fachowcem i manewrował nie tyle delikatnie, ile precyzyjnie. Dwóch marynarzy, każdy z *Enfieldem L85* przerzuconym przez plecy, trzymając się jedną ręką relingu, opuściło odbijacze między kadłuby, po czym z lekkim wstrząsem obie jednostki się zetknęły. Na rufie i pokładzie stali dwaj kolejni marynarze z cumami, ale nie drgnęli, dopóki pierwsza para nie stanęła z powrotem na pokładzie i nie wzięła broni w garść. Większość marynarzy, z którymi dotąd się zetknął, traktowała broń ręczną w najlepszym wypadku z lekkim lekceważeniem. Wszystko, co mniejsze od działka lub rakiety, uważali za

niezbyt poważne i dobre dla takich osobników jak Marines czy zgoła piechota. Ci mieli inne podejście, co świadczyło o doskonałym wyszkoleniu i pełnym profesjonalizmie.

Po uporaniu się z linami kolejna para zdjęła broń z ramion, a na pokładzie na wysokości kabiny *Amandy* pojawił się oficer w nienagannie białym mundurze, ale z kaburą na biodrze. Na szczęście zapięta, co wskazywało na zdrowy rozsadek - przy tej sile ognia, który w każdej chwili mógłby spaść na *Amandę* i Astona, pistolet byłby zbędnym a śmiesznym dodatkiem. Oficer był w stopniu porucznika i wyglądał nie tylko na rozsądnego, ale i kompetentnego.

- Proszę o pozwolenie wejścia na pokład - powiedział z nienagannym brytyjskim akcentem i tak uprzejmie, jakby nikt tu do nikogo nie celował.

Aston uśmiechnął się odruchowo.

- Pozwolenia udzielam, poruczniku - odparł jednak zgodnie z tradycją.

Młodzian zręcznie przeskoczył na pokład *Amandy* i przedstawił się:

- Porucznik Mackley, Royal Navy. Z kim mam przyjemność?

- Z kolegą po fachu, poruczniku - poinformował go Aston i wyciągnął z kieszeni skórzaną książeczkę.

Podał ją oficerowi, ciekaw reakcji.

Nie zawiódł się - ledwie Mackley ją otworzył, wytrzeszczył oczy, spojrzał na niego i na zdjęcie.

Aston uznał, że golenie się opłacało.

- Sir. - Porucznik wyprężył się i zasalutował, oddając mu dokumenty.

Aston kiwnął głową, jako że do pustej głowy się nie salutuje.

Porucznik zareagował odruchowo, ale widać było, że jest zaskoczony, co nie przeszkodziło mu szybko wziąć się w garść.

- Z całym szacunkiem, komodorze Aston, ale to zamknięte kotwicowisko - oznajmił. - Otrzymałem rozkaz, by dowiedzieć się, o co chodzi, i zameldować dowództwu bazy.

- Wiem, gdzie jesteśmy, poruczniku Mackley, ale obawiam się, że nie mogę panu wyjawić, dlaczego tu przyplłynąłem. Bez obrazy, ale muszę rozmawiać z amerykańskim dowódcą floty.

- Ale sir...

- Poruczniku - przerwał mu Aston uprzejmie, lecz stanowczo. - Proszę mi wierzyć, że nie robiłbym tego zamieszania, gdybym mógł problem rozwiązać inaczej. Ponieważ nie mogę, nic na to nie poradzę. Natomiast jeśli można, chciałbym coś zasugerować.

- Naturalnie, sir.

- Zalecałbym, by pozostawił panu kilku ludzi na *Amandzie* i popilotował mnie do

bezpiecznego miejsca, by zacumować. Obiecuję grzecznie za panem popłynąć i poczekać na pokładzie, dopóki pan nie wyjaśni sytuacji.

- Dobrze, sir - zgodził się Mackley po namyśle.

Najwyraźniej rozumiał, że musi pójść na kompromis, ale Aston wiedział, że uzbrojonych ludzi z pokładu nie zdejmie, dopóki nie będzie miał potwierdzenia, że Aston jest tym, za kogo się podaje. Właśnie tak należało postąpić, tyle że powinien zrobić jeszcze jedno: przeszukać łódź, nim zgodzi się, by popłynęła dalej. Ale tego Aston nie zamierzał mu podpowiadać.

Porucznik tymczasem wydał stosowne rozkazy, w wyniku których na pokładzie znalazło się trzech jego podkomendnych, po czym wyjaśnił:

- Pomocnik bosmański pomoże panu sterować, sir.

Było to, mówiąc po ludzku, uprzejme polecenie, by nie ruszał koła sterowego.

- To bardzo miło z jego strony - odparł Aston i kiwnął podoficerowi głową.

Ten odpowiedział podobnym gestem i podszedł do koła sterowego. Pozostali w tym czasie oddali cumę rufową, a dziobową zmienili na hol, porucznik Mackley zaś wrócił na patrolowiec. Aston spokojnie nabił fajkę. Wciśnięty w kąt sterówki, przyglądał się wszystkiemu z uznaniem. Mackley najwyraźniej nie miał zamiaru ryzykować, tylko zaparkować Astona dokładnie tam, gdzie chciał, czyli pewnikiem z dala od brzegu.

Silniki łodzi patrolowej ożyły i obie jednostki ruszyły majestatycznie ku okrętowi bazie, opłynęły go i dotarły do platformy pływającej przy burcie, skąd prowadziły prawie normalne schody na pokład. Tyle że całość znajdowała się na przeciwległej burcie niż ta, do której cumował atomowy okręt podwodny. Przycumowano *Amandę* do platformy i pomocnik bosmański odezwał się pierwszy.

- Zechce pan wejść na pomost, sir? - mówił z silnym akcentem z Clyde. Żeby nie było wątpliwości, wskazał kierunek dłonią.

- Zechcę - potwierdził Aston i dodał: - Tylko najpierw jeden drobiazg: w czasie mojej nieobecności nikt nie zajrzy pod pokład.

Podoficer przyglądał mu się spokojnie, ale bez żadnej reakcji.

- Mówię poważnie - dodał Aston. - Nikt nie zejdzie pod pokład bez mojej zgody albo zezwolenia admirała Rose'a. Czy to jasne?

- Jasne, sir - potwierdził po sekundowym wahaniu zapytany.

- To dobrze - skwitował Aston.

I wyszedł na pokład.

Następnie przeskoczył na platformę i znalazł się naprzeciwko kolejnego porucznika, tym razem w mundurze amerykańskim. Za oficerem stało dwóch Marines z bronią boczną. Cała

trójka zaszalutowała. Aston skinął głową i zaczął żałować, że nie zabrał munduru. Zawsze czuł się głupio, nie mogąc odsalutować.

- Dzień dobry, sir. Jestem porucznik Truscot, oficer nawigacyjny USS *McKee*.

- Miło poznać, poruczniku Truscot. Przepraszam za całe to zamieszanie.

- Zechce pan mi towarzyszyć, sir? - spytał uprzejmie Truscot.

Aston bez słowa ruszył za nim.

A Marines jego śladem, naturalnie nie spuszczać z niego wzroku.

Truscot skierował się nie na mostek, ale do kabiny kapitana znajdującej się w nadbudówce. Zatrzymał się przed drzwiami, zdjął czapkę, umieścił ją pod lewą pachą i dopiero wtedy zapukał.

- Wejść! - dobiegło z wnętrza.

Porucznik otworzył drzwi, przepuścił Astona i zamknął je za nim.

W kabinie było dwóch oficerów. Obaj stali. Jednego z nich, w stopniu kapitana, Aston nie znał. Najwyraźniej był to dowódca USS *McKee*. Drugim był krępy kontradmirał, którego widok go nieco zaskoczył, bo nie spodziewał się, że Rose zdoła tak szybko dotrzeć tu z budynku dowództwa.

- To naprawdę ty! - ucieszył się Rose, podchodząc z wyciągniętą prawicą.

Aston uściskał ją, dziękując w duchu losowi, że zapamiętał informację, iż John Rose został niedawno dowódcą bazy Holy Loch. Biorąc pod uwagę liczbę okrętów podwodnych chińskiej i rosyjskiej budowy, choć zdarzały się i zachodnie, trafiających ostatnio do właścicieli we wschodniej części Morza Śródziemnego i w Zatoce Perskiej, decyzja o ponownym stacjonowaniu amerykańskich okrętów podwodnych w Szkocji była jak najbardziej sensowna. Tyle że teraz były to atomowe myśliwce klasy *Los Angeles* i *Seawolf*, jak potocznie nazywano okręty podwodne do zwalczania okrętów podwodnych, nie jak poprzednio jednostki raketowe. Rose zresztą nigdy nie był w głębi serca zwolennikiem boomerów, choć rozumiał potrzebę ich istnienia, toteż stanowił doskonałego kandydata na dowódcę flotyli stacjonującej w Holy Loch.

Teraz jednak znacznie ważniejsze było to, że znali się od lat, choć ich kariery miały różny przebieg.

- Myślałem, że już ci dali awans na flagowego i posłali na emeryturę - dodał Rose, ściskając jego dłoń.

- Dadzą w przyszłym miesiącu i zamierzają posłać do Langley. Jestem... a raczej byłem na przedłużonym urlopie, który miał trwać jeszcze ze trzy tygodnie. Przepraszam za to zamieszanie, Jack, ale mam problem.

- Tak też pomyślałem, ledwie mnie zawiadomili, że to ty. Swoją drogą masz szczęście, że zjawiłem się na wcześniej ustaloną odprawę, bo gdyby przez ciebie próbowali mnie wyciągnąć z łóżka w środku nocy, kazałbym cię przymknąć i poczekać do jakiejś ludzkiej godziny. - Puścił dłoń Astona i dokonał prezentacji. - Kapitanie Helsing, to jest komodor Dick Aston. Mógł pan o nim słyszeć.

- Rzeczywiście słyszałem, sir. - Helsing podszedł z wyciągniętą ręką, przyglądając się równocześnie dokładnie gościowi.

Najwyraźniej rozważał, czy jego wygląd współgra z reputacją. Obiekt jego zainteresowania był ciekaw wniosków.

- Nie słyszałem, że przechodzi pan na emeryturę, sir - dodał Helsing już pod jego adresem.

- Bo tak naprawdę nie przechodzę, ale jestem już za stary, żeby ganiać z SEAL, zdecydowano więc usadzić mnie za biurkiem jako oficera łącznikowego CIA.

- Rozumiem. Może byśmy usiedli? - zaproponował Helsing, wskazując wygodne fotele.

Aston opadł na jeden z nich z prawdziwą ulgą. Czuł się zmęczony - fizycznie ostatnią nocą, psychicznie myśleniem o tym, co go czeka. Do tego dochodziła ogromna ulga - codzienna, spokojna rutyna panująca na okręcie była najlepszym dowodem, że *Troll* jeszcze nie zaczął działać, czego podświadomie obawiał się przez ostatni tydzień, pomimo wniosków, do jakich doszli z Ludmillą.

- No dobra, Dick - odezwał się Rose, gdy usiedli. - O co chodzi?

- Widzisz, Jack... nie jestem pewien, czy mogę ci powiedzieć... - palnął Aston, i widząc minę rozmówcy, skłął się w duchu. - Przepraszam, to nie tak miałem powiedzieć, poczekaj...

Zamilkł, szukając właściwych słów, a Rose cierpliwie czekał.

- Zakładam, że słyszałeś o pewnym incydencie nad Atlantykiem, który miał miejsce ze dwa tygodnie temu? - spytał w końcu Aston.

- Pewnie, że słyszałem! A bo co?

- Ano dlatego - powiedział Aston, bardzo dokładnie dobierając słowa - że ja wiem, co się tam wydarzyło.

W kabinie zapadła cisza wręcz absolutna.

Helsing, znający go jedynie z opowieści, nie zdołał w pełni zapanować nad mięśniami twarzy, toteż widać było na niej niedowierzanie. Rose natomiast znał go osobiście, spytał więc rzeczowo:

- Skąd wiesz?

- Tego właśnie nie mogę ci powiedzieć... Widzisz, nie wiem, komu mogę powiedzieć... to

bardzo, delikatna sytuacja, i to bardziej, niż możesz podejrzewać.

- Dick, straciliśmy *Kidda* z całą załogą, trzy *Tomcaty* i *Hawkeye'a*. Mamy ponad setkę oślepionych i ponad dwa tysiące zabitych na pokładach samolotów pasażerskich, które straciły elektronikę i wpadły do morza - powiedział równie wolno, dobierając słowa Rose. - Nie wspominając o stratach na *Roosevelcie* i dwóch *Tico* wartych grube miliony, których naprawa potrwa dobry rok. Jeśli wiesz, co się stało, to mów, i to lepiej mów szybko.

- Wiem, ale najpierw potrzebuję od ciebie paru rzeczy. Przede wszystkim trochę cierpliwości i bezpiecznej linii do Norfolk. Potem dobrego i niezbyt ciekawskiego neurologa? Poczekaj, to nie koniec. Wiem, że to brzmi jak wariactwo; ale mam na pokładzie młodą kobietę, którą trzeba przetransportować tutaj, ale tak, żeby nikt jej nie zobaczył, i dyskretnie, ale piorunem zrobić jej EEG.

- Zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? - spytał cicho Rose.

Aston uśmiechnął się, nie próbując ukryć zmęczenia.

- Wiem. I wolałbym móc ci już teraz powiedzieć, ale nie mogę. To sprawa z gatunku „ściśle tajne, zjeść przed przeczytaniem”. Potrzebuję rady Dowódcy Floty Atlantyku, zanim sam przed sobą się przyznam, co naprawdę wiem.

- No dobra... - zdecydował powoli Rose. - Pozwolę ci działać, jak uznasz za stosowne... póki co. Kapitanie, proszę posłać na kecz głównego chirurga i parę noszowych. Mają przynieść na pokład tę młodą damę, ale tak opakowaną, żeby nikt nie był w stanie zgadnąć, co jest na noszach, nie mówiąc już kto. Niech ją umieszczą w izolatce, a przed drzwiami ma stanąć warta. I proszę powiedzieć wszystkim wartownikom, żeby nie ośmielili się słowa pisnąć, a jeśli gadają przez sen, niech łykają stymulanty i piją litry kawy, dopóki osobiście ich z tego obowiązku nie zwolnię. Aha, warta ma stać przez całą dobę.

- Rozumiem, sir.

- Jeśli chodzi o ciebie, Dick, to z bezpieczną linią nie ma problemu, a ja się wręcz nie mogę doczekać, żeby usłyszeć reakcję admirała McLaina - oznajmił Rose.

I uśmiechnął się z rozmarzeniem.

ALARM 1. «ostrzeżenie przed atakiem czy niebezpieczeństwem, najczęściej syrena lub klakson» 2. «okres, w którym taki stan obowiązuje; zaalarmować - uprzedzić o zbliżającym się niebezpieczeństwie; ostrzeżenie, alert (francuskie *olerte*, włoskie *all'erta*, z łaciny *ille erta* „na straży"»

*Webster-Wangchi Unabridged
Dictionary of Standard English
Tomas y Hijos, Publishers
2465 rok standardowy*

Rozdział XIII

Mordecai Morris otworzył oczy, gdy telefon zadzwonił powtórnie. Poderwał się i złapał za słuchawkę, nim sygnał rozległ się trzeci raz, po czym spojrział półprzytomnym wzrokiem na stojący na nocnym stoliku zegar.

- Druga trzydzieści... zabiję skurwysyna! - wymamrotał pod nosem, żeby nie obudzić żony. - Morris!... Co?... Tak... tak, oczywiście! Nie, poczekaj... to otwarta linia. Poczekaj, zaraz będę na innej!

Przetarł zapuchnięte od snu oczy, wsunął lewą stopę w laczek, a do prawej przypiął protezę, i starając się zachować ciszę, zszedł do biblioteki. Usiadł przy biurku, zignorował stojący na nim telefon i otworzył dolną, zamykaną na klucz szufladę. Wyjął z niej inny aparat, wybrał stosowny numer i połączył się z centralą bazy.

- Dobrze, proszę go połączyć, jestem na bezpiecznej linii - powiedział i spokojnie czekał.

Po paru sekundach w słuchawce rozległ się znajomy głos:

- Sie masz, MM.

- Można się dowiedzieć, dlaczego, do kurwy nędzy, dzwonisz do mnie na kodowanej linii o drugiej w nocy? - warknął Morris.

- Uznałem, że z kimś tak pokręconym jak ty, obsrańcu, najlepiej gadać na kodowanej linii - poinformował go radośnie Richard Aston.

A Morris usiadł prosto i cała złość mu natychmiast przeszła.

- Łatwo ci powiedzieć - burknął odruchowo, myśląc o czymś zupełnie innym.

Bo to, że owego dnia w Jordanii stracił tylko stopę, było głównie zasługą Dicka Astona.

Islamski dżihad doszedł bowiem do wniosku, całkiem zresztą słusznego, że za jego problemy i niepowodzenia w ostatnim czasie odpowiedzialny jest amerykański attache morski. Aston był wówczas dowódcą operacji w Libanie, w której SEAL uwolnili sześciu zakładników z USA i Europy, zostawiając 32 martwych szyitów. Morris zebrał informacje o miejscu przetrzymywania zakładników. Hasłem oznaczającym zagrożenie w razie użycia niekodowanych telefonów był właśnie „obsraniec”. i Morris użył go dokładnie raz, dzwoniąc do Astona z informacją, że ma trzyosobowy ogon i prosi o wsparcie. Aston zjawił się dziesięć minut później z patrolem Marines z ochrony ambasady. Dobili dwóch pozostałych terrorystów, którzy trzymali Morrisa w krzyżowym ogniu za jego płonącym samochodem, i dostarczyli go do szpitala. Tyle że było to osiem lat temu... ale też był to jedyny raz, gdy razem pracowali.

- Starych wspomnień czar! - odezwał się Aston, potwierdzając jego podejrzenia.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał spokojnie.

- Nadal masz tę ładną asystentkę? - spytał spokojnie.

- Jayne? Mam, a bo co?

- A bo tak sobie myślę, że powinieneś zabrać ją ze sobą, jak się będziesz wybierał do Szkocji na wakacje.

Morrisowi na moment mowę odebrało.

- Wiesz, jesteśmy teraz trochę zajęci - wykrztusił, gdy odzyskał dar wymowy.

- Doprawdy? A, pewnie dalej kombinujecie, co to było z tymi UFO. Wiesz, płynąłem sobie przez Atlantycką, obsrańcu, i widziałem cały ten cyrk.

Morris omal nie spadł z fotela, bo mogło to znaczyć jedynie, że Dick coś wiedział. Tylko co mógł wiedzieć...?

- Wiesz, może uda mi się z szefa coś wydusić w przyszłym tygodniu - powiedział, równocześnie myśląc intensywnie.

Rozmawiali na jednym z najbezpieczniejszych łącz na świecie, a Aston uważał, że nie jest wystarczająco bezpieczne... Powtórzył hasło i chciał zobaczyć się też z Jayne... to mogło znaczyć tylko jedno: wiedział coś naprawdę ważnego... Tylko co?

- Eee tam. Nie wiem, czy będę tu tak długo. Jak się postarasz, to będziesz szybciej.

A więc sprawa na dodatek była pilna...

- Kusząca propozycja... - powiedział powoli Morris. - Ale muszę to uzgodnić z szefem.

- Wiem, ale na twoim miejscu nie zawracałbym mu głowy duperelami - poradził Aston. - Wiesz, kto mniej wie, ten lepiej śpi. Więc powiedz mu tylko to, co musi wiedzieć.

- Może i masz rację... spróbuję.

- Wiedziałem, że jesteś rozsądny. - W głosie Astona słychać było ulgę. - A, masz już te wyniki badań?

Mimo dotychczasowych rewelacji Morris wytrzeszczył oczy i przyjrzał się podejrzliwie telefonowi.

- Pewnie - bąknął po chwili. - A co?

- A bo ciekaw jestem. Zwłaszcza EEG. Martwiłem się, odkąd się dowiedziałem, więc miło by było, gdybyś je zabrał, żebym mógł się upewnić, że ty w ogóle masz mózg. Jayne niech też swój weźmie, to ci pokażemy, jak wygląda działający umysł.

- Czemu nie? - zgodził się ogłupiały Morris.

Istniały tylko dwie możliwości: albo Dick odkrył coś niewiarygodnego, albo zszedł zmysły. Nie był w stanie tego stwierdzić, ale był mu coś winien, należało więc założyć, że nie zwariował.

- Doskonale. Czekamy na was z Jackiem Rose'em - powiedział radośnie Aston.

I rozłączył się.

A Morris dłuższą chwilę siedział nieruchomo. Dopiero słysząc ciągły sygnał, powoli odłożył słuchawkę na widełki. Cały czas gapił się niewidzącym wzrokiem w ścianę, próbując wyłowić coś sensownego z tej rozmowy. A im dłużej ją analizował, tym większe czuł podniecenie - znał reputację Astona i zetknął się z nim osobiście, toteż wiedział, że nie zadzwoniłby, gdyby nie uznał, że wie coś ważnego. A jeśli rzeczywiście tak było, był jedynym, który cokolwiek wiedział, na całej planecie...

Schował telefon do szuflady i na aparacie stojącym na biurku wybrał znany numer. Po czym spokojnie czekał, aż ten, do kogo dzwoni, zdecyduje się odebrać.

Musiał poczekać całkiem długą chwilę.

- Halo? - rozległ się zaspany i półprzytomny głos.

- Jayne? Tu Mordecai - powiedział ze złośliwą satysfakcją. - Co?... Oczywiście, że wiem, która jest godzina: dokładnie za dziesięć trzecia... że co?... Może byś mi dała dojść do słowa, to się dowiesz... Dzięki. Miałaś kiedyś robione EEG?... Nie szkodzi, ja też nie, więc najwyższy czas nadrobić to zaniechanie. Skontaktuj się ze szpitalem w bazie i ustal dla nas termin na rano, dobrze?... To ważne, ale nie pytaj dlaczego, bo nie mogę ci powiedzieć. Na rano, Jayne... Podaj powód, jaki chcesz, byleś to załatwiła... Proszę?... Jeśli uważasz, że jesteś wkurzona, to pomyśl, co usłyszę od starego, kiedy go obudzę, a zrobię to, ledwie skończę z tobą rozmawiać. Co, zatkało cię z wrażenia?... No to miłych wrażeń, a ja dzwonię.

Odłożył słuchawkę, wziął głęboki oddech i sięgnął po stojący na biurku obrotowy notes. Odszukał telefon do kwatery admirała McLaina i starannie wybrał numer, zastanawiając się,

jak bez podawania szczegółów go przekona, że jego szef wywiadu nie zwariował.

* * *

Ludmilla spojrzała z niesmakiem na Astona, ledwie ten przekroczył próg izolatki. Izolatką nazywano sekcję izby chorych, nie pojedyncze pomieszczenie, jako że USS *McKee* jako okręt baza klasy *Emory S. Land* opracowany został z myślą o obsłudze dziewięciu atomowych okrętów podwodnych, toteż jego izba chorych miała stosowną wielkość. Była natomiast tak jak wszystkie raczej spartańsko urządzone, toteż siedząca na łóżku Ludmilla była szczerze znudzona.

- No i? - spytała.

Aston uśmiechnął się szeroko.

- Rozmawiałem z Mordecaiem i chyba zrozumiał, sądzę więc, że wkrótce się odezwie - wyjaśnił. - Ale trzeba pamiętać, że tam jest trzecia rano.

- Hmph! - burknęła i wstała.

Zauważył ze sporym żalem, że ktoś znalazł spodnie odpowiedniego rozmiaru, w których dla niego wyglądała nieco dziwnie po tylu dniach. Miała też inny podkoszulek, tym razem prawie na nią pasujący, ale tego samego typu - z dokładnym rysunkiem *B-2 Stingray* widzianego od przodu.

- Miałaś rację co do badania - przyznała. - Gdyby lekarze o mnie wiedzieli...

Przerwało jej delikatne stukanie do drzwi.

- Wejść! - polecił Aston.

W progu stanęła młoda kobieta w białym kitlu narzuconym na mundur z dystynkcjami porucznika-chirurga. Miała azjatyckie rysy, inteligentne oczy i krótko przycięte, czarne włosy. Głową sięgała ledwie do ramienia wartownikowi z US Marine Corps. Zamknęła za sobą drzwi i przyjrzała się wpierw Ludmille, potem Astonowi, a na koniec uniosła pytająco brwi, znów patrząc na Ludmillę.

- Dick, to jest doktor Shu - przedstawiła ją z uśmiechem Ludmilla. - Pani doktor, to komodor Richard Aston.

Widać było, że doktor Shu ma zamiar przyjąć pozycję zasadniczą i zaszutować, Aston więc czym prędzej machnął ręką na znak, by dała sobie spokój, i ciężko usiadł na najbliższym krześle. Czuł zmęczenie wzrastające z minuty na minutę i kolejny raz upomniał się w duchu, że nie jest już młodzieniaszkiem. Był dziwnie pewien, że nie po raz ostatni.

- Już się spotkaliśmy - wyjaśnił. - Miałem wyjątkowo pracowity ranek, ale nie na tyle, żeby zapomnieć o badaniu. To są wyniki?

I wskazał na plik papierów, które lekarka trzymała pod pachą.

- Tak, sir. Chce je pan obejrzeć?

- Ja?! - Potrząsnął głową i wskazał Ludmillę. - Ja nie rozróżniam neuronu od neutrina. Ona jest specjalistką.

- Ach? - Doktor Shu przyjrzała się Ludmilli z nowym zainteresowaniem.

Po czym położyła papiery na łóżku i rozłożyła je w dwie długie wstęgi. Widoczne na nich linie stanowiły dla Astona kompletną zagadkę, mógł więc tylko mieć nadzieję, że dla Ludmilli nie.

Obie kobiety pochyliły się nad wydrukami, rozmawiając cicho.

Zmęczenie i całkowite niezrozumienie tego, o czym mówią przyciszonymi głosami, zadziałały usypiająco. Zauważył jeszcze, że doktor Shu ma, delikatnie mówiąc, dziwną minę, czemu trudno było się dziwić.

A potem ktoś zgasił światło.

* * *

- Pobudka!

Ktoś delikatnie potrząsnął jego ramieniem, otworzył więc oczy, zaskoczony tym, że zasnął na niewygodnym, twardym krześle. Albo był bardziej zmęczony, niż sądził, albo wrócił stary nawyk spania, gdzie się da i kiedy się da.

Przeciągnął się i przetarł oczy. Sądząc po kącie promieni słonecznych wpadających przez bulaj, musiał spać co najmniej ze dwie godziny, a czuł się gorzej niż przedtem. Po doktor Shu nie było śladu.

- Hmm. - Spojrzał na Ludmillę i uśmiechnął się przeproszająco. - Nie miałem zamiaru...

- Ale potrzebowałeś tego - przerwała mu, siadając na brzegu łóżka.

- Jakież problemy?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Używamy różnych metod zapisu, ale chyba doszliśmy do porozumienia, choć pani doktor była ogłupiona, i to bardziej niż trochę. Taki zapis jak mój widziała pierwszy raz, a nie wydaje mi się, by należała do osób lubiących zagadki... Ale nie zadawała pytań, musiała więc dostać wyraźne rozkazy i chyba uznała, że jest to jedna z tych sytuacji, gdy im mniej się wie, tym lepiej.

Wstała, oparła się o ścianę i wyjrzała przez bulaj na skąpaną w słońcu wodę.

- W każdym razie wydaje mi się, że zidentyfikowałyśmy to, o co mi chodziło - dodała. - I wygląda na to, że jest to na twoim wydruku. Ale nie mam pewności... Byłam zbyt pewna

siebie, Dick; wasze EEG za bardzo różni się od naszego!

I odwróciła się ku niemu, nie kryjąc rozczarowania i złości na samą siebie.

- Zaraz, moment. Wiedzieliśmy, że mogą pojawić się niespodzianki, w końcu minęło kilkaset lat w rozwoju techniki. - Wstał i podszedł do niej.

- Wiem - przyznała kwaśno. - Tylko nie jestem przyzwyczajona do niepewności.

Wzruszył ramionami.

- Wolę nie myśleć, jak bym się czuł na twoim miejscu - rzekł. - A poza tym trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że czas spędzony ze mną nie przygotował cię, bo nie mógł, na to, jak bardzo nasze światy są odmienne. Teraz dopiero masz okazję poznać nasz. I muszę przyznać, że przystosowujesz się bardzo szybko.

- Oby tak było - mruknęła i odetchnęła głęboko. - W każdym razie mamy problem. Miałam nadzieję, że dysponujecie urządzeniami z biosprzężeniem, wtedy sprawa byłaby prostsza.

- Ale nie jest. Na pewno mówiliście o tym samym, jeśli chodzi o fazę alfa?

- Tak.

- I sądzisz, że znalazłaś na wykresie ten skok, o który chodzi?

- Myślę, że tak, ale nie mam pewności. Widzisz, myśliwce pilotuje się przy użyciu sprzęgu i piloci spędzają dużo czasu, obserwując w trakcie szkolenia na monitorach wykresy swoich fal mózgowych, tak by w razie uszkodzeń maszyny móc dokonać drobnych napraw i korekt oprogramowania. Gdybym mogła skorzystać z urządzenia pokazującego wykres fal mózgowych, gdy robię standardowe sprawdzenie przedstartowe, wiedziałabym dokładnie, czego szukać w tych zapisach.

- Ale na pokładzie nie ma takiego urządzenia, więc można się tym zająć dopiero później. Teraz trzeba przekonać dowództwo, jak to jest istotne, musimy więc znaleźć jakiś sposób, by sprawdzić, komu możemy powiedzieć prawdę, a komu nie. Inaczej nic z tego nie będzie; albo nie zdołamy ukryć prawdy przed *Trollem*, albo wyjaśnień będą żądać ci, którzy mają do tego prawo, a my nie będziemy wiedzieli, komu można ich udzielić.

- Wiesz, wydaje mi się, że znalazłam sposób, by uzyskać taką pewność, o ile zgodzi się na to admirał Rose.

- Jak na razie jestem na fali. Mordecai powinien się tu wkrótce zjawić, o czym Jack wie, a to znaczy, że przynajmniej na razie będzie robił to, o co go poproszę, jakkolwiek dziwaczne by mu się to wydawało. Co wymyśliłaś?

- Trzeba zrobić to badanie setce przypadkowo wybranych ludzi.

- Że co proszę?... No to oczywiście. Wiemy, że dwie trzecie ludzi powinno być

odpornych na telepatię, trzeba więc porównać wyniki i przyjąć za wzór ten wykres fal alfa, który będzie się powtarzał u większości.

- Właśnie, ale nadal nie możemy nikomu powiedzieć, o co chodzi.

- Zgadza się. No to nie ma na co czekać, bo to trochę potrwa, a lepiej byłoby mieć ten wzór, gdy Mordecai tu dotrze.

- Też tak uważam... - Niespodziewanie się uśmiechnęła. - Spróbuj sobie wyobrazić, jak na to zareaguje doktor Shu...

- Litości! Wystarczy, że zobaczę reakcję Jacka. Ty jej powiesz!

- Mogę powiedzieć, ale zdaje mi się, że nie mam prawa wydawania jej rozkazów, nieprawdaż? - spytała z niewinnym uśmiechem.

- Zdaje się, że ci to sprawia przyjemność?

- Cóż, trzeba mieć jakąś słabość, Dick...

* * *

Kilka tysięcy kilometrów od Holy Loch, ukryty na poszarpanym zboczu Meseta de las Vizcachas na południowym krańcu Andów, spoczywał czarny, cichy kształt. Przelot z Antarktyki był dla *Trolla* równie nudny co irytujący, bo musiał poruszać się z prędkością ledwie 800 km/h i na wysokości nie większej niż 100 metrów. Nie miał wyjścia, bo w okolicach przylądka Horn aż roiło się od radarów. Powód był dlań nieznany, dla reszty świata oczywisty: napięcie między Buenos Aires a Londynem znów wzrosło ostatnimi czasy i Zjednoczone Królestwo, nie mając ochoty na powtórkę wojny falklandzkiej, zwiększyło siły stacjonujące na Falklandach. Istniało bowiem spore prawdopodobieństwo, że Argentyna, korzystając z chaosu w południowo-wschodniej Europie, spróbuje ponownie zaanektować wyspy. Obie strony siedziały więc na stanowiskach i przyglądały się sobie przy użyciu radarów, samolotów zwiadowczych i innego sprzętu.

Trolla nie obchodził powód, obchodził go skutek, czyli wzmożona aktywność elektroniczna w okolicy. Był to dodatkowy problem w realizacji planu, z którym musiał sobie poradzić. Prymitywna natura systemów wykrywania stanowiła spore wyzwanie dla jego komputera i ECM-ów przewidzianych do radzenia sobie z nowoczesnymi środkami wojny radioelektronicznej, ale wiedział, że mając więcej informacji, sprosta mu. Póki co jednak musiał trzymać się poniżej ich zasięgu, chcąc uniknąć wykrycia, i świadomość, że chowa się przed takimi prymitywami, bardzo go irytowała.

Kryjówkę wybrał starannie, pod skalnym nawisem, i dopiero potem wysłał trzy roboty do akcji. Ich celem była stacja radarowa lotnictwa argentyńskiego w pobliżu przylądka Blanco, a

konkretnie jej dowódca, z którego miał zamiar wycisnąć potrzebne informacje, używając metody opracowanej przez *Shirmaksu*.

Tylko że rezultat był rozczarowujący.

Przyjrzał się skulonej na podłodze przedziału magazynowego postaci. Miała uniform z dystynkcjami kapitana lotnictwa argentyńskiego i w końcu przestała szlochać i smarkać. Niestety przestała także przejawiać jakiegokolwiek funkcje życiowe. Czuł pogardę i niesmak; ludzie z jego czasów byli twardsi. Niemiła była mu świadomość, że pochodzi od czegoś takiego... choć z drugiej strony istniały okoliczności łagodzące. Przede wszystkim to, że pierwszy raz spróbował wniknąć do ludzkiego umysłu. Proces znał teoretycznie, ale okazało się, że nie jest taki prosty, jak sądził.

A do tego trzeba dodać niezwykle okoliczności, w jakich się tu znalazł. Dowodził placówką radarową położoną na odludziu, która nagle została zaatakowana przez trzy bezgłośnie poruszające się roboty, jakich nigdy wcześniej nie widział i które najwyraźniej były kuloodporne. A mimo to próbował walczyć. Najpierw starał się wezwać pomoc, ale roboty zagłuszyły jego radiostację, zanim jeszcze zaczęły wybijać stanowiących ochronę stacji jakichś „spadochroniarzy”. Potem do walki przyłączyła się obsługa i kapitan zdążył opróżnić nie jeden magazynek pistoletu, ale dwa, bo udało mu się wymienić pusty na pełny, choć ręce mu się trzęsły. Jego pech, że kule z pistoletu okazały się równie nieskuteczne jak te z broni maszynowej pozostałych.

Gdy zdał sobie sprawę, że tylko on przeżył, strach i panika wzięły górę i rzucił się do ucieczki, co było bez sensu, bo w podczerwieni świecił jak pochodnia, toteż roboty nie miały żadnego problemu ze śledzeniem go. A potem *Troll* częściowo zawinił, co przyznawał uczciwie, bo nie był w stanie zapanować nad przyjemnością, jaką sprawiał mu pościg, dopóki uciekający na oślep człowiek nie padł wyczerpany.

Już wtedy płakał i skomlał, a *Troll* dopiero wówczas polecił jednemu z robotów złapać go w pole siłowe i przynieść. Pozostałe dwa w tym czasie zebrały zabitych przy przyczepie radarowej i podpaliły wszystko.

Płomienie wyglądały bardzo widowiskowo na tle czarnego nieba, a wybuchy paliwa i amunicji jeszcze bardziej, podobnie jak latające szczątki zabitych. Był zadowolony, i to podwójnie: zdobył to, po co przybył, a po drugie, choć nie rozumiał, o co chodzi, zorientował się, że w tym rejonie zanoszą się na jakąś wojnę, toteż był pewien, że zaatakowana strona oskarży drugą o zniszczenie stacji i być może odpowie podobnym atakiem. A z tego już na pewno będzie regularny konflikt zbrojny.

Niestety kapitan Santiago okazał się praktycznie bezwartościowy jako źródło informacji.

Troll podejrzewał, że jeszcze w czasie ucieczki jego przerażony umysł zaczął niewłaściwie funkcjonować. Procedura wnikania i związany z tym ból doprowadziły do kompletnego załamania i *Troll* zdażył przechwycić jedynie oderwane szczegóły z rozsypującego się umysłu, nim ten wpadł w katatonię, z której nic nie było w stanie go wyciągnąć. A próbował najróżniejszych sposobów.

Rozczarowany i zły przywołał robota, który pojawił się bezgłośnie, jako że poruszał się na poduszce antygravitacyjnej, i polecił mu posprzątać. Zwykle sprawiało mu przyjemność obserwowanie śmierci człowieka, ale teraz był zbyt zły na siebie, toteż skasował nagranie.

Wyłączył oświetlenie przedziału magazynowego i zaczął analizować dane, które zdobył. O tych całych Brytyjczykach, drugiej stronie konfliktu, który miał nadzieję sprowokować, dowiedział się niewiele, ale wystarczająco dużo, by przestali być interesujący. Zaskoczyło go natomiast, i to mile, jak niewiele państw ma broń nuklearną. Oznaczało to bowiem jeszcze niższy poziom techniki, niż początkowo zakładał. Ciekawsze było to, że jedyne prawdziwe supermocarstwo znajdowało się na tym samym kontynencie, tylko dalej na północ. I co jeszcze ciekawsze, miało wybierany co określony czas rząd.

Robot wrócił znad wypalonej w ziemi dziury, w której znajdowało się nieco popiołu, czyli wszystko, co zostało z kapitana *Feurza Aerea Argentina* Hectora Santiago y Santosa, i zabrał się do dezynfekcji przedziału ładunkowego.

A mierzący 120 metrów długości smoliście czarny kształt wysunął się bezgłośnie spod nawisu skalnego i powoli skierował wzdłuż południowego zbocza La Meseta de las Vizcachas ku najbliższej dolinie prowadzącej na północ.

Rozdział XIV

Helikopter *CH-53E Super Stallion* należący do US Navy zawisł nad lądowiskiem na pokładzie rufowym USS *McKee* i błyskając światłami pozycyjnymi, powoli na nie opadł. Mordecai Morris zmusił się do spokojnego siedzenia w jego oświetlonym czerwonymi lampkami i niewiarygodnie hałaśliwym wnętrzu, dopóki łagodny wstrząs nie dał znać, że koła zetknęły się z pokładem.

Potem odwrócił się i uśmiechnął do siedzącej obok Jayne Hastings. Był ciekaw, czy w kombinezonie i hełmie lotniczym wygląda tak dziwnie jak ona. W to, że oboje wyglądają na zmęczonych, nie wątpił.

Do całej tej wycieczki doszło tylko dlatego, że admirał McLain znał Dicka Astona dłużej i lepiej niż on i zadowolił się ocenioną wersją, którą Morris mu sprzedał. Uznał, iż skoro istnieje szansa, że Aston rzeczywiście czegoś ważnego się dowiedział, należy to sprawdzić. Z jego błogosławieństwem sprawy nabrały tempa, i to oszałamiającego.

Pierwotnie mieli polecieć *B-1B* wyznaczonym do lotu treningowego do Anglii, ale nic z tego nie wyszło, bo na południowym Atlantyku nagle zrobiło się gorąco i lotnictwo uznało, że lepiej mieć bombowce w bazach i pod ręką na wszelki wypadek. Morris zresztą przez połowę drogi zastanawiał się, co się tam właściwie stało, bo wszystkie kontakty, jakie miał w Royal Navy, a było ich sporo, zapewniały go zgodnie, że nie jest planowane żadne działanie ofensywne. Coś się jednak wydarzyło, no i granat rąbnął w szambo. Argentyni oskarżyli Brytyjczyków o niesprokowany atak na stację radarową i masakrę załogi. Stany nie miały na stosownej pozycji satelity, nie można więc było niczego sprawdzić, ale wyglądało na to, że Brytyjczycy o wszystkim dowiedzieli się po nalocie czterech *Mirage 2000-5* na HMS *Ocean*. *Mirage* zastąpiły w argentyńskim lotnictwie *Super Entendardy* i w zaskakującym ataku okazały się skuteczne.

HMS *Ocean* z większością batalionu Royal Marines na pokładzie znajdował się w pobliżu Wysp Falklandzkich już od pewnego czasu. Jego obrona antyrakietowa zdołała przechwycić trzy *Exocety*, ale reszta przebiła się i okręt został nie tyle zatopiony, ile rozstrzelany wraz z całą załogą i desantem. Reakcja Wielkiej Brytanii była równie szybka co skuteczna. Stacjonujący od trzech miesięcy na wyspach dywizjon myśliwski wyposażony w *Tornado*, korzystając z pomocy powietrznych cystern i pary AVK4CS-ów z Port Stanley,

zniszczył w ciągu dwunastu godzin ponad 30 argentyńskich myśliwców i samolotów myśliwsko-szturmowych na argentyńskich lotniskach.

Argentyna oskarżyła USA o współudział w ataku i miała rację o tyle, że tak amerykańscy dyplomaci, jak i agencje wywiadowcze zapewniali Buenos Aires, że Anglicy nie planują żadnych działań ofensywnych. Ta zmiana sytuacji spowodowała, że Morris w zasadzie nie powinien był ruszać się ze sztabu, ale admirał McLain nie zmienił decyzji. Tworzył zespół wydzielony z lotniskowcami *Nimitz* i *Waszyngton*, by go wysłać na południe tak na wszelki wypadek, ale Morrisa i Hastings nie zatrzymał. Z braku *B-1* umieścił ich na pokładzie *S-3 Viking* wykonującego regularny lot patrolowy nad Atlantykiem, tyle że tym razem nieco dłuższy. I w ten sposób dotarli do bazy RAF-u w Stornoway w Szkocji. Morris wiedział, że do śmierci nie zapomni tego pięciogodzinnego lotu, bo pogoda była parszywa. Nabrał też szacunku dla załóg tych samolotów przeznaczonych do zwalczania okrętów podwodnych. Lotnikom zakazano pytać pasażerów o cokolwiek i na pokładzie przez cały czas panowała głównie cisza, co nie pocieszyło Morrisa.

Potem pogoda na szczęście poprawiła się, więc przelot helikopterem ze Stornoway do Holy Loch był znacznie spokojniejszy. Tyle że helikoptery stanowiły najbardziej hałaśliwy środek transportu wymyślony przez człowieka - mimo słuchawek huczało mu w głowie, od wibracji maszyny czuł każdy mięsień, o kikucie nogi nie wspominając. Ogólnie rzecz biorąc, był w paskudnym humorze i żywił nadzieję, że Dick ma naprawdę dobry powód, by ich tu ściągnąć.

* * *

- Powinni za chwilę lądować - ostrzegł Aston.

Ludmilla uniosła głowę znad papierów zaścielających gabinet porucznik Shu. Wyglądała na świeżą i wypoczętą, co zauważył z zazdrością, bo sam miał zaczerwienione oczy i czuł się nawet nie wczorajszy, tylko przedwczorajszy. Za jej namową wziął prysznic i ogolił się, dzięki czemu jako tako się prezentował, ale wiedział, że to pozory i chwilowy przypływ energii nie potrwa długo.

- Bardziej gotowa nie będę - oceniła spokojnie Ludmilla.

Porucznik Shu nie zareagowała - spała z głową opartą o leżące na biurku ręce i pochrapywała z cicha. Ludmilla wstała, skinęła na Astona i podeszła do drzwi. Gdy je otworzyła, dołączył do nich uzbrojony kapral USMC, który dotąd ich pilnował, i we trójkę przemierzili pustą izbę chorych, kierując się do drzwi prowadzących do izolatki, przed którymi stał drugi Marine. Kapral został z nim, a Ludmilla i Aston weszli do środka i

zamknęli drzwi za sobą.

- Jesteś pewna, że bez niej sobie poradzisz? - spytał.

- Jestem. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe. Istnieje pewne ryzyko, ale uważam, że niewielkie. - Jedynie wyraźniejsza różnica w wymowie, nad którą zwykle dobrze panowała, świadczyła o napięciu.

- Jak w takim razie wyglądamy?

- Admirał Rose jest w porządku, ale kapitan Helsing i doktor Shu nie. Pierwszy oficer i większość oficerów Marines też są okay. Poza tym statystycznie wszystko się zgadza: na stu dziesięciu przebadanych trzydziestu sześciu jest podatnych na wpływy *Trolla*.

- Przynajmniej Jackowi można powiedzieć. - Aston odetchnął z ulgą. - To już coś, nawet zakładając najgorsze, że Mordecai i Hastings się nie kwalifikują.

- Nie kracz! Dowiemy się wkrótce i...

Przerwało jej pukanie do drzwi.

* * *

Mordecai Morris był pod wrażeniem środków bezpieczeństwa zarządzonych przez Astona. Poza zespołem przyjmującym helikopter na pokładzie nie było nikogo, a po drodze napotkali jedynie Marines. Uzbrojonych. I to nie tylko w broń boczną.

Porucznik będący ich przewodnikiem zatrzymał się przed drzwiami pilnowanymi przez dwóch Marines. Na drzwiach znajdował się napis „Sekcja zakazna”. Obaj wartownicy stanęli na baczność, a oficer zapukał.

Zza drzwi rozległo się stłumione:

- Wejść!

Porucznik otworzył drzwi i odsunął się.

Morris i Hastings spojrzeli na siebie i przeszli kolejno pomiędzy wartownikami. A porucznik zamknął za nimi drzwi.

Oboje rozpoznali Astona, tyle że Morrisa zaskoczył stopień jego zmęczenia - czerwone, podkrążone oczy i zdradzającą wiek twarz. Ubrany był po cywilnemu. Druga obecna w sali osoba, czyli młoda dziewczyna siedząca na łóżku, miała na sobie spodnie od służbowego munduru marynarskiego i podkoszulek z jedwabnym haftem z gatunku tych, których Morris serdecznie nie cierpiał, uważając je za totalne bezguście.

Był zaskoczony jej obecnością, bo spodziewał się, że Aston będzie sam, i to skłoniło go do bliższego przyjrzenia się dziewczynie. Odpowiedziała mu spokojnym wzrokiem pozbawionym arogancji, jaką nastolatki często maskują niepewność. Nie była piękna, ale

efektowna, zwłaszcza te niebieskie oczy... No i trochę zbyt muskularna, ale zawsze miał spaczony gust.

- Mordecai. - Aston wstał i wyciągnął rękę.

Morris uściskał ją, mając nadzieję, że wygląda na mniej zużytego niż on.

- Witaj, Dick. Spotkaliście się już kiedyś z Jayne Hastings, o ile pamiętam?

- Spotkaliśmy się - przytaknął Aston, ujmując jej dłoń.

Uśmiechnęła się, ale jej zielone oczy pozostały czujne.

- No dobra, zanim przejdziemy do konkretów, pokażcie EEG - polecił Aston.

- Dick, o co...

- Bądź dobrym chłopcem i posłuchaj wujka Astona - przerwał mu Dick tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Morris zamknął usta, za to otworzył torbę i wyjął z niej plik poskładanych wydruków.

- Niech ci będzie - sapnął. - Tu masz nasze i admirała McLaina, który uznał, że nie zaszkodzi dołączyć swój.

- No proszę! Zawsze uważałem go za inteligentnego, a ty na dodatek masz siłę przekonywania - skomentował Aston.

I ku zaskoczeniu Morrisa podał cały plik dziewczynie.

Ta usiadła po turecku na łóżku i rozłożyła wydruki. Studiowała je kolejno. Wyglądała niczym harcerka przy origami, ale widać było, że wie, co robi: szukała czegoś z uwagą, po czym odłożyła pierwszy wydruk i zabrała się do drugiego. A potem do trzeciego. W końcu spojrzała na Astona i odetchnęła z wyraźną ulgą.

- Nadają się - zawyrokowała z błyskiem w oczach. - Cała trójka jest bezpieczna.

- Chwała Bogu. - Aston z ulgą siadł ciężko ma krzesło i potarł czoło.

Morris przyglądał mu się zaskoczony - gest był typowy, ale nigdy dotąd nie widział, by Dickowi trzęsły się ręce, nawet w Ammanie po strzelaninie. Tym razem sytuacja musiała być o wiele poważniejsza.

- Dick? - spytał ostrożnie.

- Przepraszam. - Aston uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem. - Z przyjemnością informuję, że razem z McLainem zakwalifikowaliśmy się do wybranej grupy, która może dowiedzieć się wszystkiego. Siadajcie i słuchajcie, pytania potem.

Wskazał im gestem stojące przy stole krzesła i poczekał, aż spoczną, po czym oznajmił bez żadnychstępów:

- Miała miejsce inwazja na Ziemię. I to nie raz, a dwa razy. Raz przez złych, raz przez dobrych. Niestety wygląda na to, że źli mają przewagę i dopóki nie wymyślimy sposobu, jak

to zmienić, siedzimy w gównie po uszy. - Widząc ich miny, z trudem stłumił ochotę parsknięcia śmiechem, ale coś mu w oczach błysnęło i dodał: - Komandorze Morris, komandor porucznik Hastings, pozwolę sobie przedstawić obecną wśród nas osobę. Oto pułkownik Ludmilla Leonowna, Terran Marine Corps. Zanim któreś coś głupiego powie: taka formacja istnieje, ona nie jest Rosjanką i nie urodziła się na Ziemi. A przechodząc do szczegółów...

* * *

- I tak to wygląda - zakończył Aston godzinę później.

Morris i Jayne równocześnie potrząsnęli głowami. To, co usłyszeli, było niemożliwe i niewiarygodne, ale brzmiało sensownie i było spójne wewnętrznie.

- Dobry Boże - wymamrotał Morris. - Dobry, słodki Boże w niebiesiech.

- Amen - dodała Hastings.

Po czym potarła czubek nosa, zmarszczyła brwi i spojrzała na Ludmillę.

- Przepraszam, pani pułkownik...

- Ludmilla albo Milla. Proszę - przerwała jej Leonowna.

- Dobrze. Słuchaj, mam dwa pytania.

- Tylko dwa? - zdziwiła się Ludmilla.

- Dwa pilne - sprecyzowała Hastings. - Pierwsze i ważniejsze: powiedziałaś, że twoim symbiontem można się zarazić przez kontakt z twoją krwią, czyli na przykład podczas transfuzji, tak?

- Tak.

- No to mamy problem, i to być może poważny - oceniła Hastings.

Ludmilla uniosła pytająco brew i czekała w milczeniu na ciąg dalszy.

- Komary - wyjaśniła zwięźle Hastings.

Morris zeszywniał.

- Nie ma strachu - uśmiechnęła się Ludmilla. - U nas także się tego obawiano, ale nie zdarzył się ani jeden przypadek zakażenia przez ukąszenie komara, moskita czy innego insekta.

- Dlaczego? - spytała Hastings.

- Przeciętnie zbudowany człowiek reaguje na zakażenie symbiontem po około dziesięciu godzinach, natomiast na mniejsze formy życia działa on znacznie szybciej, a żadne z nich nie przeżywa zakażenia. Komar, który by mnie ugryzł, będzie martwy, zanim wyjmie ze mnie żądło, nie zdąży więc nikogo zarazić. Poza tym symbiont powoduje, że moje ciało wydziela

niewyczuwalną dla człowieka, ale silną dla owadów woń, która je odstrasza.

- Aha... - mruknęła Hastings, po czym spytała: - A insekty z Midgardu? Skoro mają inne DNA, to...

- Komandor Hastings - przerwała jej łagodnie Ludmilla. - Jedną z atrakcyjnych cech planety Midgard jest to, że tamtejsze owady nie cierpią smaku ludzkiej krwi.

- A to rzeczywiście jest zaleta - zgodziła się Hastings z uśmiechem.

Były w nim zarówno akceptacja, jak i rozbawienie, co podniosło Ludmillę na duchu, bo już zaczęła się obawiać, że Hastings kompletnie jej nie uwierzyła i potraktowała jak paranoiczkę.

- A drugie pytanie? - spytała.

- A tak! Nie jestem ekspertem, ale wydaje mi się, że ta cała sytuacja to koszmar przyczynowo-skutkowy.

- Święte słowa - zgodziła się Ludmilla.

- No to skoro przyjmujemy istnienie przyczynowości, to mamy do czynienia z konfliktem między szkołą kopenhaską a wieloświatową - dodała Hastings. - Cały problem, co się stanie, gdy superpozycja...

- Jayne - przerwał jej stanowczo Morris. - Tyle razy ci mówiłem, żebyś używała prostego angielskiego, bez wielosylabowych wyrażen, bo przestają cię w ogóle rozumieć.

- Nie rób z siebie głupszego, niż jesteś, Mordecai - prychnęła podkomendna bez śladu szacunku. - No dobrze; chodzi o to, jak albo czy w ogóle Ludmilla i ten *Troll* są w stanie zmienić własną przeszłość. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że nie mogą, bo to neguje całą zasadę przyczynowości.

- Chodzi ci o paradoks dziadka? - upewnił się Morris.

- Mniej więcej. Konkretnie: to, co się dzieje, oznacza poważną zmianę w historii. Ludmilla, natknęłaś się na jakąkolwiek wzmiankę o tym, co się przydarzyło 23. Zespołowi Uderzeniowemu?

- Nie, a jak wiesz, historia militarna to moje hobby. Gdyby napisano cokolwiek o starciu ziemskich sił zbrojnych z UFO w tym okresie, wiedziałabym o tym.

- A więc już mamy poważną zmianę w twojej historii - oceniła Hastings. - Jeśli zmobilizujemy stosowne siły, by walczyć skutecznie z *Trollem*, będzie to miało jeszcze poważniejsze skutki. Weźmy choćby to, co wiemy o tych całych Kangi. Możemy spokojnie założyć, że przyjęcie, jakie im zgotujemy, będzie skuteczniejsze niż w twojej przeszłości. A więc w końcowym rezultacie twoja przyszłość w ogóle nie zaistnieje.

- Wiem - przyznała cicho Ludmilla.

- Ale jeśli tak by się stało, nie wróciłabyś tu, a gdybyś się tu nie pojawiła, to ta przyszłość by zaistniała - powiedział powoli Morris i skrzywił się z niesmakiem. - Co to za cholerna kwadratura koła?

- I stąd się wzięła szkoła wieloświatowa - odezwała się Hastings. - Ale nawet jeśli Everett ma rację... nawet nie wiem, jakie pytania mogłabym zadać, a co dopiero gdzie szukać odpowiedzi!

- Podobnie jak wszyscy w moim czasie - skomentowała kwaśno Ludmilla. - Posłuchaj: nikt wcześniej nie próbował sprawdzić, czy efekt Takeshity to coś więcej niż teoria. A jeśli spróbował, to nikomu o tym nie wiadomo. A spór na temat tego, co się może wydarzyć, gdyby okazało się, że jest to empirycznie sprawdzalna teoria, toczy się od półtora wieku. Aha, jeszcze jeden drobiazg: nieco się przez ten czas terminologia zmieniła, bo nazw szkoły kopenhaskiej i wieloświatowej już się nie używa, ale wiem, o co ci chodzi. A problem pozostał, bo nie było sposobu, by sprawdzić twierdzenia którejkolwiek z nich.

Aston spojrział na Morrisa i wzruszył wymownie ramionami.

Mordecai odpowiedział takim samym gestem.

- Spróbuję wyjaśnić to najprościej, jak potrafię - zaproponowała Ludmilla. - Skupcie się, dobrze?

Odpowiedziało jej podwójne przytaknięcie.

- To, o czym wspomniała Jayne, to jeden z większych problemów przeszkadzających w zrozumieniu fizyki kwantowej. Od XXI wieku nastąpił w tej dziedzinie duży postęp, ale problem pozostał. Można go określić jako spór co do natury rzeczywistości ciągnący się prawie od czasów Einsteina. Zgodnie z matematycznymi wzorcami rezultatem każdej interakcji jest nałożenie się funkcji, z których każda oznacza jeden możliwy czynnik interakcji. Rozumiecie?

- Nie - oznajmił Mordecai.

- Chcesz powiedzieć, że każdy wynik jest równie prawdopodobny? - spytał niepewnie Aston.

- Brawo. - Poklepała go po łysinie. - Jak na matematycznego ignoranta całkiem nieźle. Konkretnie chodzi o to, że choć my zauważamy tylko jeden skutek, teoretycznie mogą wydarzyć się wszystkie możliwe. Ci, których Jayne określiła mianem szkoły kopenhaskiej, twierdzą, że w momencie zajścia zdarzenia powstaje tylko jeden skutek w praktyce, a wszystkie potencjalnie możliwe przestają istnieć. Ponieważ jednak nie sposób przewidzieć, który skutek zaistnieje, nie można wykluczyć żadnego. Natomiast na podstawie rachunku prawdopodobieństwa można próbować to ustalić. Jasne?

- Średnio, ale niech będzie - zgodził się Aston. - A ty co sądzisz, Mordecai?

- Przestań mi zadawać głupie pytania. Jak długo wy rozumiecie, nie będę się wymądrzał. Proszę sobie nie przerywać.

- No dobrze - westchnęła Ludmilla. - Alternatywna hipoteza głosi, że zachodzą wszystkie skutki i prawdopodobieństwo nie ma tu nic do rzeczy. Widzimy tylko jeden, ale wyłącznie dlatego, że pozostałe wydarzają się w innych „odnogach” rzeczywistości.

- Teoria światów równoległych! - ucieszył się Aston. - Wreszcie coś znajomego. Pisarze fantastyki naukowej wręcz ją uwielbiają. Przynajmniej tutaj.

- U nas też - zapewniła go Ludmilla. - Szkoła klasyczna, bo tak nazywamy kopenhaską, stoi na stanowisku, że rzeczywistość jest liniowa i tylko jedna. I że skutek każdej interakcji jest zdefiniowany i stwarza warunki wstępne do kolejnej. Szkoła rewizjonistyczna, czyli wieloświatowa, w ciągu ostatnich dwustu lat zyskuje na popularności. Jej zwolennicy twierdzą, że w końcu będą w stanie udowodnić swoją hipotezę dzięki jakimś ezoterycznym manipulacjom z wymiarami. Widziałam obliczenia i na samo wspomnienie głowa mnie boli. Najważniejsze jest to, że według nich nie ma jednej rzeczywistości, ale wiele, wszystkie wywodzące się ze wspólnego źródła. Wszystkie są tak samo prawdziwe i nigdy na siebie nie oddziałują.

- A co to wszystko ma wspólnego z podróżami w czasie? - spytał średnio uprzejmie Aston.

- A to, że istnieją trzy główne teorie dotyczące efektu Takeshity - wyjaśniła Ludmilla. - Pierwsza głosi, że to niemożliwe, a każdy, kto spróbuje, znika i nie wiadomo, co się z nim dzieje. Moje przeżycie jest empirycznym dowodem na jej fałszywość. Druga głosi, że prawdziwa jest pierwsza hipoteza Takeshity zgodna z punktem widzenia reprezentowanym przez szkołę klasyczną. Chodzi o to, że jeśli podróżnik w czasie przestanie się cofać, spowoduje określone wydarzenia w rzeczywistości, do której trafił, więc w nieunikniony sposób wpłynie na wydarzenia późniejsze. Jego istnienie bowiem jest częścią rzeczywistości, której nie da się zmienić. Takeshita był zwolennikiem tej teorii przez większość życia, ale pod jego koniec nabrał przekonania, że to jednak rewizjoniści mają rację, co wywołało burzę wśród jego zwolenników. Stąd wzięła się druga hipoteza Takeshity głosząca, że nikt nie może cofnąć się we własną przeszłość. Cofając się w czasie, powoduje on określone wydarzenia, ale równocześnie podział rzeczywistości, a więc unika paradoksu dziadka, bo rzeczywistość, w której się znalazł, nie jest tą samą, z której pochodzi. Problem zawsze polegał na tym, że na poparcie którejkolwiek z tych hipotez nie było żadnych empirycznych dowodów. Aż do teraz.

Zapadła cisza, która zaczęła się nieprzyjemnie przeciągać.

W końcu przerwała ją Hastings.

- To która teoria jest właściwa? - spytała cicho.

- Zaczniemy od tego, co najważniejsze - zaproponowała Ludmilla. - Jestem tutaj, podobnie jak *Troll*. Amerykańskie okręty zostały zaatakowane i zestrzeły dwa *Trolle*. To dowodzi, że *Troll* może zrobić to, co sobie zaplanował, cokolwiek by to było, o ile go nie powstrzymamy. Uważam, że to wszystko, co jest istotne z praktycznego i pragmatycznego punktu widzenia. Zgadzacie się?

Trzy głowy kiwnęły niemal równocześnie.

- A wracając do teorii, sędzę, że druga hipoteza Takeshity jest prawdziwa, co naturalnie oznacza, że rację mieli rewizjoniści, a ja nie znajduję się w mojej przeszłości, lecz w innej. W mojej nikt w 2007 roku nie zatopił amerykańskiego okrętu przy użyciu broni nuklearnej. W waszej tak.

- Chcesz powiedzieć... że jesteś nie tylko z przyszłości, ale jeszcze z równoległego wszechświata? - spytał nieco wstrząśnięty Aston.

- A co to zmienia? Nick Miyagi lepiej by to wytłumaczył, zawsze był zwolennikiem drugiej hipotezy. - Ludmilla uśmiechnęła się ze smutkiem. - Tak, Dick... jestem nie z tego wszechświata.

- Ale... - Hastings zmarszczyła brwi, próbując przegryźć się przez to, co usłyszała. - Przepraszam, ale z tego, co mówisz, wynika, że spodziewałaś się, że Kangi znajdują się w innej niż twoja przeszłości, czyli mówiąc inaczej, w innym wszechświecie.

- Tak.

- To dlaczego próbowałaś ich powstrzymać? - spytała miękko Hastings. - Twoja eskadra... twoje myśliwce... tysiące ludzi... wszyscy oni zginęli... Dlaczego ryzykowaliście życie, skoro wróg nie był w stanie wam zaszkodzić, bo nie mógł znaleźć się w przeszłości tego samego wszechświata?

- Bo nie mieliśmy pewności, że to niemożliwe. Pamiętaj, że istniały dwie hipotezy Takeshity, obie tak samo prawdopodobne i obie nie udowodnione. A gdyby prawdziwa okazała się pierwsza hipoteza? Wtedy Kangi mogliby zmienić naszą przyszłość i wygrać tę wojnę, likwidując ludzi. A poza tym było jeszcze coś, jak podejrzewam, choć nie rozmawiałam o tym z komodor Santander... Nawet jeśli trafilibyśmy do równoległego wszechświata, tam także byłaby planeta pełna ludzi. Fakt, nie naszych przodków, ale ludzi takich jak my. Zdanych na łaskę Kangi i *Trolli*. Życie ze świadomością, że pozwoliliśmy wszystkim zabić, choć mogliśmy do tego nie dopuścić, nie byłoby przyjemne...

W sali zapadła cisza.

Aston ujął jej dłoń... Ścisnęła jego rękę, aż zabolęło, choć jej twarz pozostała spokojna... Nawet nie próbował się domyślić, co się czuje, będąc w zupełnie obcym wszechświecie, w którym może nie wydarzyć się nic z tego, co się przeżyło i o czym się wie... i będzie się jedynym tego świadomym...

Ludmilla spojrzała na niego i uśmiechnęła się, ukrywając uczucia, po czym oświadczyła spokojnie:

- Najważniejsze jest to, że macie na głowie *Trolla*. A *Trolle* znam lepiej niż ktokolwiek inny w tym wszechświecie. Jestem też najlepsza w okolicy w ich zabijaniu. Proponuję więc przestać zajmować się do niczego nam nieprzydatnymi teoriami, a skupić na wymyśleniu, jak najlepiej unieszkodliwić tego konkretnego *Trolla*.

PODSTĘP 1. «wprowadzenie w błąd, stworzenie pozoru» 2. «stan lub fakt» 3. «chytryść, fortel, przebiegłość, przewrotność, udawanie»

*Webster-Wangchi Unabridged
Dictionary of Standard English
Tomas y Hijos, Publishers
2465 rok standardowy*

Rozdział XV

Gabinet wiceadmirała Ansona McLaina, Głównodowodzącego Floty Atlantyku, urządzone niezwykle oszczędnie. Mebli było niewiele, a na ścianach nie wisiały obrazy żaglowców czy lotniskowców atakowanych przez kamikaze. Znajdowały się na nich za to zdjęcia okrętów, którymi McLain dowodził, oraz obraz przedstawiający dwa pancerniki klasy *Iowa*, które niedawno zmieniono w końcu w muzea. Obraz wisiał za jego imponującym, by nie rzec przerośniętym, biurkiem.

McLain był młody jak na swój stopień flagowy. Wielu uważało go za najlepszego oficera floty swojej generacji. Rzeczywiście, kontynuował najlepsze tradycje US Navy. Karierę zaczął jako pilot myśliwski bazujący na lotniskowcu i w czasie wojny w Zatoce zaliczył cztery zestrzelenia. A potem doprowadził do szoku i szału lotnictwo morskie, wspierając budowę okrętów podwodnych klasy *Seawolf* oraz naddźwiękowych myśliwców pionowego startu i lądowania kosztem trzynastego lotniskowca klasy *Nimitz*. Ale takie postępowanie było dlań typowe - robił to, co uważał za słuszne, bez wahania i bez względu na koszty.

Chwilowo znajdował się w sytuacji nie do pozazdroszczenia i w opinii Morrisa było to po nim widać. A powód był prosty - miał za mało sił do wykonywania rutynowych zadań, a sytuacja wymagała większej niż zwykle aktywności. Z sześciu lotniskowców, które miał pod swoimi rozkazami, *Roosevelt* był w stoczni remontowej, a wybuch walk na południowym Atlantyku wymagał wysłania tam dwóch następnych lotniskowców. W efekcie zostały mu trzy, i to akurat wtedy, gdy sytuacja na Bałkanach zaczynała się podgrzewać, a Chiny zwodowały swój drugi lotniskowiec. Co prawda przy pomocy Połączonego Komitetu Szefów Sztabów i Dowódcy Floty udało mu się zmusić Głównodowodzącego Floty Pacyfiku do oddelegowania pod jego rozkazy USS *Midway*, najnowszego lotniskowca klasy *Nimitz*, ale

był on dopiero w drodze z Pearl Harbor.

A co gorsza, zabito mu ludzi. Anson McLain był spokojnym i opanowanym analitykiem, ale był także zwolennikiem wyrównywania rachunków. Kiedyś w jakiś sposób odkryje, kto zabił lub oślepił tysiąc jego marynarzy, i wtedy przyjdzie dzień zapłaty.

I ta myśl sprawiła, że na widok Morrisa w jego oczach pojawił się niezwykle błysk.

- Witaj, Mordecai. Mam nadzieję, że wycieczka okazała się owocna - powiedział, wstając na powitanie i podając mu dłoń.

- Okazała się, sir - potwierdził Morris, ściskając podaną prawicę. - Komodor Aston rzeczywiście wie, co się zdarzyło i dlaczego.

McLain wskazał mu fotel i powiedział dziwnie łagodnie:

- Miło mi to słyszeć.

Morrisowi nagle zrobiło się zimno i przypomniała mu się pułkownik Ludmilla Leonowna.

- A skąd cała ta tajemniczość, jeśli wolno wiedzieć? - spytał gospodarz.

- A to będzie nieco trudniej wyjaśnić, sir - uprzedził Morris.

Razem z Jayne spędzili dwadzieścia cztery godziny, ustalając z Dickiem i Ludmillą, co i w jakiej kolejności trzeba zrobić, i był świadom, jak wiele zależy od reakcji McLaina. Znał go lepiej niż większość oficerów i wiedział też, do czego chce go przekonać.

- No to lepiej zacznij od początku - zaproponował McLain.

Morris wziął głęboki oddech.

- No więc, sir...

* * *

Przez cały czas, gdy Morris mówił, admirał McLain siedział w milczeniu, z łokciami na blacie i brodą opartą na splecionych dłoniach. Nie lubił ludzi przerywających referującemu, nim ten skończy. Morris wiedział o tym, ale i tak był zaskoczony, że szef jest w stanie wysłuchać spokojnie tej opowieści. Gdy zaś skończył, był świadom, jak nieprawdopodobnie brzmiała.

McLain przyglądał mu się długą chwilę, bawiąc się kubkiem otrzymanym od załogi ostatniego okrętu, którym dowodził - USS *Harry S. Truman*, po czym odchylił się na oparcie fotela i splótł dłonie na brzuchu.

- Dobry raport - ocenił. - Mam tylko jedno pytanie.

- Tak, sir? - Morris miał nadzieję, że wygląda na mniej zdenerwowanego, niż jest.

- Wierzysz w to, co powiedziałeś?

- Tak, sir - odrzekł bez wahania, patrząc mu w oczy.

- A z tą pułkownik Leonowną można porozmawiać?

- Tak, sir. Naturalnie trzymamy ją w ukryciu.

- Czyli?

- Umieściliśmy ją na pokładzie wojskowego samolotu jako członka rodziny wojskowego i przewieźliśmy do Virginia Beach, a stamtąd do mnie do domu. Siedzą tam oboje z Astonem i nosa na zewnątrz nie wystawiają, sir.

- Tak? - McLain uśmiechnął się pierwszy raz, odkąd Morris zaczął mówić. - A co na to twoja żona?

- Jest przekonana, że pułkownik Leonowna to siostrzenica Dicka, sir. Nie miała nigdy robionego EEG, nie wiemy więc, czy można jej powiedzieć prawdę.

- Mhm... zdajesz sobie sprawę, jak niewiarygodnie to wszystko brzmi?

- Zdaję, sir. I mogę tylko powtórzyć, że jest to prawda, sir. W końcu za szczerą ocenę pan mi płaci, sir.

- Fakt. No dobra, to zaczynamy od najważniejszego... - McLain usiadł prosto, wziął słuchawkę stojącego na biurku telefonu i powoli wybrał jakiś numer. - Dzień dobry, tu admirał McLain, proszę poinformować admirała Horninga, że muszę z nim rozmawiać... Przykro mi, poruczniku, ale po prostu będzie pan musiał im przerwać.

Ostatnie zdanie zostało powiedziane ostrzej; najwyraźniej adiutant Horninga próbował ratować zajętego czymś szefa.

Morris zaś starał się zachować spokój. Admirał Franklin Horning był Naczelnym Lekarzem USA i McLain mógł dzwonić doń z kilku powodów. Nie wszystkie musiały być dla Morrisa przyjemne.

- Frank? - McLain pochylił się i wbił wzrok w twarz Morrisa. - Przepraszam, że ci przerwałem, ale potrzebuję przysługi. Tylko uprzedzam cię, że to będzie trochę dziwna prośba... Nie, tego akurat nie musisz się obawiać, niczego nie złapałem. Widzisz, potrzebuję EEG prezydenta.

Morris nie słyszał, co dokładnie Horning odpowiedział, ale widząc, jak McLain odsuwa słuchawkę od ucha na bezpieczną odległość, mógł się tego bez większego trudu domyślić.

* * *

Troll czuł, jak powoli narasta w nim znajoma wściekłość. Z informacji wydobytych od kapitana Santiago nie wynikało, że w rejonie Kanału Panamskiego działa tak wiele radarów. W efekcie w ostatniej prawie chwili musiał zmienić kurs i szerokim łukiem nad Pacyfikiem

okrążyć groźny rejon. A zaraz potem odkrył, iż całe zachodnie wybrzeże tych tam „Stanów Zjednoczonych” to jeden solidny pas radarów. Przez moment nawet zastanawiał się, czy się nie dowiedzieli o nim, ale potem zauważył dużą liczbę prymitywnych samolotów odrzutowych, musiał to więc być jakiś system kontroli nawigacyjnej. Albo raczej większość tych radarów do tego służyła, bo spora część musiała być wojskowa. Zresztą każdy mógł mieć militarne zastosowanie. Konieczność ukrywania się przed czymś tak prymitywnym wzbudziła w nim wściekłość i gdyby miał jakieś *ARAD*-y, żądza mordu i zniszczenia wzięłaby górę. Ponieważ ich nie miał, zdołał nad sobą zapanować. Przyjdzie czas i na to, ale wtedy, gdy będzie wiedział więcej i gdy będzie gotów. Teraz ważniejsze było zachowanie ostrożności.

Zachował ją więc - obniżył lot tak, że niemal muskał fale, i włókł się nader powoli, pasywnymi sensorami szukając luki w elektronicznej ścianie. Znalazł ją i prześliznął się nocą u ujścia rzeki Rorgue, a potem skierował się ku Górcom Kaskadowym, gdzie na północ od Parku Narodowego Crater Lake znalazł kryjówkę. Wysłał roboty, by poprawiły maskowanie naturalne sztucznym, bo choć nie miał zamiaru długo tu pozostać, ostrożność należało zachowywać cały czas.

A potem zajął się poszukiwaniem w okolicy ofiary. Gdzieś musiały być umysły, z którymi mógł nawiązać kontakt. Chwilowo potrzebował jednego, by wydobyć zeń potrzebne informacje.

Tylko najpierw musiał taki umysł znaleźć.

* * *

- Chce mi pan powiedzieć, że potwory z kosmosu dokonały inwazji na Ziemię?! - upewnił się prezydent Stanów Zjednoczonych, patrząc z niedowierzaniem na wiceadmirała McLaina i towarzyszącego mu, nieco rozczochranego komandora. - I mówi pan to poważnie, admirale McLain?

- Jeden potwór, panie prezydencie - poprawił go McLain. - Kiedy komandor Morris opowiedział mi to wczoraj, też nie bardzo mogłem uwierzyć, ale przekonała mnie nocna rozmowa z pułkownic Leonowną i obejrzenie artefaktów, które trafiły wraz z nią z przyszłości. Według mnie mówiła prawdę.

- Słodka godzino! - Widać było, że szok przechodzi.

Zaskoczyła go prośba Głównodowodzącego Floty Atlantyku o osobiste spotkanie, z pominięciem łańcucha służbowego, czyli dowództwa floty, Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, a nawet Sekretarza Obrony. Gdyby chodziło o kogoś innego, odmówiłby, i to z

odpowiednim komentarzem, co myśli o takim postępowaniu, ale znał reputację McLaina na tyle, by wiedzieć, że nie jest on skłonny do fanaberii ani nie specjalizuje się w prowadzeniu wojny o stołki. Jego wiara w admirała została poddana poważnej próbie, gdy usłyszał, dlaczego McLain chciał się z nim widzieć, ale wysłuchał go, nie przerywając. A teraz ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że zaczyna mu wierzyć.

- No dobrze - odezwał się w końcu. - Ale dlaczego nie skorzystał pan z drogi służbowej? Admirał Jurawski i sekretarz Cone są nieco zirytowani; tak to można łagodnie określić.

- Obaj powiedzieli mi to bardziej jednoznacznie, panie prezydencie. - McLain uśmiechnął się nieznacznie. - Do EEG admirała Jurawskiego nie zdołałem dotrzeć, a wynik Sekretarza Obrony widziałem - niestety on nie może o niczym wiedzieć.

- Rozumiem... - mruknął Armbruster i pokiwał głową. - Ale ja mogę?

- Może pan. Niestety wiceprezydent nie.

- Kurwa! - westchnął z uczuciem Armbruster pod wieloma względami przypominający zachowaniem Harry'ego Trumana.

- Cóż, sir... admirał Franklin udostępnił mi wasze wyniki, choć bardzo niechętnie.

- A w to akurat mogę uwierzyć bez trudu. On ma dziewiętnastowieczne zasady moralne. Co zresztą generalnie wcale nie jest takie złe.

- Na szczęście zna mnie dość dobrze i zdołałem go przekonać... w końcu - dodał McLain.

- Jeśli... powtarzam, jeśli ta historia okaże się prawdziwa, neurologicy w okolicy będą mieli pełne ręce roboty, tylko trzeba będzie wymyślić jakiś sensowny pretekst.

- Zgadzam się, panie prezydencie.

- No dobrze. - Prezydent pacnął otwartą dłonią w blat, co zabrzmiało niczym wystrzał. - Proszę tu dziś sprowadzić panią pułkownik. Po kolacji, powiedzmy o dwudziestą zero zero. Porozmawiam z Secret Service, żeby nie robili problemów... Aha, trzeba by jej znaleźć jakieś nazwisko nie kojarzące się z Rosją... niech będzie Ross. Panna Elizabeth Ross.

- Dobrze, panie prezydencie.

- Jeszcze jedno, admirał McLain - dodał prezydent, gdy goście wstali.

- Tak, panie prezydencie.

- Lepiej byłoby, gdyby mnie pan w tej sprawie nie nabierał.

- Rozumiem, panie prezydencie.

- Cieszę się, admirał. W takim razie miłego dnia.

* * *

Troll znalazł umysł, który mógł wysondować. Omal nie zrobił tego od razu, ale pomny

debiutu powstrzymał się - musiał być ostrożniejszy, a to wymagało czasu. Musiał sprowadzić człowieka do kryjówki, bo tylko tam mógł się tym zająć bezpiecznie.

Póki co więc jedynie słuchał, nie otwierając dwustronnej łączności, i uważnie analizował dane, które w ten sposób otrzymywał. Próbował zwłaszcza zrozumieć, skąd się bierze miłe podniecenie na widok twarzy samca zbliżającej się coraz bardziej i przyciskającej w końcu usta do jego ust... Żałował, że samiec jest zablokowany, bo jego także mógłby wykorzystać, ale nie był w stanie nic na to poradzić.

Ustalił dokładnie długość i współrzędne, po czym wysłał tam dwa roboty bojowe.

A sam zajął się poznawaniem zwyczajów reprodukcyjnych ludzi.

Nie wiedzieć dlaczego uznał je za fascynujące.

* * *

Annette Foreman westchnęła i przytuliła się do męża. Zawsze była zachwycona, gdy kochali się na łonie natury, a zwłaszcza jeśli obóz rozbili na tyle wcześnie, by robić to jeszcze przy świetle dziennym. Poczowała dłonie Jeffa na swych pośladkach i delikatnie ugryzła go w szyję.

- Auć!

W rewanżu uszczypnął ją w tyłek.

Pisnęła uszcześliwiona.

- To cię nauczy! - oznajmił surowo i przesunął dłonie do przodu między jej nogi. - A to...

Nagle urwał i zeszywniał.

Otworzyła oczy, spodziewając się, że ktoś ich w końcu nakrył, bo tego podświadomie oczekiwała od początku i dlatego tak lubiła seks w plenerze.

- Co za kurewstwo?! - Jeff uniósł się na łokciu i patrzył na coś ponad jej ramieniem.

Zaintrygowana odwróciła się...

I też zeszywniała na widok dwóch dziwacznych kształtów bezgłośnie zbliżających się od strony łądu. Oba unosiły się metr nad ziemią i zadziwiająco szybko sunęły w górę zbocza ku nim i ich obozowisku.

Jeff zareagował pierwszy. Wszystko w tych dziwnych maszynach, od ich kształtu przez złocistą barwę aż do bezszelestnego poruszania się, wzbudziło w nim pierwotny strach. Pojęcia nie miał dlaczego, podobnie jak nie wiedział, czym są, ale jaskiniowiec w jego umyśle wyczuł zagrożenie. Wskoczył ze śpiwora i złapał leżącą w pobliżu siekiereę na krótkim trzonku.

- Uciekaj, Nette! - polecił.

Ta przyklękła i zamarła - nigdy nie słyszała u niego tak rozkazującego tonu.

- Nie! - zaprotestowała. - Uciekajmy!

- Zamknij się i wiesz stąd, kurwa! - wrzasnął.

To ją otrzeźwiło - zerwała się na nogi i wyplątała ze śpiwora.

- Jeff...

- Spierdalaj stąd! - ryknął.

Przekonało ją przerażenie w jego głosie. Zrozumiała, że to strach o nią, i ruszyła biegiem w górę zbocza do obozu i do samochodu, nie zważając na kamyki i gałęzie boleśnie wbijające się w stopy. Nie myślała o niczym poza tym, czym są te upiorki i czego chcą. Uciekała, bo Jeff tak jej kazał, choć podświadomie wiedziała, że to daremne.

Dotarła prawie do obozu, gdy wokół eksplodowało sinozielone światło i świat wywinął kozła. Krzyk uwiązał jej w gardle, a wszystkie mięśnie najpierw złapał skurcz, a sekundę później przestały jej słuchać. Bezwładnie grzotnęła o ziemię, czując potworny ból pod czaszką.

Wydawało jej się, że słyszy szcęk metalu uderzającego o metal, ale jakiś taki dziwnie odległy, jakby wszystkie jej zmysły przestały prawidłowo funkcjonować. Szarpnęła się, próbując przełamać paraliż, ale bezskutecznie. Wydało jej się, że słyszy drugi szcęk, a potem usłyszała krzyk. Przerażliwy krzyk agonii. Nieludzkie wycie wydarte z gardła kogoś, kogo dobrze znała...

A potem zapadła ciemność.

* * *

- Witam, panno Ross. - Jared Armbruster wstał i wyciągnął dłoń z uśmiechem, którym uwiódł miliony wyborców, starannie ukrywając zaskoczenie.

McLain go uprzedził, ale i tak wierzył w to, co widzi. Ta gówniara miałaby być asem myśliwskim, ostatnią nadzieją ludzkości! Niedorzeczność!

Ale gdy spojrział w jej oczy, zmuszony był zmienić zdanie. W ciągu swej politycznej kariery, a zwłaszcza trzech ostatnich lat, gdy był prezydentem, spoglądał w oczy wielu ludziom. Wszyscy należeli do jednej z trzech kategorii: chcących czegoś, obawiających się go i podziwiających lub nienawidzących go. Nawet szefowie państw byli świadomi władzy, jaką sprawował, i też wpasowywali się w którąś z tych kategorii w zależności od tego, czy byli sojusznikami, czy przeciwnikami USA.

Nigdy natomiast nie napotkał takiego spojrzenia - badawczego i oceniającego go nie jako prezydenta światowego mocarstwa, ale jako człowieka. I to z chłodnym obiektywizmem kota.

Właśnie brak podziwu czy niechęci ostatecznie przekonał go, że opowieść McLaina jest prawdziwa.

- Panie prezydencie - odparła po prostu.

I uściśniła mu dłoń mocniej niż jakakolwiek kobieta dotąd.

* * *

Ludmilla obserwowała Armbrustera witającego się z Dickiem. Niewiele o nim wiedziała, bo w czasie, gdy był prezydentem, nie toczyła się żadna poważna wojna ani nie wybuchł żaden duży skandal, nie miała więc powodu, by zwracać na niego uwagę. Natomiast z tego, co mówił Dick, wynikało, że Armbruster był albo bardzo dobry w tym, co robił, albo miał nadzwyczajne szczęście. A wypytała go dokładnie, co nie było łatwe, bo darzył prezydenta szacunkiem i wiedząc to, robił, co mógł, by przedstawić jak najbardziej uczciwą i obiektywną jego ocenę.

Armbruster był wyższy od niej, a niższy od Dicka. Miał ciemne włosy, ale siwe skronie i zmarszczki w kącikach oczu wskazujące, że często się uśmiecha. Może zbyt często i łatwo, ale był politykiem, więc musiał. Wypytała Dicka i Mordecaia o szczegóły ostatnich wyborów prezydenckich i parę spraw ją zainteresowało. Żadna z analiz przedwyborczych nie brała pod uwagę mało znanego młodszego senatora z Montany, a gdy ten ogłosił, że kandyduje, nie dawano mu szans. I wyglądało na to, że powodem było niewzięcie pod uwagę przez analityków jego charakteru. A wszystko wskazywało na to, że jest politycznym ewenementem - człowiekiem uczciwym, mającym zwyczaj mówić, co myśli, i to nie zawsze w okrągły, uprzejmy sposób, za to zawsze zrozumiały dla słuchającego. Przekonywał wyborców, by zaryzykowali posiadanie uczciwego prezydenta. Przekonywał skutecznie, bo najpierw bez trudności pokonał głównego kandydata swej partii, a potem głównego przeciwnika, którym był urzędujący prezydent przekonany, że zostanie wybrany na drugą kadencję.

Z tego, co się od nich dowiedziała, Armbruster odziedziczył urząd znajdujący się może nie w opłakanym, ale w nie najlepszym stanie. Autorytet moralny został poważnie nadszarpnięty przez dwóch poprzedników, a prerogatywy i zaplecze ucierpiały na brutalnej walce z władzą ustawodawczą. Armbruster zapał się i zaczął powolny proces jego odbudowy, wykazując się pomysłowością i determinacją. Zdołał też przekonać Amerykanów, że skupienie się wyłącznie na sprawach wewnętrznych jest błędem i należy zająć się sprawami międzynarodowymi tak politycznie, jak i militarnie, bo świat ogarnia bezhołowie i chaos. Żeby zaś móc występować militarnie, należy unowocześnić armię i zwiększyć

przeznaczone na to środki. Nie wszystkie bowiem konflikty toczą się w Europie, a tam głównie w XXI wieku stacjonowały wojska amerykańskie.

Wiedziała z lektury, że gdy wybuchła wojna o sukcesję sowiecką, amerykańskie siły zbrojne były nowoczesne i skuteczne, a proces odnowy zapoczątkowany został w okresie rządów Armbrustera. A stał się możliwy jedynie dzięki jego uporowi i dalekowzroczności.

Dlatego była skłonna uwierzyć Dickowi i Mordecaiowi, że to dobry i uczciwy człowiek oraz lepszy polityk, niż przyznawali to pokonani przeciwnicy. Teraz pozostało jej tylko sprawdzić, czy praktyka pokrywa się z teorią i jak zareaguje na tę niespodziankę.

* * *

Armbruster uścisnął dłoń Astona, z którego zaklasyfikowaniem nie miał większych problemów. Oficer był zbudowany niczym obrońca, tyle że większy, i był w zaskakująco dobrej formie jak na swój wiek. Z zachowania biła pewność siebie długoletniego oficera i instynktowne, acz kontrolowane zaufanie do głównodowodzącego. Armbruster był eks-Marine, toteż bez trudu rozpoznał kogoś, kto przez kilkadziesiąt lat dowodził w polu i służył w polu. Tego nigdy się nie traciło, a nie posiadał podobnych cech nikt, kto nie służył w linii.

- Komodorze.

- Panie prezydencie. - Głos był głęboki, spokojny i budzący zaufanie.

Przywitał się z pozostałymi dwoma mężczyznami i wskazał gościom fotele otaczające okrągły stół.

- Proszę usiąść - zachęcił.

Z konieczności rozmowa toczyła się o wszystkim i o niczym, jak długo podawane były napoje. Dopiero gdy z pokoju wyszedł ostatni agent Secret Service i zamknął za sobą drzwi, gospodarz skupił uwagę na Ludmilli. Z jego polecenia wyłączony został podsłuch i podgląd w pokoju oraz wszystkie systemy rejestrujące, co nie spotkało się z aprobatą szefa ochrony. Teraz przyjrzał się jej uważnie i bez śladu rozbawienia.

- Tak więc, pani pułkownik - zaproponował z lekkim uśmiechem - może mi pani opowie całą tę historię własnymi słowami.

* * *

Troll obserwował księżyc zasłaniany momentami przez chmury. Był znacznie większy od czerwonego księżycy planety, na której go stworzono, ale nie czuł z nim żadnej więzi, mimo iż była to planeta jego genetycznych przodków. Dla niego srebrzysty dysk nic nie znaczył...

Najnowsze informacje były znacznie pełniejsze, a sposób ich uzyskania o wiele przyjemniejszy niż debiut. Ich źródło... Annette była zupełnie inna od tamtego. Przeżona, owszem, ale nie złamana. Przynajmniej nie na początku.

Gdyby miał usta, uśmiechnąłby się.

I nie byłby to przyjemny uśmiech.

Samica była przestraszona, gdy ją dostarczono, i poobijana od upadku, ale tak pełna nienawiści, że prawie mu dorównywała. Nienawiści bezrozumnej, ale dzikiej i pełnej, którą doskonale rozumiał.

Sprawiła mu przyjemność.

To było prawie jak stymulacja ośrodka rozkoszy, tylko silniejsza... i lepsza. Zachęcał ją do walki, różnicując siłę wnikania, co pozwalało jej myśleć, że zwycięża. W końcu dotarł do sedna i walka skończyła się wrzaskiem agonii... Tak delikatna rzecz i tak wspaniała... Bawił się nią, rozkoszując oporem i nienawiścią zmieszanymi z przerażeniem i rozpaczą... stanowiły pyszny bukiet.

Uznał, że czas przyjemności minął, i zajął się analizowaniem tego, czego się dowiedział. A było tego znacznie więcej, bo znacznie udoskonalił technikę, tyle że samica wiedziała niewiele ważnego. Teraz, gdyby chciał, mógłby wniknąć w następnego człowieka i poznać całą jego wiedzę, nie uszkadzając go.

Gdyby chciał.

Nadal rozkoszował się tą możliwością. Gdyby chciał... tylko teraz doszła do tego miła świadomość, jaką władzę może uzyskać nad tymi prymitywami.

Uaktywnił wewnętrzną kamerę i przyjrzał się ostatni raz leżącej na podłodze zasmarkanej, obranej i pokrwawionej istocie o kompletnie pustej twarzy, która nie tak dawno jeszcze była pełna życia. Annette Foreman, nauczycielka, lat 25, matka pojedynczego dziecka... Szkoda, że byli tacy delikatni i tak szybko się załamywali - ta wytrzymała ledwie sześć godzin.

Wyłączył kamerę i wezwał robota, by dobił samicę, pozbył się ciała i posprzątał przedział magazynowy.

* * *

- No dobrze - odezwał się prezydent Armbruster, dopijając kolejną filiżankę kawy.

Była czwarta rano, a na dziewiątą miał zaplanowane spotkanie rządu, ale to chwilowo nie wydawało się ważne. Popatrzył po stole zastawionym filiżankami po kawie i talerzami po ciastkach i odchrząknął.

- No dobrze - powtórzył. - Wierzę pani. A to oznacza, jak ktoś kiedyś powiedział, że skończyły się żarty, a zaczęły się schody.

Rozejrzał się po obecnych, równie zmęczonych jak on, i potarł nasadę nosa, porządkując myśli.

A potem utkwił spojrzenie w admirale McLainie.

- Postąpił pan właściwie, admirale McLain, wszyscy zresztą tak zrobiliście. Jeśli pułkownik Leonowna nie myli się co do tego cyborga, faktycznie mamy kłopot. I to największy, jak dotąd, w dziejach tej planety - ocenił. - Wy na swoje pensje zarobiliście, teraz czas, żebym ja zarobił na swoją. Admirale McLain.

- Słucham, panie prezydencie.

- Już pan w tym siedzi, oficjalnie więc jest to sprawa floty, a pan dowodzi tą operacją.

- Jestem zaszczycony, ale z całym szacunkiem, panie prezydencie, trochę ostatnio...

- Wiem - przerwał mu Armbruster. - Na Bałkanach dymi, na południowym Atlantyku huczy i błyska, a ja panu daję bombonierkę zegarową do kompletu. Myślę, że powinniśmy zająć się uspokajaniem sytuacji, żeby miał pan spokojną głowę i mógł zabrać się do tego, co najważniejsze.

- Panie prezydencie?

- Jutro rano... a raczej dziś rano zacznie obowiązywać ustawa wojenna. Nie wątpię, że połowa Kongresu będzie losować, kto ma sprawdzić, czy to konstytucyjne posunięcie, ale nim to zrobią, będzie pan miał na stanowisku 2. Flotę, a ja poinformuję rządy Zjednoczonego Królestwa i Argentyny, że walki mają ustać natychmiast... Niech się pan uspokoi, komandorze Morris, tak się składa, iż wiem, że Anglicy chcą tego samego, a poza tym uprzedzę ich, co zamierzam. W Buenos Aires mogą być mniej zadowoleni, ale póki co biorą takie lanie, że powinni się zgodzić, by nie narazić się na większe. Jeśli natomiast się nie zgodzą, użyjemy każdego argumentu niezbędnego do przekonania ich. Proszę o tym uprzedzić swoich ludzi, admirale.

- Rozumiem.

- To nie będzie straszenie - powiedział dziwnie łagodnie prezydent. - Innych powodów nie licząc, nie możemy sobie pozwolić na przedłużający się kryzys, który odciągałby siły potrzebne nam gdzie indziej. Zgadza się pan ze mną?

- Tak, panie prezydencie.

- To dobrze. Badaniu EEG muszą zostać poddani członkowie rządu, szefowie Połączonego Komitetu Szefów Sztabów i dyrektorzy FBI, CIA, DIA i NSA. Z przywódcami Kongresu można poczekać. No i naturalnie wszyscy moi współpracownicy. Pewne jest, że nie

wszyscy uzyskają pozytywne wyniki, a nie będę mógł ich zwolnić bez wzbudzania sensacji w mediach. A tego przecież należy za wszelką cenę uniknąć. Musimy więc znaleźć dla tych, którzy nie mogą poznać prawdy, sensowne zajęcia. Zamierzam utworzyć dwa sztaby antykryzysowe. Pierwszy, złożony z niezakwalifikowanych, będzie zbierał i analizował informacje o tym, co się stało, i szukał znaków kolejnych ingerencji pozaziemskich. Naturalnie będzie działać w ścisłej tajemnicy, by uniknąć paniki. Tego zresztą ten cały *Troll* powinien się spodziewać, nie wzbudzi więc to jego zaniepokojenia, jeśli zdoła podsłuchać któregoś czy też wszystkich członków tego zespołu. Prawdziwym sztabem antykryzysowym będzie kierował Pan, admirał McLain, i naturalnie będzie się on składał wyłącznie z ludzi dla *Trolla* niedostępnych. Meldunki zaś będzie pan składał bezpośrednio mnie. Pańskie zadanie to odszukać *Trolla* i zniszczyć go. Za wszelką cenę. O ile to możliwe, chciałbym zdobyć jego myśliwiec, ale to drugorzędna kwestia, najważniejsze jest zniszczenie *Trolla*. I proszę mnie dobrze zrozumieć: kiedy go znajdziemy, zabijemy go, gdziekolwiek by był i ile ofiar by to za sobą pociągnęło. Jeśli to będzie jedyny sposób, należy użyć broni nuklearnej na terenie Stanów Zjednoczonych.

W pokoju zapadła cisza i powiało chłodem.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - dodał prezydent. - Ale chcę, by nie było w tej sprawie żadnych niejasności. Komodorze Aston, jak rozumiem, ma pan w przyszłym miesiącu odejść z czynnej służby?

- Tak, panie prezydencie.

- Już nie. Stan Loren będzie musiał sobie bez pana poradzić w najbliższym czasie. Potrzebuję pana, pańskiego doświadczenia operacyjnego bardziej niż on.

- Rozumiem, panie prezydencie.

- Dopilnuję, by natychmiast pana awansowano. Admirał to admirał i zawsze ma większą siłę przebicia, a pan będzie liniowym dowódcą admirała McLaina. Razem z pułkownik Leonowną ustalicie, jakie siły będą wam potrzebne, a ponieważ wiem z doświadczenia, że najlepiej takie sprawy zostawiać w rodzinie, ma pan do dyspozycji cały Korpus, ale wyłącznie Korpus.

- A SEAL? - spytał Aston.

- Kumoterstwo się szerzy! - roześmiał się Armbruster. - Dobrze, ich też, jeśli pan tak zdecyduje.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Pułkownik Leonowna, zdaję sobie sprawę, że nie podlega mi pani...

- Umówmy się, że zostałam oddelegowana pod pańskie rozkazy na czas trwania tej

operacji, panie prezydencie - przerwała mu Ludmilla.

- Dziękuję. W takim razie należy zacząć od zorganizowania pani stopnia, naturalnie w Korpusie Marines. Obawiam się, że nikt nie uwierzy, patrząc na panią, że może pani być pułkownikiem, ale z kapitanem powinno się udać. Dlatego oficjalnie i publicznie będzie pani kapitanem i adiutantem komodora... to jest kontradmirała Astona.

- Dobrze, panie prezydencie.

- Dziękuję - powtórzył i wstał. - Niestety nie mamy pojęcia, dokąd ten *Troll* może zmierzać ani też co planuje, gdy tam dotrze. Nierozsądne byłoby więc założenie, że jest lub będzie na terytorium naszym czy naszych sojuszników, a biorąc pod uwagę naturę zagrożenia, nie można pozostawić reszty świata w nieświadomości. A to oznacza, że będę musiał przynajmniej kilku osobistościom powiedzieć prawdę.

- Panie prezydencie... - zaczęła Ludmilla.

- Proszę się nie obawiać - uspokoił ją Armbruster. - Pamiętam o konieczności uzyskania EEG. Komandorze Morris, podobno jest pan człowiekiem pomysłowym?

- Tak ludzie mówią, panie prezydencie - przyznał Morris, nagle pełen niedobrych przeczuć.

- To dobrze. - Armbruster przeciągnął się i uśmiechnął niewinnie. - W takim razie proszę uprzejmie wymyślić sposób, byśmy mogli obejrzeć EEG prezydenta Jakolewa, nie prosząc o nie dyplomatycznymi, oficjalnymi kanałami.

- Eee, że co?! To jest spróbuję, panie prezydencie.

- To będzie nas dwóch - dodał cicho Jared Armbruster.

* * *

Po analizie danych uzyskanych od samicy *Troll* uznał, że sprawa może być prostsza, niż się spodziewał. Te całe Stany Zjednoczone były niewiarygodnie łatwym celem nawet dla kogoś z tego czasu, dysponującego prymitywną techniką, a co dopiero dla niego. Zaczynał już tworzyć plan i żałował tylko, że samica tak niewiele wiedziała o produkcji broni nuklearnej. Ale przynajmniej znała jedno konkretne miejsce.

Oak Ridge w Tennessee.

Było to równie dobre miejsce jak każde inne, by zacząć.

Rozdział XVI

Rhoda Morris siedziała cierpliwie w poczekalni, przeglądając jakiś ilustrowany magazyn. Miała oczy równie wielkie jak mąż, ale była smuklejsza, zawsze nienagannie ubrana i uczesana. Uważała, że Mordecai niepotrzebnie się uparł na te kompleksowe badania - w końcu ledwie cztery miesiące temu mieli doroczną kontrolę, ale ustąpiła dla świętego spokoju. Ciekawiło ją, dlaczego pierwszy raz doszła do zestawu kompletna kontrola neurologiczna, ale nie na tyle, by wszczynać z tego powodu awanturę.

Odwróciła kolejną stronę i na widok matki z dwójką różowych niemowląt poczuła znajome ukłucie żalu. Była bezpłodna i było to jedyne poważne zmartwienie jej życia. Nauczyła się z tym żyć, ale bliskość lekarzy zawsze boleśnie jej uzmysławiała, czego została pozbawiona.

Zdecydowanie przewróciła kartkę. Miała za to wszystko inne, a przede wszystkim Mordecaia, pełnego radości i pogody. Od początku była za niego wdzięczna losowi, ale dopiero z czasem nauczyła się przestać czuć winna za tę wdzięczność.

Odłożyła gazetę i zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze Dick i Milla zostaną. Zawsze lubiła Astona, od dnia, w którym odstawił Mordecaia do szpitala w Jordanii. Dopiero potem dowiedziała się, że wtedy uratował mu życie.

Goście zjawili się co prawda bez uprzedzenia, ale nie miała nic przeciwko ich wizycie, i prawdę mówiąc...

Dalsze rozmyślenia przerwało jej otwarcie drzwi, w których pojawili się Mordecai z lekarzem. Uśmiechnęła się do męża, na co ten także odpowiedział uśmiechem.

- I jak? - spytała.

- Wszystko w jak najlepszym porządku, pani Morris - zapewnił ją lekarz.

Pokiwała głową - oczywiście, że było w porządku, bo niby jak miało być.

- Zadowolony jesteś? - spytała, sięgając po okulary przeciwsłoneczne.

- Naturalnie, że jestem - odparł Morris, biorąc ją pod ramię.

Dwadzieścia trzy lata po ślubie i nadal trzymali się za ręce... Ile małżeństw tak się zachowywało?

Otworzył jej drzwi i przepuścił przodem.

- Musimy zrobić zakupy - przypomniała mu, gdy podchodzili do samochodu.

- W porządku. - Otworzył drzwi, poczekał, aż usiądzie, i zatrzasnął je.
- Powiedz mi - odezwała się, gdy wsiadł i zapinał pasy. - Dick i Milla zostaną na koncercie?
- Obawiam się, że nie. Dicka przenoszą, a Milla wróci do domu.
- Szkoda!
- Tak, kochanie - zgodził się miękko.
Spojrzała na niego zaskoczona, ale nie powiedział nic więcej.
Nie mógł, bo wynik jej EEG nie pozwalał, by poznała prawdę.

* * *

Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanford Loren był poirytowany. Łagodnie rzecz ujmując. Prawdziwy jego stan określało najlepiej słowo „wściekły”. Nie licząc Ala Turnera i prezydenta, nikt nie był zdolny uwierzyć, że pozostałości po Jugosławii nadal mogą stać się iskrą powodującą wybuch poważnego konfliktu. I to znacznie szybciej niż od lat ciągnący się konflikt indyjsko-pakistański o Kaszmir. Żadne państwo bałkańskie nie dorobiło się bowiem broni nuklearnej. Tyle tylko, że można ją było bez trudu kupić w byłych republikach Związku Sowieckiego. Poza tym rosła aktywność terrorystów w tym rejonie, a na dokładkę z braku bomby atomowej można było użyć broni biologicznej czy chemicznej, które znacznie łatwiej zdobyć. Ale nie, wszyscy uważali, że Bałkany to europejski problem, a ten kurdupłowaty francuski premier nawet głośno to powiedział. A decyzja poprzedniego prezydenta o wycofaniu po sześciu latach wojsk z Bośni praktycznie uniemożliwiła jakiegokolwiek działanie.

Jakby tego było mało, wybuchła regularna wojna na Atlantyku, która zaskoczyła dosłownie wszystkich, z analitykami włącznie. No i na dokładkę prezydenta coś siekło na punkcie zdrowia, jakby Loren nie miał nic ciekawszego do roboty, tylko przechodzić kompleksowe badania. Zamierzał je odwlekać, dopóki prezydentowi nie przejdzie, ale nie docenił tego cholernego Franklina, który osobiście zadzwonił, by mu o nich przypomnieć. W efekcie stracił pół dnia i marnował kolejne godziny, siedząc w szpitalnym pokoju i czekając na wyniki, które udowodnią, że jest zdrowy, choć ma niewielką nadwagę, zamiast być w Langley i...

Drzwi otworzyły się i już otwierał usta do miłego komentarza, gdy do pokoju wszedł Armbruster.

- Dzień dobry, Stan - powitał go z uśmiechem.

Ale Loren znał go od dwudziestu lat i dostrzegł, że za tym uśmiechem kryje się cień.

- Dzień dobry, Jared - odparł więc ostrożnie.

- Sądzisz, że zbzikowałem, prawda? - spytał go spokojnie prezydent, zamykając za sobą drzwi. - Żeby ci poprawić humor, powiem, że Hopkins i Turner też tu są.

Loren zmarszczył brwi - Floyd Hopkins był szefem Defense Intelligency Agency, a Al Turner zastępcą szefa National Security Agency, tyle że w praktyce to on nią kierował.

- A dlaczego? - spytał ostrożnie.

- Bo chcę ci opowiedzieć pewną historię. - Armbruster odwrócił się od okna. - Im też chciałem, ale okazało się, że nie będę mógł. Opowiem ją za to Dolfowi, tyle tylko że nie będzie żadnych śladów świadczących o tym, bym się dziś widział z nim lub z tobą. Jesteś zainteresowany?

- „Zaintrygowany” to właściwsze słowo.

- Tak? Gdy skończę, zmienisz zdanie - obiecał mu ponuro prezydent.

* * *

- Wygląda na to, że w końcu coś się ruszyło - oznajmił Aston, przeglądając kolejną teczkę osobową.

- W końcu - burknęła Ludmilla, nie unosząc głowy znad *Przewodnika oficera USMC*.

- Weź na wstrzymanie - zaprotestował Morris. - Wiesz, że początki zawsze są najtrudniejsze. Teraz już pójdzie szybciej, a każdy wyższy oficer, którego zakwalifikujemy, będzie zwiększał możliwość dotarcia do podkomendnych.

- I szanse na normalny przeciek - dodała kwaśno Hastings.

- Prawda - zgodził się Morris.

I zapalił kolejnego papierosa.

- Powiem Rhodzie, że oszukujesz! - zagroziła, patrząc na niego bykiem.

- Kapuś! - ocenił i zaciągnął się głęboko. - A przecieku nie musisz się obawiać: tacy jak Loren czy Wilkins odruchowo utrzymują wszystko, co wiedzą, w tajemnicy. Znacznie bardziej martwią mnie kongresmeni.

- To możesz przestać się martwić - odezwał się Aston, odkładając teczkę. - O niczym się nie dowiedzą. Co, nie słyszałeś?... Prezydent zdecydował w nocy, że im nic nie powie, bo okazało się, że szef tego cyrku ma nie tylko iloraz inteligencji równy numerowi butów, bo to już wiedzieliśmy, ale na dodatek zły wynik EEG. Muszę przyznać, że też mi ulżyło. Usłyszą wersję oficjalną i nie będą nam przeszkadzać w pracy. I żaden radosny półgłówek nie wygada niczego pismakom.

- Miła ocena wybranych przedstawicieli narodu - skomentowała Ludmilla, tym razem

unosząc głowę znad książki.

- Prawda? - ucieszył się Aston.

- I na dodatek realistyczna - dodał Morris. - Część z nich, prawdopodobnie nawet większość, choć może przeze mnie przemawiać zbyt ni optymizm, to normalne, czasami nawet uczciwe istoty ludzkie. Ale jest grupa, która normalna nie była nigdy, a o uczciwości już zapomniała, bo liczy się dla niej tylko władza. Każda z takich osób, jeśli tylko uznałaby, że umocni w ten sposób swoją pozycję, natychmiast poleciałaby z tą historią do mediów. Jak to było?... Dwóch dowolnych ludzi może utrzymać tajemnicę, jeśli jeden z nich jest martwy... o ile nie jest politykiem.

- Coś w tym stylu. - Hastings spojrzała na Astona i spytała niewinnie: - Jak idzie zbieranie grupy uderzeniowej, panie admirale?

- Jeszcze raz mnie tak nazwiesz, a pierwsze uderzenie poczujesz na własnej skórze - warknął zapytany.

Pokazała mu język.

Aston zachichotał i oświadczył:

- Mordecai, miałeś rację: całkowity brak szacunku dla wyższych rangą. A wracając do pytania, to nie najgorzej. Mamy majora Marines, który w zeszłym roku miał wypadek w czasie szkolenia, zrobili więc mu wszystkie możliwe badania. Ma wręcz wzorcowy z naszego punktu widzenia wynik. I jest dobrym oficerem.

- Faktycznie chcesz to przeprowadzić, wyłącznie przy udziale Marines? - spytał Morris.

- To sensowne podejście. Poza tym spróbuję znaleźć tylu odpowiednich ludzi, ilu się da, którzy mieli już robione EEG. Wiesz, że osoby z tego rodzaju wojsk lepiej ze sobą współpracują, a Korpus, choć z trudem przychodzi mi to przyznać, jest najlepszy do tej roboty: mają lotnictwo, czołgi, wozy pancerne i piechotę.

- A skąd wiesz, jakich sił będziemy potrzebowali? - Ludmilla odłożyła przewodnik. - Nadal nie przeprowadziliśmy testu z czołgami.

- Oj, przepraszam. - Morris uśmiechnął się przeproszająco. - Skleroza. Miałem wam powiedzieć, że McLain zorganizował od wojsk lądowych parę *Pattonów* przeznaczonych do złomowania. Oficjalnie są flocie potrzebne do testów, tylko nikt nie wyjaśnił, jakich konkretnie.

- Doskonale! - ucieszył się Aston. - Kiedy możemy je przetestować?

- Jutro albo pojutrze.

- Gdzie? - spytała Ludmilla. - Bo to musi być naprawdę bezpieczne miejsce.

- Znaleźliśmy takie - Morris uśmiechnął się z zadowoleniem. - Podziemna komora w

Nowym Meksyku. Miał tam zostać przeprowadzony test nuklearny po fiasku *START II*, ale ostatnie dwa czy trzy odwołano jako gest dobrej woli podczas negocjacji z Chinami, Pakistanem i Indiami.

- Brzmi obiecująco - ocenił Aston. - A co u Lorena?

- Zorganizował już oficjalny sztab antykryzysowy, któremu szefuje wiceprezydent. Loren pełni rolę jego „asystenta” i myślę, że jest solidnie wkurzony, że tam trafił, ale przynajmniej obaj z Wilkinsem dopilnują, żebyśmy dostali kopie wszystkiego, co ważne, jeśli coś odkryją. A prawdę mówiąc, mają na to większe szanse od nas, bo do ich dyspozycji są wszystkie służby wywiadowcze. Tyle że tylko my jesteśmy w stanie zrozumieć, co odkryli.

- Żebyśmy tylko mieli jakieś wyobrażenie o tym, co ten cholernik kombinuje - powiedział Aston.

* * *

Troll był zachwycony.

W końcu, dzięki obdartemu włóczędze nazywającemu się Leonard Stillwater, znalazł ostatni element.

Szkoda było tego Stillwatera - mógł się jeszcze przydać, gdyby bardziej uważał. W przyszłości będzie musiał lepiej nad sobą panować, bo przyjemność z gwałcenia ludzkiego umysłu była uzależniająca. Stillwater, jak się w końcu okazało, był lepszy, niż sugerowały to wygląd i powolny proces myślowy.

Na wszelki wypadek sprawdził maskowanie - co prawda roboty były w tym coraz lepsze, ale to proste i głupie urządzenia, należało więc monitorować efekty. Podróż przez Stany Zjednoczone przebiegała wolniej, niż się spodziewał, ale miało to także dobre strony: zdołał zgromadzić dość informacji o tutejszych radarach, by zbudować skuteczny ECM zapewniający mu niewidzialność. Teraz mógł spokojnie zbierać informacje.

A Stillwater dostarczył mu naprawdę zaskakujących danych. Dlatego postanowił zatrzymać się w pierwszym dogodnym miejscu, by je przeanalizować. Miejsce takie znalazł na północ od rezerwatu Broken Bow w górach Quachita w Oklahomie.

Dziwne, ale nigdy nie zastanawiał się, co ludzie myślą o innych ludziach. Założył, że to samo co *Trolle* o sobie nawzajem, czyli prawie nic. Dlatego takim zaskoczeniem było odkrycie w samym centrum umysłu Stillwatera wielkiej nienawiści. Prawie tak wielkiej jak jego własna.

Nigdy wcześniej nie słyszał o Partii Białych Ludzi, Amerykańskiej Partii Nazistowskiej czy o Ku-Klux-Klanie. Dowiedział się o nich od przestraszonego, ale mimo paniki dumnego

Stillwatera. To powinno go zaalarmować i skłonić do ostrożności, ale nie skłoniło. Zresztą cały ten Stillwater był mniej ważny od nienawiści, o której dzięki niemu się dowiedział. Bo była to bardzo ważna cecha ludzi, i to cecha nader dlań użyteczna.

Naturalnie będzie to wymagało ostrożności, ale taką żywiołową i bezmyślną nienawiść u podobnych do Stillwatera da się wykorzystać, a fakt, że nie posiadali a potrzebowali myślącego za nich przywódcy, znacznie ułatwiał mu zadanie.

Musiał tylko znaleźć innego Stillwatera - mądrzejszego i lepiej nadającego się do zrozumienia propozycji, którą zamierzał mu złożyć.

* * *

Nikołaj Stiepanowicz Niekrasow był zadowolony ze stanowiska ambasadora Federacji Rosyjskiej w Stanach Zjednoczonych i w sumie lubił Amerykanów, choć odważyłby się do tego przyznać niewielu osobom. Fakt, byli niewiarygodnie niezorganizowani, niezdyscyplinowani i rozpieszczeni. Byli też niewiarygodnymi szowinistami narodowymi, co akurat o Rosjanach także można było powiedzieć. Poza tym byli geograficznymi idiotami uważającymi, że wszystko poza USA, no może z wyjątkiem Anglii, Francji i Niemiec, to prymitywny trzeci świat. Byli też święcie przekonani, że zmiany polityczne w każdym kraju, jeśli nastąpiły pokojowo tak jak w Rosji, były bezpośrednim rezultatem ich świetlanego przykładu, a wszelkie problemy ekonomiczne wynikały wyłącznie z powodu niedokładnego naśladownictwa. No i naturalnie swój styl życia uważali za jedynie dobry i słuszny, toteż według nich wszyscy powinni doń dążyć i przyjąć go niezależnie od religii, kultury i innych dupereli. Ponieważ w jego kraju sprawy się tak nie toczyły, z czasów panowania komunizmu pozostała im głęboko zakorzeniona podejrzliwość w stosunku do Rosji, porównywalna jedynie do podejrzliwości Rosjan wobec Ameryki. Kolejną poważną ich wadą było śmieszne i naiwne przekonanie, że jednostka jest ważniejsza od państwa. A obrażali się, ledwie ktoś próbował im powiedzieć, że nie są powszechnie kochani ze względu na poziom życia, o jakim reszta świata mogła tylko pomarzyć, oraz zadufanie w sobie.

Dopuszczał możliwość, że jako dziecko marksizmu i leninizmu mógł mieć nieco spaczony punkt widzenia i nie być w pełni obiektywny w ocenie. Naturalnie Amerykanie mieli też zalety: byli uprzejmi, szczodrzy i nie czuli odruchowego szacunku do władzy czy stanowiska w przeciwieństwie do jego towarzyszy, a obecnie demokratów pełną gębą. Partia komunistyczna byłaby w stanie zrozumieć Amerykanów lepiej, gdyby członkowie Politbiura uświadomili sobie, że europejski system klasowy nigdy tak naprawdę się w USA nie przyjął mimo upartych prób amerykańskich lewicowych polityków.

Były też momenty, gdy Amerykanie go przerażali, bo cechowała ich bezwzględność oraz przekonanie o skuteczności i własnej sile. Amerykański prezydent bardzo liczył się z opinią publiczną, ale kiedy przestawał się liczyć i zaczynał działać, nie sposób było przewidzieć, jak daleko się posunie. A co gorsza, mógł mieć w zasadzie pewność, że społeczeństwo go poprze, jeśli uzna jego postępowanie za skuteczne i moralnie słuszne.

A on od ponad roku próbował przekonać swojego prezydenta, że ten amerykański prezydent jest zarówno zdecydowany, jak skuteczny. Niestety zbyt wielu członków rządu z jego własnym szefem, ministrem spraw zagranicznych Aleksandrem Turczynem na czele, nadal uważało, że skuteczniejsze jest stanowisko antyamerykańskie. Faktem było, że większości Rosjan nie podobało się to, że przestali być obywatelami supermocarstwa, a ich rząd pod wieloma względami musi tańczyć, jak mu zagra ostatnie na Ziemi supermocarstwo, a ich przeciwnik od pół wieku. Przyznawał, że jemu samemu wzrastało ciśnienie, gdy któryś z „gospodarzy” zaczynał go pouczać, co też złego jest w Rosji i co należy zrobić, by było dobrze.

Stawianie się poprzednikom Armbrustera przynosiło efekty, bo liczyły się dla nich tylko sondáže i problemy wewnętrzne. Można więc było i Rosjanom, i reszcie świata wmawiać, że są to dowody siły, a w rzeczywistości były to ostatnie podrygi zdychającej ostrygi, których jedynym rzeczywistym skutkiem było to, że na Bałkanach nie zapanował jak powinien spokój. To ostatnie naturalnie umknęło uwagi Turczyna i jego kumpli, dla których ważne było tylko to, że zmusili USA do wycofania się z Bałkanów.

Albo i nie umknęło, tylko wygodnie było im udawać, że tak jest. Od pewnego czasu miał bowiem coraz silniejsze podejrzenia co do tego, do czego dąży jego zwierzchnik. Przyjaźń z pozostającym w niełasce ultranacjonalistą, generałem Wiaczesławem Pogoszewskim, mówiła sama za siebie, ale Jakolew potrzebował wsparcia Turczyna, udawał więc, że niczego nie widzi. A Niekrasow był przekonany, że w odpowiedniej sytuacji wystarczy kilku bezwzględnych oportunistów pod wodzą pozbawionego skrupułów a żadnego władzy człowieka, by przejąć kontrolę nad Rosją. Najlepszym na to dowodem był sukces towarzysza Iljicza Uljanowa znanego jako Lenin.

Te ponure rozmyślenia stanowiły jedynie tło dla ostatniej zagadki, nad którą głowił się od rana. W ciągu trzydziestu miesięcy rządów Armbruster udowodnił, że jest zdecydowany, skuteczny i samodzielny, ale jego ostatniego posunięcia nijak nie dawało się zrozumieć. Od początku bowiem robił, co mógł, by poprawić stosunki z Ameryką Łacińską, i stopniowo mu się to udawało. Sandiniści byli w odwrocie, Meksyk, a nawet Kolumbia zaczynały zachowywać się normalnie, w zamian za częściowe zniesienie blokady wymusił na następcy

Castro, który w wyniku choroby nie był w stanie rządzić, istotne reformy polityczne. A teraz bez żadnego powodu wystosował ultimatum do władz Argentyny, które wszyscy przeciwnicy USA w tym rejonie uznać mogli jedynie za bezczelne wtrącanie się w nie swoje sprawy. Stany nie miały żadnych interesów ani na Falklandach, ani w Argentynie, o czym cały świat wiedział, po co więc taka nagła i chamska interwencja?

Miał dziwne wrażenie, że dzieje się coś ważnego, o czym nie ma pojęcia. Armbruster musiał mieć istotny powód, a na pewno nie była nim chęć przyjscia z pomocą sojusznikowi, bo Anglia wygrywała i rozejm był korzystny dla Argentyny. Naturalnie w Buenos Aires tak nie uważano, ale musiała to być oficjalna poza, bo żaden generał nie jest tak głupi, by nie zorientować się w sytuacji taktycznej czy operacyjnej. Mogli natomiast uznać, że z powodów propagandowych nie mogą tak od razu ustąpić.

A jednak nie mógł pozbyć się przeświadczenia, że cały ten problem jest poboczny i w sumie mało ważny, choć nie wiedział, skąd ma tę pewność, ani też nie miał żadnych dowodów.

Liczył, że poniedziałkowa rozmowa z Armbrusterem coś mu wyjaśni, bo udało mu się stworzyć w miarę przyjazne z nim stosunki. To jest na tyle przyjazne, na ile mógł jako ambasador niezbyt przyjaznego państwa.

* * *

Wielebny Blake Taggart trzasnął drzwiczkami samochodu i kopnął wóz w przedni błotnik. Noga go rozboleła, ale głębokie wgniecenie nieco poprawiło humor. Niewiele, ale i to się liczyło.

Miał dość.

Powinien był zatrzymać się w Muse i kazać mechanikowi sprawdzić te dziwne odgłosy pod maską, ale na tym zadupiu wszystko było już pozamykane, a poza tym oznaczało to wydatki. A pieniądze były tym, czego mu obecnie brakowało najbardziej.

Westchnął i obszedł samochód. Powinien był już dawno się go pozbyć, bo nie dość, że żłopał paliwo jak smok, to części do niemieckich wozów były pioruńsko drogie, ale była to ostatnia pozostałość po jego imperium i jakoś nie mógł się na to zdobyć.

Otworzył bagażnik i z walizki Gucciego wyjął białą, jedwabną chusteczkę, którą zawiązał na antenie. Gdyby nadal miał kierowcę, mógłby go wysłać po pomoc, a sam poczekać na wygodnej, skórzanej tylnej kanapie. A tak musiał sam wędrować po nocy. Zaklął z uczuciem i poszukał w bagażniku wygodniejszych butów, a potem przysiadł na zderzaku, by zmienić obuwie.

A tak mu dobrze szło!

Wierni patrzyli w niego jak w święty obrazek, robili, co kazał, i płacili, aż miło. Starczyło na pałac z basenem, radiostację, stację telewizyjną i całą masę przyjemności, o których mógł tylko marzyć, dorastając wśród wzgórz Karoliny Północnej. Był to czas, w którym prawie uwierzył, że Bóg może jednak mimo wszystko istnieć...

Zawsze był okrągłutki, starannie ogolony i w okularach, których nie potrzebował, ale które poprawiały wygląd. Akcent i argumenty przejął po ojcu samouku, bo tak jak on za cel obrał starszych, samotnych hipokrytów afiszujących się z krzyżem i nienawidzących każdego, kto miał choć trochę odmienne podejście do czegokolwiek, nie tylko do religii. Starannie odmierzone dawki nietolerancji, rasizmu i chamstwa wplątane w teksty religijne zapewniły mu rzesze wiernych. Bo skoro kapłan myślał tak jak oni i głosił to publicznie, a władze Kościoła nie reagowały, znaczyło to, że Bóg podziela ich odczucia, a więc mają rację.

I tak imperium rosło, a on miał już nowe pomysły na wyciągnięcie kasy z owieczek, jak choćby utworzenie szkoły wyższej. I nadal byłoby pięknie, gdyby nie ten cholerny, zawszony, pierdolony reporter. Początkowo wydawało się, że to drobiazg - dogrzebał się i wyciągnął na światło dzienne transakcję sprzedaży jakiejś nieruchomości zapisanej w spadku przez starą dewotkę. Ale to skurwielowi nie wystarczyło i kopał dalej. No i dokopał się do różnych interesów, takich jak spekulacje ziemią w Kolorado. Jak chujek przegryzł się przez trzy lewe korporacje, by odkryć, kto naprawdę za tym stoi, pozostało tajemnicą, ale się przegryzł. A potem dotarł do udziałów w kasynie w Las Vegas i do tej cholernej kurewki. Przecież, do cholery, był normalnym mężczyzną i jak każdy musiał sobie od czasu do czasu podupczyć!

Największym błędem była próba przekupienia gnojka. Powinien był przewidzieć, że menda będzie nagrywała rozmowę, i wysłać paru silnych, niekoniecznie inteligentnych, żeby mu mordę skuli w ramach ostrzeżenia. A to był początek końca - zdewociałe staruchy szwindle w interesach by wybaczyły, ale stosunków z dziwkami nigdy i źródło gotówki oraz trzoda wiernych zmniejszyły się w błyskawicznym tempie. Kolejny raz sprawdziła się stara zasada, że hipokryzja jest skuteczna tak długo, jak stosujący ją nie da się złapać.

Zatrzasnął z hukiem bagażnik i rozejrzał się. Parę mil z tyłu znajdowało się skrzyżowanie z US 269, przy którym mieściła się całodobowa stacja benzynowa. Na obecność dyżurnego mechanika nie było co liczyć, bo właściwie na żadnej stacji już ich nie było, ale telefon będą mieli na pewno i co ważniejsze, numer do jakiejś firmy holującej. Aż nim wstrząsnęło na myśl, ile to będzie kosztowało, ale nic innego mu nie pozostało. Może z Bożą pomocą...

Prychnął pogardliwie, choć z drugiej strony uważał, że Bóg powinien mu pomóc, bo wrzucił go już w wystarczająco głębokie szambo.

* * *

Wewnętrzny alarm wzbudził uwagę *Trolla*. Prawie doskonały umysł świecący wręcz nienawiścią, który poruszał się ze sporą prędkością, nagle się zatrzymał. Nienawiść i chciwość - co za piękne połączenie. Był przekonany, że nie da się go wykorzystać, bo znajdzie się zbyt szybko poza jego zasięgiem, a tymczasem sytuacja się zmieniła.

Wyostrzył podслuch, nie próbując kontaktu, jedynie słuchając emocji i w ten sposób uzyskując namiar miejsca i odległości. Gdy już je miał, wysłał roboty i cały czas uważał, by zachować ostrożność.

* * *

- *Whiskey Jeden*, tu *Sierra Trzy*. Mam dwóch bandytów w odległości 3-9-7 od ciebie. Namiar 0-7-4, wysokość 2-5-0 stóp, prędkość 7-5-0 węzłów. Za tą parą jest coś jeszcze, co może być echem albo drugą parą. Odbiór.

- Tu *Whiskey Jeden*, rozumiem, *Sierra Trzy* - potwierdził komandor Zachary Orwell, dowódca lotnictwa pokładowego USS *Washington*, i przyjrzał się ekranowi w kontroli lotów.

- W twoim kierunku leci *Papa Delta 9-2*. Skontaktuj się z nim na kanale czwartym. Powtarzam, na czwartym. Odbiór.

- Rozumiem, na czwartym. *Sierra*, bez odbioru.

Cztery myśliwce *F-14D Tomcat* z VF-143, znane jako Rzygające Psy, gdyż godłem jednostki był nurkujący gryf, złożyły skrzydła i zwiększyły prędkość do tysiąca sześciuset kilometrów na godzinę. Maszynę prowadzącą pilotował komandor Lewis Tobin, dowódca eskadry VF-143.

- Masz coś, Moose? - spytał Tobin.

- Moment. - Porucznik Amos „Moose” Comstock pochylony nad ekranem obserwował zmiany w obrazie, gdy *Hawkeye* o kryptonimie *Sierra 3* zaczął przysyłać dane ze swoich radarów i komputerów pokładowych. - Są. Jak chcesz to załatwić?

- Lecimy prosto na nich, nie zmieniając wysokości.

- Jasne. Zmień kurs na 1-3-4.

Tomcat wykonał skręt w prawo, a manewr ten powtórzyły trzy lecące za nim. Każdy uzbrojony był w dwie rakiety typu *Phoenix*, trzy typu *Slammer* i dwa *Sidewindery AIM-9Q*.

- Dwieście mil - poinformował Moose. - Mam ich oświetlić?

- Tak.

Dowódca floty ogłosił obszar o promieniu stu mil morskich wokół 21. Zespołu

Wydzielonego strefą zakazaną dla wszystkich samolotów poza amerykańskimi. Ponieważ używane przez Argentynę *Exocety* miały zasięg 50 mil, gwarantowało to bezpieczeństwo amerykańskim okrętom. Szybkość nadlatujących samolotów wskazywała, że to maszyny typu *Dessault-Breugvet Super Entendard*, starsze nawet od *Tomcatów* i od lat przeznaczone do drugorzędnych działań. Jednakże straty poniesione przez argentyńskie lotnictwo w ciągu ostatnich kilku dni zmusiły je do zastąpienia *Mirage 2000-5 Super Entendardami* z braku tych pierwszych. Tobin nie miał ochoty nikogo zabijać, ale jeśli ktoś leciał na dopalaczach sto metrów nad wodą prosto ku zakazanej strefie lotów, po prostu prosił się o śmierć.

Pokładowy radar ożył, sprawdzając kurs podany przez *Hawkeya*.

- Są. Dwie pary, łącznie cztery maszyny. Odległość 1-8-4, są czterdzieści mil od strefy i nie odpowiadają na wywołania.

- Przełącz w tryb celowania, zobaczymy, czy to ich nie odstraszy.

- Przełączone.

W kabinach nadlatujących maszyn musiały rozbrzmieć ostrzegawcze sygnały, że radary przeszły w tryb namierzania celu i że to oni są celem. Piloci, gdyby tego wcześniej nie wiedzieli, teraz mieli pewność, że w pobliżu są *Tomcaty*, których rakiety mają zamiar ich samolotów. Ostrzeżenie radiowe z okrętów mogli ignorować bezkarnie, teraz igrali ze śmiercią. Tobin był ciekaw ich reakcji.

Rozczarował się - reakcji nie było, samoloty dalej leciały poprzednim kursem.

- Dziewięćdziesiąty drugi do wszystkich *Papa Delta* - powiedział spokojnie. - Biorę prowadzącego. Dziewięćdziesiąty czwarty, zajmiesz się skrzydłowym. Użyjemy *Slammerów*. Jeśli druga para nie zawróci, jest wasza, sekcja *White*.

W słuchawkach zabrzmiały potwierdzenia.

A odległość pomiędzy obiema grupami ciągle malała.

- Przekroczyli granicę strefy - zameldował Comstock.

- Dobra, Moose. Odpalaj.

- Zrozumiałem... potwierdzenie zamiaru załadowane... Poszedł!

Rakieta odpalona przez niego pomknęła na spotkanie celu z prędkością 4 machów.

- Minuta do trafienia - zameldował Comstock.

Tobin wykonał ostry skręt w lewo, by znaleźć się za napastnikami, na wypadek gdyby jakoś zdołali uniknąć wystrzelonych rakiet samonaprowadzających.

Nie zdołali.

Płonące szczątki dwóch lecących przodem maszyn spadły do wody z prędkością prawie tysiąc dwustu kilometrów na godzinę.

Ale druga para tylko zmniejszyła wysokość i nadal leciała tym samym kursem, dopóki rakiety wystrzelone przez sekcję *White* nie zmieniły jej w ognistą kulę.

* * *

Blake Taggart nie miał pojęcia, co mu się przydarzyło.

Maszerował poboczem pustej drogi, gdy nagle coś zielonkawo błysnęło i stracił przytomność, a teraz obudził się tu... gdziekolwiek by to było...

Próbował usiąść, ale mięśnie nie chciały go słuchać. Powinno mu to napędzić stracha, ale czuł tylko ospałą ciekawość. Patrzył w metalowy sufit, oddychał powoli, a coś poruszało się wewnątrz jego czaszki na podobieństwo pająka.

- Witaj, Blake Taggart.

Głos dobiegał zewsząd. Dziwny, martwy, mechaniczny i zimny. Rozbrzmiewał zarówno w jego uszach, jak i w mózgu.

- Twoi ziomkowie nie potraktowali cię dobrze. Zobaczyłem w twojej pamięci, jak zwrócili się przeciwko tobie.

Taggart poczuł znajomą wściekłość, ale tym razem nieco inną - silniejszą, jakby została oczyszczona i wzmocniona, gdy był nieprzytomny. Poza furią i poczuciem zdrady nie czuł nic. Próbował coś powiedzieć, ale język i usta też go nie słuchały.

- Jeśli zdecyduję się ci pomóc, odzyskasz wszystko, co straciłeś... i o wiele więcej - ciągnął głos. - Będziesz miał swoją zemstę... a ja moją. Rozumiesz mnie, Blake Taggart?

Paraliż ust i języka ustąpił, wpierv więc odchrząknął, potem przełknął nagromadzoną ślinę, a na koniec spytał;

- Co masz na myśli?

I jęknął, gdy ból smagnał go po nerwach.

Zniknął, prawie nim stał się odczuwalny, ale zrozumiał, że to tylko ostrzeżenie.

I ponownie przełknął ślinę.

- Jestem hojny, ale nie... cierpliwy. Lepiej to zapamiętaj. Rozumiesz?

- Tak - szepnął i natychmiast powtórzył głośno: - Tak!

- Lepiej - ocenił głos. - Potrzebuję pomocnika, Blake Taggart. Człowieka o pewnych uzdolnieniach. Ty możesz zostać tym pomocnikiem.

- Do czego? - spytał, nadal nie czując strachu, zupełnie jakby ten głos temu zapobiegał.

- To stanie się jasne, jeśli będziesz dość silny, by wytrzymać dotyk mego umysłu. Dowiedziałem się wszystkiego, co mogłem, z twego nieprzytomnego umysłu. Teraz musisz się przede mną otworzyć. Dobrowolnie - rozległ się dziwny i przerażający zarazem dźwięk,

który dopiero po chwili rozpoznał jako śmiech. - Możesz umrzeć, ale jeśli przeżyjesz...

Głos umilkł.

A Taggart zaczął się zastanawiać, co właściciel tego głosu już z nim zrobił. Brak strachu, wszechpotężne pragnienie zemsty i nienawiść w najczystszej postaci - wszystko to były jego własne odczucia, ale wzmocnione i oczyszczone. Wiedział o tym i nie miał nic przeciwko.

- Jasne - powiedział. - Zapraszam.

* * *

Rozglądając się po potężnej podziemnej komorze, Aston żałował, że nie ma tu Mordecaia, ale Argentyńczycy pokazywali, że mają więcej jaj niż rozumu, i był potrzebny McLainowi do innych zadań. Przyjrzał się dwóm czołgom M60A3 i nawet jemu wydało się niemożliwe, by coś tak małego jak blaster Ludmilli był w stanie je uszkodzić. A ona w nowiutkim mundurze z dystynkcjami kapitana United States Marine Corps wyglądała na równie spokojną jak zawsze i tym bardziej absurdalnie młodą, bo w Korpusie tak młodo wyglądających kapitanów zdecydowanie rzadko się widywało.

- Gotowa? - spytał.

Kiwnęła głową.

- Jakies specjalne środki ostrożności? - upewnił się.

- Stań tam, gdzie Jayne.

Aston posłusznie dołączył do Jayne Hastings sprawdzającej ustawienie kamery zamontowanej na statywie.

- Wiem, jak powinnam ustawić broń, by zniszczyć robota bojowego, i wiem, jak trzeba ją ustawić, by zniszczyć pancierz *Trolla* - wyjaśniła Ludmilla. - Ustawię taką moc i strzelę do obu czołgów. Po tym, jakie skutki każdy ze strzałów spowoduje, będzie można ocenić, jakiej broni będzie potrzebował oddział uderzeniowy. Logiczne?

- Logiczne - zgodziła się Hastings. - Tylko nie mogę uwierzyć, że takie maleństwo zniszczy czołg. Próbuje, naprawdę, ale...

Ludmilla uśmiechnęła się złośliwie.

- Och, wy małej wiary... - oceniła i uniosła broń.

Przez moment nadal panowała cisza i bezruch, po czym łupnęło ogłuszająco, a na pancierzu czołowym prawego czołgu pojawiła się oślepiająco biała plama wielkości dłoni. A potem znów zapadła cisza przerywana jedynie sykiem stygnącego metalu.

Aston zaskoczony mimo wszystkich uprzedzeń podszedł powoli do ostrzelanego wozu, a Ludmilla i Jayne ruszyły za nim. W czołowym pancierzu grubości 125 milimetrów wypalony

został okrągły otwór o średnicy około 20 cm którego brzegi nadal były rozgrzane do czerwoności. Przez otwarty właz kierowcy widać było uszkodzenia wewnętrzne, ale mniejsze, niż się spodziewał - najwidoczniej prawie cała energia została zużyta na przebicie pancerza.

- I jak? - spytał.

- Macie broń, która potrafi to zrobić? - spytała Ludmilla.

- Mamy. Wyrzutnie *TOW* montowane na pojazdach i najnowszy ręczny granatnik przeciwpancerny *Predator* osiągają bardzo podobne efekty.

- To dobrze - oceniła. - Ale to łatwiejsza część. Pancerz *Trolla* jest znacznie wytrzymalszy, a na dodatek ma osłonę bojową.

- Wspomniałaś już o niej. Co to konkretnie takiego? - zaciekał się Aston.

- Pole siłowe przechwytyjące nadlatujące pociski i energię. Osłony okrętów potrafią wchłonąć energię wybuchu głowicy o mocy wielu megaton, ale pancerki *Trolli* nie są na tyle duże, by mieć podobnie silne generatory. Najważniejsze jest, że każde pole siłowe można lokalnie przeciążyć, używając znacznie słabszej broni, niż wymagałoby przepalenie całego generatora. Stosujemy wykonywany kolejno przez myśliwce kaskadowy atak, by przeciążyć pole okrętu, aż kolejna rakietka przebija się i niszczy cel. Wątpię, byśmy mogli to zrobić w tym wypadku, bo wymaga to bardzo dokładnej koordynacji w bardzo krótkim czasie. Pozostaje więc tylko jedno: przebicie go jednym strzałem o odpowiedniej mocy. A zaraz wam pokażę, jakiej energii do tego potrzeba.

Wszyscy wrócili na stanowiska, Ludmilla zmieniła ustawienie broni, a Jayne założyła filtr na obiektyw.

- Zasłońcie oczy - poradziła Ludmilla.

I nacisnęła spust.

Tym razem nie huknęło, lecz ryknęło, i to jakby ze zwielokrotnionym echem albo jakby nastąpiły eksplozje wtórne, co było niemożliwe, bo w czołgach nie było paliwa ani amunicji. Aż do nich doszedł zapach płonącej farby i roztopionego metalu oraz fala gorąca.

A potem zapadła cisza.

- Można popatrzeć - oznajmiła Ludmilla.

Nikt się nie odezwał, bo oboje z wrażenia stracili mowę. Powietrze nad czołgiem falowało od gorąca. Cały przedni pancerz rozgrzany był do czerwoności, na środku jeszcze do białości. Lufa powoli opadała, aż hamulcem wylotowym oparła się o ziemię, bo strzał Ludmilli zniszczył cały system hydrauliczny i przepalił jej dolną część na wylot tuż przed jarzmem. Górna została tak rozgrzana, że stała się plastyczna. A w czołowym pancerzu ziała

dziura o średnicy pół metra.

Aston obszedł wóz w milczeniu - ładunek plazmy przeszedł na wylot także przez silnik o mocy 750 KM. Odwrócił się powoli i popatrzył na zszokowaną Hastings gapiącą się na wrak.

- Tego nie potrafimy zrobić - przyznał. - Niczym.

- Tak też pomyślałam, gdy zobaczyłam skutki pierwszego strzału. - Ludmilla schowała broń.

- To co zrobimy? - wykrztusiła Jayne.

- Nie wiem - przyznał Aston. - Jak rozumiem, roboty możemy zniszczyć przy użyciu ręcznych wyrzutni rakiet; trzeba będzie tylko mieć ich duży zapas i zorganizować z tuzin zespołów ogniowych. Ale to... chyba jedynie salwą ze wszystkich rur...

- To się nie uda - przerwała mu Ludmilla spokojnie. - Nie zgracie strzałów, bo do tego potrzebna jest koordynacja komputerowa, ludzie są zbyt powolni. A nim go znajdziemy, *Troll* będzie w stanie zrealizować plan awaryjny, czyli zniszczyć Ziemię. Jeśli nie unicestwimy go pierwszym trafieniem, a zorientuje się, że został zaatakowany przez duże siły, których nie zdoła pokonać, popęlni samobójstwo, pociągając za sobą całą planetę.

- Ale nie możemy zagwarantować zniszczenia go pierwszym trafieniem! - jęknął Aston.

- Wiem. - Ludmilla uśmiechnęła się. - Od początku podejrzewałam, że tak się to może skończyć. Za to ja mogę to zagwarantować.

I poklepała się znacząco po kaburze blastera.

Aston chciał zaprotestować. Bardzo chciał jej powiedzieć, że to nieprawda, że wcale jej nie potrzebują. Że nie musi ryzykować.

Ale jedynie kiwnął głową, bo odezwać się nie odważył.

Rozdział XVII

Major Daniel Abernathy z United States Marine Corps nie wyglądał na wściekłego i nikt, kto go dobrze nie znał, nie zorientowałby się, jak wiele wysiłku kosztuje go panowanie nad sobą.

Z tego osiągnięcia był raczej dumny.

Zacisnął zęby, patrząc przez samolotowe okienko na pas Bazy Sił Powietrznych Andrews, i przyznał uczciwie, że nienawidzi tego widoku. Z prostego powodu - nie powinno go tu być. Powinien znajdować się w Lejeune i uroczyście przejmować dowodzenie batalionu rozpoznawczego 2. Dywizji Marines. Ciężko pracował na to stanowisko i zasłużył na nie. Co więcej: rozkazy zostały już wypisane, do kurwy nędzy, ale musiał się we wszystko wtrącić jakiś pierdolony skurwiel zza biurka!

Zamknął oczy, zmuszając się do zachowania spokoju. Był ambitny jak każdy szanujący się oficer Marines i klęska go bolała. Zwłaszcza klęska, w której nie było śladu jego winy. A to, że 2. Dywizja była w stanie podwyższonej gotowości w związku z zamieszaniem na południowym Atlantyku, jedynie pogarszało sprawę. Przez dwanaście lat szkolił się i ćwiczył, by być gotowym na taką właśnie ewentualność i...

Samolot wylądował i podkołował na miejsce, nim udało mu się na tyle wziąć w garść, że sięgając po podany bagaż, zdołał uśmiechnąć się do sąsiada.

Słońce w stolicy paliło równie ostro jak w Karolinie Północnej, a powietrze było równie duszne. Pospiesznie założył okulary przeciwsłoneczne i ruszył wraz z pozostałymi do budynku dworca - tam przynajmniej działała klimatyzacja.

Okazało się też, że wewnątrz ktoś na niego czeka. Ktoś z naszywkami sierżanta majora US Marine Corps na rękawie. Na jego widok Abernathy uniósł brwi ze zdumienia - lata temu starszy sierżant Alvin Horton postawił sobie za punkt honoru, by zielony jak szczypiorek na wiosnę porucznik Abernathy w czasie dowodzenia pierwszym w życiu plutonem popełniał mniej błędów niż jego koledzy świeżo po szkole.

Udało mu się osiągnąć cel.

Abernathy podejrzewał, że każdy oficer Marines darzy specjalnym szacunkiem „swojego” pierwszego *Gunny'ego*, ale wiedział też, że Alvin Horton jest naprawdę wyjątkowy.

Podoficer na jego widok wyprężył się jak struna i zaszutował. Abernathy odsalutował

równie dokładnie niczym na placu musztry i lewą ręką zdjął okulary, a prawą wyciągnął na powitanie. I pierwszy raz od dwudziestu jeden godzin uśmiechnął się szczerze.

- *Gunny*, co tu się dzieje, do cholery? - spytał, ściskając prawicę Hortona.
- A dlaczego pan major myśli, że zwykły sierżant major wie coś więcej niż pan, sir?
- Przestań pieprzyć. Jeśli ktokolwiek coś wie, to właśnie ty.
- Problem w tym, że ja nic nie wiem, sir. Naprawdę.

Brwi Abernathy'ego znów podjechały w górę wbrew jego woli. Według starszeństwa Horton był czwartym najwyższym rangą podoficerem w całym Korpusie i z zasady wiedział wszystko. Jeżeli w tej sprawie mówił prawdę, a nie miał powodu kłamać, zaczynało to wyglądać ciekawie.

- Gdzie pański bagaż, sir? - spytał Horton, przerywając mu rozmyślania.
- To jest mój bagaż. - Abernathy stuknął palcem w zwisającą z ramienia torbę. - Nie dali mi nawet czasu na spakowanie.
- Rozumiem, sir. W takim razie proszę za mną.

Abernathy zamiast iść za nim, ruszył obok niego i w jakiś magiczny sposób otworzyło się przed nimi szerokie przejście w zatłoczonym wnętrzu. Abernathy nie był olbrzymem, ale był solidnie zbudowany i umięśniony, a poruszał się z kocią gracją, roztaczając aurę kontrolowanej siły. Poza tym na lewej piersi kurtki mundurowej miał odznakę spadochroniarza i cztery rzędy sałatki owocowej.

Horton natomiast, mimo iż był znacznie niższy rangą, wywierał większe wrażenie, nie dlatego że był o 10 centymetrów wyższy i opalony tak, że gdyby nie blond włosy, można byłoby go wziąć za Murzyna, ale z uwagi na pięć rzędów baret orderowych pod odznaką spadochronową. Zaczynały się one bowiem od błękitno-białej baretki Navy Cross i czerwono-biało-niebieskiej Silver Star z dwoma okuciami. Na każdym była literka V oznaczająca, że zostały nadane za ponadprzeciętną odwagę w walce.

Obaj wyszli przed budynek i Horton skierował się do czekającego przy krawężniku sztabowego samochodu. Otworzył drzwi Abernathy'emu, obszedł wóz i usiadł na miejscu kierowcy, wprowadzając pasażera w kompletne osłupienie - sierżanci szefowie mieli własnych kierowców. Horton tymczasem jakby nigdy nic włączył silnik i wyjechał na ulicę.

- Powiedz mi w końcu, co wiesz! - zażądał Abernathy.
- Nic konkretnego, sir.
- Ostatnio, jak słyszałem, byłeś dywizyjnym sierżantem majorem w Pendleton.
- Zgadza się, sir. Zostałem przeniesiony, sir.

Sprawa stawała się coraz ciekawsza, bo ten, kto pozbawił go dowództwa, pozbawił także

3. Dywizję Marines najstarszego stopniem podoficera. Próbował sobie wyobrazić, jak na to zareagował generał Watson, ale mu się wyobraźnia skończyła.

- No dobra, a gdzie zostałeś przeniesiony?
- Pod rozkazy kontradmirała R. K. Astona, sir.
- Ślicznie! Tyle to i ja wiem, bo mam się do niego zgłosić. Pytałem, do jakiej jednostki.
- Tego, jak sądzę, dowiemy się obaj dziś po południu.
- Od tegoż kontradmirała R. K. Astona?
- Tak sądzę, sir.

Coś w tonie Hortona zwróciło jego uwagę. Nazwisko Aston brzmiało znajomo, ale nie był w stanie przypomnieć sobie niczego konkretnego, spytał więc:

- Kto to taki ten admirał Aston, *Gunny*?
- To dobre ludzie, sir. - Określenie to używane było przez starszych podoficerów Korpusu wyłącznie w stosunku do oficerów, którzy zasłużyli na ich szacunek i zaufanie. - Zaczął na Swiftach pod koniec Wietnamu, a potem poszedł do SEAL, sir.
- To kapitan Dick Aston?!
- Zgadza się, sir, tylko teraz jest admirałem - uśmiechnął się Horton.
- A niech mnie kaczkę pokopią! - westchnął Abernathy.

Horton nie zareagował.

To zupełnie zmieniało sytuację. Dick Aston był legendą w Siłach Specjalnych. Niewielu cieszyło się podobną reputacją, a nikt tak dobrą. To Aston dowodził odbiciem zakładników w Libanie, a potem wraz ze swoim zespołem stoczył krótką, ale nader zaciętą wojnę w Iraku. Zaczął jeszcze przed wojną w Zatoce, a skończył długo po niej. To jego zespół odbił platformę Exxonu w Zatoce Meksykańskiej. W akcji tej nie zginął ani jeden zakładnik i nie ocalał ani jeden terrorysta. Skoro to on dowodził, sytuacja była bardziej niż ciekawa i tłumaczyła radosny nastrój Hortona.

Sierżant major też lubił sobie postrzelać.

Ostrą amunicją do żywych celów.

- No cóż, *Gunny* - odezwał się po namyśle. - Wydaje mi się, że to nie będzie strata czasu, jak się obawiałem.

- Święte słowa, panie majorze, sir!

* * *

- Ale tego nie da się zrobić w ten sposób... mistrzu - zaprotestował Blake Taggart.

Siedział na jakimś pojemniku o dziwnych proporcjach, na wprost gładkiej, metalowej

ściany i nawet nie wiedział, czy rozmawia z maszyną, bezcielesnym głosem czy obecnością. Mimo to traktował całą sprawę zupełnie poważnie od momentu, w którym wyczuł w umyśle jego nieograniczoną nienawiść. Nie było to przyjemne doświadczenie.

Prawdę mówiąc, było to bardzo nieprzyjemne doświadczenie.

Wręcz parszywe.

- Doprawdy? - Głos nadal brzmiał mechanicznie, ale uczył się zasad ludzkiej intonacji z zadziwiającą szybkością.

- Naprawdę. - Taggart oblizwał wargi.

Wiedział jedno. Z pewnością nie był to człowiek. To przerażające, ale pogodził się z tym. I nawet był zaskoczony, jak szybko mu to poszło. Zastanawiał się, czy owo coś mu w tym jakoś nie pomogło, ale szybko przestał, bo i tak w żaden sposób nie był w stanie się tego dowiedzieć. Za to zobaczył dość, by mieć pewność, że ów głos jest w stanie spełnić to, co obiecał, czy należał do wariata, czy kogoś w pełni władz umysłowych.

Uśmiechnął się zimno, przypominając sobie Biblię. Oto znalazł się na górze i otrzymał władzę nad światem. Co prawda jako wicekról, nie samodzielny władca, ale nad światem. Głos był potężny, ale brakowało mu instynktownej znajomości natury ludzkiej, co można, a wręcz należy wykorzystać...

- Dlaczego się nie da?

- Zakładając, że zdołasz, mistrzu, kontrolować prezydenta, a nawet wiceprezydenta, czyli cały Biały Dom, i tak nic ci z tego nie przyjdzie.

- Przecież on jest głową państwa.

- Ale nie działa w próżni! Jest Kongres, Sąd Najwyższy i inne organy. Jeśli zacznie się nagle dziwnie zachowywać, jest cała masa ludzi na odpowiednich stanowiskach, by mu przeszkodzić. Jeśli chcesz przejąć władzę, trzeba zacząć od drugiej strony, od samego dołu: stworzyć organizację i stopniowo opanowywać szczeble władzy. Jeśli się to właściwie przeprowadzi, za kilka lat będziesz miał swój Kongres i wybranego przez siebie prezydenta. I nikt ci w tym nie przeszkodzi, mistrzu.

- Czekaj - polecił głos i zamilkł.

* * *

Troll analizował nie tylko to, co usłyszał, bo znał także myśli samca Taggarta, o czym ten nie wiedział. I już przemyślał, jak by tu zająć jego miejsce i zostać władcą. Nie miał nic przeciwko temu - potrzebował kogoś ambitnego, a człowiek nie miał pojęcia o zabezpieczeniach, jakie powstały w jego umyśle. Wystarczyło, by pomyślał o sercu Taggarta,

a przestanie bić. Zresztą te zabezpieczenia nie powinny być potrzebne - wystarczy stosownie aplikowany ból, by robił to, co powinien.

Troll wybrał go nie tylko ze względu na ambicję, ale także wiedzę i instynkt, których sam nie posiadał. Taggart znał zasady działania tego świata i miał doświadczenie w manipulowaniu nimi od wewnątrz. Studiując jeszcze nie dopracowane pomysły, jakie przychodziły mu na myśl, miał już zarysy planu. I to znacznie lepszego niż ten, który sam wcześniej wymyślił.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Wytłumacz mi swój pomysł.

- Tak jest, mistrzu. Otóż po pierwsze...

* * *

- Nadal nie rozumiem, jak ta pukawka działa - oznajmił Morris z pretensją w głosie po obejrzeniu kolejny raz nagrania z podziemnej próby. - Przecież to niczym nie strzeliło. Nie było żadnego ładunku plazmy czy choćby promienia śmierci. To co to ma być?!

- Wybacz mu, Milla - odezwała się Jayne Hastings. - Właśnie udowodnił, jaki z niego niepiśmienny dzikus. Na co ci ta wiedza, Mordecai, skoro i tak ani słowa nie zrozumiesz?

- Nie szkodzi - uśmiechnęła się Ludmilla, nim Morris zdążył się odezwać. - Tylko że nie bardzo potrafię na to pytanie odpowiedzieć, bo... spróbuj sobie wyobrazić, że tłumaczysz Kopernikowi, co to jest obwód drukowany.

- Gówno chłopu, nie zegarek, bo go kłonicą nakręca - ucieszyła się Jayne. - Przecież mówiłam!

- Kłonica ma wielorakie zastosowania, więc uważaj - odciął się Morris. - A wracając do tematu, jestem po prostu strasznie ciekaw.

- No cóż... - Ludmilla odgarnęła włosy z czoła i westchnęła. - Spróbuję. Magazynek to bateria i nic więcej. Potężna, ale bateria. Teoretycznie mogłabym unicestwić całą przechowywaną w niej energię jednym strzałem, ale to zniszczyłoby broń i miało drastyczne konsekwencje. Dla mnie też. Blaster wytwarza z tej energii ładunek Plazmy.

- Wewnątrz? - zdziwiła się Jayne. - Upiornie wytrzymały pojemnik.

- Nie całkiem. Jest wytrzymały, ale tak naprawdę nie jest „pojemnikiem”, jak to określiłaś. Większość to prosty komputer celowniczy i minihipernapęd. Kiedy naciskam spust, oblicza odległość od wylotu lufy do najbliższego przedmiotu. Mogę go odpowiednio dostroić, gdybym musiała strzelać pod wodą, żeby nie traktował jej jako przedmiot, ale nie o tym rozmawiamy. Po ustaleniu odległości pobiera z magazynka energię stosowną do ustawionej przeze mnie siły strzału i średnicy. Średnicę mogę ustawić od dwóch milimetrów

do dziesięciu metrów. Ale plazma w nim nie pozostaje, tylko w momencie utworzenia ładunku zostaje on przerzucony przez hipernapęd do pasma alfa, a gdy koordynaty celu pokryją się tam z położeniem blastera, zostaje ściągnięta do naszej przestrzeni. Z praktycznego punktu widzenia ładunek pojawia się, trafiając w cel, dlatego nie widać żadnego błysku u wylotu lufy ani nie słychać żadnego huku, jak ma to miejsce w przypadku klasycznych laserów czy plazmówek.

- Słodka godzino! - jęknęła Hastings. - Jaki to ma zasięg?

- Tylko pięć kilometrów, bo gołym okiem i tak dalej nie widać nawet w przestrzeni, a na Ziemi nie ma nawet takiego pola czystego strzału. Wersja naramienna ma elektroniczno-optyczny system celowania i większy zasięg, ale to broń oddziałów szturmowych, nie osobista.

- Tylko pięć kilometrów, tak?! - prychnął Morris. - Przecież tą zabawką...

Przerwało mu pukanie do drzwi, więc czym prędzej wyłączył odtwarzacz, w którym w pętli leciało nagranie z podziemnego testu, a Ludmilla błyskawicznym ruchem porwała leżący na stole blaster i wsunęła za pazuchę.

- Wejść - zawołał Morris.

Drzwi otworzyły się i cała trójka wstała na widok umundurowanego Astona i dwóch innych postaci w mundurach USMC. Jednym był muskularny Murzyn w stopniu majora, drugim blondyn w stopniu sierżanta majora o szarych, bystrych oczach, które zdawały się dostrzegać wszystko.

Błysnęło w nich zaskoczenie na widok Ludmilli, ale ta natychmiast zaszalutowała wzorcowo; odkąd została oficjalnie kapitanem, starannie kultywowała ten gest, by stał się odruchowy na widok starszego stopniem. Tu nikt nie słyszał o Matuzalemach, więc jej wiek oceniano wyłącznie po wyglądzie i zachowaniu.

- Pozwólcie, że dokonam prezentacji - odezwał się Aston. - Oto najnowsi członkowie naszego zespołu: major Daniel Abernathy i sierżant major Alvin Horton. Panowie: komandor Mordecai Morris, komandor porucznik Jayne Hastings i kapitan Elizabeth Ross. Złapcie, panowie, jakieś fotele i powiemy wam, o co chodzi. Ostrzegam, że cokolwiek byście sobie wymyślili, rzeczywistość okaże się dziwniejsza.

I uśmiechnął się promiennie.

* * *

Ambasador Niekrasow był, łagodnie mówiąc, wygłupiony. Prezydent Armbruster zachowywał się tak, jakby był odprężony, a on wiedział, że nie jest. Nie potrafił tego

uzasadnić, ale nauczył się już dawno ufać instynktowi, toteż myślał intensywnie, popijając drobnymi łykami doskonałą kawę.

- Ale panie prezydencie, nie możemy zrozumieć, dlaczego nagle zdecydował się pan na tak radykalne posunięcie, bez żadnego uprzedzenia, not dyplomatycznych czy negocjacji.

- Istnieje coś takiego jak doktryna Monroe, panie ambasadorze.

Niekrasow potrząsnął głową.

- Nie znajduje zastosowania w tym wypadku, panie prezydencie. Działania zbrojne rozpoczęła Argentyna, Wielka Brytania zaś nie jest sojusznikiem Ameryki, a więc *de teoria* Ameryką. Federacji Rosyjskiej może nie podobać się ta imperialistyczna tradycja, ale jest to fakt.

- No dobrze - Armbruster uśmiechnął się złośliwie - powiedzmy, że mnie wkurwili.

Niekrasow zakrztusił się kawą i z najwyższym trudem odstawił filiżankę.

Gdy się wykaszłał i otarł usta serwetką, nadal nie mógł uwierzyć, że słuch go nie mylił. Żaden prezydent nie powinien powiedzieć czegoś takiego żadnemu ambasadorowi!

- Panie prezydencie - zaczął ostrożnie i ze zdziwieniem stwierdził, że brakuje mu słów. - Zdaje pan sobie sprawę, że z powodu, jak to pan określił, pańskiego „wkurwienia” zginęli ludzie?

- Bzdura! - sprzeciwił się Armbruster, przyglądając mu się uważnie. - Ludzie zginęli, bo Argentyńczycy byli na tyle głupi, by zignorować ostrzeżenie i zaatakować nasze okręty.

- Panie... panie prezydencie... - Niekrasow urwał i przetarł oczy. - Obawiam się... że...

Przełknął ślinę i poluznił krawat.

- Przepraszam... - wybełkotał. - Źle... się czuję...

Zaczął wstawać, ale oczy uciekły mu w głąb czaszki i osunął się bezwładnie.

Armbruster zerwał się błyskawicznie i złapał go pod ramiona, nim dyplomata zdołał zwalić się na dywan, a w następnej sekundzie Stanford Loren dołączył do niego i obaj usadzili bezwładnego Niekrasowa w fotelu.

Armbruster spojrział na dyrektora CIA i potrząsnął głową z podziwem.

- Cholerne Ruski! Już się bałem, że daliśmy mu za słabą dawkę!

* * *

Prezydent Piotr Jakolew obudził się, słysząc nachalne dzwonienie telefonu. Nie otwierając oczu, wymacał na oślep aparat i podniósł słuchawkę, mając nadzieję, że to nie kolejny kryzys.

- Tak? - warknął, po czym usiadł zupełnie przytomny. - Co?!

- Przykro mi, panie prezydencie, ale nie znamy jeszcze wszystkich szczegółów. - Głos Aleksandra Turczyzna był wyjątkowo ostrożny, czemu trudno było się dziwić. Uważał Nikołaja Niekrasowa za wrzód na tyłku.

Wiedział jednak o długoletniej przyjaźni Niekrasowa i Jakolewa, toteż nic nie robił w tej sprawie, a teraz, przekazując taką wiadomość, zachowywał wyjątkową ostrożność.

- Właśnie się dowiedziałem, że Nikołaj Stiepanowicz miał zawał w czasie spotkania z prezydentem Armbrusterem - powtórzył.

- Mój Boże! - westchnął Jakolew. - W jakim jest stanie?

- Nie wiem, panie prezydencie. Przetransportowano go helikopterem do szpitala Bethesda, tam, gdzie leczony jest amerykański prezy...

- Wiem, gdzie go leczą! Kiedy będzie wiadomo coś więcej?

- Mam nadzieję, że wkrótce, ale nie jestem w stanie powiedzieć kiedy dokładnie, panie prezydencie.

- Ja też mam taką nadzieję. - Jakolew miał niewielu przyjaciół, toteż wyjątkowo ich cenił i nie chciał żadnego stracić, a Nikołaj zaliczał się właśnie do tego grona. - Żona jest z nim?

- Z tego, co wiem, tak.

- Przekaż jej ode mnie wyrazy sympatii. Osobiste.

- Przekażę, panie prezydencie. Przykro mi, że pana obudziłem, ale uznałem, że chciałby pan o tym wiedzieć jak najszybciej.

- I dobrze uznałeś. Dziękuję. Dobranoc.

Jakolew powoli umieścił słuchawkę na widelkach i położył się. W takich chwilach szczególnie brakowało mu Mariny, której sama obecność podtrzymywała na duchu. Niestety Marina zmarła... a biedny Nikołaj za ciężko pracował... bo on za bardzo nim orał. Kto by pomyślał, że taki okaz zdrowia dostanie zawału, i to na dodatek w trakcie spotkania z prezydentem USA w Białym Domu...

* * *

Daniel Abernathy potrząsnął głową jak po wyjątkowo celnym ciosie i spojrzał na Alvina Hortona. Ten wyglądał na irytująco spokojnego, co już miał zamiar skomentować, gdy zobaczył wyraz jego oczu.

Zamiast tego spytał więc spokojnie:

- A nasza rola, sir?

- A jak pan myśli, majorze? - odparł Aston, przyglądając mu się uważnie.

- Wygląda mi na to, sir, że mamy się zająć zorganizowaniem oddziału uderzeniowego -

powiedział powoli Abernathy.

- Brawo. Szczegóły omówimy później, ale ma się to nazywać wzmocniona kompania doświadczalna. Aktualne stany będą na pewno wyższe, ale tak ładniej to wszystko brzmi. I mniej groźnie. Oficjalnie więc zamiast batalionem będzie pan dowodził kompanią, ale nie sądzę, by był pan tym szczególnie zmartwiony - uśmiechnął się Aston.

- Ja też nie sądzę, sir. - Abernathy uśmiechnął się dokładnie tak samo. - Rano byłem ciężko wkurzonym Marine, sir, ale jakoś mi przeszło.

- Bardzo mnie to cieszy. Porozmawiajcie sobie z sierżantem szefem na temat struktury, sprzętu i liczby ludzi. Chwilowo tylko we dwóch, bo kapitan Ross i komandor Morris mają umówione spotkanie.

- Rozumiem, sir.

- A, jeszcze jedno, majorze.

- Tak, sir?

- Niektóre osoby będą musiały poznać całą prawdę o kapitan Ross, ale to ja decyduję, kto, ile i kiedy musi się dowiedzieć. Nie pan, nie komandor Morris i nie admirał McLain. Tylko i wyłącznie ja. Rozumiemy się?

- Tak, sir.

- Sierzancie?

- Rozumiem, panie admirale.

- To doskonale. W takim razie bierzcie się do roboty, a gdzie, to wam zaraz pokażę.

* * *

Nikołaj Niekrasow powoli otworzył oczy. Leżał na plecach na łóżku. Delikatnie obrócił głowę i rozejrzał się. Pokój był jasny i radosny, czyli dobry, prywatny szpital. Tylko skąd się tu... nagle wszystko mu się przypomniało. Usiadł. Prezydent! Rozmawiał z prezydentem USA i...

- Witaj, Nikołaj.

Odwrócił się i spojrzał prosto na Jareda Armbrustera siedzącego w fotelu obok łóżka. Prezydent miał dziwną minę - rozbawioną, ale czujną.

Powoli potrząsnął głową: pamiętał, że zrobiło mu się słabo, więc musiał zemdleć, bo potem była dziura, ale teraz czuł się zupełnie dobrze, więc co...

- Jestem ci winien przeprosiny - powiedział spokojnie Armbruster. - Obawiam się, że podaliśmy ci środek nasenny w kawie.

Niekrasow wytrzeszczył oczy i z najwyższym trudem zapanował nad dolną szczęką

pragnącą za wszelką cenę opaść i tak pozostać.

To, co usłyszał, było niesłychane. A na dodatek, jeśli rzeczywiście tak postąpili, dlaczego Armbruster się do tego przyznawał?! Poczul panikę i rozejrzał się po pokoju.

- Przykro mi, ale to było niezbędne - dodał prezydent.

- Doprawdy? - Niekrasow był zdumiony spokojem swego głosu. - Ciekawe dlaczego?

- Chciałbym wpieryw przeprosić także za oficjalną wersję, jaką usłyszał twój rząd, a mianowicie, że dostałeś zawału. Inaczej trudno byłoby wytłumaczyć przewiezienie cię do Bethesdy.

Niekrasow już otwierał usta, ale Armbruster powstrzymał go gestem.

- Nie mamy zbyt wiele czasu, bo twoja ochrona z ambasady robi, co może, by się tu dostać. Chwilowo „poważny stan” pozwala lekarzom trzymać ich na dystans, ale tego nie da się za długo wykorzystywać. A rozmawiać musimy bez świadków.

- No dobrze - zgodził się Niekrasow, nie próbując nawet ukryć podejrzliwości.

- Dziękuję, Nikołaj. Zapytałeś, dlaczego wtrąciłem się w wojnę na Atlantyku. Obawiam się, że udzieliłem ci nieco... frywolnej odpowiedzi, ale nie mogłem się powstrzymać. Prawdziwa jest taka, że potrzebowalem dywersji.

- Przepraszam, że co?!

- Potrzebowalem czegoś, co odwróci uwagę od pewnych posunięć militarnych i będzie dobrym powodem dla innych, a potem przyszło mi do głowy, że może też stanowić pretekst do wymiany specjalnych przedstawicieli dyplomatycznych. Konkretnie chodziło mi o ciebie i o informację, którą zaraz usłyszysz. Powodem, dla którego wykręciliśmy ci ten numer, była konieczność poddania cię badaniu EEG, czyli możliwość obejrzenia wyników twojego encefalogramu. To bowiem jedyny sposób, by stwierdzić, czy twój mózg posiada pewną kluczową cechę. Na szczęście posiada i mam szczerą nadzieję, że mózg prezydenta Jakolewa także. Niestety jedyny sposób, na jaki wpadliśmy, by móc to sprawdzić, to taki, by przekonać kogoś, kogo zna i komu ufa, czyli osobistego przyjaciela, by się tego dowiedział.

- Panie prezydencie, to śmieszne i...

- Nie, to nie jest śmieszne - przerwał mu Armbruster zimno i zdecydowanie. - Zgodzisz się ze mną, gdy poznasz prawdę, bądź więc łaskaw nie przerywać. A potem wrócisz do domu ze względów zdrowotnych i przekonasz Jakolewa, by ci pokazał lub wypożyczył wynik swojego EEG.

- Jakoś nie widzę powodów, dla których miałbym to zrobić - oznajmił Niekrasow.

- Zobaczysz. A najprościej będzie, jeśli kogoś poznasz - oznajmił Armbruster.

Niekrasow wzruszył ramionami - cała sytuacja była absurdałna, ale ten szalenie był

prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Obiekt jego przemyśleń tymczasem otworzył drzwi i do pokoju weszli komandor US Navy i młodziutka kapitan US Marine Corps.

- Panie ambasadorze, chciałbym przedstawić komandora Morrisa, oficera wywiadu admirała Ansona McLaina, i kapitan Ross - powiedział formalnie Armbruster. - Pani kapitan, panie komandorze, oto ambasador Federacji Rosyjskiej, Nikołaj Stiepanowicz Niekrasow.

Cała trójka kiwnęła sobie uprzejmie głową, po czym Niekrasow spojrzał zniecierpliwiony na prezydenta.

- Kapitan Ross nie jest dokładnie tym, na kogo wygląda. - Armbruster usiadł z powrotem w fotelu. - I jest powodem pańskiej tu obecności. Proszę nie marszczyć brwi, zapewniam, że nie jest pan bardziej zaskoczony niż ja, gdy ją poznałem. Widzi pan, sytuacja wygląda tak...

PRZEWRÓT 1. «przejęcie władzy poprzez obalenie istniejącego systemu lub też skorumpowanie go, z użyciem siły innych, subtelniejszych metod»

*Webster-Wangchi Unabridged
Dictionary of Standard English
Tomas y Hijos, Publishers
2465 rok standardowy*

Rozdział XVIII

- Co ona zrobiła?! - spytał zszokowany Anson McLain.

Na widok jego miny Mordecai Morris dostał ataku śmiechu tak serdecznego, że aż mu łzy pocięły i dłuższą chwilę trwało, nim był w stanie powtórzyć.

- Omal nie rozstrzelała ogrodu zoologicznego w Sankt Petersburgu!

- Na litość boską, dlaczego?!

- Bo zobaczyła kangury!

- Jakie kang... O kurwa! - jęknął McLain, nagle wszystko rozumiejąc.

- Właśnie, sir - potwierdził Morris. - Ona nam nawet mówiła, że są o głowę niższe od normalnego człowieka, mają ogony i poruszają się skokami, tylko nikt tego nie skojarzył. Wszyscy skupiliśmy się na *Trollu* i nikt nie zainteresował się Kangi.

- To się dopiero nazywa przeoczenie - westchnął z podziwem McLain.

- Prawda?

- Ale co ona, do cholery, robiła w zoo?!

- Jakolew pomyślał, że może mieć ochotę pozwiedzać miasto, bo ładne, przydzielił jej więc przewodnika i posłał na wycieczkę. No i wszystko było pięknie, dopóki nie doszli do wybiegu dla kangurów. Spojrzała na nie i złapała za broń. A jest szybka - wyciągnęła blaster i wycelowała, nim Dick zdążył się ruszyć. Przewodnik narobił w portki ze strachu! Ona po prostu w życiu nie widziała żywego kangura!

- Ale nie strzeliła?

- Nie, sir. Działała odruchowo, ale uświadomiła sobie w ostatnim momencie, że coś tu nie pasuje, więc nie strzeliła. Za to potem urządziła awanturę Dickowi, że jej nie uprzedził. Ledwie zdołał jej w końcu wytłumaczyć, że nie miał o czym, bo nie było ku temu żadnego

powodu.

- Całe szczęście, że to się tak skończyło! - westchnął McLain. - Jezu, omal wszystko się nie wydało przez stado zasranych kangurów! Nie chcę więcej podobnych niespodzianek, Mordecai. Proszę jej to powtórzyć.

- Z przyjemnością, sir.

* * *

Troll wykonał obrót o 360 stopni, sprawdzając kryjówkę, o której powiedział mu Taggart. Była doskonała.

Zszedł 100 metrów w dół owalnej doliny mającej pięć i pół kilometra długości i nie więcej niż dwa szerokości. W nocy porastające zbocza drzewa miały zielonkawo-czarny kolor, a nigdzie w okolicy nie było śladu człowieka. Przeskanował las i poza małymi czworonogami oraz ptakami nie znalazł nic żywego. Sprawdził też, czy nie przelatuje nad doliną żaden samolot lub satelita, po czym unosząc się 20 metrów nad ziemią, wybrał najlepsze miejsce, gdzie zbocze za ścianą drzew wznosiło się prawie pionowo.

A potem uaktywnił działo laserowe na rufie. W przeciwieństwie do dziobowego uzbrojenia to miało bardzo szeroki promień i było bardziej narzędziem niż bronią, gdyż stosunkowo niewielka moc przy dużej średnicy wiązki powodowała, iż nie byłoby w stanie przebić pancerza. Z drzewami czy skałami nie miało natomiast żadnych problemów.

Dolinę zalał błękitny blask, który najpierw pochłonął krzaki i pnie drzew. Pozbawione podpór korony z hukiem spadały na ziemię, trafiały w krąg błękitu i znikwały w ognistych eksplozjach. A później przysła kolej na ziemię i skałę. Wewnętrzną kamerą obserwował Taggart pochyłonego nad wizjerem pancernym, który mu odsłonił w przedziale magazynowym. Czuł jego podziw i ogarniał go pusty śmiech - Blake Taggart uważał, że to niszcząca potęga, patrząc na coś, co było wersją rozwojową zwykłego górniczego urządzenia. Czegoś, co ludzie nazywali świdrem tunelowym.

Ściana ustępowała znacznie wolniej, bo wypalał w niej otwór o średnicy 60 metrów, ale ustępowała. Z początku pełno było dymu, ale w końcu głęboki na 300 metrów tunel był gotów, błękitny blask zgasł i zapanowała cisza. Poczekał, aż skała ostygnie, i powoli wsunął się rufą naprzód w wydrążony otwór. Opadł na podłogę, otworzył właz przedziału magazynowego i wypuścił roboty, które zajęły się wypełnianiem wylotu tunelu ziemią i skałami do wysokości 50 metrów, pozostawiając otwór na tyle duży, by była w stanie wyjechać przezeń jego pancierka. Potem przyszedł czas na maskowanie śladów w dolinie. Była to pracowita noc, lecz kiedy nadszedł świt, nie pozostały żadne widoczne z powietrza

ślady nocnej aktywności.

Troll był zadowolony.

Naturalnie kryjówka jak każda miała swoje mankamenty. Główny stanowiło to, że nie sposób było z niej szybko wylecieć i że pokładowe sensory były bezużyteczne z uwagi na grubą warstwę skały otaczającą je z trzech stron, ale dzięki tej samej skale wykrycie go było niemożliwe, a położenie kryjówki, tak jak mówił Taggart, bardzo dobre.

Nowy sługa zresztą był użyteczny pod wieloma względami. Okazało się na przykład, że samica Annette myliła się w kwestii Oak Ridge. Nie wytwarzano tam już od wielu lat militarnych materiałów rozszczepialnych, toteż nieprawdopodobne było znalezienie ich tam w potrzebnej ilości. Natomiast o czym nie wiedziała, a on wiedział, to o miejscu zwanym Savannah River Plant, gdzie wytwarzano takie materiały przez cały czas.

A ta kryjówka była na tyle dobra, że gdyby zaszła konieczność ataku, Savannah było w zasięgu jego robotów.

Chwilowo jednak wolał unikać podobnych ataków, zwłaszcza na chronione przez wojsko obiekty. Nie był pewien, czy roboty są odporne na ludzką ciężką broń, nie było więc sensu ryzykować, dopóki tego nie sprawdzi. Poza tym Taggart twierdził, że tam nie produkowano broni, tylko materiały rozszczepialne przewożono do zakładu, w którym miało to miejsce. A transport zawsze był łatwiejszym celem i prędzej czy później któryś znajdzie się w zasięgu jego umysłu...

* * *

- Miłe z ich strony - ocenił Aston. - Zwłaszcza że prawie skasowałaś im ogród zoologiczny.

I uśmiechnął się tylko trochę złośliwie.

Odwzajemniła uśmiech, ale wiedział, że przeżycie mocno nią wstrząsnęło.

- To był odruch - powiedziała cicho. - Zobaczyć żywe Kangi...

Aż nią wstrząsnęło na samo wspomnienie.

Pogładził ją po ramieniu, co było rzadkim przejawem uczucia w miejscu publicznym, ale uznał, że potrzebnym, i sądząc po reakcji, miał rację.

- A tak na serio to myślę, że Jakolew chce zatrzeć złe wrażenie - dodała Ludmilla. - Bo uparty był niczym muł pancerny... tak to się mówi?

- Tak - potwierdził Aston. - Z drugiej strony tutaj jest to sensowniejsze, bo ich system energetyczny nie jest tak nowoczesny jak nasz i ludzie są przyzwyczajeni do okresowych braków prądu. Parę godzin nikogo nie zbawi, a u nas zaraz rozpętałyby się burza i wszyscy

żądaliiby wyjaśnień. No i coś mi się wydaje, że niejako przy okazji chce dać swoim naukowcom po nosie.

- Też tak myślę.

Ludmilli nie podobała się ta Rosja. Przodkowie mogli sobie z niej pochodzić, ale ona żadnych więzi emocjonalnych z tym krajem czy z tymi ludźmi nie czuła. Systemu komunistycznego nigdy nie lubiła, choć znała go jedynie z teorii, jako historyczną ciekawostkę. Teraz mogła zobaczyć jego skutki na własne oczy i była wstrząśnięta. Zawsze uważała Rosjan za ludzi wytrzymałych i trudno się zniechęcających, a to, co osiągnęli po wojnach o sowiecką sukcesję, było najlepszym tego dowodem. Ale ci Rosjanie jakoś ją rozczarowali. Wszyscy wokół powtarzali, jak to szanują demokrację i jak to są przekonani, że rozwiąże ona wszystkie ich problemy, oraz jak zdecydowani są, by pomóc jej funkcjonować, ale to, co wokół widziała, najlepiej podsumował pewien taksówkarz.

- Demokracja! - oznajmił, gdy zorientował się, że ma do czynienia z Amerykaninem. - To cudowna rzecz! Albo raczej będzie cudowna, kiedy do władzy dojdzie ktoś, kto wie, jak ją wprowadzić w życie.

Oczywiste było, że nawet mu przez myśl nie przeszło, iż rządzących wybranych w wolnych wyborach mogą rozliczać wyborcy. Chciał, aby ktoś spowodował funkcjonowanie demokracji metodą nakazową. No, ale czego można się było spodziewać po ludziach, którzy nigdy tak naprawdę nie zaznali demokracji, bo przez 70 lat żyli w państwie totalitarnym, a wcześniej przez wieki w monarchii absolutnej. Rosjanie znali tylko rządy silnej ręki, więc nadzieja na to, że takie społeczeństwo będzie świadome swoich praw i powinności, była mrzonką. To samo zresztą dotyczyło polityków, nawet tych najbardziej realistycznie nastawionych „demokratów”. Dla nich „rządy prawa” nadal były fikcją - w najlepszym razie uważali, że prawo obowiązuje wszystkich poza nimi. Nawet Jakolew, co miała okazję osobiście stwierdzić, mimo uczciwości i ciągłot reformatorskich wolał wizerunek i taktykę silnego przywódcy, nie przywódcy parlamentarnego. Wiedział, jak wydawać rozkazy, ale nie wiedział, jak wypracowywać porozumienie. Z tego, co zaobserwowała, żaden rosyjski polityk tego nie wiedział.

Choć była zmuszona przyznać, że z jej punktu widzenia aktualna rosyjska praktyka miała wiele zalet. Niekrasowowi niezwykle trudno było przekonać Jakolewa, by udostępnił Amerykanom wynik swego badania EEG, nie wyjaśniając dlaczego. Natomiast gdy to się udało i okazało się, że Jakolew może poznać prawdę, reszta była już prosta. Nieporównanie prostsza niż w Stanach. Skoro Piotr Jakolew chciał dostać wyniki EEG wszystkich członków rządu, to po prostu kazał im je dostarczyć następnego dnia.

I dostarczyli.

Pewien problem powstał, gdy okazało się, że szef FSB, jak przechrzczono KGB, nie kwalifikuje się do poznania prawdy, ale wystarczająca liczba współpracowników prezydenta się zakwalifikowała, by dało się go rozwiązać. Pomógł w tym sam Turczyn mający pozytywny wynik badania. Wszyscy wiedzieli, że od dawna nie zgadza się on ze stanowiskiem prezydenta tak w sprawie Białorusi, jak i Bałkanów i że jest ultranacjonalistą nie ufającym Stanom Zjednoczonym. Nie był jednak durniem, a gdy poznał prawdę i zobaczył w działaniu blaster Ludmilli, zrozumiał, że tym razem współpraca z USA jest niezbędna. I zaproponował reorganizację w rządzie pod pretekstem, iż różnice w podejściu do polityki zagranicznej stały się zbyt poważne. Wylecieć miał on sam, szef FSB i dwóch innych ministrów, którzy także nie mieli odpowiednich wyników EEG. A to mogło też dobrze wróżyć przyszłości Rosji. Turczyn był podręcznikowym wręcz typem ruskiego chłopca: cwany, szczodry dla tych, których lubił, gotów na wszystko, ksenofobiczny, uparty i gotów na użycie siły w sposób charakterystyczny dla pokoleń żyjących w środowisku tej siły nadużywającym. A mimo to zdecydował się postąpić na własną polityczną niekorzyść dla wyższego celu.

W historii, którą znała z opracowań, nie tylko nie zrezygnował z niczego, ale został po zamachu następcą Jakolewa i doprowadził do wojny nuklearnej z Białorusią. Być może więc jej pojawienie się zaczęło już wywierać wpływ na rzeczywistość i historia ulegała zmianom, a to by wskazywało, że zmiany mogą być większe i jeszcze lepsze.

A póki co mogła w końcu naprawić skafander. Co prawda czterej rosyjscy naukowcy pochyleni nad stołem, na którym leżał rozłożony, nie uwierzyli jej, gdy wyjaśniała, czego potrzebuje, ale w ciągu ostatnich dziesięciu minut ich podejście uległo tak radykalnej zmianie, że z trudem panowała nad wesołością. Największym sceptykiem był akademik Arkadij Trietjakow. Nie postawił się tylko dlatego, że prezydent wyraźnie kazał mu zrobić wszystko, czego chce Ludmilla. Cały czas okazywał jednak bolesną wręcz niewiarę, a gdy podała mu parametry prądu, jakiego potrzebuje, zaczął ją traktować jak wariatkę, bo okazało się, że to produkcja całej elektrowni atomowej.

I właśnie w takiej elektrowni się teraz znajdowali. Omal nie parsknęła śmiechem, przypominając sobie miny całej czwórki, gdy z obcasa skafandra wyciągnęła przewód zasilający. Mogła to nawet zrozumieć, bo oparty o superprzewodowy spiek ceramiczny przewód miał przekrój niewiele większy od światłowodu. Ich miny były jeszcze głupsze, gdy technicy dokonali niezbędnego podłączenia i puścili prąd, a jej przewód nie tylko się nie spalił, ale nawet się nie rozgrzał, przekazując całą energię elektryczną skafandrowi, który

chłonął ją niczym gąbka wodę.

Teraz zaś wszyscy w niemym podziwieniu obserwowali proces autonaprawczy. Ponieważ Dick naprawdę się przyłożył, naprawa miała potrwać dobrą godzinę, ale wiedziała, że gdy zostanie skończona, będzie dysponowała skafandrem prawie tak dobrym jak nowy.

A to mogło okazać się ważniejsze, niż nawet Dick podejrzewał.

* * *

Reflektory spalinowej lokomotywy specjalnego składu wycinały w nocnym mroku tunel jasności biegnący wzdłuż szlaku Clinchfield położonego nad brzegiem rzeki Nolichucky. Daleko z tyłu zostały światła Poplar w Tennessee, a celu podróży - Unaka Springs - jeszcze nie było widać. Za to na tle gwiazdzistego nieba widoczne były szczyty łańcucha Unaka rozciągającego się na północy.

Maszynista Ralph Twotrees był spięty. Tak zresztą jak zawsze przy podobnych okazjach, i to nie dlatego, że jedynymi pasażerami byli żołnierze, ale z powodu ładunku przewożonego przez niezwykle krótki pociąg. A były to białe, oznaczone charakterystycznym symbolem radioaktywności pojemniki ze stali. Wewnątrz znajdowały się ołowiane osłony i ładunek. W sumie ponad tona plutonu wojskowego typu.

Nienawidził tych transportów, choć przyznawał, że pewne rodzaje chemikaliów są jeszcze gorsze. Był jednak najlepszym i najbardziej doświadczonym maszynistą Clinchfield Railwail, toteż regułą było, że najważniejsze, a więc i najniebezpieczniejsze transporty przypadają właśnie jemu. Doceniał to - jak długo nie przyszła pora następnego kursu.

A wiedział, że następny będzie, co zresztą też mu się nie podobało. Jako zakamieniały demokraty zdawał sobie sprawę z szeregu wewnętrznych problemów, którymi powinny zająć się władze, ale choć głosował przeciwko Armbrusterowi, szanował go, a nawet lubił, choć przyznawał to z niechęcią. Co gorsza, jako miłośnik historii był świadom sytuacji zewnętrznej i zaniedbań w polityce zagranicznej poprzedników obecnego prezydenta. To, co działo się na Bałkanach, Falklandach i w Kaszmirze, oraz półoficjalne wsparcie Pakistanu przez Chiny, o terroryzmie nie wspominając, oznaczało, że USA nie miały wyboru i musiały dysponować w pełni sprawnym arsenałem nuklearnym. I to większym niż poprzednicy Armbrustera, którzy ograniczyli go w nadziei, że stał się przeżytkiem. On sam też miał taką nadzieję. I jak się okazało, wszyscy byli w błędzie. Dlatego zakłady Savannah River wznowiły działalność. Z początku produkując to, co było niezbędne, by utrzymać w dobrym stanie istniejące głowice, a potem zwiększając produkcję, by wojsko mogło uzupełnić braki.

Przeciwko temu pierwszemu nic nie miał. Nie miał też co prawda pojęcia, w jaki sposób

tryt wzmacniał skuteczność ładunków nuklearnych, ale wiedział, że miał on jedynie zastąpić ten zleżący w już istniejących. Natomiast ostatnie transporty zawierały materiały rozszczepialne dla nowych ładunków i to zdecydowanie mu się nie podobało. Naturalnie nie powstrzymało go to przed wykonaniem tego, co do niego należało, czyli dopilnowaniem, by transport dotarł do stacji docelowej. Uszczęśliwiony tym jednak nie był...

W dwóch wagonach osobowych podróżował kontyngent wojskowy dowodzony przez majora i dysponujący uzbrojeniem wystarczającym do wywołania niedużej wojny. Same pojemniki zaś skoncentrowano tak, by wytrzymały każdy wypadek kolejowy, jaki tylko zdołali wymyślić projektanci. Nie było więc żadnych powodów do obaw i wiedział o tym doskonale. Ale to był jego pociąg i odpowiedzialność ciążyła mu niczym tona granitu.

Spojrzał kątem oka na jadącego razem z nim w lokomotywie kapitana. Coś w jego zachowaniu go niepokoiło - był całkiem przyjacielski, gdy wsiadł, a przez ostatnią godzinę coraz to mniej się odzywał, aż całkiem zamilkł. Teraz stał, balansując na ugiętych nogach, z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu i wzrokiem wbitym w most.

Już miał się odezwać, gdy zauważył na południowym zachodzie trzy reflektory, które zgrabnym łukiem okrążyły No Business Knob i skierowały się ku dolinie. Poruszały się szybko, pewnie więc były zamontowane na helikopterach. Czyżby należały do eskorty? Tylko dlaczego były złociste i dlaczego nikt mu nie powiedział o powietrznej eskorcie?

Nigdy nie poznał odpowiedzi na te pytania, gdyż w tym momencie kapitan Steven Pound wyjął z kabury pistolet i wpakował mu w tył głowy pocisk kal. 9 mm.

* * *

- Cały ładunek? - powtórzył Stan Loren, wpatrując się z niedowierzaniem w Dolfa Wilkinsa.

- Calusieńki - powtórzył Wilkins rzeczowo.

Dostał informację kwadrans temu i zdołał już odzyskać panowanie nad sobą.

- 940 kilogramów materiałów rozszczepialnych wojskowego typu - dodał. - Zniknęło.

- Jak?!

- Próbujemy to ustalić. Wojsko, NRC, Departament Energii, wszyscy dostali małego rozumu. Łatwiej by szło, gdyby przeżył ktoś z eskorty albo z obsługi, pociągu, ale wszyscy zginęli.

- Wszyscy? - Loren najwyraźniej powoli wychodził z szoku. - Jak?

- Jeden wagon pasażerski został zniszczony w wyniku wybuchu, ale jak na razie nie znaleziono żadnych dających się zidentyfikować śladów chemicznych materiałów

wybuchowych. Drugi został ostrzelany z broni dużego kalibru. Moi ludzie z ekipy dochodzeniowej twierdzą, że czegoś podobnego w życiu nie widzieli. No a wszystkie pojemniki zniknęły, a wiesz, ile ważył każdy z nich.

- Ślady opon czy gąsienic?

- Żadnych - poinformował go ponuro Wilkins.

- O kurwa! - jęknął Loren.

Obaj już wiedzieli, kto lub też co było sprawcą ataku.

* * *

- Przynajmniej wiemy, po której stronie sadzawki się ukrył - ocenił ponuro Anson McLain.

- A nawet w jakim rejonie. Bo to musi być gdzieś w zasięgu działania jego robotów bojowych, który według Ludmilli wynosi osiemset kilometrów. - Morris stuknął palcem w mapę, na której wyrysowano czerwoną krzywą biegnącą półkolem przez obszar Stanów Zjednoczonych.

Od Chicago biegła na północ od Detroit przez Filadelfię aż do Daytona Beach i na zachód od Saint Louis.

- To strasznie duży obszar - ocenił McLain.

- Wiem, sir. Wszystkie maszyny zwiadowcze ze wschodniej połowy kraju go szukają i wszystkie satelity, które mają ten obszar w zasięgu, ale jak dotąd nic. Co może znaczyć wiele albo nic zgoła. Mogliśmy go po prostu przeoczyć, bo nie mieliśmy jeszcze czasu zorganizować dobrze zaplanowanych poszukiwań, a straciliśmy co najmniej dwadzieścia minut, nim został ogłoszony alarm, gdy eskorta nie nawiązała łączności w przepisowym terminie. Z drugiej strony mógł sobie już zmajstrować coś, dzięki czemu stał się niewidzialny dla radarów i innych urządzeń wykrywających. Albo też przed atakiem znalazł kryjówkę uniemożliwiającą wykrycie z powietrza. Okolica jest do tego wręcz idealna: góry, doliny, rzeki, rezerwat przyrody, lasy... Prawda jest taka, że znaleźć możemy go jedynie dzięki szczęśliwemu trafowi, sir. Naturalnie będziemy go szukać choćby dlatego, że tego właśnie się spodziewa, ale optymistą w sprawie efektów bym nie był, sir.

Obaj ponuro wpatrzyli się w mapę, jakby siłą woli mogli zmusić ją do ujawnienia kryjówki *Trolla*.

Oczywiście niczego nie ujawniła.

- No dobra - odezwał się w końcu McLain. - Dalsze poszukiwania można zostawić armii i lotnictwu. Zbierz wszystko, co wiemy, plus wszystkie sensowne spekulacje i przyjdź tu,

żebyśmy mogli to omówić. A potem obaj lecimy do Waszyngtonu na spotkanie. Tylko jakoś nie sędzę, żeby nasz przełożony ucieszył się na nasz widok.

I uśmiechnął się bez śladu wesołości.

Rozdział XIX

Major Daniel Abernathy, USMC, dowódca Wzmocnionej Kompanii T (doświadczalnej), otarł pot z czoła i próbował nie uśmiechnąć się na widok admirała Astona i „kapitan Ross” biegnących przed nim ramię w ramię. Przyszło mu to z trudem.

Aston młodzieniaszkiem nie był, ale nie biegł także jak ktoś w podeszłym wieku. Jego szary dres był mokry od potu, ale częściowo była to wina palącego słońca, a ruszał się doskonale. Jak człowiek znający swoje możliwości i przyzwyczajony do dużego wysiłku. Ktoś znający z doświadczenia granicę własnych możliwości i nie szarżujący bez potrzeby.

Kapitan Ross, a Abernathy starał się cały czas tak właśnie o niej myśleć, bo poza Hortonem nikt w kompanii nie znał jej prawdziwego stopnia czy nazwiska, biegła obok, jak zwykle we wściekle barwnym podkoszulku. Ten miał z przodu ognisty wizerunek kościotrupa na koniu i z kosą na ramieniu. Była równie spocona jak Aston, ale biegła o wiele lżej, mimo iż musiała robić dwa kroki na jego jeden, by utrzymać tempo. I tak jednak sprawiała wrażenie, że mogłaby tak biec w nieskończoność.

Zawsze biegali razem i zawsze to on pierwszy miał dość, ale nie było między nimi śladu współzawodnictwa. Ewenement, bo każdym dwóch Marines niezależnie od stopnia rywalizowałyby ze sobą. Przyjazne i niezbyt zacięte współzawodnictwo między nimi istniałoby zawsze. Ta para była inna - jakby ten etap miała już za sobą. I to by się mogło zgadzać, bo oboje mieli ten sam wyraz oczu, obserwując szkolenie pozostałych. Jakby podobne sceny widzieli już wielokrotnie i z wyrozumiałością podchodzili do pewnych siebie młodych ludzi.

Biorąc pod uwagę przeszłość obojga, tak właśnie musiało być. A poza tym znali się najlepiej, jak tylko można, bo sypiali ze sobą. Byli nader dyskretni, ale wiedział, że są kochankami. I był pewien, że sierżant major Horton też to wie.

W innych okolicznościach prawdopodobnie by protestował - w pierwszej chwili, gdy się zorientował, że Aston sypia ze swym adiutantem, był oburzony, ale szybko mu przeszło. Stanowili bowiem najskuteczniejszy zespół, z jakim się spotkał, a ich prywatne stosunki nigdy nie wpływały na wykonywanie obowiązków. No, prawie nigdy, bo pierwszy dzień kapitan Ross na strzelnicy stanowił tego jawne zaprzeczenie. Aż się uśmiechnął szeroko na samo wspomnienie. Podskoczyła na dobry metr, gdy Aston pierwszy raz wystrzelił z

pistoletu. Abernathy dopiero potem zdał sobie sprawę, że mimo całego doświadczenia bojowego, jakie miała, nigdy wcześniej nie zetknęła się z bronią palną, nie miała więc pojęcia, ile robi hałasu. Aston wiedział, i sądząc po uśmiechu, nie ostrzegł jej specjalnie.

Dopiero w tym momencie zrozumiał, dlaczego Aston kazał opróżnić strzelnicę, zostawiając tylko jego i Hortona - nikt, kto zobaczyłby jej reakcję, w żaden sposób by nie uwierzył, że ma do czynienia z autentyczną kapitan Marines.

Okazało się potem, że Ludmilla jest urodzonym strzelcem. Pierwszego dnia co prawda przeszkadzał jej odrzut broni, ale zapanowała nad nim i nazajutrz nie było już problemu. Podobnie jak Aston i on sama wolała broń kalibru .45 od 9-milimetrowej, choć w przeciwieństwie do Astona zamiast klasycznego *Colta Model 1911* upodobała sobie *SOCOM .45*. Pod koniec drugiego tygodnia dorównywała najlepszym strzelcom w broni krótkiej - wystrzelenie pierwszego magazynka kończyło się wymianą tarczy, bo stara nie miała już środka. Miała fantastyczne skupienie i była niewiarygodnie celna na duże odległości. Ustanowiła też nowy rekord strzelnicy, tyle że nieoficjalny, bo obecni przy tym byli tylko Aston, on i sierżant major Horton. Do tego była niewyobrażalnie szybka - Abernathy nigdy nie widział kogoś w takim tempie dobywającego broni, celującego i opróżniającego magazynek, z podobną na dodatek celnością. I wszystko to jednym płynnym ruchem.

Potem Ludmilla uparła się, że nauczy się strzelać z każdej broni ręcznej będącej na wyposażeniu kompanii, i postawiła na swoim, osiągając równie imponujące rezultaty. Ćwiczenia w strzelaniu z półcalowego *Browninga* i wyrzutni naramiennej rakiet przeciwpancernych uświadomiły wszystkim ostatecznie, że weźmie udział w akcji, gdy w końcu do niej dojdzie, co nie spotkało się z przychylną reakcją Marines. Wszyscy wiedzieli, że nie jest oficerkiem zza biurka, a Korpus miał w swych szeregach kobiety od paru ładnych lat, ale zasada US Marine Corps stanowiła, że nie są one wysyłane do walki. A już na pewno nie na misje specjalne.

Bo co do tego, że to będzie misja specjalna, nikt nie miał wątpliwości, gdyż w skład Kompanii T wchodziło znacznie więcej weteranów i starszych podoficerów, niż było to przyjęte. Taki skład zaś oznaczał zadanie nietypowe i wysokiego ryzyka, czyli misję specjalną, w trakcie której zakładano duże straty.

Ludmilla poradziła sobie z tym po swojemu - wyzwiała na sparring starszego sierżanta Mortona Jaskowicza pochodzącego z górniczej rodziny z Pensylwanii. *Gunny* Jaskowicz nie dość, że był masywny i duży, to na dodatek nim trafił do Kompanii T, był instruktorem walki wręcz w Pendleton. Gdy Abernathy się o tym dowiedział, chciał zabronić spotkania, ale

Aston mu nie pozwolił.

Mecz odbył się publicznie, a obecna była cała kompania, przy czym spora jej część przyszła zobaczyć, jak *Gunny* zamiata plac apelowy panią oficer. Spotkało ich srogie rozczarowanie, choć początkowo się na to nie zanosilo, bo Ludmilla ograniczyła się wyłącznie do uników, poruszając się z gracją i skutecznością węża. Dopiero gdy przekonała przeciwnika i widzów, by poszedł na całość, rozłożyła go w szóstej sekundzie kombinacją ciosów i bloków, z jaką Jaskowicz nigdy wcześniej się nie spotkał.

A nawet o której nigdy nie słyszał.

Potem to samo zrobiła z czterema kolejnymi ochotnikami, by udowodnić, że to nie był przypadek. Kompania T spędziła następne dwadzieścia cztery godziny w stanie milczącego szoku, a potem odzyskała równowagę psychiczną, ale nie było już żadnych komentarzy o wycieczce po Barbie czy inne zabawki stosowne dla dziewczynek.

Potem zaś zyskała ich szacunek podczas skoków ze spadochronem, bo i to szkolenie zaliczyła. Nie tylko Abernathy był zaskoczony, że sam pomysł skoku z samolotu ją przeraża, choć przyznawał, że jest to zajęcie mocno nienormalne, jak długo samolot jest w pełni sprawny. Robiła się mokra od potu i blada jak trup za każdym razem, gdy przychodziła jej kolej, ale to jej nigdy nie powstrzymało i nawet przy pierwszym skoku nie potrzebowała pomocy w postaci kopa w tyłek. I to ostatecznie przekonało do niej wszystkich, bo wszyscy znali ten strach i wiedzieli, ile kosztuje przełamanie go, choć nigdy o tym nie mówili.

Czas tak szybko upłynął mu na tych wspomnieniach, że ze zdziwieniem stwierdził, iż oboje dotarli do miejsca, które od początku wyznaczyli sobie na metę, i zwalniają, robiąc kółka, by nagłym zatrzymaniem nie wywołać skurczu mięśni. On miał przed sobą jeszcze osiemset metrów do prysznic, a po południu odprawę.

Miał też nadzieję, że w końcu dotrą jakieś wieści o *Trollu*.

* * *

Aston z ulgą czuł, jak wyrównuje mu się oddech i uspokaja puls. Nie spodziewał się, że będzie musiał jeszcze kiedyś tak ostro ćwiczyć, choć nie zamierzał też dożyć swoich dni, hodując brzuszki za biurkiem. Przyznawał, że pierwsze tygodnie były ciężkie, za to teraz czuł się dobrze - przynajmniej o dziesięć lat młodziej. Naturalnie i tak było to dużo więcej, niż planował, ale nieco mniej niż parę miesięcy temu.

Wytarł pot ręcznikiem, który miał na szyi, i spojrzał na Ludmillę. Oddychała tylko trochę ciężiej niż zwykle. Gdyby nie świadomość, gdzie się urodziła oraz że symbiont usuwa z jej krwi produkty zmęczenia tak szybko, jak się pojawiają, chyba przestałby ją lubić.

Uśmiechnęła się do niego, ale wiedział, że się niepokoi. Rozumiał ją doskonale, bo czuł to samo. Od napadu na transport plutonu minęły cztery miesiące i nie znaleziono nic. Ani *Trolla*, ani tony plutonu, ani żadnych śladów. Zaczął się poważnie bać, odkąd Ludmilla wyjaśniła mu, co *Troll* może z tego plutonu zrobić. Nie miał co prawda pojęcia, co oznacza „cykl nowej”, ale coś, co do zainicjowania potrzebowało sekwencji wybuchów termojądrowych, musiało być groźne. Pytał ją o szczegóły, ale dowiedział się tylko tego, że potem nie będzie już Ziemi. Po jej wymijających i ogólnikowych odpowiedziach wnosił, że także wiedziała, jak skonstruować podobną broń, ale bała się tą wiedzą podzielić z kimkolwiek, pamiętając o starej zasadzie, że zabawki trzeba dostosowywać do poziomu rozwoju dziecka.

Sam wykorzystał ten czas pracowicie, tworząc ze zbieraniny ludzi ściągniętych z różnych jednostek zgrany i w pełni sprawny oddział. Kompania T była na dobrą sprawę batalionem, bo składała się z czterech plutonów, każdego dorównującego prawie kompanii, i posiadała drużynę (w praktyce pluton) przeciwpancerną. Do tego dochodziły dwa plutony samochodów pancernych, pluton wsparcia wyposażony w transportery z ciężką bronią piechoty i pluton przeciwpancerny. Takiej liczby ręcznych wyrzutni rakiet przeciwpancernych nie miał klasyczny pułk Marines. Wszyscy Marines byli nieosiągalni dla *Trolla* i zostali poinformowani, z czym przyjdzie im się zmierzyć, ale nie o tym, kim jest Ludmilla. Nie wydawano też żadnych przepustek, by uniknąć przypadkowych przecieków, które przy tej liczbie ludzi nawet pełnych jak najlepszej woli byłyby nie do uniknięcia. Wywołało to naturalnie powszechne narzekania, ale świętym prawem Marines było narzekać, a on przynajmniej nie musiał się martwić o zachowanie zasad bezpieczeństwa.

Okazało się, że pomysł Armbrustera, by wykorzystać interwencję na Atlantyku jako zasłonę dymną do zorganizowania jednostki przy okazji ogólnych przebazowań, przegrupowań i tworzenia sił przeznaczonych do ewentualnego desantu, okazał się doskonały. Praktycznie nikt nie wiedział, że Kompania T powstała, a gdy już istniała, komentarze w ogóle się skończyły. Całe to zamieszanie spowodowało także, iż nagła popularność badań EEG przeszła niezauważona, a tego, by nikt niepowołany nie dowiedział się o naradach na najwyższym szczeblu między Waszyngtonem, Londynem, Moskwą, Berlinem i Tokio, pilnowali już sami zainteresowani.

Aston co prawda narzekał, że Ludmilla musiała opowiadać całą historię i demonstrować możliwości blastera różnym premierom, prezydentom i generałom na trzech kontynentach, co w sumie kosztowało opróżnienie całego magazynka, ale musiał przyznać, że było to potrzebne i przyniosło pożądane skutki. Żałował jedynie, że do tajemnicy nie zostały

dopuszczone władze Francji i Chin, ale przyznawał, że okazało się to niemożliwe.

Jeśli chodzi o Francuzów, najbardziej interesowały ich własne wewnętrzne rozgrywki polityczne. Jeśli dodać do tego antyamerykańskie sentymenty i radosną nieodpowiedzialność polityków, przeciek był prawie pewny, bo myśl o konsekwencjach dla całej ludzkości albo nikomu do głowy by nie przyszła, albo też zostałyby one uznane za mniej ważne od prywatnych korzyści polityków.

Natomiast Chińczycy nic nie wiedzieli niejako na własną prośbę, ponieważ wszelkie próby uzyskania wyników badań EEG najważniejszych osób w państwie zawiodły. Wtajemniczono za to we wszystko władze Tajwanu, co stanowiło kolejne potencjalne zagrożenie, ale w przyszłości, gdyby cała sprawa wyszła na jaw. To, że Chin nie dopuszczono do tajemnicy, mogło mieć oplakane skutki, gdyby *Troll* zdecydował się ukryć na ich obszarze, bo nikt nawet nie wiedziałby, że powinien go szukać.

Dlatego też Jakolew i Armbruster zdecydowali, że jeśli to nastąpi, Stany Zjednoczone i Federacja Rosyjska wspólnie zbombardują jego kryjówkę pociskami z głowicami jądrowymi. Było to ryzykowne posunięcie, ale obaj zgodzili się, że *Trolla* należy zniszczyć za wszelką cenę, a ofiary i tak będą mniejsze, niż gdyby pozwolili mu działać. Natomiast ryzyko poinformowania o sytuacji kogoś, kto nie został sprawdzony, czyli kogo potencjalnie *Troll* mógł wykorzystać, było zbyt duże.

Jakby w nagrodę za te problemy los okazał się łaskawy, jeśli chodzi o inne państwa, które były na tyle istotne, że ich władze powinny znać prawdę. Prawie wszyscy mieli właściwe zapisy EEG. Wyjątek stanowiła Japonia - tak premier, jak i jego zastępca się nie zakwalifikowali. Na szczęście cesarz i dowódca sił zbrojnych mogli poznać prawdę, toteż po prostu działano za plecami premiera.

Aston nadal nie mógł wyjść z podziwu, że mimo iż w sumie kilkaset osób na całej planecie wiedziało o wszystkim, nie pojawił się najmniejszy nawet przeciek. Na pewno duże znaczenie miał fakt, że nie poinformowano o niczym członków żadnego parlamentu. Poza tym wiedział, że co najmniej jednego przecieku uniknięto dzięki błyskawicznej reakcji kontrwywiadu - pewien europejski polityk dostał zawału, nim zdążył wziąć udział w konferencji prasowej, którą zwołał. Na szczęście nie wspomniał nikomu, czego miała ona dotyczyć.

Wiedział też, że oprócz Kompanii T zorganizowano kilka innych grup uderzeniowych, ale stanowiły one jednostki rezerwowe, toteż należących do nich żołnierzy nie poinformowano o prawdziwym celu misji. Wszyscy wtajemniczeni byli zgodni, iż kradzież plutonu wskazuje na obecność *Trolla* na terenie USA, dlatego Kompania T była najlepszą

jednostką do działania. Tyle że całe przygotowania, koordynacja i współpraca międzynarodowa nie były nic warte bez celu, a takiego celu nie mieli. Ba, nie mieli nawet żadnych wskazówek dotyczących miejsca przebywania czy planów *Trolla*.

* * *

Jeremiah Willis, burmistrz Asheville w Karolinie Północnej, serdecznie nienawidził Raleigh. Jeszcze trzy tygodnie temu tak nie było, ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni odwiedzał stolicę stanu trzy razy, a przebieg każdego kolejnego spotkania był bardziej ponury od poprzedniego.

- Panie gubernatorze, a mówię także w imieniu burmistrzów Winston-Salem, Greensboro i Charlotte, musimy coś zrobić! - oznajmił. - Ta... sytuacja za chwilę wymknie się spod kontroli! To koszmar!

Gubernator James Farnam pokiwał głową. Na jego twarzy widać było zmęczenie. Melvyn Tanner, prokurator stanowy, wyglądał nie lepiej. I do tego był poważnie zaniepokojony, by nie rzec przestraszony.

- Panie burmistrzu, zgadzam się z panem całkowicie, ale ta sytuacja, jak pan to ujął, jest dla jego pracowników taką samą zagadką jak dla nas. Poza tym brakuje im ludzi, by sformułować choćby właściwe pytania, a co dopiero udzielić na nie odpowiedzi.

- Nie jestem pewien, czy organy porządkowe to właściwe rozwiązanie - odezwał się Cyrus Glencannon, burmistrz Charlotte. - Jak dotąd było tylko kilka przypadków konfrontacji i lokalne władze wraz z policją poradziły sobie całkiem dobrze. Chodzi nam nie o stan obecny, ale o to, co nastąpi. I to, przyznam, mnie przeraża.

- Nas wszystkich - wtrącił Willis. - Nie widziałem niczego podobnego od... od lat czterdziestych!

Odpowiedzią była pełna zgody ponura cisza. A problem był poważny, bo to, co zaczęło się od kilku epizodów na tle rasowym, na które władze stanów południowych były szczególnie wyczulone, stopniowo zmieniało się w falę coraz ostrzejszych incydentów. Jak dotąd incydentów było kilkanaście i w żadnym jeszcze nie doszło do użycia broni ani nie było ofiar śmiertelnych, ale wszyscy wiedzieli, że do tego dojdzie, i to szybko. Proces bowiem narastał i objął już ponad połowę stanu, choć wszystko zaczęło się w zachodniej jego części. Stopniowo też uaktywniali się członkowie Ku-Klux-Klanu, Amerykańskiej Partii Nazistowskiej i innych podobnych organizacji.

Jak dotąd reszta kraju w zasadzie o niczym nie wiedziała, ale obecni nie mieli złudzeń, że to się nie zmieni. Nie byli panikarzami, ale obawiali się, i to poważnie. Cała sprawa zaczęła

się bez ostrzeżenia i właściwie bez powodu, a pierwsze incydenty były tak drobne i tak rozsiane, że nawet władzom lokalnym nie wydały się ani groźne, ani podejrzanе. Dopiero w ostatnich dwóch tygodniach, gdy incydenty przybrały na sile, zaczynając toczyć się niczym lawina, wszyscy zorientowali się w zagrożeniu. I pojęli, że tylko kwestią czasu jest, by zdała sobie z niego sprawę opinia publiczna. A co wtedy nastąpi, nikt z obecnych nie był w stanie sobie wyobrazić.

Wizerunek Południa, jaki powstanie w innych rejonach kraju, był niemiłą perspektywą, ale to akurat dla zebranych było mniej ważne, bo zagrożone były ich miasta i ich ludzie. To ich stan padał ofiarą starej nienawiści, którą, wydawało się, już pokonali. I wyglądało na to, że są bezsilni.

- Możecie mi wierzyć, że was rozumiem - odezwał się Farnam. - I nie tylko ja. Podobny problem mają wszystkie południowe stany na północ od Florydy. I nikt nie wie, dlaczego on powstał. Poprosiliśmy Departament Sprawiedliwości o pomoc FBI, ale wątpię, by Biuro znalazło odpowiedź. Gospodarkę mamy silną, nic złego się nie wydarzyło... to wszystko wzięło się jakby znikąd!

Sądząc po reakcji obecnych, nie powiedział niczego nowego.

I nie wiedzieć dlaczego, nagle go to rozwścieczyło.

- Cholera jasna! - warknął, waląc pięścią w stół, co było najlepszym dowodem na to, jak jest zestresowany, gdyż jako głęboko wierzący baptysta nie przeklinał. - Już sobie z tym poradziliśmy: mieliśmy mniej problemów rasowych niż reszta kraju! Co, na miłość boską, poszło nie tak?

Była to płynąca z głębi serca prośba o oświecenie.

* * *

- Wszystko idzie dobrze, Blake Taggart? - Głos *Trolla* po tych miesiącach rozmów ze sługą stał się prawie ludzki.

- Bardzo dobrze, mistrzu - uśmiechnął się Taggart. Już nie zwracał uwagi na tytuł, który początkowo go śmieszył. Zdarzały mu się co prawda momenty, przelotne zresztą, gdy zastanawiał się, czy szaleństwo *Trolla* nie jest zaraźliwe, ale coraz rzadziej. Stawał się stopniowo ludzkim wcieleniem *Trolla* i wcale mu to nie przeszkadzało. Cel był znacznie ważniejszy od niego samego, a władza, jaką posiadzie jako wicekról, stanowiła tym bardziej oszałamiającą perspektywę, im dokładniej poznawał umysł *Trolla* i jego możliwości.

- To dobrze. Moi kandydaci dobrze wypadną w listopadzie - ocenił *Troll*.

- Wiem, mistrzu. Dopilnuję tego.

I obaj roześmiali się prawie równie paskudnie.

Troll był zadowolony. Taggart wart był każdej chwili, jaką w niego zainwestował. Miał jadowity umysł i drobne poprawki tylko wyszły mu na dobre. I był mądry. *Troll* spodziewał się współpracy z podobnymi do Leonarda Stillwatera, ale Taggart pokazał mu znacznie skuteczniejsze ich wykorzystanie. On sam nie wpadłby na to, aby ludzi opętanych nienawiścią użyć do zdobycia kontroli nad innymi, którzy jej nie czuli. Ale Taggart wiele go nauczył o tym, jak łatwo jest ludźmi manipulować.

Był w stanie skontaktować się z około 1/3 ludzi, a drogą prób i błędów nauczył się, jak czyjś umysł kontrolować kompletnie, ale wymagało to niepodzielnej uwagi, a człowiek potem stawał się bezmyślnym stworzeniem do niczego nieprzydatnym. Potrzebował sług świadomie godzących się na współpracę, ale ledwie 5-7% było na tyle podatnych na korupcję co Taggart, a dokonanie zmian u każdego kosztowało sporo czasu i wysiłku. Najlepsze efekty osiągał, ingerując krok po kroku w umysły śpiących, wpływając stopniowo na ich przekonania i punkt widzenia, tak że nie zdawali sobie z tego sprawy. Tylko że było to możliwe wyłącznie z tymi, którzy mieli już jakieś przekonania mogące stanowić punkt zaczepienia.

To właśnie Taggart dostarczył mu klucz. Obaj starannie sprawdzili stanowych i lokalnych polityków mających zamiar startować w najbliższych wyborach i wyselekcjonowali tych, którzy najlepiej rokowali jako ofiary manipulacji. Spora część i tak miała największe szanse na zwycięstwo w listopadzie, ale było też wielu z mizerną pozycją i tych postanowił wspomóc.

Większość byłaby przerażona, gdyby dowiedziała się o samym jego istnieniu, nie wspominając już o pomocy czy planach, jakie miał wobec nich, ale to nie miało znaczenia. Kiedy zajmą stanowiska, na które kandydują, zaczną stopniowo na nich wpływać, a do tej pory będzie miał i tak dość pracy z pozostałymi, mającymi mniej skrupułów.

Poza tym panował nad wszystkimi grupami etnicznymi, które miał w zasięgu, i był wręcz zachwycony skutkami, które Taggart nazwał „efektem domina”. Okazało się, że nienawiść rodzi nienawiść, co bardzo pomagało mu zwiększać u wszystkich stopień uprzedzeń i hipokryzji. Osiągnął etap, że wystarczyłaby mała iskra, by ta nienawiść i uprzedzenia rozlały się szeroko, podpalając wszystko, co napotkają na swej drodze.

I miał zamiar tę iskrę sprokurować.

Tyle że swoich potworków musiał użyć z wyczuciem, gdyż stanowili narzędzie mogące wpłynąć na tych, których umysły były dlań zamknięte. Tam, gdzie jego kandydaci byli faworytami, pomoc nie była potrzebna, a mogłaby okazać się szkodliwa. Tam, gdzie mieli spore szanse, ale wynik był niepewny, incydenty na tle rasowym musiały pojawić się w ściśle

kontrolowanym wymiarze, by zdołali je opanować. Wdzięczna społeczność sama zrobi resztę i ich wybierze. Natomiast tam, gdzie szans nie mieli, potrzebne były masakry, za które wina spadłaby na obecne władze, bo tylko to mogło otworzyć drogę nowym kandydatom.

Nie mógł się wręcz doczekać podpalenia lontu, zwłaszcza w tych ostatnich rejonach. Czuł bowiem głód śmierci i zniszczenia, a świadomość, że ludzie będą zabijali ludzi dla niego, była po prostu upojna. Oprócz osiągnięcia celu będzie też miał czystą przyjemność. I satysfakcję, że każdym swoim postępkim ułatwiają mu zniewolenie samych siebie.

Oprócz tego z najbardziej nienawidzących i żądnych krwi stworzył oddział, który Taggart nazwał Brygadą Apokalipsy. *Troll* z zaskoczeniem musiał przyznać, że sam powinien był zauważyć konieczność stworzenia podobnej formacji, bo miał do dyspozycji tylko kilka robotów bojowych i na dodatek nie do wszystkiego mógł ich użyć, gdyż zbyt się odróżniały od wszystkiego w okolicy.

Ludzie co prawda byli delikatniejsi i mniej godni zaufania, dopóki ich nie zaprogramował, ale mogli wszędzie pozostać niezauważeni. A ich liczba ciągle wzrastała - już miał ich w obozie ponad 900. Dzięki zaś kontrybucjom innych bogatych i wybranych przez Taggarta, których umysły wymagały niewielu poprawek, byli też dobrze uzbrojeni jak na standardy tego świata.

I nic nie wiedzieli o jego istnieniu.

Byli przekonani, że przywódcą jest Taggart. On rozumiał ich lepiej, było to więc korzystniejsze rozwiązanie. Taggart wymyślił też dla nich godło, które pomagało ich zjednoczyć wokół wspólnego celu. Wypróbował ich już w odludnych miejscach na przejezdnych czy samotnikach, których zniknięcia nikt nie zauważy; okrucieństwo i entuzjazm, jaki wykazali, sprawiły mu przyjemność.

Jedyny minus stanowiło to, że kontakt, nawet subtelny, z tak wieloma umysłami był męczący. Jego twórcy wyposażyli go w elektroniczny wzmacniacz, ale sygnał pochodził z jego umysłu, a nie doszacował czasu potrzebnego na ukształtowanie każdego człowieka do swoich potrzeb. Przez to pierwszy raz w życiu czuł zmęczenie. Miał organiczny umysł i w przeciwieństwie do komputera potrzebował przerw na odpoczynek. Ponieważ te sprawy były pilniejsze, a mógł w pełni koncentrować się tylko na jednym zadaniu, bomba nadal nie była gotowa.

Ale to również było do przyjęcia. Jak dotąd zrobił, co mógł, choć nie aż tak wiele, jak miał nadzieję, gdyż dane techniczne związane z konstrukcją bomby były strzeżone przez kody, których złamanie szło mu trudniej, niż się spodziewał. Wiedział jednak, że z czasem je przełamie, a gdy to zrobi, samo skonstruowanie broni będzie kwestią ledwie paru dni.

Nie śpieszył się również dlatego, że nic nie wskazywało na to, by miał jej potrzebować. Sprawy toczyły się zgodnie z planem. A gdyby ktokolwiek coś o nim wiedział, nie przzerwano by poszukiwań. No a wkrótce wszyscy na tej planecie będą mieli inne problemy przykuwające uwagę.

Podobne do pożaru lasu na wielką skalę.

Rozdział XX

Dolf Wilkins uniósł głowę, gdy do gabinetu weszła Allison DuChamps. DuChamps była jedną z najstarszych i najbardziej doświadczonych agentek. Wyglądała zupełnie przeciętnie i miała nieprzeciętny umysł, co bardzo jej się przydawało, gdy jeszcze pracowała w terenie. Nie było też zresztą przeszkodą w dalszej karierze. Obecnie DuChamps była szefową działu zajmującego się domorosłym terroryzmem.

Wilkins uśmiechnął się, na co odpowiedziała uśmiechem, ale jej oczy pozostały poważne. Była zaniepokojona.

- O co chodzi, Alley? - spytał Wilkinson, też natychmiast poważniejąc.

- Myślę, że mamy problem - odparła ostrożnie. - Myślę, że duży problem.

Pracownicy Biura nauczyli się na własnej skórze, że uleganie panice polityków i zbyt szybkie a silne reagowanie na potencjalne zagrożenie kończy się źle dla wszystkich. Dlatego na szefową działu zajmującego się problemami wewnątrz Stanów wybrano właśnie DuChamps, bo umiała trzeźwo oceniać sytuację, nie poddawała się panice i nie ulegała wpływom. Jeśli ona była zaniepokojona, oznaczało to, że sytuacja jest naprawdę poważna.

- O co chodzi? - powtórzył.

- Z raportów wyłania się dziwny i paskudny wzór czegoś, co może okazać się bardzo groźne.

- Gdzie i co?

- Południe i rasizm. Konkretnie: zorganizowane stosowanie przemocy z powodów rasowych na dużą skalę.

- Że co? - zdziwił się Wilkins, siadając prosto.

Zorganizowane zamieszki na tle rasowym nie zdarzały się praktycznie od ponad dziesięciu lat, dlatego FBI przywiązywało do tego problemu coraz mniejszą wagę. Naturalnie odosobnione wypadki nadal się zdarzały, czasami nawet na większą skalę, ale tolerancja społeczna dla rasizmu, i to we wszelkich jego odmianach, kończyła się. A to, jak wiedział każdy dobry policjant, było podstawą opanowania każdego problemu. Jeśli społeczeństwo odrzucało jakiś typ zachowań, przestawał on być modny i bardzo szybko malała liczba osób, które go prezentowały. Presja od lat wywierana przez Departament Sprawiedliwości i FBI okazała się skuteczna i problem rzeczywiście można było uznać za opanowany, pomijając

okazjonalne incydenty w miastach Środkowego Zachodu i Północnego Zachodu.

Poza tym organizacje rasistowskie wcale nie były najsilniejsze na Południu, bo przeniosły się w „rdzewiejący pas”, czyli do miast Północy. Południowcy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zbyt często obrywali za rasistowskie zachowania wobec czarnych i nauczyli się tego nie robić. Reszta kraju, która tej lekcji im udzieliła, sama jakoś nie zdołała w pełni jej przyswoić.

- Jesteś pewna? - spytał, przerywając ciszę, jaka zapadła.

Kiwnęła głową.

- Mnie to też zaskoczyło - przyznała. - A co więcej, to wszystko jest... dziwaczne. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

- Wyjaśnij to, bo mnie zgubiłaś.

- Spróbuję. Widzisz, wiemy, zgodnie z jakim wzorcem postępują zorganizowane grupy nawołujące do nienawiści. Zarówno te o ogólnokrajowym zasięgu, jak i regionalne wyrastają z zadawnionych uprzedzeń albo z potrzeby znalezienia jakiegoś kozła ofiarnego w skali masowej. Lokalne mogą powstać także w wyniku pojawienia się jakiegoś charyzmatycznego przywódcy albo specyficznych okoliczności. Możliwe jest także stworzenie takiej organizacji przez kogoś mającego władzę lub grupę takich ludzi z powodów ekonomicznych lub innych. Te ostatnie są jednak słabe i krótkotrwałe, bo gdy mija pasja założycieli, przestają istnieć. Naturalnie jest też możliwość przekształcenia się w taką grupę każdej, której cele polityczne uległy zdezaktualizowaniu. Nadażasz?

- Tak - mruknął nieco zniecierpliwiony.

- A tu mamy do czynienia z serią pozornie odizolowanych epizodów, rozsianych po dziewięciu stanach mających różną sytuację gospodarczą, układ społeczny i rasowy. Z paroma wyjątkami w żadnym nie było od lat większych zamieszek na tle rasowym, a nigdzie nie było zorganizowanych. Epizody wystąpiły poza tym jedynie w części każdego ze stanów, nie na całym ich obszarze. No i wszystkie są do siebie podobne. Na tyle podobne, że uważałabym, iż to ci sami ludzie, gdyby nie to, że rzecz dotyczy kilku grup rasowych, nie tylko białych.

- Jesteś tego pewna? - zdziwił się, siadając wygodniej. - Może to przypadkowa zbieżność?

- Jestem pewna. - Otworzyła trzymaną dotąd pod pachą teczkę i zajrzała do notatek. - Dostaliśmy oficjalną prośbę o pomoc od gubernatorów Karoliny Północnej i Południowej, Tennessee, Kentucky i Georgii w związku z problemami rasowymi. A te stany od paru lat, czyli od pocztowej kampanii bombowej, były zupełnie spokojne. Dlatego zresztą nie

przydzieliliśmy do tej sprawy dużych sił. Ale potem dostaliśmy więcej informacji, i to nie tylko z tych stanów, pięć miesięcy temu nie było w tych rejonach żadnej aktywności rasistowskiej. Ponad trzy miesiące temu policja zaczęła odnotowywać wzrost liczebności i aktywności organizacji rasistowskich, głównie białych. Dwa miesiące temu wydarzyły się pierwsze, oddalone od siebie, drobne incydenty połączone z aktami wandalizmu, paleniem krzyży czy prześladowaniami. Rozpoczęli biali, a w ślad za nimi poszli inni. Miesiąc temu sytuacja uległa gwałtownemu, jakby kontrolowanemu przyspieszeniu, i to ze strony wszystkich grup. I ciągle przyspiesza. Wygląda na to, jakbyśmy mieli do czynienia z kulminacją starannie ukrywanych, ale istniejących od dawna antagonizmów na tle rasowym. Poza tym oni wszyscy są doskonale zorganizowani, uzbrojeni i mają strukturę komórkową. Narasta skala przemocy. Podejrzewam, że teoretycznie jest możliwe, by taka sytuacja nabrzmiała, a my tego nie zauważyliśmy, ale nie wierzę w to. Zawsze znajdują się bardziej pokojowo nastawieni, którzy daliby nam znać, że coś takiego się dzieje. Poza tym musielibyśmy przeoczyć to nie tylko my, ale też wszystkie biura szeryfów i policja w tych stanach, a to po prostu jest niemożliwe. Na dodatek rozwój jest geograficzny, nie regionalny, a to już jest zupełnie nienaturalne, zwłaszcza że dotyczy wszystkich grup rasowych. Zaznaczyłam to na mapie. To znaczy zaznaczyłam wszystko: zloty, znanych sponsorów, incydenty. I wyszła mi wspólna dla wszystkich grup prawidłowość: to wygląda tak, jakby istniało wspólne centrum, od którego kuliście rozchodzą się stopniowo słabnące fale, aż do pewnej granicy, za którą panuje spokój. To znaczy zdarzają się tam pojedyncze incydenty, ale sądzę, że to naśladowcy, wariaci, którzy postanowili skorzystać z tego, co się dzieje po sąsiedzku. Są też gorzej uzbrojeni i znacznie mniej bezwzględni...

- Masz ze sobą tę mapę? - spytał Wilkins, starając się, by jego głos brzmiał normalnie.

- Mam - wyjęła z teczki złożone ksero i rozpostarła je na blacie biurka.

Było na niej zaznaczone prawie idealne koło z centrum w górach na pograniczu Karoliny Północnej i Tennessee, a przebiegające od Atlanty i Portsmouth w Ohio. Wilkins poczuł suchość w gardle, gdy zobaczył, gdzie zaznaczyła środek tego koła - na północ od Asheville, blisko miejsca napadu na transport plutonu.

Nagle zrobiło mu się zimno.

- Widzisz? - spytała DuChamps. - Dlaczego takie samo nasilenie jak na wiejskich terenach Wirginii Zachodniej czy południowym Ohio występuje w Atlancie czy w Columbii i w Karolinie Południowej? A skoro w Columbii wariują, to dlaczego nie w Raleigh? Czy w Charlestonie? I jak gwałtownie maleje liczba incydentów zaraz za tą granicą. Można powiedzieć, że praktycznie przestają występować. I jest jeszcze coś, czego dotąd nie

zauważyły lokalne władze z powodu zbyt małej liczby danych. Powstała nowa organizacja, tak dobrze zakonspirowana, że nadal nie znamy jej nazwy, wiemy tylko, że ma dziwny znak identyfikacyjny: kościotrupa na białym koniu.

- Co takiego?!

- Kościotrupa na białym koniu - powtórzyła spokojnie. - Wiem, że to bez sensu i nie ma żadnego związku z symboliką żadnej znanej grupy rasistowskiej. Ale najdziwniejsze jest to, że organizacja ma powiązania ze wszystkimi zamieszkami, jakie wybuchły. Wygląda bardziej na organizację anarchistyczną i należą do niej przedstawiciele wszystkich ras bez wyjątku, ale to wszystko, co wiemy, bo nie udało się do jej szeregów nikogo wprowadzić. Biuro z Karoliny Północnej straciło czteroosobowy zespół w czasie ostatniej próby. Nie wiem, co się dzieje, ale ktoś tam wyraźnie wszystko koordynuje. Tylko nie wiem, kto to jest i co chce osiągnąć. Nie potrafię tego udowodnić, ale to jedyne wytłumaczenie mające jakiś sens. Poza tym, że też absurdalne.

- Może... - mruknął Wilkins i umilkł.

Allison nie mogła znać prawdy, bo dyskwalifikował ją wynik badania EEG.

- Miej na to oko i zagon swój sztab do pełnej analizy oraz opracowania planu akcji na wypadek najgorszego scenariusza, dobra? - zaproponował.

- Potrzebujemy czegoś więcej, Dolf. Wiece rekrutacyjne mnożą się jak grzyby po deszczu. Zaczęto też zawierać groźne sojusze: Ku-Klux-Klan i Partia Nazistowska planują formalny sojusz, w wyniku którego powstanie Sojusz Białych z Appalachów. Ma to nastąpić na wspólnym zjeździe w Asheville w przyszłym tygodniu. A to dopiero początek. Pojawiły się wieści o podobnych poczynaniach kolorowych grup rasistowskich. Jeśli dojdzie do zamieszek, nie mamy sił, by im przeciwdziałać. Albo uda nam się umieścić wewnątrz kogoś, kto odkryje centrum kontroli, albo potrzebujemy dużych sił, by przywrócić porządek. I to szybko.

- Jestem skłonny się zgodzić - skłamał. - Ale muszę to przemyśleć. I zostaw mi tę mapę, jeśli możesz.

- Żaden problem, to załącznik do mojego raportu. - Położyła mu teczkę na biurku i odwróciła się.

Jednak zanim doszła do drzwi, stanęła i spojrzała na niego.

- Tylko nie myśl za długo, dobrze? - poprosiła.

- Jasne - zapewnił, studiując mapę.

- W porządku.

Ledwie Allison zamknęła za sobą drzwi, Wilkins sięgnął po telefon i wybrał numer, który

znał na pamięć, po czym niecierpliwie czekał na połączenie, nerwowo bębniąc palcami po blacie.

- Komandor Morris? - spytał, ledwie rozmówca się zgłosił. - Tu Dolf Wilkins. Nie chcę wzbudzać fałszywych nadziei, ale sądzę, że znaleźliśmy *Grendela*... tak, znaleźliśmy *Grendela*. Możemy go zlokalizować z dokładnością do trzydziestu-czterdziestu kilometrów kwadratowych... Może być pan pewien. Złapię Stana Lorena i będę u was za dwie godziny, choćbym miał pchać samolot!

I odłożył słuchawkę z pełnym mściwej satysfakcji uśmiechem.

Bo nawet gdyby *Troll* przypadkiem podsłuchiwał tę rozmowę, do czego miał techniczne możliwości, i tak nie wzbudziłaby jego podejrzeń. W tym bowiem celu wymyślono kryptonim *Grendel*, który obowiązywał wtajemniczonych we wszystkich rozmowach telefonicznych i radiowych.

* * *

Pierwszy *MV-22 Osprey* zawisł nad polem i po ustawieniu śmigieł do pionu powoli wylądował. Tylne rampy opadły sekundę przed bocznymi i trzy drużyny z pełnym uzbrojeniem opuściły bieżnię maszyny, zajmując dogodnie stanowiska ogniowe wokół lądowiska. Uzbrojenie było standardowe: *M-16* i karabiny maszynowe *M-249*, natomiast niestandardowe były liczne wyrzutnie rakiet przeciwpancernych typu *Predator*, które dopiero zastępowały w Korpusie *AT4* i jeszcze starsze typu *LAW*. Było ich też znacznie więcej niż zwykle. Do tego każdy pluton miał drużynę przeciwpancerną wyposażoną w trzy wyrzutnie ciężkich samonaprowadzających się rakiet przeciwpancernych *Superdragon II*, które były już na uzbrojeniu wojsk lądowych, ale do US Marine Corps jeszcze nie dotarły.

Osprey wystartował i zaraz kolejne zajęły jego miejsce. Wylądunek ludzi i zajmowanie przez nich pozycji obserwował ze stoperem w dłoni kontradmirał Richard Aston.

Ledwie *Osprey* odleciały, nad lądowiskiem pojawił się *C-130 J Hercules* i zrzucił z minimalnej wysokości osmiokołowe samochody pancerne *LAV-25* na paletach desantowych. Pojazdy wylądowały przy wtórnej detonacji ładunków hamujących i rozbijanego drewna. Każdy wyposażony był w obrotową wieżę z szybkostrzelną działką kal. 25 mm i stanowiły wersję rozwojową *Piranhi*. W ślad za *Herculesem* leciały następne, a po nich kolejne *Osprey*.

Aston spojrział na stoper, a potem na Ludmillę - znów poszło o kilka sekund szybciej niż ostatnim razem, ale była to już sztuka dla sztuki, żeby się wojsko nie nudziło. Nie mieli bowiem pojęcia, ani w jakim terenie, ani w jakich warunkach taktycznych przyjdzie im

dokonać bojowego desantu, gdy wreszcie znajdą *Trolla*, więc klasyczny scenariusz, który właśnie ćwiczyli, mógł się okazać zupełnie nieprzydatny. Teoretycznie istniała też możliwość, że *Troll* ukrył się w mieście, ale wszyscy byli zgodni, że jest to nader nieprawdopodobne, bo zbyt trudno byłoby mu się skutecznie zamaskować - był zbyt duży i zbyt dziwaczny.

Nagle Aston uniósł głowę, słysząc znajomy łoskot helikopterowego silnika, i rozejrzał się zdumiony, bo w ćwiczeniach nie przewidziano udziału żadnego wiatraka.

Zza wzniesienia wyłonił się *Blackhawk* i skierował prosto ku nim, by w niewielkiej odległości usiąść, wzniesając tuman kurzu niczym rozzłoszczona ważka. Pilot nie wyłączył silnika, drzwi przedziału desantowego odsunęły się i na ziemię zeskoczyła znajoma postać w marynarskim mundurze, jedną ręką przytrzymująca czapkę, którą podmuch próbował jej zerwać z głowy. Pochylony komandor podbiegł do Astona, zwalniając tempo, gdy wy dostał się poza zasięg sztucznej wichury, i otarł pot z czoła.

- Mordecai, co ty tu robisz? - spytała Ludmilla, nim Aston zdążył się odezwać.

- Znaleźliśmy go, Milla! - oznajmił cichym, pełnym napięcia i tryumfu głosem Morris. - W końcu znaleźliśmy skurwiela!

* * *

- No nie wiem... - odezwał się niezbyt uszczęśliwionym tonem Aston, pocierając łysinę i patrząc cały czas na rozłożoną mapę.

Morris i Jayne zdołali zawęzić rejon, w którym znajdowała się kryjówka *Trolla*, do około dziesięciu kilometrów kwadratowych i zaznaczyli go na mapie kartograficznej w dużej skali.

- Zgadzam się, że musi gdzieś tam być - dodał Aston. - Ale przyjrzyjcie się temu terenowi: góry, las, prawie bez dróg i kupa pagórków. Kiedy zaczniemy poszukiwania, dowie się o tym błyskawicznie i odleci, gdy będziemy jeszcze daleko. Gdybyśmy wiedzieli dokładnie, gdzie jest, sprawa wyglądałaby inaczej, ale tak na ślepo...

Zamiast kończyć, potrząsnął wymownie głową.

Morris otarł pot z czoła, bo w przyczepie dowodzenia Astona było gorąco i duszno. Jego entuzjazm wyparował po trzeźwej ocenie Dicka, bo niestety miał on rację. Z jednej strony dokonali przełomu, i to olbrzymiego, bo zawęzili teren poszukiwań do drobnego skrawka, z drugiej praktycznie nic im to nie dawało. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Loren nie podzielał entuzjazmu Wilkinsa i jego. Jako były Ranger musiał od pierwszego spojrzenia na mapę zdawać sobie sprawę, jak trudny jest ten teren i jakie w związku z tym wynikną problemy. Oni z Wilkinsem byli zbyt rozentuzjasmowani, by na to zwrócić uwagę, a nie

mając doświadczenia w walkach lądowych, nie zdawali sobie sprawy ze skali trudności.

- Skoro nie można przeprowadzić szeroko zakrojonych poszukiwań, to może wysłać patrole złożone z niewyczuwalnych dla niego ludzi, żeby po cichu sprawdziły teren? - zaproponował po chwili.

- Możemy być do tego zmuszeni - westchnął Aston. - Choć wolałbym tego uniknąć, bo to cholernie duży obszar na taką liczbę ludzi, jaką mamy. Poza tym najprawdopodobniej on ich zauważy wcześniej niż oni jego, a nie będą dysponowali wystarczającą siłą ognia, by go powstrzymać. Inaczej byłoby niemożliwe, choćby w teorii, zachowanie poszukiwań w tajemnicy. Najprawdopodobniejszy wynik: stracimy ludzi, a on ucieknie, nim dotrą główne siły.

- No dobra, a gdybyśmy mieli parasol powietrzny gotów do akcji, zanim zaczną poszukiwania? - Morris nie ustępował łatwo. - *F-16* z Shaw albo jeszcze lepiej *F-15* z Langley. Mogą go zniszczyć, gdy wystartuje, zanim zdąży uciec, zgadza się?

- Nie wiem. - Aston spojrzał na Ludmillę. - Milla?

- Możemy spróbować - powiedziała z namysłem. - Tylko musimy pamiętać, że *Troll* jest szybszy od samolotów i ma większe przyspieszenie. Poza tym dysponuje dobrą obroną antyrakietową, istnieje więc spora szansa, że zdoła przebić się nawet przez kilkanaście myśliwców. Chyba że będą uzbrojone w głowice nuklearne. Bo przy głowicach klasycznych, czyli z chemicznym materiałem wybuchowym, musielibyście użyć rakiet klasy ziemia-powietrze. Te, które są na uzbrojeniu samolotów, mają za małą siłę niszczącą.

- Rakiety przeciwlotnicze strąciły jego skrzydłowego - przypomniał Morris.

- Tak, ale odpalane z okrętów, więc większe od lotniczych, a poza tym były ich setki - odparła, ocierając pot z czoła. - A tak naprawdę to nie ich jakość była najważniejsza, tylko sytuacja: gdyby *Trolle* nie leciały tak szybko, że musiały skupić energię osłon na dziobach w celu uniknięcia spalania w atmosferze, byłaby mała szansa, by któraś przebiła się do myśliwca. A większe zniszczenia wywołał opór powietrza; gdy tylko miał punkt zaczepienia w postaci poszarpanej dziury w kadłubie, po prostu rozerwał maszynę na strzępy. Żeby przebić mu kadłub, potrzebny jest co najmniej *Patriot*, a raczej dużo *Patriotów*, by przeciążyć jego obronę antyrakietową.

- A tak się głupio składa, że nie mamy w tej okolicy tuzina baterii *Patriotów* - dodał Aston. - Co z kolei oznacza, że nie możemy liczyć na zniszczenie go w powietrzu. I to zakładając, że jeszcze nie wymyślił sposobu zakłócania naszych systemów samonaprowadzających. Żeby mieć pewność, że go zniszczymy, musimy go dorwać gdzieś na ziemi. Gdzieś, gdzie będziemy w stanie zbliżyć się do niego niepostrzeżenie z ciężką

bronią i ostrzelać, gdy będzie startował.

Morris pokiwał głową z nieszczęśliwą miną.

Ludmilla powiedziała im już dawno wszystko, co wiedziała o myśliwcu *Trolla*. Na dobrą sprawę jego jedynym słabym punktem było to, że do chwili znalezienia się około 100 metrów nad ziemią był pozbawiony osłony siłowej, bo pole miało właśnie taką średnicę. Oznaczało to, że nim osiągnie tę wysokość, każdy pocisk, który przejdzie przez jego aktywną obronę antyrakietową, trafi w kadłub. Tyle tylko, że przy osiąganych przez niego przyspieszeniach wzbicie się na tę wysokość trwało około jednej sekundy.

- Ważniejsze jest to, że jak wiemy, będziemy mieli okazję tylko do jednego ataku - odezwał się Aston. - Bo kiedy już zorientuje się, że go szukamy, podwoi środki bezpieczeństwa albo zrezygnuje ze skomplikowanych planów i po prostu zniszczy Ziemię. Musimy więc ten atak przeprowadzić tak, byśmy mieli jak największą szansę na zniszczenie go, a nie sposób tego zrobić, jak długo nie wiemy dokładnie, gdzie on jest. Nie możemy więc szukać go tak, by to zauważył, bo to go zaalarmuje i po prostu zmieni kryjówkę. Nie możemy go uprzedzić, że o nim wiemy, bo tracimy w ten sposób największą przewagę.

- Może... - Ludmilla ponownie otarła pot z czoła, co sprawiło Morrisowi lekką satysfakcję: symbiont nie zapewniał jednak pełnego komfortu. - Wiem, że mieliśmy nadzieję na dokładniejszą lokalizację, ale może lepiej się stało... Musi mieć dobrą kryjówkę, prawdopodobnie podziemną, bo *Trolle* lubią być pod ziemią, a my nie prowadziliśmy żadnych poszukiwań w okolicy od czasu kradzieży plutonu, jest więc pewien, że o nim nie wiemy. Dlatego nasz atak będzie dla niego kompletnym zaskoczeniem i straci cenny czas na zastanowienie się, co się właściwie dzieje.

- Ale żadnego ataku nie będzie, jak długo nie będziemy dokładnie wiedzieli, gdzie on jest - przypomniał Aston, obserwując ją z namysłem.

- Może jest sposób, żeby się tego dowiedzieć... - powiedziała powoli. - Mordecai, czy jakiś rodzaj samolotów może latać często nad tym rejonem, nie wzbudzając podejrzeń?

- Hmm... - Mordecai zmarszczył brwi, myśląc intensywnie.

Ale odpowiedzi udzielił jej Abernathy:

- Samoloty Służby Leśnej przez cały czas latają w tę i z powrotem nad parkami narodowymi i dużymi lasami w całym kraju.

Morris i Aston spojrzeli na niego z zaskoczeniem i szacunkiem, uśmiechnął się więc promiennie.

- Jestem z Kalifornii, wyrosłem w dolinie San Joaquin obok Narodowego Parku Sekwoja. Leśnicy w ten sposób uaktualniają mapy, polują na kłusowników, szukają nielegalnych

plantacji trawki i wypatrują pożarów. Kręcą się tam przez cały czas.

- Racja - zgodził się Morris. - A na południu było w tym roku wyjątkowo sucho, lotów przeciwpożarowych jest więc więcej niż zwykle.

- Doskonale. - Ludmilla uśmiechnęła się. - Spodziewałam się czegoś takiego. Dlatego bardzo mnie cieszy, że naprawiliśmy mój skafander.

- Dlaczego? - spytał Aston.

- Bo jego sensory są znów sprawne. Mogę w nim polecieć jednym z ich samolotów i wykryję jego kryjówkę. Nie jego samego, jeśli zakopał się pod ziemię, ale pozycję jego detektorów. A musiał je wystawić na zewnątrz, nie chcąc być ślepy i głuchy. Zresztą dlaczego miałby tego nie robić, skoro nie jesteście nawet w stanie wykryć energii jego skanerów.

- A twoje ją wykryją - ocenił Aston zwięźle.

Ludmilla skinęła głową.

- Nie, Milla! Potrzebujemy ciebie i twojego blastera w bitwie - sprzeciwił się Aston. - Namówiłaś mnie na ten kurs spadochronowy, bo było możliwe, że tak właśnie będziemy musieli dotrzeć na miejsce. Ale to byłoby już kuszenie losu, bo jeśli cię wykryje w tym samolocie...

- Nie wykryje, bo będę używała tylko pasywnych sensorów - przerwała mu spokojnie. - Resztę wyłączę. A to znaczy, że musiałabym się znaleźć sto metrów od niego, by mógł mnie wykryć, i to zakładając, że szukałby takich emisji. A nie szuka, bo uważa, że jestem martwa, nieprawdaż?

- Tylko żebyś rzeczywiście tak nie skończyła - burknął, ale w jego głosie słychać było troskę. I to prywatną, nie zawodową.

- No dobra - westchnął po chwili. - Z jaką dokładnością możesz go namierzyć?

- Przy odrobinie szczęścia jego detektory z dokładnością do jakichś dwudziestu metrów. A rejon, w którym będą rozmieszczone, to rejon jego kryjówki. Jeśli tak określisz miejsce, na które piloci mają uważać, to znacznie zwiększy ich szanse złapania go, gdy będzie startował.

Zapadła długa chwila ciszy.

- No dobra - westchnął powtórnie Aston, przerywając ją. - Nie podoba mi się to, ale nie widzę innego sposobu. Jak więc uważasz, gdzie on się ukrył?

- Tu. - Wskazała palcem na Sugarloaf Mountain. - Dokładnie w samym środku terenu wytyczonego przez Mordecaia. Tu jest bardzo sympatyczna dolina, widzisz? I nawet jakaś droga prowadząca do autostrady 212. I cała okolica jest gęsto zalesiona. W sumie doskonały teren na kryjówkę.

- Możesz mieć rację. Ale mógł też schować się w którejś z bocznych dolin.

- Może, ale to blisko, Dick. Gdzieś w tej górze albo jej bezpośrednim sąsiedztwie.

- Zgoda - przyznał, próbując przestać snuć pesymistyczne rozważania. - Mordecai, załatw z leśnikami samolot i pilota, którego gnojek nie będzie w stanie podsłuchać. Aha, i zleć Jayne sprawdzenie, czy nie upoluje jakichś zdjęć satelitarnych. Majorze Abernathy, o osiemnastej kompania ma być w pełnej gotowości bojowej.

- Tak jest, sir - potwierdził Abernathy.

- Mordecai, gdy wrócisz do Waszyngtonu, powiedz admirałowi McLainowi, że potrzebujemy parasola powietrznego - dodał Aston. - Z jakichś odległych baz, może być Langley czy Pax River. Są poza zasięgiem *Trolla*, ale na tyle blisko, że po dotarciu do celu mogą spędzić sporo czasu w powietrzu. Tylko podkreśl, że nie chcę, by piloci dowiedzieli się, o co chodzi. Znajdź dowódcę z właściwym EEG i wprowadź go we wszystko, żeby mógł opracować plan lotu i ataku, ale pilotom może powiedzieć prawdę dopiero...

Urwał, bo zdał sobie sprawę, że Morris go nie słucha.

- Mordecai?

Ponieważ nadal nie było żadnej reakcji, obrócił głowę i stwierdził, że Morris zahipnotyzowanym wzrokiem wpatruje się w Ludmillę, która zdjęła kurtkę mundurową i została w koszulce.

- Mordecai!

- Zaraz... momencik... Milla, skąd masz tę podkoszulkę?

- Tę? - zdziwiła się Milla, odruchowo wyglądając przód, na którym widniał wizerunek kościotrupa na koniu.

Aston popatrzył wpierw na Morrisa, potem na rysunek, który widział już wielokrotnie, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Tę - potwierdził Morris. - Według FBI w okolicy kryjówki pojawiła się grupa anarchistów, o której niewiele wiadomo poza tym, że należą do niej przedstawiciele wszystkich ras i bardzo szybko rośnie w siłę.

- I co z tego? - Aston nadal nic nie rozumiał.

- A to, że za godło przyjęli kościotrupa na białym koniu.

Zapadła cisza. Milla podeszła do stołu, chcąc wziąć raport FBI, a Morris, gdy znalazła się w jego zasięgu, złapał za jej podkoszulkę i naciągnął tak, by przeczytać napis pod rysunkiem.

- O cholera! - szepnął. - Nic dziwnego, że na to nie wpadłem! To nie z mojej bajki!

- O czym ty bredzisz, do diabła?! - zirytował się Aston.

- O tym, co tu jest napisane. Czwarty Jeździec - przeczytał cicho Morris.

Aston przyglądał mu się bez śladu zrozumienia.

Natomiast Abernathy wyprostował się gwałtownie.

- Czwartym Jeźdźcem Apokalipsy jest Śmierć - powiedział wolno i dobitnie Morris, patrząc Astonowi prosto w oczy.

W pomieszczeniu zapadła cisza absolutna.

Po chwili Aston odchrząknął i powiedział:

- No cóż... kiedy będziesz rozmawiał z McLainem, Mordecai, upewnij się, że każdy samolot parasola powietrznego będzie miał co najmniej jedną broń jądrową na stanie.

- Co?! - Morris wytrzeszczył na niego oczy. - A co z Marines na ziemi?! Nie możemy...

- Możemy i użyjemy, gdy wydam rozkaz! - warknął Aston. - Nie możemy się z nim pierdolić, bo jeśli wystartuje, to nam ucieknie i wszystko zacznie się od początku! Tylko będzie już wiedział, że go szukamy, pójdzie więc o wiele trudniej. Albo się wkurzy i odpali bombę. Jeśli więc wydam rozkaz albo jeśli dowódca osłony powietrznej zobaczy, że ścierwo startuje, ma użyć wszystkiego, żeby go zniszczyć. Rozumiesz?

Ponownie zapadła długa i ciężka cisza, którą w końcu niechętnie przerwał Morris:

- Rozumiem.

* * *

- Myślę, że to błąd, mistrzu - oświadczył Blake Taggart. - Wiemy, że są gotowi, to po co wszystko ryzykować teraz?

- Nielogiczne jest założenie, że coś, co nie zostało przetestowane, zadziała zgodnie z oczekiwaniami - odparł zimno *Troll* nieco rozbawiony, że tłumaczy coś człowiekowi, tak jak *Shirmaksu* tłumaczyli jemu przez niezliczone lata.

- Ale teraz jest za wcześnie! - uparł się Taggart.

Troll poczuł do niego niechętny szacunek, bo Taggart już raz miał okazję przekonać się, do czego prowadzi zbytni upór w dyskusji. Doszedł do siebie po dwóch dniach po tej lekcji.

- Nie jest za wcześnie - odparł zimno, ale spokojnie. - Im bliżej wyborów, tym poziom przemocy powinien być większy, ale przez cały czas kontrolowany i ukierunkowany. Muszę wiedzieć, że mogę zacząć, kiedy będę chciał, i skierować to robactwo tam, dokąd będę chciał, oraz że będę w stanie przywołać je do nogi, gdy spełni swoje zadanie. Od tego zbyt dużo zależy, żebym miał polegać na nieprzetestowanym narzędziu. A poza tym przedsmak tego, co nastąpi, powinien zwiększyć panikę. Ta miejscowość, Asheville, doskonale nadaje się na miejsce próby. Jest na tyle blisko, że mogę je obserwować przy użyciu zdalnie sterowanych kamer, na tyle małe, że nie wywoła dużego hałasu, ale na tyle duże, by móc ocenić, jak się zachowają nasi wybrańcy. A poza tym nie lubię tej dziury, bo jej władze okazały się być nie

do skontrolowania, a leży zbyt blisko bazy i zaczyna stanowić zagrożenie. Najlepiej będzie ją zniszczyć i tak też zrobię.

- Zniszczyć? - zaniepokoił się Taggart. - Ale to wymaga więcej...

- Sił niż te, którymi dysponuję tutaj - dokończył *Troll*. - Zgadza się i dlatego już zarządziłem zbiórkę. Nie wszystkich, ale wystarczającej części.

- Dlaczego w takim razie nie użyć Brygady? Nie wiemy, jak się sytuacja rozwinie, lepiej więc mieć pod ręką ludzi, co do których wiemy, że zrobią dokładnie to, co im się każe, nie to, co im się pośrednio sugeruje.

- Tak - zgodził się po chwili *Troll*. - To może być doskonały plan. Zwołaj ich wszystkich, przy okazji sprawdzimy też twój plan mobilizacyjny.

- Jak sobie życzysz, mistrzu.

DESTRUKCJA 1. «akt zniszczenia w wyniku świadomego działania albo klęski żywiołowej; może być fizyczna lub psychiczna (moralna), całkowita lub częściowa» 2. «zakończenie istnienia jakiegoś problemu, pozbycie się go» 3. «zabicie, pokonanie, usunięcie, zlikwidowanie; najczęściej dotyczy przedmiotów lub grup społecznych (staroangielskie *destruction*, z łacińskiego *destricte, destructeuor* - brać udział w *destructive*, czyli odwrotności budowania)»

*Webster-Wangchi Unabridged
Dictionary of Standard English
Tomas y Hijos, Publishers
2465 rok standardowy*

Rozdział XXI

- Nie wiem, co oni zamierzają, ale mam za mało ludzi, by ich powstrzymać przed czymkolwiek! - warknął Bill McCoury, szeryf hrabstwa Buncombe, patrząc bykiem na Jeremiaha Willisa i szefa policji Asheville Hugh Campbella.

- Bill ma rację, Jerry. - Campbell przetarł przekrwione oczy i z powrotem założył okulary.
- Ja też mam za mało ludzi. Miałem nadzieję, że brak zezwolenia ich powstrzyma, ale się myliłem. A jeśli chodzi o ten wyrok „...zabraniający jakichkolwiek zgromadzeń w hrabstwie Buncombe w Karolinie Północnej Sojuszu Białych z Appalachów lub/i Ku-Klux-Klanu lub/i Amerykańskiej Partii Nazistowskiej lub/i ewentualnych indywidualnych członków tych organizacji dowolnie siebie nazywających”, to nie widzę żadnego sposobu, by go wyegzekwować. Do tego potrzebne byłyby większe siły. O wiele większe siły.

- Wiem - warknął Willis. - Cóż... wszyscy wiedzieliśmy, że to się gdzieś musi zacząć...
Dzwonię do gubernatora.

* * *

- Mordecai?

Morris robił wrażenie bardziej zużytego niż zwykle, ale tak też się czuł, toteż widok jak zwykle nienagannie prezentującej się Jayne Hastings stojącej w drzwiach był dlań silnie przygnębiający. Tym razem jednak miał usprawiedliwienie: od trzydziestu sześciu godzin, czyli od powrotu z obozu Lejeune, był w ciągłym ruchu.

- Tak? - spytał, wskazując jej gestem fotel zavalony stertą wydruków.

Położyła je ostrożnie na podłodze, a potem usiadła.

- Nie jestem pewna... Milla już wystartowała?

- Ma lecieć jutro, o ile Dick nie zmieni zdania. - Morris wyjął z paczki papierosa. - A dlaczego pytasz?

- Przesunęliśmy jedną z *Hydr* tak, by przeleciała nad tym rejonem. Przy okazji wykończyliśmy jej zapas paliwa, ale to szczegół. Przyjrzałam się przesłanym przez nią zdjęciom i jestem pod dużym wrażeniem.

- Wiem. - Morris zapalił papierosa. - Nie mam pojęcia, jak oni to robią, ale z satelity na satelitę są coraz lepsze.

- I wydaje mi się, że coś znalazłam - dodała Hastings.

- Co to jest „coś”?

- Popatrz. - Położyła mu na biurku średnio wyraźne zdjęcie i ustawiła lampę tak, by je dobrze oświetlała. - Widzisz to?

Ołówkiem zakończonym gumką wskazała jasną, wijącą się linię grubości włosa, zakończoną równie jasnym półksiężycem.

- Widzę - przyznał ucziwie. - Co to za makaron?

- To jest droga prowadząca do Sugarloaf Mountain. Wąska. I pas asfaltu. Prowadzi do opuszczonego od lat rejonu wycinki drzew.

- I?

- Jasność to ciepło. To zdjęcie w podczerwieni. Żeby coś się tak świeciło, musi być porządnie rozgrzane.

- Od słońca padającego na asfalt w ciągu dnia?

- Żadne takie. Tego ciepła jest za dużo, to raz, a dwa, spore fragmenty są zacienione przez cały dzień. Widzisz te jaśniejsze kawałki? One nie leżą pod drzewami, ale pozostałe tak i różnica jest niewielka. Tylko jedna rzecz mogła wywołać taki skutek, Mordecai: samochody. Dużo samochodów jadących tą drogą w krótkim czasie.

- Jakich samochodów?

- Pojęcia nie mam, ale wszystkie zmierzały tu. - Położyła na zdjęciu drugie, wściekle krwawe, co oznaczało, że zostało komputerowo pokolorowane.

Był to powiększony fragment poprzedniego. Nitka stała się szeroką wstążką, a półksiężyc zmienił się w kilkanaście symetrycznie usytuowanych źródeł ciepła rozmaitej wielkości i kształtu.

- To są budynki - wyjaśniła Hastings. - I to duże, sądząc po liczbie ludzi...

Postukała gumką w skupiska kropek wokół budynków.

- Za bardzo się ruszają, żebyśmy mogli ich dokładnie policzyć, ale jest ich dużo. Kilkuset spokojnie. A teraz przyjrzyj się temu.

I położyła przed nim kolejne zdjęcie przedstawiające zalaną słońcem dolinę porośniętą drzewami zaczynającymi dopiero zmieniać barwy na jesienne.

- Widzisz coś ciekawego? - spytała.

- Nie.

- A powinieneś. To zrobione w dzień zdjęcie tego samego terenu, który oglądałeś w podczerwieni. Ci wszyscy ludzie, a jest ich, szacunkowo licząc, powyżej pół tysiąca, i wszystkie pojazdy tam zostały. Gdzie więc są?

- Hmm... - Morris wyjął z szuflady solidnych rozmiarów lupę i pochylił się nad zdjęciem.

Po długiej chwili starannego studiowania go przyznał:

- Nic nie zauważyłem.

- Podobnie jak wszyscy analitycy - pocieszyła go. - Więc przy następnym przelocie wykonaliśmy zdjęcie spektroskopowe.

I położyła na biurku kolejny komputerowo pokolorowany wydruk.

Morris patrzył na niego i nadal nic nie zrozumiał.

- Ten obszar - wyjaśniła Hastings, pokazując ołówkiem - to ten sam co na zdjęciach podczerwonych i nie zgadza się z otoczeniem. To fałszywka, Morris. Cała ta zieleń jest sztuczna.

Morris przez chwilę przyglądał się zdjęciu i wydrukowi, myśląc intensywnie.

- Jesteś pewna? - spytał w końcu.

Przytaknęła ruchem głowy i dodała:

- Na powiększeniu wyszło coś jeszcze. Popatrz tu. - Wyciągnęła z pliku fotografię w podczerwieni. - Widzisz tę plamkę?

Morris kiwnął głową.

- Znajduje się na górze nad obozowiskiem i też świeci, ale słabiej niż większość, wydziela więc mniej ciepła. A roślinność na zboczu to taki sam kamuflaż jak ten, który ci wcześniej pokazałam.

Potał nasadę nosa, przyglądając się temu, co mu pokazała, i analizując obrazy raz jeszcze. Podobnych plamek było kilkanaście, tworzyły ni to półkole, ni to podkowę otaczającą tę pierwszą wskazaną przez Jayne. Wyglądało to zupełnie jak ochrona... lub osłona. Tylko co kryjąca i z czego złożona...

- Co o tym wszystkim sądzisz? - spytał w końcu.

- To część narodowego lasu Pisgah i niczego nie powinno tam być. Sprawdziłam. Uważam, że to obóz wojskowy, i to sądząc po wielkości i liczbie źródeł ciepła, stacjonuje tam co najmniej batalion.

- Batalion?! Cholera! - Morris potrząsnął głową i sięgnął po telefon.

Wybrał numer i prawie natychmiast uzyskał połączenie.

- Tu komandor Morris - powiedział. - Proszę z admirałem Astonem. Pilne.

* * *

- Mają rację, panie gubernatorze - ocenił Melvyn Tanner, choć słyhać było, że wolałby wyrazić sprzeciw. - Docierają do nas naprawdę niepokojące informacje, i to z różnych źródeł. Drogówka zanotowała niespotykaną wręcz liczbę samochodów z rejestracjami spoza stanu kierujących się w ten właśnie rejon. A z Tennessee i Kentucky przyszły doniesienia, że jeszcze więcej takich wozów jest w drodze. To nie są miłośnicy ptaków czy krajobrazów.

- Wiem - burknął gubernator Farnam, bawiąc się wiecznym piórem. - Ale jeśli wezwę Gwardię Narodową, pokażemy, jak bardzo jesteśmy zaniepokojeni. Niedobrze mi się robi na samą myśl o daniu takiej satysfakcji bandzie rasistowskich świrów!

W ustach wnuka jednego z największych właścicieli niewolników w całym stanie zabrzmiało to szczególnie.

- Może, ale pańskim obowiązkiem jest zapewnić ład i bezpieczeństwo obywatelom w sytuacji, gdy lokalne władze nie są w stanie tego zrobić.

- No dobrze - ustąpił Farnam. - Proszę napisać proklamację, a ja dzwonię do Departamentu Sprawiedliwości!

* * *

- I co o tym sądzisz, Milla? - spytał Aston.

Oboje pochylali się nad stołem zasłanym zdjęciami przesłanymi kodowanym łączem przez Morrisa.

- Myślę, że to on. - Ludmilla wyraźnie starała się kontrolować entuzjazm. - To wszystko pasuje.

- Ale skąd on wziął tylu ludzi?!

- Słyszałeś, jaką nienawiść potrafił wzbudzić w ludziach. Dlaczego nie miałby wybrać najlepszych i stworzyć oddziału, który kontrolowałby bezpośrednio?

- Mogę się zgodzić, że mógłby ich wybrać i zebrać, ale jak potrafi utrzymać ich na miejscu? Jeśli to grupa paramilitarna, to musi mieć wojskową strukturę i łańcuch dowodzenia.

A kto będzie wykonywał rozkazy maszyny? A poza tym pokazując się takiej masie ludzi, znacznie zwiększa ryzyko ujawnienia swego istnienia.

- Nie sądzę, bo wcale nie musi się im pokazywać - sprzeciwiła się. - Najprawdopodobniej znalazł sobie Alexona... no, quislinga... zdrajcę i dobrowolnego pomocnika. Wystarczy mu jeden, a jednego jest w stanie kontrolować całkowicie.

- No dobrze - zgodził się Aston. - Ale to znaczy, że mamy poważny problem, bo ten obóz znajduje się tuż obok naszego celu. Jayne twierdzi, że jest ich batalion, ale może się mylić, więc praktycznie nie wiemy, na co się natkniemy.

- Wiesz... to wygląda jak standardowa placówka Kangi - powiedziała powoli. - Widzisz ten prostokąt, przy którym jest mniej ludzi? To powinna być zbrojownia. A te dwa najsłabsze źródła ciepła na szczytach półksiężyca to stanowiska czujników... Te dwa duże prostokąty, koło których jest najwięcej ludzi, to koszary... A ten łańcuszek to stanowiska ciężkiej broni.

- Jezu! Jakiej?! Z XXV wieku?

- Wątpię. Bez problemu mógłby ją zaprojektować, ale nie miałby z czego jej wykonać. Gdybyś trafił, powiedzmy, w XV wiek, mając ze sobą plany i warsztat, zdołałbyś zbudować *Bazookę*?

- Mocno w to wątpię - Aston nawet nie próbował ukryć ulgi.

- Właśnie. On miałby ten sam problem: obwody molekularne, nadprzewodniki i cała reszta jest niedostępna. A możliwości techniczne, by je zbudować, powstaną dopiero za dobre sto lat. Prawdopodobnie ma dość części zapasowych, by skonstruować kilka lekkich działek, ale na pewno nie tyle, ile jest stanowisk strzeleckich. To może wyglądać jak placówka Kangi, ale uzbrojenie będzie takie, jakie znasz. Głównie.

- Głównie! - prychnął z wyrzutem. - To miło.

- Cóż, życie to nie je bajka.

- Racja - przyznał ciężko. - Nie podoba mi się to. Nie wiemy, ilu ich tam jest, jak dobrze są uzbrojeni, wyszkoleni i dowodzeni.

- Nie wiemy - przyznała spokojnie. - Normalna taktyka walki lądowej *Trolli* to coś, co trzeba zobaczyć, żeby w to uwierzyć, ale on nie może jej zastosować. W myśliwcu mieści się ledwie kilka robotów bojowych i lekka, góra średnia pancerka. *Trolle* polegają na kombinacji prędkości i siły ognia, Dick. Pędzą na przeciwnika i zasypują go lawiną ognia. Ich ciężki sprzęt jest bardzo wytrzymały, podobnie jak generatory pól siłowych. Trudno je zniszczyć. Ale on nie ma ciężkiej pancerki i nie zna taktyki piechoty. To znaczy może znać teorię, ale nigdy nie współdziałał z piechotą ani też nią nie dowodził. Kompania Terran Marine Raiders zrobiłaby z nim porządek w trzy minuty. Tyle że oni dysponują bronią, za którą Dan i Alvin

zapłaciliby każdą cenę. Ale uważam, że oni też dadzą sobie radę. Znają się na tym, mają dobre wyposażenie i będą dysponować przewagą płynącą z zaskoczenia. To jeden z najlepszych oddziałów szturmowych, jakie widziałam, i żadna zbieranina, jak dobrze by była uzbrojona i wyszkolona, nie może się z nimi równać pod względem doświadczenia czy skuteczności. A poza tym, jak już mówiłam, *Troll* nie ma żadnego doświadczenia w dowodzeniu tego rodzaju walką.

- A jeśli „zwerbował” kogoś, kto je ma?

- To i tak będzie miało niewielkie znaczenie. *Trolle* są niesamowicie aroganckie. Mógł z umysłu kogoś takiego dowiedzieć się wszystkiego, ale i tak sam będzie decydował o taktyce, czyli w najlepszym przypadku będzie teoretykiem bez doświadczenia. Niczym świeżo awansowany podporucznik zaraz po szkółce, który musi zastąpić pułkownika. Jaki rezultat osiągnie według ciebie?

- Przeciwnik konkursowo skopie mu dupę - przyznał Aston z satysfakcją.

- Właśnie. Tak będzie, jeśli nie zlekceważymy tej sytuacji.

- To nam nie grozi. A przynajmniej mnie, bo jestem za bardzo przerażony. A założyć musimy najgorsze. Na szczęście mamy czas wszystko zaplanować. Poza tym nawet okopany batalion piechoty zmotoryzowanej miałby problem z siłami, którymi dysponujemy.

- To dobrze. W takim razie lepiej przesunąć ten lot na dziś, żeby wszystko sprawdzić.

- W żadnym wypadku! Wiemy, gdzie skurwiel jest i...

- Dick, nie wiemy, tylko sądzimy, że wiemy. Nie możemy przyjąć założenia za pewność.

Muszę...

- Nic nie musisz, do cholery! Poczekamy parę dni, zobaczymy, czy ci w dolinie się nie rozjadą, a potem...

Dalszą tyradę przerwał Astonowi dźwięk telefonu.

Ludmilla nie dała się ponieść nerwom, wiedząc, że jego złość wynika z całej masy powodów, w znacznej części osobistych, wobec których był bezsilny.

Drugi dzwonek zmusił go do podniesienia słuchawki.

- Aston - warknął.

- To ja - rozległ się dziwnie napięty głos Morrisa.

Aston zmarszczył brwi i przełączył telefon w tryb konferencyjny, uaktywniając głośniki mikrofonu.

- Milla też tu jest - wyjaśnił. - O co chodzi?

- W rejonie celu robi się gorąco. Z północy i zachodu walą kukluksy i naziści. Kupą i z bronią.

- Wiemy o tym - skwitowała Ludmilla.

- Nie wiecie - zaproponował ponuro Morris. - To nie jest jakiś tam zjazd - to, co się dzieje, przechodzi oczekiwania wszystkich. Gubernator wezwał Gwardię Narodową, lokalne siły wraz z Patrolem Stanowym utworzyły blokady na wszystkich głównych drogach prowadzących do Asheville. W trzech hrabstwach ogłoszono godzinę policyjną od zmierzchu do świtu. Wszyscy policjanci są na służbie, ale wątpię, by to wystarczyło. Pierwszy konwój kukluksów i nazistów trafił na blokadę na US 23 w hrabstwie Madison tuż za granicą z Tennessee. Rozstrzelali z broni maszynowej czterech zastępców szeryfa i pojechali dalej. To samo stało się na I-40 w hrabstwie Haywood. Gwardia musiała zająć stanowiska w pobliżu Asheville. Nie znam szczegółów, ale doszły mnie słuchy, że pododdziały Gwardii zaczęły strzelać do siebie, a nie do bandytów, i żadnego perymetru obronnego nie ma. Jakby tego było mało, z południa zbliża się następna banda wariatów.

- Przecież ten zaszary zjazd miał być dla idiotów z górskich stanów! - wtrącił Aston.

- Teoretycznie jest, ale Wilkins dzwonił właśnie z uprzedzeniem, że w drogę wybrali się też ci z Atlanty, Georgii i Karoliny Południowej. A do Asheville zbliżają się też kolorowi rasiści, żeby nie dopuścić do zjazdu.

- Przecież to czyste wariactwo!

- Nie, Dick - powiedziała spokojnie Ludmilla. - To *Grendel*.

- Ale dlaczego? Dlaczego teraz chce konfrontacji, i to akurat w takim zadupiu jak Asheville?

Wzruszyła ramionami.

- Może chodzić o swoisty rodzaj testu. Albo to pierwszy krok do realizacji planu. Nie wiadomo i nie jest to ważne. Ważne, że to on.

- Na ile zła jest sytuacja, Mordecai? - spytał Aston.

- Całkowicie. Napastników są tysiące, na Gwardię nie można liczyć: jak już mówiłem, strzelają do siebie zamiast do nich...

- Gwardia to też ludzie - wtrąciła Ludmilla. - Wszędzie są tacy i tacy.

- Kurwa! - podsumował Aston z uczuciem.

- Gubernator mobilizuje jednostki Gwardii Narodowej spoza rejonu, a prezydent postawił w stan gotowości 82. Powietrznodesantową - dodał Morris. - Nikt nie przewidział tego, co się stało w lokalnych jednostkach, a ja, cholera jasna, powinienem był!

- Czas na gorzkie żale będzie później. Mów dalej o sytuacji.

- Rejon Asheville to jeden wielki chaos. Drogi prowadzące na wschód i północ są zatłoczone przez mieszkańców próbujących uciec. Ci na północnych jeszcze nie spotkali się z

napastnikami, ale to tylko kwestia czasu i zacznie się masakra. Lokalne władze nie wiedzą, komu mogą ufać. Ogłoszono stan wyjątkowy, ale gubernator Farnam nie chce użyć spadochroniarzy, tylko przerzucić drogą powietrzną jednostki Gwardii z innych stanów, żandarmerię wojskową i SWAT. Trudno mu się dziwić, bo 82. nie jest szkolona do likwidowania zamieszek, tylko do walki w mieście.

- A wszystko wskazuje na to, że do tego właśnie dojdzie - ocenił Aston.

- Ale on tego nie wie, a my nie możemy mu nic powiedzieć, boi się więc dużej liczby ofiar.

- Czyli na jaką pomoc może liczyć?

- Wygląda na to, że pierwsze jednostki dotrą na lotnisko w Asheville za cztery-pięć godzin. A do tej pory napastnicy od dawna będą w mieście. Przynajmniej ich główne siły. A kolorowi właśnie będą dojeżdżać.

- Kurwa! - powtórzył Aston i spojrzął na Ludmillę. - Na żadne loty nie ma czasu, Milla. Jeśli to on za tym stoi, nie zostaje nam nic innego, jak skorzystać z zamieszania. Lepszej okazji może nie być.

- Zgadzam się.

- Mordecai, powiedz Ansonowi, że wchodzimy.

- Teraz? W ten burdel?

- Teraz. Słyszałeś dlaczego. To może być początek czegoś naprawdę dużego, co skomplikuje nam życie, trzeba więc to zdusić w zarodku. - Aston uśmiechnął się, błyskając zębami. - To zresztą może nam pomóc, bo przy takim zamieszaniu nie zwróci uwagi na nasz przelot.

- No dobrze... - przyznał powoli Morris. - Parasol powietrzny załatwiony.

- Kiedy chcesz go uruchomić?

- Zaraz. Odprawa i startujemy. Góra za trzy godziny będziemy w drodze i od tego momentu potrzebna jest osłona z powietrza.

- Rozumiem. Dopilnuję, by była.

Rozdział XXII

Zastępca szeryfa Holden Mitchell spokojnie ładował swoją strzelbę *Ithaca Model 37*. Do magazynka pod lufą wchodziło osiem nabojów, a dziewiąty w lufę po przeładowaniu. Na tę okazję wybrał śrut kalibru 00 - każdy z nabojów składał się z dziewięciu ołowianych kul kal. . 33, czyli 8,3 mm. Nie było lepszego ładunku do zatrzymywania dużej liczby istot żywych. *Ithacę* kupił za własne pieniądze. Wolał ją od służbowych *Remingtonów 870*. i świetnie się nią posługiwał - mógł celnie strzelać tak szybko, jak tylko zdołał przeładować. Kiedyś byłby skłonny przyznać, że wybór takiej broni może świadczyć o początkach paranoi, ale tego dnia był zadowolony, że tak postąpił. I nikt nie mógł mu zarzucić, że jest nienormalny. Świry dopiero się zbliżały.

Popołudniowe słońce oświetlało podwójną wstęgę asfaltu, ale powietrze było chłodne. A jego oczy lśniły zimnym blaskiem - znał wszystkich czterech zastępców szeryfa rozstrzelanych kilka kilometrów na południe od niego. Kątem oka spojrzał na swego partnera. Twarz Allena Farmera pozostała nieprzenikniona, ale ten, kto go znał, mógł rozpoznać po subtelnych objawach, że wcale nie jest tak spokojny, na jakiego wygląda. Początkowo nie był zachwycony, że przydzielono mu Murzyna jako partnera, ale szybko mu przeszło, choć pozostało między nimi pewne napięcie - ślad świadomości dzielących ich różnic - choć nigdy o tym nie rozmawiali. Poza tym jednak szanowali się wzajemnie i ufali sobie, a nawet zaprzyjaźnili się do pewnego stopnia. Mitchellowi na przykład nie podobało się podejście Allena do ludzi - zakładał, że każdy napotkany człowiek jest rasistą, dopóki nie udowodni, że tak nie jest. Nigdy nie stracił nad tym kontroli, ale Mitchell go przejrzał.

A dziś zrozumiał, dlaczego Allen tak właśnie podchodził do ludzi.

Za ich plecami z piskiem opon zahamował patrolowiec policji stanowej i dwaj policjanci podeszli do blokady, którą tworzyły dwa patrolowce stykające się maskami na prowadzącym na południe pasie drogi. Drugi tarasowała ciężarówka z pniami zarekwirowana przez Mitchella.

- Jak tam z tyłu? - spytał Mitchell.

- Mars Hill w porządku. Póki co - odparł kapral. - Ale w Asheville są jakieś kłopoty. Podobno gwardziści zaczęli strzelać do siebie.

- Kurwa! - Mitchell splunął brązową od żutego tytoniu śliną na asfalt. - Wy dwaj to całe

posiłki?

- Obawiam się, że tak, dopóki Gwardia się nie uspokoi - mówił spokojnie, mimo że czoło miał mokre od potu. - No i według mnie to nie jest rewelacyjna pozycja obronna.

- To obaj tak myślimy, ale nie ma lepszej, a musimy ich powstrzymać przed skrzyżowaniem Dziewiętnastki i Dwudziestki Dwójki. Taki rozkaz.

I wzruszył ramionami.

- Ano - mruknął policjant i otarł pot z czoła.

A potem znieruchomiał, słysząc słaby jeszcze, ale rosnący dźwięk silników samochodowych.

- Powiedzieli mi, że ty tu dowodzisz. Jak chcesz to załatwić?

- Kazano mi ich zatrzymać. Po tym, co zrobili z poprzednią blokadą, doszedłem do wniosku, że nie będę się bawił w żadne durne wezwania. To znacznie skuteczniejszy argument - wyjaśnił Mitchell i poklepał kolbę strzelby.

Kapral uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Też jestem tego zdania.

* * *

Trollem aż mentalnie wstrząsnęło z rozkoszy, gdy wreszcie poczuł krew. Umundurowani idioci, którzy próbowali zatrzymać jego sługi, zapłacili za głupotę życiem, a on odkrył, że ekstaza spowodowana zabijaniem jest silniejsza, gdy widzi śmierć człowieka, a nie tylko ją sobie wyobraża. Zwłaszcza gdy widzi ją za pośrednictwem umysłu mordercy. I może to powtarzać, przechodząc z umysłu w umysł, bo zabójców było wielu.

To było wszechogarniające uczucie, które go karmiło i wzmacniało... i wzbudzało pragnienie kolejnych śmierci i zniszczenia. On zaś przekazał sługom pragnienie dalszego działania.

Jechał więc z nimi, gdy pokonali kolejne wzniesienie i zobaczyli przed sobą następną blokadę.

* * *

Mitchell dostrzegł pierwszy wóz zjeżdżający z wzniesienia. Był to mikrobus. Za nim ciągnął się sznur pick-upów, sedanów, terenówek i Bóg wie czego jeszcze. Wszystkie wozy zapchane były radośnie wrzeszczącymi i uzbrojonymi ludźmi. Wolał nie liczyć, jaki jest stosunek sił. Przełknął ślinę i postanowił, że nie ucieknie.

- No, panowie, zająć stanowiska i czekać, aż zaczną - polecił.

Pozostali trzej mężczyźni wykonali rozkaz w milczeniu. Stanowiska wybrali już wcześniej, a policjanci stanowią okazali się większą pomocą, niż sądził, bo uzbrojeni byli w karabinki szturmowe *M-16*, i to starej wersji *A1* niemającej ogranicznika pozwalającego oddawać tylko krótkie, trzypociskowe serie.

- Jeszcze trochę, skurwysyny... - powiedział cicho. - Podjedźcie jeszcze trochę bliżej...

* * *

Troll swoją wściekłością i głodem śmierci rozpałał ludzkie sługi tak, że zbliżający się do blokady nie byli już motłochem. Nie byli nawet już ludźmi. Byli jego przedłużeniem, jego narzędziami pozbawionymi własnej woli.

* * *

- Ognia! - krzyknął Mitchell.

I nacisnął spust.

Prawie równocześnie usłyszał huk strzelby *Farmera* i serie z obu *M-16*. Przednia szyba mikrobusu rozprysnęła się na drobne kawałki, a w ślad za nią poszły boczne, gdy wóz skręcił gwałtownie, zjechał na pobocze i znieruchomiał. Przy takim ostrzale nikt nie miał prawa z niego wyjść, za to coś zaczęło się w nim palić. A potem eksplodowało.

Przeniósł więc ogień na pick-upa, celując nie w kabinę, lecz w jadących na pace. *Farmer* zrobił to samo, a *M-16* przeorały silnik i kabinę, natychmiast przenosząc ogień na kolejny samochód. Ten eksplodował, a kolejne dopiero teraz zaczęły z piskiem opon hamować, częstokroć wpadając na siebie.

Mitchell strzelał tak szybko, jak tylko zdołał przeładowywać, a *M-16* przeszły na ogień ciągły, kosząc wyskakujących na asfalt prawie tak szybko, jak opuszczali samochody. Dopiero po parunastu sekundach w kierunku policjantów padły pierwsze strzały ze strony pasażerów kolejnych wozów, którzy zdążyli się za nimi ukryć.

W niebo były trzy słupy tłustego, czarnego dymu, asfalt zasłany był zabitymi i rannymi, a pierwsza kolumna napastników została powstrzymana.

Póki co.

* * *

Trollem zatrzęsała furia, gdy kolumna znalazła się pod ogniem i stanęła. Co prawda byli to tylko ludzie, ale byli to jego ludzie. Ich śmierć była słodka, ale nie aż tak jak śmierć, którą zadawali. Skrzywił się i skierował ku nim całą swoją nienawiść, podrywając ich do nowego

ataku.

* * *

- Zaraz przez nas przejdą! - wrzasnął Mitchell do mikrofonu. - Gdzie ta kurewska Gwardia?!

Jego wóz postrzelany jak sito siedział na obręczach, bo z opon zostały strzępy. Patrolowiec policji stanowej płonął, a jeden z policjantów był martwy. Za to kapral walił w atakujących krótkimi, mierzonymi seriami. Po każdej jeden lub dwóch napastników padało na asfalt. Wtórował mu Farmer z *M-16* zabranego zabitemu.

Ale to nie powstrzymywało pozostałych.

- Wycofaj się, 4-2! - polecił dyspozytor.

- Jak? - warknął Mitchell, ładując broń, i roześmiał się chrapliwie.

- Pomoc jest już w drodze, 4-2. Wytrzymajcie!

- Mam robotę! - skwitował Mitchell i puścił mikrofon zwisający z okna po stronie kierowcy.

Przeturlał się pod środkową część samochodu i otworzył ogień do atakujących.

* * *

Gdy do blokady dotarł transporter opancerzony *M113* Gwardii Narodowej, panowała tam cisza i spokój, jeśli nie liczyć skwierczenia i trzasku dopalających się samochodów. W zapadającym zmroku gwardziści naliczyli 73 zabitych leżących na drodze; spalonych w trzech samochodach woleli nie liczyć. Z policjantów nie przeżył żaden.

Mitchell i Farmer leżeli obok siebie. Pierwszy ścisnął w dłoniach strzelbę ze strzaskaną i zakrwawioną kolbą, a drugi dwa opróżnione z naboju pistolety.

* * *

Aston i Abernathy obserwowali pochyloną nad mapą podpułkownik Clare Dickie dowodzącą 200. Grupą Powietrzną USMC. Rozmawiała przyciszonym głosem ze swoim oficerem operacyjnym, obliczając odległość i czas. Widać było, że nocny lot nisko nad Appalachami nie był szczytem ich marzeń.

Abernathy też nie był szczęśliwy i trudno było mu się dziwić - miał zaatakować nie tylko *Trolla*, ale i jego ludzkich pomocników, których siły i uzbrojenia nie znał. Szacunkowe dane pochodzące od Ludmilli mogły się okazać prawdziwe, ale nie musiały. Jeśli przeciwników było więcej lub jeśli *Troll* zdołał wyposażyć ich nie w dwa, lecz w dziesięć działek

energetycznych, różnica mogła okazać się fatalna.

Sztab Kompanii T był niewiele mniejszy niż standardowego batalionu Marines i wszyscy od początku wiedzieli, że na planowanie operacji nie będą mieli wiele czasu, ale nikt się nie spodziewał aż tak wariackiego tempa. Nadarzyła się jednak niepowtarzalna okazja, którą trzeba było wykorzystać.

- No więc, sir, będziemy gotowi za czterdzieści pięć minut - zameldowała w końcu Dickie. - Najbardziej mnie martwi to, gdzie was wysadzić.

- Wiem. - Aston poszukał mapy Sugarloaf Mountain w dużej skali. - To wygląda na najlepsze miejsce.

I pokazał rejon zachodniej części o niezbyt zachęcającym ukształtowaniu.

- Wiem, że tam nie da się wylądować, ale możecie zawisnąć metr nad ziemią. W tym miejscu są tylko krzaki, bo rok temu był pożar i nic większego nie zdążyło wyrosnąć. Zeskoczmy i resztę drogi pokonamy pieszo.

- A *Herculesy*, sir? Tam nie da się zrzucić pojazdów.

- Ani ich użyć, gdyby nawet się dało. Pojazdy mają się znaleźć tu. - Wskazał miejsce, w którym prowadząca w dolinę droga łączyła się z NC 212. - Wiem, że to nie będzie łatwe, ale nigdzie bliżej się nie da.

- To pięć kilometrów, sir. I to w linii prostej, nie tą serpentyną - zauważyła Dickie.

- Wiem. I dlatego chcę, żebyście zrobili to tak głośno, jak się da. Flary, reflektory oświetlające lądowisko, pełne światło i dźwięk. I tak nie zdążą, by uczestniczyć w głównym ataku, przynajmniej więc mogą odciągnąć uwagę. Zrzutu dokonacie dziesięć minut przed desantem piechoty. To powinno odciągnąć główne siły z obozu na drogę.

- Rozumiem... - Dickie zmarszczyła brwi, ale już nie protestowała. - To jest wykonalne, ale wolałabym wysadzić was bliżej celu, sir. Ze strefy desantu do wrogich pozycji jest tysiąc metrów w linii prostej...

Oboje wiedzieli, że teren jest nierówny i porośnięty wysoką trawą i krzewami. Pokonanie go w nocy nie będzie ani łatwe, ani szybkie.

- To może mieć swoje zalety. - Aston uśmiechnął się kwaśno. - Nie wiemy, jaką mają obronę przeciwlotniczą...

Nim zdążyła odpowiedzieć, do sali wszedł oficer łącznościowy Kompanii T.

- Gubernator Farnam zmienił zdanie, sir - zameldował, stając przed Astonem. - 82. Dywizja jest już w drodze. Wygląda na to, że sytuacja w rejonie celu wymyka się spod kontroli, sir.

- Kurwa! - powiedział cicho, ale z uczuciem Aston.

* * *

- Wiem, że słyszeliście różne plotki o tym, co się dzieje w okolicy celu. - Major Abernathy bez zbędnych wstępów rozpoczął odprawę oficerów i starszych podoficerów kompanii. - Chciałem wam powiedzieć, że to, co słyszeliście, to prawda. Ostatnie meldunki mówią o ciężkich walkach na północy i północno-zachodnich przedmieściach Asheville. Gwardia robi, co może, ale to nie są typowe zamieszki, tylko wojna domowa. Nie była na to przygotowana, bo w przeciwieństwie do nas nie mogła poznać prawdy.

Zrobił przerwę, by dać im czas na opanowanie wściekłości. Taka reakcja była naturalna, bo dla zawodowych żołnierzy amerykańskich obecność jakichkolwiek wrogich sił na ziemi amerykańskiej stanowiła osobistą obrazę. Atak terrorystyczny to jedno, tym bardziej że przeciwdziałanie takowym nie należało do obowiązków sił zbrojnych. Natomiast zupełnie inną sprawą była długotrwała obecność wrogich sił i zabijanie przez nie Amerykanów. Przekonanie o nienaruszalności amerykańskiego terytorium dawało żołnierzom siłę. To, że wrogiem okazali się obywatele USA, nie miało żadnego znaczenia, bo wszyscy obecni wiedzieli, że odpowiedzialny za to jest cyborg z przyszłości.

- Teraz dobre informacje - kontynuował Abernathy. - Zwiad satelitarny ustalił kryjówkę *Trolla*.

Przez obecnych przeszedł jakby ledwie zauważalny podmuch.

- Lokalizacja jest potwierdzona, więc wyruszamy zaraz.

Tym razem rozległ się całkiem słyszalny pomruk przypominający do złudzenia warczenie.

Abernathy uśmiechnął się zimno i ze zrozumieniem.

- Plan operacji jest właśnie opracowywany - oznajmił. - Przypominam, że w łączności radiowej nadal obowiązuje kryptonim *Grendel* i że nie mamy kompletu informacji. I nie wątpię, że Murphy jak zwykle da o sobie znać. Ale jesteśmy Marines, zrobimy więc to co zwykle: zaadaptujemy się, będziemy improwizować i zwyciężymy. Dalszy ciąg odprawy poprowadzi kapitan Ross.

Po czym usiadł.

A do zasłoniętej mapy podeszła Ludmilla. Zdjęła materiał ją zakrywający i wzięła do ręki wskaźnik. Zdjęcie doliny i jej mapę widzieli już wcześniej, ale pierwszy raz mieli okazję oglądać ją z nałożoną przezroczystą folią, na której zaznaczono wszystkie obiekty i stanowiska znalezione przez Jayne Hastings i analityków zdjęć satelitarnych. Nie wiedzieli także, że ich prawdziwym celem jest dostarczenie kapitan Ross na tyle blisko kryjówki

Trolla, by mogła oddać do niego jeden strzał, gdy nadejdzie właściwy moment. W tej kwestii uświadomiono ich dopiero teraz. Spowodowało to radykalną zmianę w rozważaniach, kim tak naprawdę jest i skąd się właściwie wzięła pani kapitan.

- Ten obóz wygląda na standardową placówkę Kangi i powinien mieścić między 700 a 1000 ludzi - oznajmiła spokojnie, po czym zajęła się omawianiem poszczególnych elementów. - ...To są stanowiska strzeleckie broni wsparcia - kontynuowała. - Jest możliwe, że znajdą się wśród niej jedno lub dwa działka energetyczne. Wygląda na to, że mogą kryć ogniem drogę i południowy koniec doliny. A to jest najprawdopodobniej wylot tunelu, w którym ukryto myśliwiec.

Mówiąc to, pokazała gwiazdę na zboczu ponad obozem i zdjęła mapę. Pod nią była inna, ukazująca strefę desantu.

- To jest strefa desantu. Jak widzicie, znajduje się w odległości około tysiąca metrów od południowego końca obozu i około tysiąca siedmiuset metrów od wylotu tunelu, choć atak będzie powodował, że odległość wyda się większa. Nic nie wskazuje na to, by ten kierunek ataku był blokowany ogniem jakichkolwiek stanowisk obronnych lub by znajdowały się tu jakieś czujniki. Należy jednak liczyć się z jakimś przypadkowym odkryciem w trakcie pokonywania terenu. Jest on pofałdowany i porośnięty krzewami, nie da się go więc przebyć błyskawicznie. Pamiętajcie, że tym razem liczy się szybkość, nie skryte podejście. Żeby odciągnąć uwagę *Trolla*, wozy pancerne zostaną zrzucone przy odbiciu drogi do doliny z drogi stanowej dziesięć minut przed nami. Będzie temu towarzyszyło duże zamieszanie, obrońcy powinni więc skupić uwagę na tym kierunku i tam przegrupować siły lub przynajmniej ich część. Po wylądowaniu pluton porucznika Freya i drużyna sierżanta Sandersona zajmą pozycje tutaj. Gdy *Troll* zorientuje się, że jesteśmy tak blisko, najprawdopodobniej wyśle do kontrataku roboty, rozstawcie więc *Dragony*, gdy tylko zajmiecie pozycję, i zniszczcie je, gdy tylko się pokażą. Słucham, poruczniku?

Pytanie stanowiło reakcję na uniesioną rękę jednego z obecnych.

- Jeśli zorientuje się, że jesteśmy tak blisko, może odlecieć. Jak go powstrzymamy, ma'am? - pytanie było sensowne, ale coś w tonie i w zachowaniu wskazywało, że oficer słyszał pogłoski o użyciu broni nuklearnej.

Ludmilla spojrzała mu prosto w oczy i odparła spokojnie:

- To, że będziemy powyżej niego, da nam dużą szansę. Nie będzie wiedział, jaką bronią dysponujemy, dopóki nie opuści tunelu, a to nie nastąpi błyskawicznie. Będzie więc łatwym celem dla rakiet. Możemy go poważnie uszkodzić, a tego nie zaryzykuje. Wpierw będzie chciał oczyścić zbocze przy pomocy robotów. Dopiero gdy mu się to nie uda, zdecyduje się

odlecieć. A do tego czasu będziemy już mieli wsparcie lotnicze i gdy tylko się pokaże, rozwalimy go.

- Czym, ma'am? - Porucznik najwyraźniej chciał usłyszeć głośno i wyraźnie, że bierze udział w misji samobójczej.

Do czego w opinii Astona i Ludmilli miał pełne prawo.

- Głowicami nuklearnymi, jeśli będziemy musieli - odparła rzeczowo. - Ale jeśli złapiemy go, nim znajdzie się sto metrów nad ziemią, nie będzie takiej konieczności. Wystarczą *Mavericki* i *Superdragony*, ponieważ niżej nie może uaktywnić pola siłowego, a większość stanowisk obrony antyrakietowej ma tak rozmieszczone, by chroniły spód kadłuba i burty. Czy ta odpowiedź pana zadowala, poruczniku Warden?

- Tak, ma'am. Dziękuję.

- W takim razie wracamy do tematu głównego. Drugi pluton zajmie stanowiska obronne wokół pozycji *Dragonów*, a pierwszy, z którym będziemy admirał Aston i ja, dotrze do dna doliny, zlikwiduje na tym odcinku stanowiska ogniowe wroga i zaatakuje koszary. Stąd będziemy mieli doskonałe pole ostrzału zarówno głównej części obozu, jak i wylotu tunelu. W tym czasie major Abernathy przeniesie swoje stanowisko dowodzenia tutaj, dzięki czemu znajdzie się nad wylotem tunelu, a trzeci i czwarty pluton wraz z plutonem przeciwpancernym porucznika Atwatera...

Aston przestał jej słuchać. Obserwował zebranych. Plan był dobry, ale większość planów operacyjnych, jakie poznał, była dobra. Problem polegał na tym, że żaden nie sprawdzał się zbyt długo w trakcie realizacji. O wszystkim decydowało to, jak ludzie zachowują się pod ogniem, gdy zostaną zmuszeni do improwizacji.

W jego ocenie mieli 60% szans na sukces, 70%, jeśli wszystko zagra na początku. Ale nawet wówczas straty będą duże. Jeśli nie zagra, wyniosą 100%.

Oczami wyobraźni ujrzał grzyb atomowy nad górami Karoliny Północnej i aż nim wstrząsnęło.

* * *

Jeremiah Willis spojrział z szóstego piętra hotelu na ciężarówki i transportery opancerzone parkujące przy wjeździe do budynku. Lepiej by się czuł we własnym gabinecie, ale stanowisko dowodzenia przeniesiono z ratusza do hotelu z kilku istotnych powodów. Było tu więcej miejsca, położenie przy skrzyżowaniu Patton Avenue i Broadway Street zapewniało łatwy dostęp do każdej części miasta, a na dodatek ratusz stanowił oczywisty cel dla choćby byle jak, ale zorganizowanej bandy napastników. A ci byli zorganizowani, choć na szczęście

nie najlepiej.

Wystarczająco jednak, by jak dotąd wygrać, o czym najlepiej świadczyła luna nad zachodnią częścią miasta i fakt, że mimo klimatyzacji w powietrzu wyczuć można było dym.

- Nadal utrzymujemy Dziewiętnastą i Dwudziestą Trzecią - poinformował go generał brygadier Evans. - Ale przenikają przez nasze pozycje, używając dobrych lokalnych drózek i uliczek. Wygląda na to, że kierują się ku Weaverville Road, a kilkuset posuwa się wzdłuż Sześćset Dziewięćdziesiątej Czwartej. Na tych czeka pluton kapitana Taylora wsparty bronią maszynową na Merrimon Avenue.

Evans nie wyglądał najlepiej, czemu trudno się dziwić: najpierw jego ludzie postrzelali się między sobą, a gdy ten problem zlikwidowano, okazało się, że imponująca siła, jaką jest brygada Gwardii Narodowej, to za mało, by obronić średniej wielkości miasteczko. Sytuację pogarszała jeszcze gęsta sieć dróg przez to miasteczko przechodzących.

- A co na zachód od Patton Avenue? - spytał szeryf Campbell. - Może pan tam coś posłać, generale?

- Nie wiem - przyznał ten, przeczesując włosy palcami. - Wybuchła właśnie strzelanina przy New Leicester Highway. A jaka jest wasza sytuacja?

- Zepchnęli nas prawie do poczty - przyznał ponuro Campbell. - Skurwieli są dobre trzy setki i mają broń maszynową. Tracę ludzi, a od początku nie miałem ich zbyt wielu. Jeśli zepchną nas jeszcze z pięćset-sześćset metrów, pańscy ludzie przy autostradzie mogą zostać odcięci.

- No dobra - westchnął Evans, po czym polecił swemu zastępcy: - Al, weź z odwodu pluton *M113* i wyślij go, żeby ustabilizował sytuację.

- Tak jest, sir.

- To wszystko, co mogę dać, szeryfie - wyjaśnił posepnie Evans. - Ta banda nadciągająca z południa jest równie groźna. Jak na razie Gwardia z Karoliny Południowej trzyma ich na US 25 przed granicą z nami, ale właśnie przebili się na I-26. Nie mogę bardziej osłabić sił obsadzających południowe przedmieścia.

- Rozumiem, panie generale.

- To dobrze - skwitował Evans i pochylił się nad planem miasta.

Willis, nie mając nic lepszego do roboty, obserwował przez okno, jak obsady transporterów gaśnicowych zajmują miejsca w pojazdach. Na szczęście to, od czego się zaczęło, czyli strzelaninę między gwardzistami, udało się szybko opanować, bo tych, którzy otworzyli ogień do towarzyszy, było tylko kilkunastu i gdy minął pierwszy szok, długo sobie nie postrzelali. Evans miał prawo czuć się dumny, bo jego „niedzielni żołnierze” nie tylko nie

poddali się wtedy panice, choć niewiele brakowało; nie załamali się także później, gdy starli się z wrogiem, o którego istnieniu nawet pojęcia nie mieli i na którego nie przygotowały ich żadne ćwiczenia. Od początku walczyli bohatersko i z uporem, by uratować miasto.

Tyle tylko, że wszystko wskazywało na to, że im się nie uda.

- Jerry. - Głos Campbella wyrwał go z zamyślenia. - Skurwiele podpalili St. Joe i właśnie dostałem informację od Billa McCoury'ego, że Biltmore House płonie.

- Dzięki, Hugh - powiedział cicho Willis, woląc nie myśleć, co działo się w największym w mieście szpitalu, kiedy go podpalono. - Zrób, co możesz.

* * *

W Bazie Lotnictwa Morskiego Patuxent River panowała gorączkowa aktywność. Było to centrum testowe położone w południowo-zachodniej części stanu Maryland, gdzie najlepsi piloci floty i Korpusu sprawdzali możliwości nowych maszyn i nowego uzbrojenia. Ale myśliwce *F/A-18 Hornet* czekające na sygnał startu z podwieszonym maksymalnym ładunkiem uzbrojenia nie miały w planach lotów ćwiczebnych czy sprawdzających ich możliwości. Należały do dwóch jednostek: VFA-432, VF-433 i *Tomcaty* z CVW-18 normalnie bazującej na pokładzie USS *Theodore Roosevelt* czekały na sygnał w bazie Oceana. Ponieważ lotniskowiec nadal przechodził naprawę w stoczni w Norfolk, przebazowano jednostkę na ląd i uprzedzono, że weźmie udział w ćwiczeniach, do których jakoś nie dochodziło.

Jedynym, który znał prawdę, był komandor Ed Staunton kryjący się w cieniu hangaru przed dokuczliwym deszczem i popijający kawę z dymiącego kubka, w czasie gdy obsługa naziemna uzbrajała jego *Horneta*.

Był pilotem myśliwskim i szturmowym i lata całe przygotowywał się do takiej właśnie misji jak ta, którą miał tego wieczoru dowodzić. Co więcej - wiedział, jaki cel ma zaatakować, i bardzo chciał dorwać gnoja, który zatopił *Kidda*. Ale przerażała go broń podwieszona do jednego z podskrzydłowych zaczepów. Nigdy dotąd takiej nie użył i z tego co wiedział, od 1945 roku nikt w całym amerykańskim lotnictwie tego nie zrobił. Owszem, ćwiczyli to, ale ćwiczenia to zupełnie coś innego. Teraz mieli po nią sięgnąć na amerykańskiej ziemi, na dodatek wiedząc, że w bezpośrednim sąsiedztwie celu jest kilkuset Marines, z których żaden tego nie przeżyje.

I dlatego właśnie targały nim mieszane uczucia.

Rozmyślenia przerwało mu podejście skrzydłowego, porucznika Jake'a Frisco.

- Skipper...

- Tak, Jake?

- Co tu się, do diabła, wyprawia? - spytał cicho Frisco.

Najwyraźniej nie uwierzył w oficjalną wersję, co Stauntona nie zaskoczyło. Porucznik był inteligentny, a nie trzeba było geniusza, by się zorientować, że największe nawet zamieszki grożące zniszczeniem niewielkiej w sumie miejscowości nie uzasadniają użycia trzech eskadr *Hornetów*, które tę miejscowość zniszczą w jednym nalocie.

- Dlaczego podczepiają...

- Jake, nie pytaj, bo nie musisz wiedzieć - przerwał mu Staunton.

- Przecież to przemalowane...

- Wiem, co to jest, a ty się módl, żeby inni się nie zorientowali. Trzymaj gębę na kłódkę i módl się o coś jeszcze: żeby nie musiały zostać użyte. Jasne?

Coś w jego głosie musiało przekonać rozmówcę, bo zamilkł, spojrzał tylko uważnie na Stauntona, kiwnął głową i odszedł. Staunton zaś ponownie przyjrzał się swojemu samolotowi. Pocisk z ładunkiem nuklearnym podobnie jak pozostałe został przemalowany tak, by niczym się nie różnił od innych, konwencjonalnych, i aby nie zdradził go żaden napis czy symbol.

Odwrócił się od maszyny, wyprostował i ruszył ku sali odpraw na ostatnie przed lotem spotkanie z pilotami. Na tej odprawie mieli dowiedzieć się prawdy. A prawda była taka, że każdy samolot miał na uzbrojeniu „specjalną broń” oznaczoną B83 o mocy jednej megatony.

* * *

Fort Bragg w Karolinie Północnej został za lecącymi na zachód z prędkością 650 kilometrów na godzinę transportowymi *C-17*. Wolniejsze helikoptery szturmowe wystartowały wcześniej, by nad celem znaleźć się równocześnie z desantem i udzielić im wsparcia ogniowego. W przedziale desantowym każdego *Globemastera III* znajdowało się 105 spadochroniarzy z pełnym wyposażeniem. Wszyscy należeli do 1. Brygady 82. Dywizji Powietrznodesantowej *All America*. Byli przygotowani do walki w każdym zakątku kuli ziemskiej, ale żadnemu nigdy nie przyszło do głowy, że przyjdzie im walczyć w zachodniej części Karoliny Północnej.

W prowadzącej maszynie znajdował się Sam Tyson wraz ze sztabem. Jak wszyscy był w polowym mundurze, a na twarzy i dłoniach miał maskujący kamuflaż. Wiedział, że pozostałe dwie brygady są w stanie pełnej gotowości bojowej, by wyruszyć z pomocą w razie potrzeby, a 101. Dywizja Powietrznodesantowa *Screaming Eagle* znajduje się w stanie podwyższonej gotowości bojowej. Wiedział też, że jeśli do opanowania sytuacji będą potrzebne obie, czyli cały XVIII Korpus Powietrznodesantowy, prościej będzie ewakuować mieszkańców,

zbombardować zajęte przez świrów tereny i zacząć od nowa.

Westchnął i spróbował usadowić się wygodniej, ale było to niemożliwe. Ten, kto zaprojektował metalowo-brezentowe siedzenia, był sadystą, i to kultywującym rodzinną tradycję, bo czytał gdzieś, że już w samolotach z okresu II wojny światowej miejsca dla spadochroniarzy określano jako „wykwit oszalałego funkcjonalizmu”. Jedynym pocieszeniem było to, że lot nie miał trwać długo i nie będą musieli skakać - lotnisko w Asheville nadal było w rękach policji i Gwardii Narodowej.

* * *

Dick Aston przymknął oczy. Czuł wibrację kadłuba *Ospreya* i sąsiedztwo Ludmilli. Jak wszyscy była w maskującym mundurze i kamizelce kuloodpornej, tyle że pod spodem miała swój skafander, o czym nikt poza nim nie wiedział. Zaplecione w warkocz włosy ukryła pod hełmem, a twarz i dłonie pomalowała maskującymi farbami.

Osprey był nieporównanie wygodniejszy i cichszy od helikopterów wszelkiej maści, które dotąd dostarczały go na miejsce akcji. I dwukrotnie szybszy. Niedawno opuścili deszczowe Lejeune, a już zbliżali się do oddalonego odcinka o prawie 500 km Spruce Pine, skąd mieli rozpocząć dołot do celu. Czyli trzymać się nisko, wykorzystując góry jako osłonę przed systemem wczesnego ostrzegania, jaki rozstawił wokół kryjówek *Troll*. Mieli lecieć na Relief w Karolinie Północnej doliną Nolichucky, czyli nad miejscem kradzieży plutonu, aż do River Hill w Tennessee, a potem wzdłuż Tennessee 81 do Carmen w Karolinie Północnej i od wschodu dotrzeć do Sugarloaf Mountain.

Natomiast *Herculesy* ze Spruce Pine miały ruszyć prosto wzdłuż US 19, przelecieć nad grzbietem znajdującym się na południe od Sugarloaf i zrzucić pojazdy Kompanii T. *Herculesy* były nieco szybsze od *Ospreyów* i miały krótszą drogę do pokonania, ale pułkownik Dickie zaplanowała wszystko dokładnie, by obie grupy znalazły się na ziemi w wyznaczonym czasie. Aston był pewien, że tak właśnie będzie. Martwiło go to, co nastąpi później.

Kolejny raz doszedł do wniosku, że jest za stary na takie akcje. Powinien był zostać w sztabie i pozwolić Danowi dowodzić, ale nie potrafił. I nie dlatego, że mu nie ufał. Częściowo powodem była duma, którą można by też nazwać arogancją, i chęć udowodnienia, że jest naprawdę dobry i zrobi coś ważnego dla świata wspólnie z najlepszymi. Głównie to przyciągnęło go lata temu do Sił Specjalnych. A ważniejszej operacji dotąd nie było i wątpił, by nastąpiła w przewidywalnej przyszłości, o ile ta się powiedzie.

Ale to był tylko jeden powód i być może nie najistotniejszy. Bo ten prawdziwie ważny

siedział obok i udawał, że go nie ma. A to od niej i jej blastera tak naprawdę zależał los planety. I dlatego przyznawał sam przed sobą, że się boi - o siebie, o Ziemię, a najbardziej o Ludmillę.

* * *

Ludmilla kątem oka spojrzała na Dicka wyglądającego niczym uosobienie spokoju. Znała wielu żołnierzy - przez ponad 50 lat w zasadzie nie spotykała cywilów - ale żaden nie wywarł na niej takiego wrażenia.

Może dlatego, że do żadnego nie zbliżyła się emocjonalnie, wiedząc, co oznacza uczucie do zwykłego śmiertelnika. Może dlatego, że żadnemu nie zawdzięczała życia. A może powodem było to, że jej uwierzył i przekonał innych, by uwierzyli.

Był doświadczonym zabójcą tak jak ona, ale pod pancerzem zawodowca krył się delikatny i bezbronny człowiek. Pamiętała wyraz jego oczu, gdy pierwszy raz się kochali - były w nich niedowierzanie, lęk przed odrzuceniem i postanowienie, żeby jej nie „wykorzystać”. Właściwie chciała mu wtedy tylko podziękować i umocnić przyjaźń przelotnym związkiem, ale jakoś wyszło inaczej, choć wiedziała, że będzie ją to drogo kosztować. Zwłaszcza jeśli oboje przeżyją. Bo za parę lat go straci i pozostanie zupełnie sama w obcym świecie, w którym znajomy będzie tylko żal...

Wiedziała, że on po części zna jej uczucia. I wiedziała też, jak ciężko jest mu się pogodzić z tym, że weźmie udział w walce. W jej czasach kobiety służyły w wojsku i walczyły od wieków, w jego dopiero niedawno zaczęto je do wojska przyjmować. A Dick był żołnierzem w okresie, w którym kobiet w jednostkach liniowych nie było w ogóle i gdy panowało powszechne przekonanie, że należy je chronić przed okrucieństwem wojny. Nie sądziła, by wielu ludzi w jego sytuacji potrafiło pogodzić się z tym, że ona jest równie dobrym, o ile nie lepszym żołnierzem od niego. Jej większe doświadczenie było bowiem teorią - dla niego jej wojna była czymś, co mógł intelektualnie zaakceptować, ale w co nie do końca wierzył, bo nie brał w niej udziału.

I dlatego nie powiedziała mu jednego. Że z tej odległości *Troll* jest w stanie wykryć i śledzić jej blaster od chwili, gdy wyjmie go z kabury i uaktywni.

Rozdział XXIII

Asheville ginęło.

Jeremiah Willis skrzywił się odruchowo, słysząc kanonadę z broni ręcznej i maszynowej. Na północy widać było łunę nad Woodfin, a gwardziści zostali wyparci wzdłuż wschodniego brzegu French Broad River aż do I-240. Jak dotąd zatrzymali wszystkie ataki ku Beaucatcher Mountain i utrzymywali rejon północnego Asheville od Merrimon Avenue na wschodzie, ale cały obszar między Merrimon a rzeką zajęty był już przez napastników. Widać tam było kilkadziesiąt pożarów przebijających przez wszechobecny dym.

Pozostałości policji miejskiej rozdzielono jako przewodników do pododdziałów Gwardii Narodowej próbujących powstrzymać natarcie wzdłuż Patton Avenue i West I-40. Gwardia osłaniała policję stanową ewakuującą cywilów, którzy z jakiegoś powodu jeszcze nie uciekli. Jedynymi ofiarami, jakimi się przejmowano, były własne oraz cywile. Do napastników strzelano jak do wściekłych psów, profilaktycznie dobijając rannych, bo ci najczęściej walczyli do końca.

Willisowi w najgorszym koszmarze nie śnił się podobny rozwój wydarzeń. To nie były zamieszki, to była regularna wojna z przeciwnikiem żadnym krwi i zniszczenia. Dla napastników wrogiem był każdy, czy miał broń, czy nie.

Wszystkie meldunki były zgodne w jednym: napastnicy mordowali każdego, kogo spotkali, chyba że wcześniej chcieli go zgwałcić, i niszczyli wszystko, ogarnięci ślełą furją.

Odruchowo spojrział na stojący pod oknem *M-16*. Od wielu lat nie miał na sobie munduru, ale nie zapomniał, jak się strzela. I nie zamierzał uciekać przed wariatami dewastującymi jego miasto. Jeżeli dotrą aż tutaj, będzie walczył.

I prawie miał nadzieję, że dotrą...

* * *

Porucznik Curtis Spillers z Gwardii Narodowej Karoliny Północnej schylił się, gdy kule z jękiem zrykoszetowały od pancerza ze spiekanego aluminium, w jaki wyposażony był jego transporter opancerzony *M113*. Uśmiechnął się gorzko, bo przypomniało mu się zdanie z podręcznika: „Zorganizowany oddział zawsze pokona tłum”. Może w normalnych warunkach to się sprawdzało, ale tej nocy rozwój wydarzeń od wielu godzin udawał fałsz tego

twierdzenia. Pewnie dlatego, że motłoch, z którym miał do czynienia, ogarnięty był żądzą zabijania i w jakiś być może instynktowny sposób tworzył prymitywną formę zorganizowanej siły.

Po burcie zabębniły kolejne pociski. Tym razem była to seria z *M-60*, najprawdopodobniej zabranego któremuś z zabitych gwardzistów. No chyba że jeszcze jakieś świry poza tymi, których zabili na początku, ujawniły się w szeregach Gwardii...

Odczekał, aż strzelanina przycichnie, i wskoczył na transporter, zajmując miejsce za *Browningiem M2*. W przeciwieństwie do późniejszych wersji *M113*, nie wspominając już o *Bradleyach*, ten podobnie jak pozostałe transportery gaśnicowe brygady nie miał ani wieżyczki strzeleckiej, ani nawet płyty pancernej osłaniającej strzelca. Cóż, *M113* został opracowany pół wieku temu jako opancerzona taksówka dla wojska, a nie bojowy wóz piechoty. Większość potem unowocześniono, ale nie wszystkie, i teraz jako jedyną osłonę miał *Browninga* kal. .50. Porucznik złapał uchwyty karabinu maszynowego i nacisnął przycisk spustu, celując w budynek, z którego prowadził ogień *M-60*. Półcalowe pociski z pełnym płaszczem były większe od jego kciuka, leciały z prędkością 900 metrów na sekundę, toteż zwykła ściana nie stanowiła dla nich przeszkody.

W części wozów brygady wymieniono *Browningi* na automatyczne granatniki *Mk19*, jeszcze skuteczniejsze w rozwalaniu ścian, ale Spillers nie narzekał - okno, futryna i kawał otaczającej je ściany właśnie zniknęły w obłoku ceglanego pyłu, z którego wylatywały odłamki wielkości pięści. Korzystając z przerwy we wrogim ostrzale, desant zbliżył się do budynku i dołożył swoje, bijąc w okno z granatników kal. 40 mm.

Spillers przerwał ogień i czekał, co będzie dalej. Wewnątrz zakotłowało się od wybuchów, a potem coś eksplodowało, wybijając sąsiednie okna. Z mieszkania wystrzeliły przez nie smugi dymu i charakterystyczny ogień powstający, gdy pali się benzyna. Skurwiele nie tylko zrobili tam sobie stanowisko strzeleckie, ale najwyraźniej urządzili też podręczny magazyn koktajli Mołotowa. Wtórna eksplozja wyrzuciła płonąca postać, która wrzeszcząc, spadła na ulicę. Łupnęła o asfalt z głuchym hukiem i przestała wrzeszczeć.

Ale Spillers obniżył lufę i wpakował w nią trzy pociski.

Tak na wszelki wypadek.

* * *

Herculesy 200. Grupy leciały nisko nad ziemią, zostawiając za sobą światła Spruce Pine. W okolicy było tak normalnie i spokojnie, że trudno było uwierzyć w to, o czym informowano z Asheville i okolic. Podpułkownik Dickie nie traciła czasu na podziwianie

krajobrazu - pilnowała kursu i uparcie ignorowała szkarłatną łunę nad Asheville.

* * *

- Jest generał Evans, sir - zameldował porucznik odpowiedzialny za łączność.

Pułkownik Tyson wyciągnął rękę i porucznik podał mu słuchawki połączone z mikrofonem.

- Tu pułkownik Tyson. Jaka sytuacja jest na dole, sir?

- Niedobra, pułkowniku - poinformował go zmęczonym i zaniepokojonym głosem Evans.

Tyson dobrze go rozumiał - brygada piechoty, nawet złożona z rezerwistów, była potężną siłą. Problem w tym, że walki uliczne wymagały dużej liczby żołnierzy i powodowały największe straty. W takiej bitwie duże, pomysłowe manewry były niewykonalne, wszystko spadało na barki młodszych oficerów i podoficerów i sprowadzało się do zażartych bojów o każdy dom i każdą ulicę niewielkimi siłami, najczęściej drużyny lub plutonu. No i był to chaos, nad którym trudno było zapanować, bo sytuacja zbyt szybko ulegała zmianie, istniało zbyt wiele miejsc potencjalnych zasadzek, zbyt wiele lokalnych skrótów nie zaznaczonych na żadnym planie i zbyt wiele osłon dla potencjalnych kontrataków. Nie było gdzie rozwinąć sił, a wsparcie ogniowe często trafiało nie w to, co miało. Prywatnie uważał, że ludzie Evansa spisali się lepiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

- Straciliśmy zachodnią część miasta. - Evans najwyraźniej wziął się w garść. - I wygląda na to, że chcą nas rozciąć wzdłuż French Broad. Na razie utrzymujemy front, ale musimy się stopniowo wycofywać. W innych rejonach miasta co chwila pojawiają się jakieś grupki z koktajlami Mołotowa i bronią krótką, ale to bardziej uciążliwość niż zagrożenie. Jak dotąd na południu spokój, ale to nie potrwa długo. Banda nadjeżdżająca I-26 jest równie bojowa jak ci, których już mamy w mieście, tyle że kolorowa. To jedyna różnica. Właśnie wyrzucili kompanię Gwardii z Hendersonville, które spalili do cna.

- Rozumiem, sir. A jaka jest sytuacja na lotnisku?

- Obsługa wieży i większość pracowników uciekła, ale oświetlenie działa, a porządku pilnuje pluton moich ludzi, kilku policjantów oraz ochrona lotniska. To niewiele, ale jak dotąd wystarczało, bo atakowały ich tylko odosobnione grupy. To się wkrótce zmieni.

- I owszem - zgodził się rzeczowo Tyson. - Moje *Apache* są już nad lotniskiem, a pierwszy transportowiec wylądował za dziesięć minut.

- Dzięki Bogu!

- Zabezpieczymy lotnisko i zablokujemy I-26 na wysokości Airport Road, a potem ruszymy na północ Dwudziestą Szóstą. Spróbuję ominąć miasto i wyjść na zachód, by

zablokować możliwość dotarcia posiłków do napastników. Jeśli mi się to uda, zaatakuję ich od tyłu i zgnieciemy ich z dwóch stron.

- Brzmi obiecująco - ocenił Evans. - Czekamy na was.

- Powodzenia, sir.

- Panu także, pułkowniku.

* * *

- *Romeo Jeden*, tu Kontrola *Pax*, macie zezwolenie na start. Uważajcie, nad Virginia Beach jest Bachston. Powodzenia.

- Kontrola *Pax*, tu *Romeo Jeden*. Zrozumiałem i dziękuję. *Romeo Jeden* do wszystkich *Romeo*: zaczynamy.

Komandor Staunton zwolnił hamulec i poczuł, jak jego *Hornet* rusza do przodu. 23 myśliwce czekały na jego start, ale starał się o nich nie myśleć w tej chwili. Odczekał, aż prędkość przekroczy 125 węzłów, i poderwał samolot.

23 *Hornety* kolejno poszły w jego ślady.

Na południu dwie eskadry z CVW-18, czyli 24 *Tomcaty*, już były w powietrzu. Miały do wyrównania rachunek za towarzyszy z USS *Theodore Roosevelt*.

* * *

Blake Taggart dygotał, odruchowo osłaniając oczy dłonią, choć był to bezsensowny gest. Walczył, by oddzielić to, co zostało z jego własnej osobowości, od wszechogarniającej ekstazy mistrza. Dzieło zniszczenia, jakiego *Troll* dokonał, przerażało go, i to nie tyle z powodu skali, ile zagrożenia, jakim się stało. Ta niewielka część jego, która pozostała z prawdziwego Blake'a Taggarta, rozpoznała, co się dzieje, ale nie miała możliwości tego powstrzymać.

Dla *Trolla* śmierć i zniszczenie były niczym narkotyku dla narkomana. Rozkoszował się nimi poprzez tysiące umysłów podporządkowanych w mniejszym lub większym stopniu swej woli i zarażonych jego nienawiścią. Ta nienawiść wisiała niczym duszące opary nad płonącym miastem. To była jego słodka zemsta i napawał się nią.

I zupełnie zapomniał, że to tylko próba. Fakt, jeszcze zanim się wszystko zaczęło, zdecydował, że Asheville zostanie zniszczone, ale głód mordy i żądza zemsty po pierwszych zabójstwach wymknęły się spod kontroli i spowodowały, iż wykonawcy przeszli samych siebie. Asheville płonęło, ale nie tylko ono - od granicy stanowej wzdłuż I-26 płonęły domy, miasteczka i osady, znacząc szlak tych, którzy zmierzali do Asheville i w myśl pierwotnego

planu dopiero tam mieli przyłączyć się do orgii gwałtów, mordy i zniszczenia. A przecież nie zrobili tego samodzielnie, bo byli pod jego kontrolą.

Taggart zdołał wyrwać się w końcu z tego obłądu i, zataczając się niczym pijany, opuścić tunel. Dotarł do jakiegoś drzewa i spłynął wręcz po jego pniu, opierając czoło na kolanach i oddychając głęboko. Prawie czuł dym, a jego umysł płonął nawet tutaj. Zrozumiał, że został ukształtowany przez *Trolla* na jego podobieństwo. Nie był już sobą i nie był indywidualnością. Pozostał mu tylko fragment osobowości i woli, dzięki której zdołał po długiej walce odłączyć się od szалу, który opanował *Trolla*.

Podniósł się powoli, jako tako nad sobą panując, i ruszył ścieżką do obozu. Jego kroki stawały się coraz pewniejsze i stopniowo wracała mu zdolność myślenia o czymś innym niż zabijanie. Był wdzięczny samemu sobie, że zdołał przekonać *Trolla*, by wyłączył z akcji zgromadzonych w obozie członków Brygady Apokalipsy.

Nie miał pojęcia, co by się stało, gdyby ogarnęła ich taka sama żądza krwi jak niszczących Asheville.

* * *

- Zbliżamy się do River Hill, panie admirale - oznajmiła pułkownik Dickie.

Aston wstał i przeszedł do kabiny pilotów.

Niebo nad górami na południowym wschodzie rozświetlała krwawa luna.

- *Herculesy* są prawie na miejscu, sir. Za minutę rozpoczną rozładunek - dodała Dickie.

Nad rampami desantowymi zapłonęły zielone lampki oznaczające gotowość do desantu. Żołnierze 1. plutonu Kompanii T zaczęli ostatnie sprawdzenie broni.

* * *

Pułkownik Tyson czuł zimną satysfakcję.

Tak jak miał nadzieję, jego brygada wygrała wyścig.

Napastnicy napłynęli drogą I-26, bez trudu przełamując blokady obsadzone tak przez policję stanową, jak i lokalną, i skierowali się prosto ku lotnisku. Tyle że pierwszy *C-17* wylądował na nim dwadzieścia minut wcześniej i spadochroniarze zajęli pozycje wybrane jeszcze przed opuszczeniem Fort Bragg. Po rampie zjechały *Bradleye* i lekkie czołgi *LPM8*, które zastąpiły wysłużone *Sheridany* będące od lat na wyposażeniu dywizji. Wozy zajęły pozycje wzdłuż perymetru obronnego, nim pojawiły się światła kolumny zbliżającej się Airport Road.

Tyson nie tracił czasu na wezwania do kapitulacji, strzały ostrzegawcze czy podobne

bdzury. Gdy pierwsze wystrzelone na oślep kule zagwizdały nad głowami jego ludzi, dał rozkaz otwarcia ognia. Kolumnę złożoną z cywilnych wozów najrozmaitszych marek i wielkości oraz ciężarówek zdobytych na Gwardii Narodowej zasypała lawina pocisków z broni ręcznej i maszynowej, do której natychmiast dołączyły szybkostrzelne działka kal. 30 mm zamontowane na *Apachach* i 25-milimetrowe działka *Bradleyów*, które dosłownie rozstrzeliwały pojazdy, o pasażerach nie wspominając. Kolorytu całości dodawały pociski zapalające wypełnione białym fosforem wystrzeliwane z dział *M35* kal. 105 mm, w które uzbrojone były *LPM8*.

Masakra była tak błyskawiczna, skuteczna i prawie kompletna, że garść niedobitków oprzytomniała natychmiast i rzuciła się do panicznej ucieczki. Tyson miał ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż ich ścigać. Nad lotniskiem pojawiły się po radiowym wezwaniu transportowce z drugim rzutem jego brygady. A on pochylił się nad mapą, sprawdzając ostatni raz zaplanowaną trasę.

Najwyższy czas, żeby skopać skurwielom dupy.

* * *

Jeremiah Willis przykucnął za spalonym wrakiem *M113*. Niewielka grupa napastników przeniknęła jakoś przez linię Gwardii Narodowej i przy użyciu koktajli Mołotowa oraz zdobytych wyrzutni rakiet typu *LAW* i *AT-4* zniszczyła kilkanaście ciężarówek i kilka transporterów gaśnicowych parkujących wokół hotelu, nim gwardziści ich wybili. Willis sam zastrzelił dwóch i ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że sprawiło mu to prawdziwą satysfakcję.

Napastnicy zniszczyli napotkane po drodze stacje transformatorowe i linie przesyłowe, ale oświetlały ich wystarczająco dobrze pożary, które sami wzniecali, a na tle których byli widoczni niczym czarne sylwetki na strzelnicy. Willis wychylił się, oddał długą serię do postaci ostrzeliwującej obsługę karabinu maszynowego i ponownie przykucnął. Nie wiedział, czy trafił, ale pojedyncze strzały umilkły.

Półcalowe pociski smugowe wystrzelone z dachu hotelu przeorały kolejną grupę zbliżającą się Patton Avenue, rozrzucając wokół odstrzelone głowy, ręce i nogi. Istniała co prawda minimalna szansa, że byli to próbujący uciekać cywile, ale strzelec tego rozpoznać z takiej odległości nie był w stanie, a wołał nie ryzykować. I Willis całkowicie go rozumiał.

Kanonada z lewej strony przybrała na sile, bo rozpoczął się kontratak siłami kombinowanej kompanii, który miał odbić wjazd na I-240. Atakujących miał prowadzić O'Henry Avenue i Haywood Street kapitan, ale zginął przy drugim skoku, trafiony w głowę, i

dowodzenie przejął porucznik.

Burmistrz Asheville obserwował pobojowisko przed spalonym transporterem, z całych sił opanowując chęć oglądania się na południe i zastanawiania, gdzie, do diabła, jest Osiemdziesiąta Druga Powietrznodesantowa.

* * *

- *Tango Leader*, tu *Tango 2-7*: zaczynamy - rozległo się w słuchawkach.

Podpułkownik Dickie kiwnęła z zadowoleniem głową - meldunek przyszedł dokładnie pięć sekund przed wyznaczoną porą, czyli o czasie.

Dwa prowadzące *C-130* zniżyły się nad autostradą oświetloną przez flary i pokładowe reflektory, aż znalazły się trzy metry nad nawierzchnią. Rampy załadunkowe były już opuszczone i zjechały z nich pierwsze dwa *LAV-25 Piranha*. Przy zrzucie z takiej wysokości używano wyłącznie palet amortyzujących, toteż ważące po 14 ton samochody pancerne z hukem i trzaskiem pękającego drewna wylądowały na ziemi po jednym na każdym pasie autostrady. A w ślad za nimi w równych odstępach lądowały następne.

Herculesy pozbyły się ładunku w ciągu paru sekund i odleciały, a ich miejsce zajęła następna para. Natomiast nad miejscem pierwszego zrzutu zawisły na minimalnej wysokości dwa *Ospreye*, z których wyskoczyły załogi pancerek i żołnierze desantu. Podbiegli do wozów, odpięli łańcuchy mocujące do palet i do odgłosów lądujących palet i lotniczych silników doszedł warkot odpalanych silników samochodowych oraz specyficzny szczełk przeladowywanych półcalowych *Browningów* i granatników *M19* kal. 40 mm. Po serii rozkazów pierwsze pojazdy ruszyły krętą, wąską asfaltówką ku Sugarloaf Mountain.

Ich śladem kolejno podążały następne, aż droga opustoszała.

Flary zgasły, samoloty odleciały, a kolumna posuwała się w ciemnościach. Kierowcy i strzelcy mieli noktowizory, a reflektory zdradziłyby przeciwnikowi dokładne położenie maszyn i ułatwiły celowanie.

* * *

Taggart aż się zatoczył z wrażenia, gdy usłyszał pierwszy meldunek radiowy. To było niemożliwe! Jakim cudem ktoś ich odkrył?

Szok sparaliżował go na kilka chwil, gdy usiłował zrozumieć, jak doszło do niemożliwego. A potem wziął się w garść - teraz nie było ważne „jak”, tylko „ilu”. Na szczęście pomyślał o wystawieniu posterunków obserwacyjnych przy zjeździe z autostrady i zorganizowaniu przy drodze stanowisk ogniowych, mimo że *Troll* nie uznał tego za

konieczne. Teraz wydał stosowne rozkazy i w obozie ogłoszono alarm. Ludzie zajmowali stanowiska, a pięćdziesięcioosobowe wsparcie zgodnie z wcześniejszym rozkazem wyruszyło, by wzmocnić placówki przy drodze.

Dopiero gdy się uspokoiło, Taggart zdał sobie sprawę, że nie poczuł absolutnie żadnej reakcji mistrza.

* * *

- *Tango Leader*, tu *Tango 2-7*, *Slugger* na miejscu. Powtarzam: *Slugger* na miejscu.

- *Tango 2-7*, tu *Tango Leader*, dobra robota, Ken - pochwaliła Dickie.

Przed maszyną pojawiły się światła *Carmen*, zrobiła więc zwrot na nowy kurs prowadzący już prosto ku górującej na horyzoncie Sugarloaf Mountain.

* * *

Pierwsza rakietą wypadła pomiędzy drzew niczym meteor i ciągnąc za sobą ognisty ogon, chybiła o jakieś pół metra, przelatując obok wieżyczki prowadzącej *Piranhi*. Siedzący w wieżyczce Marine natychmiast ją obrócił i otworzył ogień z *Browninga* kal. .50 w mrok, w kierunku, z którego wystrzelono przeciwpancerny pocisk. Tylne drzwi przedziału desantowego otworzyły się z trzaskiem i na asfalt wyskoczyła przewożona drużyna, natychmiast rozsypując się w wachlarz i skokami atakując rejon, z którego odpalono raketę. Moment później druga trafiła prosto w wieżyczkę pojazdu.

I Martin Jordan Van Hoy z Trenton w New Jersey został pierwszym zabitym w bitwie o Sugarloaf Mountain przedstawicielem United States Marine Corps.

Rozdział XXIV

- Jesteśmy na miejscu, panie admirale! - zameldowała Dickie, przekrzykując huk silników.

Osprey zwolnił, silniki z częścią płatów obróciły się o dziewięćdziesiąt stopni i maszyna znieruchomiła dwa metry nad fragmentem zbocza wyznaczonym jako strefa lądowania desantu. Mimo kurzu i śmieci poderwanych przez podmuch rozłożystych śmigieł Aston dostrzegł, że teren jest bardziej płaski, niż sądził na podstawie mapy konturowej.

A potem jako pierwszy opuścił maszynę, lądując na ugiętych nogach w wysokiej trawie.

Ludmilla była następną, a zaraz za nią maszynę opuściły trzy drużyny 1. plutonu, rozbiegając się natychmiast i zajmując wyznaczone stanowiska wokół miejsca desantu.

Osprey poderwał się pionowo ku górze, a jego miejsce zajął kolejny.

A zaraz po nim następny.

I jeszcze jeden, bo w pierwszym rzucie były cztery.

Gdy ostatni odleciał, wszyscy byli już na stanowiskach, zajmując obronę kolistą. Hałas silników ucichł w oddali, a za to dała się słyszeć odległa kanonada z broni maszynowej urozmaicona hukami silniejszych eksplozji. Aston i Ludmilla spojrzeli na siebie porozumiewawczo - natężenie ognia wskazywało jednoznacznie, że kolumna wozów pancernych wpadła w zasadzkę.

* * *

Prowadząca *Piranha* trafiona dwiema kolejnymi rakietami zmieniła się w płonący wrak, ale dwie drużyny Marines zbliżyły się, wykorzystując osłonę drzew, do stanowisk, z których je odpalono. Płonący wrak wyminął ostrożnie drugi *LAV-25*. Po jego burcie ześliznęła się wystrzelona pod złym kątem rakietą przeciwpancerną i eksplodowała za pojazdem, nie czyniąc nikomu krzywdy. Tak z wieżyczki tego wozu, jak i kilku następnych prowadzono ogień czy to z półcalówek, czy z automatycznych granatników kal. 40 mm, osłaniając nacierających Marines.

Poza tym kazano im ściągnąć na siebie uwagę wroga - granatnik *M19* wystrzeliwał 300 pocisków na minutę, toteż jako źródło hałasu przyciągającego uwagę był naprawdę skuteczny.

* * *

Taggart aż się skurczył, słysząc odległą serię wybuchów, które zwały się w jeden ciągnący się pozornie bez ustanku grzmot eksplodujących granatów. Nie miał pojęcia, kto ich atakuje, ale wyglądało na to, że duże siły. Nadal też nie było żadnej reakcji *Trolla*, co go znacznie bardziej zaniepokoiło. Nie znał się na walce i potrzebował rozkazów - musiał skontaktować się z *Trollem*, ale ten był tak pochłonięty masakrą, że do jego umysłu nic innego nie docierało i myśli Taggarta odbijały się od jakiejś mentalnej bariery. Wahał się jeszcze przez chwilę w obawie przed konsekwencjami, ale w końcu podjął decyzję. Krzyknął, by jego zastępca przejął chwilowo dowodzenie, i pobiegł do kryjówki *Trolla*.

* * *

Ostatni *Osprey* odleciał i na ziemi znaleźli się wszyscy przewidziani do ataku pieszego Marines Kompanii T wraz z bronią wsparcia. Zwiadowcy już wyruszyli, a teraz major Abernathy dał sygnał pozostałym.

Aston i Ludmilla znajdowali się w samym środku formacji, otoczeni przez wyznaczoną do tego drużynę, co nieco irytowało tego pierwszego, ale nie dał niczego po sobie poznać. Od początku czuł bowiem, że jest to rozsądny środek bezpieczeństwa, jako że najważniejsze było ochronienie Ludmilli. Ta nie zwracała na podobne drobiazgi uwagi - uaktywniła pasywne sensory skafandra i skoncentrowała się na ich odczytach.

* * *

Placówki rozstawione przez Taggarta nie były tak dobrze zamaskowane, jak sądził, a dodatkowo zdradzał je błysk odpalonych rakiet. Na dodatek nikt nie pomyślał ani o zapewnieniu im osłony piechoty, ani o przygotowaniu zapasowych stanowisk ogniowych. Dlatego też dwie drużyny Marines nie miały problemów z ich znalezieniem i ze zbliżeniem się na niewielką odległość.

Najpierw obrzucili je granatami, potem skoczyli do ataku, strzelając do wszystkiego, co się jeszcze poruszyło. Starcie było krótkie i krwawe. Nikt nie próbował się poddać, a i tak Aston wydał rozkaz, by nie brać jeńców, bo nie miał ich kto pilnować.

Gdy umilkły strzały, *Slugger Force* miała trzech zabitych i sześciu rannych, wliczając w to załogę *Piranhi*, i ruszyła w dalszą drogę. Za sobą zostawiła 35 ciał, czyli pełną obsadę placówki Taggarta.

* * *

Taggart stał we wnętrzu myśliwca i oddychał ciężko. Odgłosy bitwy tu nie docierały. A do umysłu *Trolla* nadal nie mógł się dobić. Zdesperowanie dodało mu odwagi - przełknął ślinę i nacisnął guzik, którego, jak mu mistrz zapowiedział, może dotknąć tylko w razie najpoważniejszego zagrożenia.

* * *

Troll kąpał się w morzu chwały, rozkoszy i zadowolenia.

Płomienie nad Asheville wzbijały się do nieba, a ulice zasłane były zabitymi. Nawet ta uparta a skazana na fiasko obrona spychanych z ulicy na ulice niedobitków policji i pozostałości Gwardii Narodowej była miła, bo dodawała całej sytuacji perfekcji. Co prawda ginęło znacznie więcej wykonawców jego woli niż obrońców, ale to mu akurat nie przeszkadzało. Taki opór jedynie wzmacniał przyjemność z zabijania, a gdy przegrają, koniec ich nadziei będzie słodkim ukoronowaniem całości.

Zaskoczył go co prawda rozwój wydarzeń przy lotnisku - nie spodziewał się tak szybkiego dotarcia posiłków, bo zapomniał o istnieniu samolotów transportowych. No i prawdę mówiąc, nie sądził, że władze zareagują tak szybko. Niemiła też była skuteczność, z jaką wybili jego wysłanników, ale nie było to nic poważnego. Zawsze mógł znaleźć nowych i rzucić ich do walki w innym miejscu, gdzie nie będzie wojska i...

Alarm, który rozbrzmiał nagle w jego umyśle, zniszczył to rozkoszne doznanie i aż go zatrzęsło mentalnie z wściekłości na natręta, który ośmielił się przerwać mu taką przyjemność.

Zebrał się w sobie, by go natychmiast ukarać, i Taggart padł na podłogę, jęcząc z przerażenia i odruchowo osłaniając rękoma głowę.

Ale ból nie nadszedł.

Troll bowiem w ostatnim momencie odczytał jego emocje i powód, dla którego uruchomił alarm.

To, czego się dowiedział, sparaliżowało go na moment.

Został zaatakowany! Te pełzające prymitywy ośmieliły się zaatakować jego!

Wściekłość skutecznie przywróciła go do rzeczywistości - teraz miał inny, lepszy cel, by zaspokoić żądzę krwi.

I to osobiście!

* * *

- *Romeo Jeden*, tu *Screwball*. Odezwij się, *Romeo Jeden*! - Aston przykucnął w

załamaniu terenu i nieco zdyszany wywoływał dowódcę osłony powietrznej.

W dole księżycowe światło grało na koronach drzew, a z zachodu dochodziły odgłosy zaciętej walki. W niebo były trzy słupy ognia, czyli stracili co najmniej trzy pojazdy. I to zanim doszło do walki, której odgłosy słyszał.

- *Romeo Jeden, tu Screwball, odezwij się!* - powtórzył.

W słuchawkach coś gwizdnęło, po czym odezwał się głos:

- *Screwball, tu Romeo Jeden. Melduję się.*

- *Romeo Jeden, Screwball na polu. Powtarzam: Screwball na polu. Przygotujcie niespodziankę.*

- *Screwball, tu Romeo Jeden. Potwierdzam niespodziankę za trzy. Dajemy dopalanie.*

- *Romeo Jeden, tu Screwball. Rozumiem: za trzy.*

* * *

60 km na północny wschód 48 myśliwców US Navy włączyło dopalanie i skierowało się prosto ku Sugarloaf Mountain, by zająć stanowiska i być w gotowości do akcji za trzy minuty.

* * *

Pół setki ludzi, które Taggart posłał jako wzmocnienie placówki ogniowej, znajdowało się pół kilometra od celu, gdy *Slugger Force* się na nich natknęła.

Sponsorzy nakłonieni przez *Trolla* byli hojni, a magazynu broni pilnowali ludzie, z których część była dlań dostępna psychicznie, toteż dało się ich zwerbować czy zmanipulować. W efekcie Brygada Apokalipsy była doskonale uzbrojona i wyposażona, ale nie mogła równać się wyszkoleniem z Marines, a poza tym nic nie wiedziała o napastnikach, poza tym że są i mają jakieś wozy pancerne. Obie strony posiadały noktowizory, ale tylko jedna praktykę w ich używaniu w warunkach bojowych. I to ona miała też czujki wysunięte na właściwą odległość od sił głównych.

Dlatego też to Marines urządzili zasadzkę.

I to tak skuteczną, że po dwóch minutach walki było po wszystkim.

Przeżyć zdołało siedmiu ludzi Taggarta.

* * *

Aston dał znać Abernathy'emu i większość Kompanii T rozpoczęła schodzenie z góry. Tylko obsługi *Dragonów* osłaniane przez 2. Pluton zajęły wyznaczone pozycje ogniowe, przy

czym okazało się, że mają o wiele lepsze pole ostrzału, niż wynikało to z map i zdjęć, bo nie blokowały go drzewa.

- Dick - odezwała się Ludmilla. - Wykryłam dwa skanery. Może nas zobaczyć.

- *Slider*, tu *Screwball* - powiedział pospiesznie Aston. - *Grendel* otworzył oczy.

- *Screwball*, tu *Slider*, rozumiem - potwierdził natychmiast Abernathy. - *Slider* do wszystkich: uważajcie, bo możemy stracić kontakt. Działać zgodnie z planami i...

Aston zaklął, bo głos umilkł jak ucięty nożem i w słuchawkach zapanowała głucha cisza.

Przewidzieli co prawda taką ewentualność, tym bardziej że było prawdopodobne, iż podwładni *Trolla* zostali przez niego wyposażeni w sprzęt działający na niezagłuszanej częstotliwości, ale współczesna armia przyzwyczajona była do stałej łączności, a atak przeprowadzany z dwóch stron tracił bez niej na koordynacji. Zwłaszcza w gęsto zalesionym i pofałdowanym terenie.

* * *

- *Romeo Jeden*, tu *Backstop*, straciliśmy kontakt ze *Screwballem* - rozległo się w słuchawkach Stauntona. - Krążcie na trzech tysiącach i czekajcie na rozkazy.

- *Backstop*, tu *Romeo Jeden*, zrozumiałem: trzy tysiące i czekać - potwierdził Staunton i przekazał rozkaz podkomendnym.

Gdy wszyscy potwierdzili, położył samolot w łagodny skręt i zaczął krążyć nad Sugarloaf Mountain, obserwując migoczące w dole ogniki eksplozji.

* * *

- Co do kurwy nędzy?! - zdumiał się porucznik Spillers, wyglądając pierwszy raz od rozpoczęcia walki przez wąż *Piranhi*.

Jego reakcja była zrozumiała, gdyż ostrzał zdecydowanie zamierał, zupełnie jakby przeciwnik rzucił się do ucieczki.

* * *

- Bardzo dobrze zrobiłeś, Blake Taggart - warknął *Troll*. - Wróć do straży, a ja ustalę, co się dzieje.

Zachwycony takim rozwojem wydarzeń Taggart skłonił się, składając się prawie w pół, i z ulgą opuścił najpierw myśliwiec, a potem tunel. A potem biegiem udał się na swoje stanowisko dowodzenia.

Troll zaś uruchomił oba skanery ustawione właśnie w podobnym celu. Zbliżającą się

kolumnę pojazdów zauważył natychmiast dzięki potężnym sygnautom cieplnym silników i silnym emisjom elektronicznym. Szybko przeanalizował sytuację i doszedł do wniosku, że jest nieprawdopodobne, by przy pomocy tak prymitywnego sprzętu ludzie byli w stanie go wykryć, ale nie dotyczyło to zwerbowanych przez Taggarta. Musieli zaniedbać zasady ostrożności i to był skutek. Albo też zauważono ich pojazdy w odludnym w sumie rejonie, a że najechało się ich sporo, było to tym bardziej prawdopodobne. W przyszłości powinien pamiętać, by mobilizację przeprowadzać etapami. Najprawdopodobniej ta jednostka, która zmasakrowała atakujących lotnisko, wysłała pododdział, żeby rozprawił się z następną bandą. Tyle że popełnili błąd, bo to nie była banda. Ale przy jego pomocy zapłacą za to.

Włączył zagłuszacze, pozbawiając napastników łączności, i wysłał polecenie Brygadzie Apokalipsy, by się wycofała i zmieniła pozycje. Po czym zajął się obserwacją rozwoju wydarzeń i prowadzeniem swoich ludzi tak, by zajęli jak najdogodniejsze stanowiska.

* * *

Gdy radio zamilkło, kapitan Tom Grant, kryptonim *Slugger*, wiedział, że zaczęły się problemy. Kapitan Ross uprzedzała o takiej możliwości, a Korpus miał opracowaną taktykę na wypadek takiej sytuacji, ale zakładała ona, że obie strony nie mają łączności, a to, co opracowali w kompanii po informacjach od kapitan Ross, było swoistą prowizorką.

Tempo natarcia spadło, a zasięg osłony został powiększony, by uniknąć zasadzki. Pozostały mu rakiety, gońcy i znaki ręczne, ale na wąskiej drodze i w lesie nie były to wystarczająco skuteczne środki.

* * *

Troll wysłał grupę ludzi z karabinami maszynowymi i wyrzutniami rakiet przeciwpancernych, by szerokim łukiem obeszła od lewej strony wrogą kolumnę. Oddział zajął wyznaczone pozycje niezauważony, bo sensory *Trolla* były znacznie skuteczniejsze od osobistych noktowizorów. Dał sygnał do otwarcia ognia i z zadowoleniem obserwował skutek. W ciągu pierwszych paru sekund 10 postaci w maskujących mundurach skosiły kule z karabinów maszynowych.

Nie mógł się doczekać, aż reszta się załamie i rzuci do ucieczki.

* * *

Dowódca prowadzącego kolumnę wozu *LAV-25* dostrzegł, skąd odpalono rakietę, która zniszczyła następną w kolejności *Piranhe*. Wskazał je celownicemu, który obrócił

wieżyczkę i otworzył ogień. Smugowe pociski wskazały cel innym celowniczym dwudziestopięciomilimetrowym działek. Dołączyły do nich czterdziestomilimetrowe granatniki i między drzewami zagotowało się od wybuchów. Ogień przeciwnika wprawdzie osłabł, a potem ustał zupełnie, gdy rzucili się do ucieczki, porzucając rannych i broń.

Chwilowo zapanowała cisza, przerywana jedynie trzaskaniem ognia trawiącego drzewa i samochody pancerne.

* * *

Troll zaklął, widząc ucieczkę swoich podwładnych. Wiedział, że nie powinien mieć do nich pretensji, bo szybkość reakcji i lawina ognia, jaką odpowiedziano na atak, zaskoczyły nawet jego. Musiał jednak zniszczyć przeciwnika, a ginące i uciekające narzędzia skutecznie mu to utrudniały.

* * *

Aston i Ludmilla szli śladami sierżanta majora Hortona otoczeni przez cały 1. pluton. Kanonada od strony drogi wybuchła z nową siłą i wszyscy wiedzieli, co to oznacza - kolumna wpadła w zasadzkę. *Troll* przejął inicjatywę, korzystając z tego, że jego pomocnicy mieli łączność.

- To! - powiedziała w pewnej chwili Ludmilla, wskazując niewielką budkę ukoronowaną dziwną płataniną anten. - Stanowisko sensorów.

Aston przyjrzał się budce ukrytej pod fałszywymi koronami drzew i gestem przywołał Hortona, który stanął, słysząc głos Ludmilli.

- Sierzancie, proszę się zająć zniszczeniem tego miejsca.

- Tak jest, sir... Ashley, Kaminsky, Sloan, za mną!

I nim Aston zdołał go powstrzymać, zniknął w krzakach.

Wybranych trzech kaprali poszło jego śladem niczym trójka węży na dopalaczach.

Aston wolałby mieć sierżanta majora przy sobie, ale zdawał sobie sprawę, że jest on najlepszy do takiej roboty, więc milczał. Był to typowy problem dowódcy - tych najlepszych zawsze było za mało i nie mogli znaleźć się wszędzie, gdzie byli potrzebni, a to...

Dalsze rozmyślenia przerwał mu wybuch strzelaniny z lewej strony. Dan i pozostałe dwa plutony musieli natknąć się na przeciwnika, którego nie powinno tam być.

* * *

Abernathy zaklął, gdy rozpętała się strzelanina. To się nazywało mieć pecha - pojęcia nie

miał, dlaczego pół setki przeciwników znalazło się nagle tak daleko od obozu i miejsca walki z kolumną pancerną, ale faktem było, że się znalazło i w najmniej odpowiednim momencie nadziało na jego wysuniętą jako czujka drużynę.

Na szczęście Marines zauważyli ich pierwsi i otworzyli ogień, toteż zaskoczenie było ich sprzymierzeńcem, a niespodziewający się niczego przeciwnicy ponieśli ciężkie straty. Tyle tylko że było ich więcej i szli szerszym frontem, więc szybko zaszli czujkę z boku i ostrzelali.

Złapał porucznika Wardena za ramię i polecił:

- Przesuń resztę plutonu w górę zbocza i zajdź ich od tyłu.

- Rozkaz!

- Sierzancie Holcombe!

- Jestem, sir.

- Ustaw wyrzutnię i rozwal tę budę! - polecił Abernathy, wskazując niewielką budowlę z dziwnymi antenami na dachu.

- Rozkaz, sir!

Wyrzutnie zostały błyskawicznie ustawione i załadowane, ale Abernathy nie czekał, by obejrzeć efekt - dał znak 4. plutonowi porucznika Atwatera i ruszył w dalszą drogę do stanowisk broni wsparcia wroga, omijając ostrzeliwującą się drużynę.

* * *

Troll przeżył kolejny szok, gdy grupa wysłana do oskrzydlenia wrogiej kolumny nagle znalazła się pod ogniem zupełnie innego oddziału, o którego obecności nawet nie miał pojęcia. I oddział ten na dodatek był za pozycjami Brygady.

Dopiero po chwili domyślił się, że musieli wylądować na górze i zeszli zboczem, w którym mieściła się jego kryjówka, kierując się ku obozowi. Tylko jak odkryli jego obecność?!

* * *

Kapitan Grant z bezsilną złością obserwował, jak kolejna *Piranha* zmienia się w ognisty wrak. Na szczęście desant wysiadł wcześniej, ale z trzyosobowej załogi nikt się nie uratował. Jak oceniał, stracił dotąd ponad 25 procent ludzi i pojazdów.

A do celu nadal pozostał spory kawałek.

* * *

Sierżant major Horton dopadł w dwóch susach budyneczku i z impetem kopnął w drzwi.

Potraktowane bojowym butem rozmiar 47 ze wzmocnioną stałą podeszwą drzwi po prostu wyleciały z zawiasów.

Sekundę później pociski z jego *M16* omiotły całe wnętrze, a gdy wyczerpał się magazynek, Horton nacisnął spust podczepionego pod lufą granatnika *M203* i granat dokończył dzieła zniszczenia. Wewnątrz nie było nikogo. Na wysokości jego pasa znajdowała się złocista skrzynka o dziwacznych, obłych kształtach, z której wychodziły cieniutkie jak włos przewody ginące w suficie. Pociski z *M16* przebiły je w kilku miejscach, powodując iskrzenie i dym, a granat zgął jeden bok i zrzucił ją na podłogę, zrywając przewody.

Horton cofnął się, a Kaminsky i Sloan wrzucili do wnętrza ładunki wybuchowe. Wszyscy też natychmiast wykonali przepisowe „padnij”, wiedząc, co zaraz nastąpi.

W następnej chwili budynek zmienił się w kulę ognia i przestał istnieć.

* * *

Troll wściekł się kolejny raz, gdy prawy zestaw szerokopasmowych sensorów przestał działać, a lewy zaobserwował zbliżanie się rakiet z chemicznymi głowicami wybuchowymi i po niecałych dwóch sekundach także przestał istnieć.

Oślepl i ogłuchł.

I miał tego dość!

Dał sygnał dwóm robotom bojowym, by przystąpiły do akcji.

Był zbyt wściekły, by zastanowić się, w jaki sposób tak prymitywny przeciwnik bezbłędnie zlokalizował sensory, których emisji nie miał prawa odkryć.

Niejako przy okazji stracił też zagłuszacze.

* * *

Radiostacje Kompanii T odżyły i kapitan Grant odetchnął z ulgą. Jego oddział poniósł spore straty, ale teraz koordynacja stała się możliwa, co dało znać o sobie prawie natychmiast. Ogień działek stał się celniejszy, bo naprowadzany przez Marines znajdujących się między drzewami i bliżej wrogich pozycji, a ostrzał przeciwnika słabszy i mała z każdą chwilą.

* * *

Aston działał odruchowo - wróciły umiejętności nie wykorzystywane w ciągu kilku ostatnich lat. Poruszał się bezgłośnie, ale szybko, z bronią gotową do strzału, a gdy zauważył cel, lufa mierzyła prosto w niego, bo broń poruszała się w jego dłoniach tak, by być wymierzona w to, na co patrzył. Dlatego każdy przeciwnik, którego zauważył, ginął

natychmiast ścięty krótką, oszczędną serią. Ludmilla była nieco z tyłu i z boku i także radziła sobie doskonale, choć pierwszy raz używała w boju *M16*. Pierwszy pluton nacierał wokół nich, docierając do skrajnych stanowisk broni wsparcia, które likwidował kolejno, obrzucając granatami i dobijając obsługi z broni maszynowej. W ten sposób dotarli do baraku uznanego za koszary.

Dwóch Marines podbiegło do jego ściany po obu stronach drzwi i wrzuciło przez okno po granacie przy akompaniamencie brzęku tłukącego się szkła.

Eksplozje wyrzuciły okna i resztę szyb na zewnątrz, kolejny Marine kopniakiem otworzył drzwi i wrzucił przez nie następny granat. Ledwie ten detonował, do wnętrza wpadło dwóch ludzi uzbrojonych w zasilane taśmowo *M249* i przeorało ogniem wnętrze..

Jak dotąd 1. pluton poniósł niewielkie straty i Aston zaczął optymistycznie patrzeć w przyszłość...

* * *

Blake Taggart kulił się w mroku, próbując zorientować się, co się dzieje. Nigdy dotąd nie brał udziału w strzelaninie, nie mówiąc już o nocnej strzelaninie, gdy wyraźnie widać było tylko ogniki wystrzałów i eksplozje. Wszystko wokół było w ruchu, zmieniało się bez żadnego ładu i składu, ale wiedział instynktownie, że inicjatywę ma przeciwnik wyszkolony w tego rodzaju walce i najwyraźniej całkiem składnie realizujący swój plan.

Pierwszy raz przyszło mu do głowy, że mimo wszystko może przegrać...

Ta myśl nim wstrząsnęła i wyrwała go z letargu. Obiecano mu władzę! Ma zostać wicekrólem świata i nikt mu tego nie obierze! Nikt!

Rozejrzał się gorączkowo... największa strzelanina była z lewej... zerwał się i po krótkim sprincie wskoczył zdyszany do stanowiska jedyne działka energetycznego, jakie posiadali. Złapał otepiałego celowniczego za ramię, potrząsnął nim, aż mu zęby zadzwoniły, i pokazał, gdzie ma wymierzyć.

Celowniczy obrócił zamontowaną na trójnogu broń i nacisnął spust.

* * *

Noc eksplodowała błękitno-białym blaskiem.

Prowadząca drużyna 4. plutonu przestała istnieć.

Abernathy powalony siłą eksplozji przetoczył się byle dalej od ognistej wyrwy w zboczu, by zduśić płomyki pełzające po kurtce mundurowej. Próbował dostrzec stanowisko strzeleckie pozaziemskiej broni, ale bezskutecznie, bo podobnie jak w przypadku blastera

Ludmilli strzałowi nie towarzyszył błysk ani żaden inny efekt wizualny.

* * *

Ludmilla aż się zatoczyła.

Ustawiała sensory skafandra na maksymalną czułość, by wykryć komunikację pomiędzy *Trollem* a robotami, toteż skok energii towarzyszący wystrzałowi z działka jej zmysły odebrały niczym uderzenie młotem. Padła z jękiem na kolana, równocześnie klnąc się w duchu za głupotę. Gdy tylko była w stanie, zmniejszyła czułość sensorów.

Ze znalezieniem stanowiska działka i tak nie miała problemów - miała je nieomal wypalone w pamięci.

Obok upadł kapral Bowen z pierśią rozerwaną przez półcalowe pociski. Był jedynym wyznaczonym do naprowadzania wsparcia lotniczego i miał laserowy znacznik celu. Wzięła go zadowolona, że uparła się poznać każdy element uzbrojenia i wyposażenia Kompanii T, i gdy działko wystrzeliło drugi raz, złościąc kolejną roztopioną wyrwę w zboczu i zabijając następnych Marines, uaktywniła urządzenie. Oświetliła jego niewidocznym dla ludzkiego oka promieniem stanowisko strzeleckie i włączyła radiostację skafandra na częstotliwości myśliwców.

- *Romeo Jeden*, tu *Sneak Play* - powiedziała, wyraźnie wymawiając słowa. - Mam dla ciebie cel...

* * *

Ed Staunton zamarł, słysząc w słuchawkach kobiecy głos. Co do wszystkich diabłów robiła baba w samym środku bitwy?! A potem dotarł do niego kryptonim wywołującej i to, co mu powiedziano przed lotem: że ze wszystkich, którzy mogli go wywołać w czasie tej operacji, *Sneak Play* ma bezwzględne pierwszeństwo.

- *Sneak Play*, tu *Romeo Jeden* - potwierdził. - *Gdzie?*

- *Romeo Jeden*, tu *Sneak Play*, oświetlam cel laserem. To stanowisko działka, rakiet klasyczna.

- *Sneak Play*, tu *Romeo Jeden*, rozumiem, klasyczna. *Romeo Cztery*, tu *Romeo Jeden*. *Freddy*, *Sneak Play* oświetla stanowisko broni dla ciebie. Jedna rakiet klasyczna, potwierdź.

- *Romeo Jeden*, tu *Romeo Cztery*, potwierdzam: *Sneak Play* oświetla cel, użyć *Mavericka*.

- *Sneak Play*, tu *Romeo Jeden*. Oświetlaj.

- *Romeo Jeden*, tu *Sneak Play*, cel oświetlony.

Z mrocznego nieba zanurkował *Hornet*. Pilot wziął namiar oświetlonego laserowym

promieniem celu akurat, gdy działko wystrzeliło trzeci raz, zabijając kolejny tuzin Marines. Zablokował namiar, przekazał go do systemu samonaprowadzania rakiety powietrze-ziemia *AGM-65E Maverick* i odpalił ją. Pocisk oddzielił się bez problemu od podwieszki i pomknął w dół prosto ku celowi.

* * *

Dziewięć sekund później Blake Taggart, niedoszły wicekról Ziemi, dwuosobowa obsługa oraz działko energetyczne przestali istnieć w wybuchu wywołanym przez detonację głowicy zawierającej 125 kilogramów materiału wybuchowego.

* * *

Wyjątkowo silna eksplozja wstrząsnęła podłożem tunelu. *Troll* poczuł śmierć umysłu Blake'a Taggarta. To był tylko człowiek, ale od wielu miesięcy łączyła ich głęboka więź, toteż jej nagłe zerwanie zabolowało. Mocno. I to akurat w momencie, w którym pierwszy robot bojowy wysunął się z tunelu.

Dlatego nie nakazał mu sprawdzenia otoczenia w promieniu 360 stopni, jak zamierzał, tylko wysłał go prosto tam, gdzie zginął Taggart.

* * *

Ogień przeciwnika osłabł, za to *Slugger Force* brało odwet. Po przywróceniu łączności koordynacja między spieszonymi Marines a dającymi im osłonę ogniową *Piranhami* była doskonała. Członkowie Brygady Apokalipsy ginęli dziesiątkami, a ci, którzy mieli szczęście, uciekali, porzucając niewykorzystane wyrzutnie rakiet.

A ich śladem podążali żądni wyrównania rachunków Marines, nie przestając zabijać.

* * *

- Cel z lewej! - rozległ się czyjś okrzyk.

Major Dan Abernathy uniósł się na łokciu i zdał sobie sprawę, że boli go lewa noga, którą właśnie opatrywał sanitariusz. Najdziwniejsze było to, że nie pamiętał, iż został ranny.

Obsługa obróciła wyrzutnię, wycelowała i odpaliła.

Ciągnąc za sobą warkocz ognia i dymu, rakietę pomknęła w mrok. Abernathy spojrzał, dokąd zmierzała, ale ledwie miał czas dostrzec dziwne, obłe kształty i złocisty kolor robota bojowego, gdy pocisk trafił w niego i dziesięciofuntowy ładunek kumulacyjny wypalił dziurę w kadłubie. Wtórna eksplozja rozniosła szczątki robota po okolicy.

Abernathy poczuł równocześnie ulgę i satysfakcję - a więc faktycznie można je zniszczyć!

* * *

Troll znów dostał ataku furii - ta banda prymitywów niszczyła jego bezcenne, bo nie do zastąpienia roboty bojowe!

Równocześnie jednak pojawiły się pierwsze ślady wątpliwości. Napastnicy ginęli, fakt, ale też zadawali mu straty. I to coraz poważniejsze. W takim razie co jeszcze byli w stanie zrobić?

Pierwszy raz pożałował, że nie skończył budowy bomby.

* * *

Starszy sierżant Levy Sanderson obserwował jeszcze miejsce, w którym eksplodował przed chwilą robot bojowy, gdy poczuł gwałtowne szarpnięcie za ramię. Ładowniczy wskazywał na drugi dziwny, złocisty kształt wznoszący się u wylotu tunelu. Płomienie pożarów odbijające się od jego wypolerowanej powierzchni nadawały mu krwistoczerwoną barwę.

Starannie wziął go na celownik.

* * *

Poprzez sensory drugiego robota *Troll* dostrzegł samolot. Nad jego górą krążył samolot, a na pewno nie był sam!

Poczuł ukłucie strachu, ale nie poddał się panice. Przejął kontrolę nad robotem, namierzył oddalający się samolot i wystrzelił.

* * *

- Jezu!

Komandor Staunton nie wiedział, kto krzyknął, gdy *Romeo 12* zniknął pochłonięty przez kulę błękitno-białej energii, która pojawiła się znikąd. To mógł być każdy inny samolot, bo nie było żadnego ostrzeżenia, kto ma być celem. Nigdy nie tylko że nie widział czegoś podobnego, ale nawet sobie nie wyobrażał.

W dole błysnęła kolejna eksplozja, na którą ledwie zwrócił uwagę, bo była normalna, niczym niewyróżniająca się z wielu, które już tej nocy oglądał, bo i skąd miał wiedzieć, że oznaczała koniec zabójcy jego pilota.

* * *

Unicestwienie drugiego robota bojowego *Troll* przyjął spokojnie. Ustalił, że samoloty są łatwymi celami i że ludzie mogą niszczyć roboty. Cóż, za naukę trzeba płacić. Zostały mu jeszcze trzy roboty, ale nie zamierzał ich marnować.

Przeanalizował dane zebrane przez oba, nim zostały zniszczone, i uznał, że wszystkie samoloty może zlikwidować łatwo i szybko, jeśli zabierze się do tego prawidłowo, oraz że pociski z chemicznym materiałem wybuchowym są zbyt słabe, by zaszkodzić cięższemu sprzętowi. Wydał stosowne polecenia i w kadłubie myśliwca otworzyła się kłapa ładunkowa. Jego organiczny komponent został odłączony od myśliwca i przeniesiony przez specjalnego serworobota do pancerki parkującej w ładowni obok średniego combat mecha.

* * *

- *Romeo Jeden, tu Screwball. Odezwij się, Romeo Jeden!*

- *Screwball, tu Romeo Jeden* - rozległ się w słuchawkach wstrząśnięty głos.

Aston odetchnął z ulgą - istniała niewielka szansa, żeby zniszczony został akurat samolot dowódcy, ale los lubił płać takie złośliwe figle.

- *Romeo Jeden, tu Screwball. Zejdźcie z linii ognia w górę. I uważajcie, zbliża się finał i możecie być potrzebni.*

- *Screwball, tu Romeo Jeden, potwierdzam i wykonuję.*

Hornet komandora Eda Stauntona, a wraz z nim pozostałe zmieniły pozycje, tak by między nimi a wylotem tunelu znalazł się szczyt Sugarloaf Mountain, osłaniając ich przed ogniem tego, co zniszczyło dokumentnie *Horneta* o kryptonimie *Romeo 12*.

* * *

- Ożeż ty kurwa! A to co znowu za kurewstwo?!

Sierżant major Horton spojrział w kierunku mówiącego i dalej tam, gdzie ten spoglądał.

To „kurewstwo” było większe niż dwa *Abramsy* i właśnie wynurzało się z ziemi blokującej wylot tunelu niczym wieloryb. Błyski wystrzałów i płomienie odbijały się w jego wypolerowanej niczym lustro powierzchni o barwie starego brązu. Pojęcia nie miał, co to takiego, ale dzięki opisom kapitan Ross wiedział, czym to nie jest. Nie był to ani robot bojowy, ani pancerka *Trolla*.

Rozległ się dziwny syk i z pojazdu wystrzelił snop zgniłozielonego światła, sięgając stanowiska wyrzutni rakiet. Przerażliwe krzyki obsługi mogły oznaczać tylko jedno. Sądząc po drgawkach i poskręcaniu ciał wijących się na ziemi, nie zginęli natychmiast, ale umierali

powoli i w męczarniach na jego oczach.

Sierżant major Horton zaklął i mimo że czuł lodowaty strach, zaczął się czołgać. W stronę wyrzutni.

* * *

Aston widział dokładnie, co się stało. I dostrzegł też reakcję Hortona. Również nie bardzo wiedział, co wykopuje się z tunelu, ale nie sądził, by dało się to zniszczyć równie łatwo jak robota bojowego. Gdyby się jednak okazało, że *Dragon* może mu zaszkodzić, sierżant major potrzebował ładowniczego.

- Milla, kłopoty przy wylocie tunelu! - rzucił do mikrofonu.

I ruszył śladem sierżanta majora.

* * *

Ludmilla zbladła, widząc sinozielony blask neuronowego pejcza. Okazało się, że *Troll* oprócz robotów bojowych miał też średniego combat mecha, a jego nie było w stanie zniszczyć nic, co znajdowało się na uzbrojeniu Kompanii T.

Równie złą nowiną było jego uzbrojenie. Kangi uznali neuronowy pejcz za broń nieefektywną i przestali go używać, natomiast *Trolle* go uwielbiały. Promień unieruchamiał trafionego natychmiast, ale śmierć w męczarniach trwała kilka minut. Była to broń wyłącznie przeciwko istotom żywym, toteż nie powodowała zniszczeń, za to w promieniu 20 metrów od punktu trafienia była śmiertelna. Im większa odległość, tym skutki malały, choć bolesne były podobnie. Nawet ktoś taki jak ona nie miał szans przeżycia trafienia, a szanse na przeżycie i znalezienie się w pobliżu jego pola rażenia wynosiły mniej niż połowę.

Nie miała innego wyjścia - wyłączyła sensory skafandra i ruszyła w górę zbocza, by zająć combat mecha z boku.

A potem dostrzegła, co robi Horton... i Dick.

I podwoiła tempo.

* * *

Alvin Horton dotarł do przewróconej wyrzutni rakiet przeciwpancernych i stwierdził, że jakimś cudem został uszkodzony trójnóg. Pozostało mu tylko jedno: dwoma ruchami oddzielił rurę wyrzutni od podstawy i umieścił ją na ramieniu. A potem przykleknął. Przypomniały mu się niezliczone pokolenia podoficerów US Marine Corps wbijające do głów rekrutom i Marines, że najpewniejszym sposobem, by bezsensownie zginąć, jest naśladowanie Johna

Wayne'a. Potem Wayne'a zastąpił Rambo i on sam wbijał to do tępych głów wielu Marines. A teraz łamał tę kardynalną zasadę.

Bo nie miał wyboru.

Ktoś go zawołał... rozpoznał głos Astona, ale nie zareagował... nie miał na to czasu. Wycelował starannie i nacisnął spust.

* * *

Aston zrozumiał, co Horton zamierza, i próbował go powstrzymać, ale nie było żadnej reakcji. Sierżant major zachowywał się niczym automat zaprogramowany na zniszczenie zbliżającego się pojazdu.

Rakieta opuściła wyrzutnię, ciągnąc za sobą ognisty ogon, i trafiła idealnie w sam środek pancerza czołowego, eksplodując tak, jak powinna.

Na obcym pojeździe nie zrobiło to żadnego wrażenia, a na jego pancerzu nie pozostał nawet ślad po tym incydencie.

* * *

Horton zaklął z uczuciem i sięgnął po drugą rakietę, próbując załadować wyrzutnię, czyli samodzielnie zrobić to, do czego potrzeba było dwóch osób.

A rude monstrum zbliżało się z każdą chwilą...

* * *

Aston zerwał się na nogi i ruszył biegiem ku Hortonowi, ignorując świszczące nad głową kule wystrzelone nie wiadomo skąd.

Wiedział, że postępuje głupio, ale to go nie powstrzymało. A potem dziwny syk rozbrzmiał ponownie, a okolicę znów wypełnił sinozielony blask. Trafił prosto w sierżanta majora Hortona, otaczając jego ciało jakby aureolą, a potem sięgnął na boki, nie tracąc na intensywności.

Aston zobaczył, że zbliża się ku niemu... a potem go objął i wszechświat zniknął zastąpiony bólem i agonią.

* * *

Ludmilla widziała wszystko: drugie użycie neuronowego pejcza... Hortona padającego w konwulsjach... i Dicka objętego skrajem działania pola, które posłało go w drgawkach na ziemię.

* * *

Troll odzyskał dobry humor, widząc ludzi ginących pod razami neuronowego pejcza. Sam jechał dopiero tunelem ku wyjściu, ale nie musiał się spieszyć. Wraz z combat mechem oczyszczą cały teren i niebo, dzięki czemu będzie mógł spokojnie uciec. Zawsze może zacząć od początku gdzie indziej, czasu miał dość. Tylko że wtedy zacznie od dokończenia bomby.

Nadal był w tunelu, gdy rozbrzmiał alarm, którego nie spodziewał się już nigdy usłyszeć...

* * *

Ludmilla Leonowna stanęła w rozkroku, przyjmując klasyczną pozycję strzelecką i ignorując przelatujące w pobliżu przypadkowe pociski. Otarła łzy wierzchem dłoni, a potem ujęła kolbę blastera, dobyteła go, wycelowała, strzeliła i schowała broń do kabury.

Wszystko to jednym płynnym ruchem.

I natychmiast puściła kolbę broni.

* * *

Błękitno-biały blask zalał dolinę, gdy pierwszy ładunek pełnej mocy w dziejach ludzkości został bojowo użyty na powierzchni Ziemi.

Combat mech miał pole siłowe, ale jego generator był zbyt słaby, by wytrzymać taką dawkę energii, jaką wyzwał blaster ustawiony na pełną moc. 1800 ton tej energii trafiło w liczący dwa milimetry kwadratowe fragment czołowego pancerza. Stop zdolny wytrzymać skutki detonacji w bezpośrednim sąsiedztwie 10 kiloton został przepalony przez ten sztylet skupionej energii, który sięgnął do wnętrza maszyny.

W następnym momencie zamiast combat mecha widniał jedynie imponujący słup oślepiającego blasku, który zdawał się sięgać nieba.

* * *

Troll był tak zaskoczony, że aż się zatrzymał.

To było niemożliwe, bo osobiście zabił ostatniego człowieka pochodzącego ze swoich czasów!

Ale tylko ktoś taki mógł użyć blastera, a to oznaczało... że te prymitywy wiedziały wszystko! Przez cały czas, gdy on planował i przygotowywał się, oni wiedzieli. I przez cały czas szukali go, zdając sobie sprawę, co potrafi i co zamierza. Polowali na niego i tylko czekali, by się ujawnił!

A było ich zbyt wielu. Skoro znali prawdę, to jakkolwiek delikatnie próbowaliby wpływać na ich umysły, nie był w stanie osiągnąć ich wystarczająco dużo. Pozostali rozpoznają jego działania i będą na niego nieustannie polować. A to znaczyło, że jego wolność i wszechmoc od początku były oszustwem. Nie miał żadnych szans na podporządkowanie sobie mieszkańców tej planety. Mógł ich tylko zniszczyć, ale to również była teoria, bo zlekceważył budowę bomby i nie miał szans unicestwić planety.

A najgorsze było uświadomienie sobie, że zawsze tak było, tylko jemu wydawało się, że jest inaczej. Wszystko, czego był pewien od chwili wylądowania tutaj, było iluzją, złudzeniem, które sam stworzył.

Logika przestała się liczyć, a racjonalna ocena sytuacji zniknęła. Ukradziono mu marzenie, a co gorsza dowiedział się, że cały czas była to tylko niemożliwa do realizacji mrzonka. Wszystko poza jednym przestało być ważne, nawet instynkt samozachowawczy.

Teraz liczyła się tylko zemsta.

I gnany tym pragnieniem ruszył w dalszą drogę.

* * *

Natychmiast po strzale Ludmilla zerwała się do biegu. Musiała jak najbardziej oddalić się od miejsca oddania strzału, nim *Troll* wyjedzie z tunelu, bo tamto miał namierzone, a na pewno będzie jej szukał, gdyż stanowiła dlań jedyne realne zagrożenie.

Jakoś tak nogi same ją poniosły w kierunku targanego konwulsjami Dicka.

* * *

Mimo iż ogarnięty żądzą zemsty, *Troll* nie stracił odruchów bojowych. Blaster co prawda zniknął jego sensorom, ale wiedział, skąd oddano strzał, wiedział więc, gdzie szukać wroga. Zwiększył prędkość, chcąc się z nim jak najszybciej rozprawić. Żaden człowiek nie miał takiego jak on refleksu, toteż jeśli tylko ujmie broń, człowiek będzie martwy, bo nie zdąży pierwszy wycelować i strzelić. A jeśli nie odważy się wykorzystać blastera, on będzie zabijał wszystkich, których zauważy. W końcu zwykły rachunek prawdopodobieństwa działał na jego korzyść: prędzej czy później zabije i tego, kto zniszczył jego marzenia.

* * *

Ludmilla znieruchomiała, gdy z wylotu tunelu wystrzeliła fontanna ziemi.

W następnej sekundzie w ślad za nią wyjechał *Troll*.

Jego panczerka była o połowę większa od średniego combat mecha i smoliście czarna.

Wszystkie pokrywy pancerne osłaniające uzbrojenie były otwarte.

Wiedziała, co planuje, i obawiała się, że jest to skuteczny plan.

Troll znieruchomiał na moment, skanując otoczenie i ignorując rakiety eksplodujące na osłonie siłowej. Był idealnym celem, ale ona też była odkryta. W chwili, w której dotknie blastera *Troll* ją dostrzeże, a to znaczyło, że wyceluje... Potrzebowała jakiejś osłony albo czegoś, co na moment odwróciłoby jego uwagę...

A potem *Troll* ruszył do przodu.

* * *

Wróg się krył.

A więc nadeszła pora zabijania.

Troll ruszył w poszukiwaniu celów.

* * *

Troll kierował się prosto na Dicka!

Zdrowy rozsądek mówił, że to bez znaczenia, bo Dick już umiera i szybszy koniec będzie jedynie wybawieniem z męczarni. Ale tego w ogóle nie brała pod uwagę. Nie myślała i nie działała planowo.

Wygrały odruchy i jej dłoń poruszyła się sama...

* * *

Troll bardzo rzadko bywał zaskoczony.

Ale tym razem tak się stało: żeby przeciwnik stanął beczelnie w szczerym polu i sięgnął po broń! Było to tak głupie i samobójcze, że podobnej ewentualności w ogóle nie brał pod uwagę.

Może ten moment zawahania zaważył. A może to, że Ludmilla Leonowna dzięki przystosowaniu do zwiększonej siły przyciągania i symbiontowi była szybsza od przeciętnego człowieka. Być może było to połączenie obu tych czynników i szczęścia.

Powody były w sumie nieistotne.

Istotne było to, że wyjęła blaster, wycelowała i strzeliła, nim jeszcze zdała sobie sprawę z tego, że dobyła broni...

Troll z niedowierzaniem zauważył jej szybkość. Nie mógł uwierzyć, że człowiek może się tak poruszać. Nawet *cral*...

Skupiona maksymalnie wiązka plazmy przebiła się przez osłonę siłową i pancierz

czołowy.

I spowodowała eksplozję, w której przestał istnieć.

Rozdział XXV

Ludmilla powoli wsunęła broń do kabury, nie bardzo mogąc uwierzyć w to, że żyje.

Potem odwróciła się od nieruchomego, spowitego błękitną pajęczyną wyładowań czarnego kształtu przysadzistej, masywnej pancerki. Radość ze zwycięstwa była jakaś taka słaba i przytłumiona... podeszła powoli do drgającego w agonii Dicka i przyklękła.

Dygotał i podskakiwał, a mięśnie w najrozmaitszych miejscach ściągały mu skurcze. Był zlany potem, zęby miał zaciśnięte, a z oczu widoczne były tylko białka. Znała te objawy - widziała je wielokrotnie i zawsze kończyło się to tak samo. Łzy uniemożliwiały jej ostrość widzenia, ale zdecydowanym ruchem położyła mu dłoń na szyi i odszukała palcem pulsującą żyłę, a potem zdecydowanie nacisnęła.

I trzymała tak długo, aż nie stracił przytomności.

Wiedziała, że powinna utrzymać nacisk dłużej, aż śmierć powstrzyma ból, ale nie była w stanie...

Nadal nad nim klęczała, gdy obok wyhamował *Gunny* Morton Jaskowicz.

- Pani kapitan? - powiedział delikatnie, ale stanowczo.

Uniosła głowę i spojrzała na niego nieprzytomnie.

- Potrzebujemy pani - zadudnił basowo, acz nadal delikatnie. - To pani teraz dowodzi.

Jej umysł pracował na zwolnionych obrotach... to nie było uczciwe... tak się starała... tyle zrobiła... i tak wiele za to zapłaciła... zabiła *Trolla* i powinna mieć spokój... a tu ktoś czegoś od niej chce...

- Co... - wychrypiąła, odchrząknęła i prawie normalnym głosem spytała: - Co z majorem Abernathym?

- Wyłączony z walki, ma'am. Porucznik Atwater nie żyje, porucznik Warden ciężko ranny. Sądzę, że porucznik Frye żyje, ale nie mogę go znaleźć.

- Ja... - zaczęła i urwała, gdy po drugiej stronie Dicka przykucnął sanitariusz.

Miał spiętą twarz, ale zupełnie spokojne dłonie...

Ludmilla przyglądała mu się przez chwilę i podjęła nagłą decyzję.

- *Gunny*, zaraz zajmę się dowodzeniem - oznajmiła rzeczowo. - Póki co proszę ściągnąć tu 3. i 4. pluton. Zajmiemy obronę opartą o zbocze góry. 2. pluton może nas osłaniać ze swoich stanowisk na zboczu. I niech pan znajdzie w tym bałaganie kogoś z zespołu

naprowadzania myśliwców.

- Rozkaz, ma'am - potwierdził Jaskowicz i zrobił coś, czego Marine w czasie walki nigdy nie robi: zasalutował.

A potem zniknął w mroku.

Ludmilla zaś odwróciła się do sanitariusza i spytała spokojnie:

- Masz strzykawkę?

Kiwnął głową.

- To dobrze.

* * *

Porucznik Spillers rozglądał się osłupiały. Wyjące, atakujące bez względu na straty demony, które od zmroku były żądne krwi jego i jego ludzi, zniknęły. Strzelanina umilkła, jeśli nie liczyć pojedynczych wystrzałów lub krótkich serii dochodzących z różnych kierunków. Gwardziści szli naprzód, wykorzystując każdą osłonę terenową i kryjąc się przed ogniem niczym najlepsi weterani. Ci, którzy przeżyli, byli nimi - zapłacili za naukę śmiercią kolegów i ranami. Pozostali tylko najlepsi, ci, którzy zdołali nauczyć się, jak przetrwać, najszybciej i najdokładniej. Wieść niesła, że straty brygady przekroczyły 50 procent, a wśród młodszych oficerów 80 procent.

I Spillers był skłonny w to uwierzyć.

Natomiast najbardziej denerwowali go napastnicy - stali bądź siedzieli, gapiąc się przed siebie szklanym wzrokiem, z twarzami debili i śliną spływającą z otwartych gęb. Wyglądało to tak, jakby ktoś nagle odłączył ich od myślenia... Spillers splunął i uniósł broń. Jeśli ktoś ich wyłączył, to w każdej chwili mógł włączyć. Krótką, mierzoną serią skosił trzech najbliższych i ruszył, szukając kolejnych. On też się szybko uczył.

Ta noc nauczyła go stosowania szeroko rozwiniętej profilaktyki.

* * *

Ed Staunton dostrzegł słup energii, bo był on wyższy niż góra, za którą ukrył się wraz ze swymi pilotami. A moment później kolejny raz błysnęło, choć już nie tak widowiskowo, i efekty specjalne przestały występować. Zostały tylko normalne wybuchy i pożary.

Uznał, że ten cały *Troll*, o którym mówił komandor Morris, musiał zostać zniszczony i nie będzie potrzeby użycia broni nuklearnej, co sprawiło mu nieklamana ulgę. Ponieważ jednak nie miał pewności, nie wychylał się zza osłony, jaką dawała Sugarloaf Mountain, pomny rozkazów i tego, co spotkało jego pilota.

Niepokoilo go natomiast, że walka na dole z użyciem konwencjonalnej broni wcale nie słabła, a jakby przybrała na sile, a na południowym zachodzie pojawiły się obiecujące początki solidnego pożaru lasu...

- *Romeo Jeden*, do wszystkich *Romeo* - powiedział na ogólnym kanale. - *Catcher*, bądź gotów do akcji z użyciem klasycznej amunicji. *Bullpen*, zostajesz w odwodzie.

Catcher był radiowym kryptonimem VFA-432, której samoloty jako uzbrojenie podstawowe miały bomby kasetowe i zwykle oraz wyrzutnie niekierowanych rakiet. Z kolei maszyny VFA-433 kryptonim *Bullpen* uzbrojone były w naprowadzane radiowo pociski i bomby służące do precyzyjnego niszczenia pojedynczych celów. Z tego, co widział w dole, te pierwsze powinny okazać się znacznie bardziej przydatne.

- No dalej, *Sneak Play*: odezwij się, do diabła! - mruknął zniecierpliwiony.

* * *

Członkowie Brygady Apokalipsy wbrew pozorom znajdowali się w lepszej sytuacji od przeciwników, a dotychczasowy przebieg walki nie doprowadził ich do załamania ani też nie spowodował w ich szeregach większego zamieszania. Większość nie wiedziała o śmierci Taggarta, a ledwie paru o obecności wrogich samolotów. O istnieniu *Trolla* i jego zagładzie nie wiedział nikt. Natomiast wszyscy byli świadomi, że znajdują się w dolinie bez wyjścia, a jedyną drogę ucieczki zagrażają napastnicy. I że ci napastnicy ponieśli ciężkie straty.

Sami też solidnie oberwali, ale od początku mieli przewagę liczebną. Poza tym gdy pierwszy szok wywołany atakiem minął, zdali sobie sprawę, że jeśli chcą przeżyć, muszą uciec. A ich pojazdy znajdowały się w zasięgu ognia obrony dopiero co zorganizowanej przez dotąd atakujących od strony góry napastników.

Pochodzili z różnych stron, ras i środowisk - łączyło ich jedno. To, że chcieli walczyć z istniejącą władzą i że ich umysły nie wymagały od *Trolla* poważnych ingerencji. Przeważnie wystarczyły 2-3 seanse wzmacniające pewne cechy i pragnienia, czasami nawet jeden, by byli gotowi do wyznaczonego przez niego zadania. Dlatego nie odczuli jego zniknięcia jak ci niszczący Asheville, którzy na dobrą sprawę byli w poważnym stopniu zdalnie sterowani. Członków Brygady Apokalipsy nie trzeba było przekonywać ani do użycia siły, ani do posługiwania się bronią. Wystarczyło zaprogramować im fanatyczne oddanie sprawie i przywódcom. Naprawdę wierzyli, że walczą dla siebie w imię ideałów, które wyznawali od dawna.

I dlatego zastępca Taggarta nie miał żadnych problemów z zebraniem wszystkich, którzy nie walczyli z próbującym się przebić drogą oddziałem pancernym, i z wyjaśnieniem im, że

jedynym sposobem, by zdołali uciec, jest zaatakowanie i pokonanie tych, którzy przyczaili się u stóp góry.

Zresztą nawet gdyby to nie była prawda, i tak poprowadziłby ich do ataku.

* * *

Ludmilla została zaskoczona wzmocnieniem ostrzału z dział bezdrutowych i moździerzy. Była przekonana, że gdy zabije *Trolla*, jego pomagierzy stracą ochotę do dalszej walki, ale nie wzięła pod uwagę, jakich ludzi Taggart zwerbował, bo nie miała o tym pojęcia.

Kanonada przybrała na sile, i to z obu stron, a szczególnie celny okazał się ogień 2. plutonu, który zajmując stanowiska na stoku, miał doskonałe pole widzenia i ostrzału. Jak długo wystarczało raket, tak długo wrogie działa bezdrutowe, moździerze i ciężkie karabiny maszynowe były szybko niszczone. Przeważnie po drugim, trzecim strzale, jeśli obsługi nie były na tyle mądre, by po każdym zmieniać stanowisko.

Przeważnie nie były.

Z pozostałych trzech plutonów zdolnych do walki pozostało nieco więcej, niż liczył przerośnięty pluton Kompanii T przed rozpoczęciem operacji. Reszta zginęła lub została ranna. Wycofać się zaś nie chcieli i nie mogli - zbyt dużo rannych pozostało za nimi lub z nimi, by zdołali ich przenieść.

- *Slugger*, tu *Sneak Play*. - Ludmilla podniosła głos, by przekrzyczeć odgłosy walki. - Jaka sytuacja?

- *Sneak Play*, tu *Slugger*, jestem zablokowany. - Jeśli Grant był zaskoczony, że to ona go wywołała, nie Aston czy Abernathy, to nie dał tego po sobie poznać. - Zostało mi pięć wozów i ze czterdzieści procent ludzi, a las się rozpała. Nie zdołam się do was przebić.

- A zdołasz się wycofać, zabierając rannych?

- Bez trudu.

- W takim razie wycofajcie się, i to zaraz. Nawiąż kontakt, gdy tylko dotrzesz do punktu...

- Ludmilla spojrzała na mapę, którą dostała jak każdy z oficerów. - Victor 4. Potwierdź.

- *Sneak Play*, tu *Slugger*, natychmiast wycofać się z rannymi do Victor 4 i meldować.

- Zgadza się. Powodzenia, *Slugger*. - Ludmilla zmieniła częstotliwość. - *Romeo Jeden*, tu *Sneak Play*, nadal tam jesteś?

- *Sneak Play*, tu *Romeo Jeden*, miło cię słyszeć. Co możemy dla ciebie zrobić?

- Mam dla ciebie cele... - Ludmilla przerwała, bo obok niej wylądował z sapnięciem starszy sierżant Ernest Caldwell i dwaj członkowie grupy naprowadzania lotnictwa. - *Romeo*, właśnie znalazł się twój obserwator naziemny, on ci poda współrzędne, bo ja mam inne

zajęcia.

Po czym poinformowała Caldwell:

- Gdy tylko *Slugger Force* się odmelduje, chcę, żeby ten rejon lasu został zbombardowany. Drugi cel to obóz i obszar przed nami. Mają zrzucić całe konwencjonalne uzbrojenie i spalić to wszystko.

- Rozumiem, ma'am - potwierdził podoficer.

Ludmilla zaś wyjęła z kabury miotacz i wyjrzała nad przedpiersie pospiesznie przygotowanego stanowiska strzeleckiego. Przeciwników wskazywały jej sensory skafandra. Wycelowała i przełączyła się na kanał taktyczny Kompanii T.

- Musimy ich powstrzymać, dopóki *Slugger* się nie wycofa - poinformowała podkomendnych. - Potem niebo zwali im się na głowy.

Czasu na dalsze rozmowy nie było, bo przeciwnik zaatakował, strzelając ze wszystkich luf.

Marines odpowiedzieli tym samym, ale atakujący nie zalegli pod ogniem.

Ludmilla wybrała na cel grupę skupioną w pobliżu bijącego długimi seriami *M60* i nacisnęła spust.

* * *

Ed Staunton wysłuchał koordynatów celów, które miał zbombardować, obserwując równocześnie serie błękitnobiałych eksplozji w dole. Był szalenie ciekaw, co je, do diabła, powodowało...

* * *

Strzały z blastera powstrzymały atak, ale nie złamały ducha napastników. Byli przyzwyczajeni do broni energetycznej, jako że mieli okazję przećwiczyć skuteczność swego działka, i znali jej słabość: system celowniczy namierzał pierwszy obiekt, jaki znalazł się na linii ognia, czyli także drzewo lub krzew. Dowódca zdał sobie sprawę, że strzela tylko jedna taka broń, i szybko przegrupował siły, by obejść strzelca z prawej strony.

A potem wznowił natarcie.

* * *

- Prawe skrzydło się załamuje, ma'am - ryknął Jaskowicz prawie do ucha Ludmille szukającej nowego celu. - Nie wytrzyma pięciu minut!

Tam, gdzie trafiły ładunki z blastera, zaczynały się palić drzewa i krzewy, ale na

szczęście wiatr zwiewał dym w przeciwnym kierunku, nie na pozycje obrońców.

- Poślij tam drużynę odwodową! - poleciła.

- Już posłałem!

- Cholera! - warknęła Ludmilla i włączyła radio. - *Slugger*, tu *Sneak Play*, gdzie jesteś?

- *Sneak Play*, tu *Slugger*, jestem na Victor 5 - odpowiedź przyszła natychmiast.

Ludmilla zastanowiła się przez moment i kiwnęła głową.

- *Slugger*, tu *Sneak Play*, nie możemy dłużej czekać, przygotuj się! - ostrzegła i spojrzała na Caldwell.

- Wszystko gotowe?

- Tak jest, ma'am.

- Wykonać! - rozkazała.

* * *

Świat eksplodował.

Hornety runęły w dół z gwizdem dartego skrzydłami powietrza, zrzucając wszystko, co miały, poza specjalnymi pociskami: napalm, bomby zapalające i odłamkowo-burzące, bomby kasetowe i niekierowane pociski rakietowe. Całe połacie lasu zniknęły w ogniu i dymie, a wraz z nimi przestała istnieć Brygada Apokalipsy. Przeżyło mniej niż pół setki jej członków.

* * *

Kilkanaście minut później *Ospreye* zabrały pozostałych przy życiu Marines Kompanii T otoczonych przez rozpalający się na dobre pożar lasu.

GENEZA 1. «powstanie czegoś, tworzenie, początki materialne lub pomysł (łacińskie *genesis*, z greckiego narodziny, pochodzenie)»

*Webster-Wangchi Unabridged
Dictionary of Standard English*
Tomas y Hijos, Publishers
2465 rok standardowy

Rozdział XXVI

Richard Aston obudził się z koszmaru pełnego bólu. Spojrzał prosto w obcy sufit. Nigdy nie widział takiego wzorku paneli akustycznych, ale zbyt dużo czasu spędził w różnych szpitalach, dochodząc do siebie po odniesionych ranach, by nie rozpoznać szpitalnego sufitu, gdy go zobaczył.

Spróbował sobie przypomnieć, jak tu trafił, ale pamięć odmówiła współpracy. Ostrożnie obrócił głowę i zobaczył kroplówkę wbity w lewą rękę. A potem jeszcze ostrożniej spróbował poruszyć kolejno każdym palcem rąk i nóg. Taktykę tę opracował ponad 30 lat temu, gdy pierwszy raz wylądował w szpitalu po ciężkim zranieniu. Teraz odetchnął z ulgą, gdy każdy z palców go posłuchał, równocześnie meldując, że nadal jest obecny.

Dalsza autokontrola poważnie go zdziwiła, bo nic go nie bolało i niczego mu nie brakowało. Jedyne, co odbiegało od normy, to straszliwy głód. Nigdy takiego nie czuł i...

Rozmyślenia przerwało mu ostrożne otwarcie drzwi. Obrócił głowę i uśmiechnął się, widząc Ludmillę. A potem zmarszczył brwi, bo zamarła w drzwiach, przyglądając mu się okrągłymi oczyma.

Wyciągnął prawą rękę i powiedział niepewnie:

- Milla?

Jego głos jakby przełamał zakłęcie - podbiegła, rozpościerając ramiona, płacząc i śmiejąc się równocześnie. A potem zaczęła go całować i powtarzać jego imię jak szalona.

* * *

Ludmilla potrzebowała dobrego kwadransa, żeby się uspokoić, co było zupełnie do niej niepodobne... Okazała w tym czasie taką dawkę uczuć, że Aston omal sam się nie rozkleił. W

końcu opanowała się jednak, usiadła w stojącym obok łóżka fotelu i trzymając go za rękę, zrelacjonowała mu wszystko, co się stało od momentu, gdy stracił przytomność.

- Widziałam już skutki trafienia pejcem neuronowym, Dick - zakończyła. - I dlatego wiedziałam, że umierasz... więc... zaryzykowałam... kazałam sanitariuszowi wstrzyknąć ci około 20 mililitrów mojej krwi...

I umilkła, patrząc mu prosto w oczy.

- Ale... - zaczął i urwał, gdy dotarło doń, co powiedziała.

- Zgadza się - potwierdziła. - Mogło cię to zabić... powinno cię zabić, prawdę mówiąc, ale już umierałeś, więc zaryzykowałam... i udało się.

- Udało się? - powtórzył tępo. - Chcesz powiedzieć, że ja?

- Chcę i mówię - potwierdziła, uśmiechając się niepewnie. - Wiem, że nie miałam prawa, ale...

- Jestem... Matuzalemem? - spytał, nadal nie bardzo w to wierząc.

- Tak - potwierdziła, a widząc jego niedowierzanie, poleciła: - Poglaskaj się po głowie.

Wykonał polecenie i wytrzeszczył oczy, czując pod palcami puch porastający łysinę.

Odrastały mu włosy!

A więc to była prawda! A to znaczyło... Spojrzał z nowym zrozumieniem w jej oczy i zobaczył w nich nieskończoność obietnic...

* * *

- No cóż, admirale Aston. - Prezydent Armbruster uśmiechnął się, siadając w fotelu przy łóżku. - Dokonał pan tego.

- Zgadza się, panie prezydencie. - Aston siedział na łóżku i trawił kolejny posiłek.

Dzięki wymaganiom symbionta szpitalne jedzenie smakowało mu nawet nie najgorzej, co było osiągnięciem samym w sobie.

- Ale sporo nas to kosztowało - dodał.

- Owszem. - Armbruster przestał się uśmiechać. - Sporo.

Ponad trzecia część Asheville była ruiną podobnie jak dwie trzecie Hendersonville oraz wszystkie osady i miasteczka między nimi, które zostały zniszczone całkowicie. Gwardia Narodowa Karoliny Północnej straciła ponad 800 ludzi. Ofiar wśród ludności cywilnej jeszcze ostatecznie nie podliczono, bo ciągle odkrywano nowe szczątki. Już teraz jednakże były liczone w tysiącach.

Kompania T miała 52 procent zabitych i 31 procent ciężko rannych. Major Abernathy przeżył, ale stracił nogę, której nie dało się uratować...

To było kosztowne zwycięstwo, ale w porównaniu do ceny, jaką zapłaciliby, gdyby *Troll* wygrał...

- W każdym razie wszyscy jesteśmy wam obojgu wdzięczni - powiedział Armbruster, zmuszając się do pogodniejszego tonu. - Tak głęboko wdzięczni, że dam wam możliwość wyboru.

- Jakiego wyboru? - zdumiał się Aston.

- Jak rozumiem z wyjaśnień pułkownik Leonownej, ten symbiont spowoduje u pana pewne zmiany, admirale. Odmłodnieje pan?

- Cóż... podobno... - Aston wzruszył ramionami. - Nie bardzo to rozumiem, ale Milla jest pewna, że żaden szanujący się symbiont nie będzie żył w takim starym rżęchu, więc...

- Nie dziwię mu się - skwitował Armbruster złośliwie. - A to znaczy, że ma pan przed sobą nieco więcej lat, niż pan sądził jeszcze niedawno. I tak mi przyszło do głowy, że być może chcielibyście je oboje spędzić bez oficjalnych problemów.

- Problemów, panie prezydencie?

- Pani rozumie, co mam na myśli? - spytał Armbruster.

Zapytana powoli skinęła głową, przyglądając mu się cały czas uważnie.

- Widzi pan, admirale Aston - dodał prezydent. - Pułkownik Leonowna prędzej czy później znajdzie się w dość dziwnej sytuacji. Obecnie oboje jesteście międzynarodowymi bohaterami, ale ona wie za dużo. O swojej przyszłości, która bez niej byłaby naszą przyszłością, ale przede wszystkim o technice wyprzedzającej naszą o pięćset lat. Widzę, że zaczyna pan rozumieć. W tej chwili Stany Zjednoczone posiadają okręt kosmiczny z przyszłości i wszystkie liczące się państwa o tym wiedzą. Póki co nie mamy pojęcia, jak i dlaczego on funkcjonuje, ale dowiemy się. I to także wszyscy wiedzą. Wojny toczono dla o wiele mniej ważnych powodów. Ale to już mój problem, a nie zamierzam do takowej dopuścić. Dzięki pułkownik Leonownej, panu i innym godnym szacunku osobom załatwiliśmy *Trolla* i zagrożenie, jakie stanowił, przestało istnieć. Ale w galaktyce jest cała rasa zboczeńców religijnych, którzy go skonstruowali. W przeszłości pułkownik Leonownej pokonaliśmy ich, ale mieliśmy szczęście i trwało to stulecia. Nie mam ochoty liczyć na szczęście i w tej sprawie prezydent Jakolew, premier Henderson i kanclerz Stallmaier całkowicie się ze mną zgadzają. Gdy pierwsza ekspedycja *Shirmaksu* się tu zjawi, Ziemia musi być gotowa, by skopać jej dupy szybko i skutecznie, a ten myśliwiec jest do tego kluczem. Przez trzy tygodnie nie miał pan kontaktu ze światem, nie zdaje więc pan sobie sprawy, w jakim jest on stanie. Cała prawda dopiero wychodzi na jaw, bo zdecydowaliśmy się dawkować ją stopniowo, ale powszechne jest oczekiwanie, że coś z tym zrobimy. Nawet

nie oczekiwanie, a presja. Ambasador Niekrasow i specjalna delegacja z Moskwy są już w Waszyngtonie, a pozostałe wkrótce będą. Naturalnie kilka państw z Francją na czele i fundamentalistami religijnymi z Trzeciego Świata zaraz za nią wyją na temat naszej arogancji, samolubności i co im tam jeszcze ślina na język przyniesie z racji trzymania wszystkiego w tajemnicy przed nimi, ale tym nie należy się przejmować. Liczyłem się z tym, a przy poparciu Anglii, Niemiec i Rosji w Europie, a Chin, Japonii i Korei Południowej w Azji nikt nie zaryzykuje niczego więcej niż gadanie. Przy odrobinie szczęścia dostanę błogosławieństwo Kongresu na rozpoczęcie negocjacji w celu utworzenia realnego rządu światowego. I to w ciągu miesiąca. To nie będzie łatwe, ale sądzę, że się uda. I w ten sposób wracamy do pułkownik Leonownej. Ja mogę zagwarantować, że nikt jej palcem nie tknie, jak długo będę prezydentem. Ale nie będę nim wiecznie, a nawet gdyby, będzie żyła znacznie dłużej niż ja. Poza tym spełnienie tej obietnicy wymagałoby przydzielenia jej naprawdę silnej ochrony i zamieszkania w twierdzy. Wygodnej, ale twierdzy. Jej wiedza i fakt posiadania symbionta będą zbyt dużą pokusą dla innych...

- Do czego konkretnie pan zmierza, panie prezydencie? - spytał Aston, żeby się upewnić, bo już wiedział.

A powinien był wiedzieć od samego początku, gdyby wziął pod uwagę dłuższy czas niż ten wymagany na załatwienie *Trolla*.

- Zmierzam do tego, że jest unikatowa - Armbruster potwierdził jego przypuszczenia. - Połączenie wyroczni znającej pewną wersję przyszłości, chodzącej encyklopedii naukowo-technicznej mającej pięćsetletnie wyprzedzenie oraz jedynej kobiety z symbiontem, mogącej żyć wiecznie, podobnie jak jej dzieci. Pod pewnymi względami jest atrakcyjniejszym celem niż myśliwiec *Trolla*. A sporo firm czy rządów będzie pewnych, że zna pani o wiele więcej technicznych szczegółów, niż zna pani w rzeczywistości. Przy odrobinie szczęścia będą panią prosili o pomoc, ale będzie to prośba z gatunku tych nie do odrzucenia.

- Czyli luksusowe więzienie? - upewnił się Aston.

- I brygada Sił Specjalnych jako ochrona. Nasza albo ich, tyle że my nie próbowalibyśmy niczego wycisnąć. Do tego należy jeszcze wziąć pod uwagę, że te unikatowe cechy fizyczne dla sporej części ludzi, choćby rozmaitych fanatyków religijnych, będą stanowiły obrazę Boga, świętokradztwo i w ogóle to, co najgorsze. I że zrobią wszystko, żeby ją zabić. Inni będą chcieli ją zdobyć, by mieć nieśmiertelne dzieci. Tak jak pan powiedział: luksusowe więzienie i brygada spadochroniarzy.

Aston przypomniał sobie, co Ludmilla opowiadała mu o zamieszkach i prześladowaniach Matuzalemów w swojej przyszłości. A przecież było ich wówczas wielu, a ona jest tylko

jedna...

- Jakby tego było mało, trzeba wziąć pod uwagę jeszcze parę rzeczy - dodał cicho Armbruster. - Jak powiedziałem, jestem przekonany, że uda nam się zjednoczyć Ziemię, ale to nie będzie proces ani szybki, ani bezkrwawy. Są dyktatorzy czy reżimy, które będą walczyły do końca, woląc śmierć od oddania władzy. Każde siły zbrojne zrobiłyby wszystko, by mieć choćby pluton ludzi o takich własnościach fizycznych, jakie ma pułkownik Leonowna. Stanie się najbardziej poszukiwaną osobą na Ziemi. Będą chcieli prowadzić nad nią badania, zastosować do celów rozplodowych lub jako źródło DNA. Klonowanie to metoda już dostępna, choć w dość prymitywnej formie, ale nauka w tej dziedzinie robi szybkie postępy. Druga sprawa: nawet władze amerykańskie będą miały ochotę na to wszystko, o czym mówiłem, tym większe, że już istnieje podejrzenie, że powiedziała pani o paru kwestiach technicznych o wiele mniej, niż pani wie. Prawdę mówiąc, ja też tak uważam, choć nie mam o to pretensji. Sadzę, że to bardzo dobra decyzja, gdyż uznała pani, że nie jesteśmy gotowi na tę wiedzę.

- Jeszcze - dodała Ludmilla z uśmiechem.

- A więc się nie myliłem. - Armbruster także się uśmiechnął. - Bardzo to rozsądnie z pani strony. Ale naszym wojskowym to się nie spodoba, gdy dotrze do nich, że choćby jako pilot myśliwski nie może pani być aż takim ignorantem, jak pani twierdzi. Nasi nie są, więc w przyszłości to jeszcze mniej możliwe.

- Tacy jak ja mają dużo czasu na naukę - przyznała spokojnie. - Jestem profesorem mikrobiologii, elektroniki molekularnej i fizyki subatomowej. I wie pan co, panie prezydencie? Podejrzewałam, że pan podejrzewa.

Aston przyglądał się jej, niezdolny słowa wykrztusić.

Za to Armbruster uśmiechnął się szeroko.

- Mam nadzieję, że podzieli się pani choć częścią tej wiedzy, gdy nasi specje trafiają na ścianę nie do przejścia przy tym myśliwcu? - spytał.

- Podzielę się... ale na początku powiedział pan, że będę miała wybór, choć z tego, co dotąd usłyszałam, wynika raczej, że go mieć nie będę.

- Mam zamiar dopilnować, by pani miała - powiedział Armbruster, poważniejąc nagle. - Choć najprawdopodobniej nie powinienem. Jeśli to się wyda, zostanie uznane za akt najgorszej zdrady ze strony prezydenta w dziejach USA. Bo to wszystko, o czym wspominałem, ma zastosowanie także w stosunku do tego kraju i jego władz, tylko że akurat my już was mamy, nie musimy o was walczyć, logika nakazywałaby więc umieścić pułkownik Leonowną w luksusowym areszcie prewencyjnym. A ta brygada w połowie

zajmowałaby się pilnowaniem jej przed atakiem z zewnątrz, a w połowie pilnowaniem, by nie uciekła. Powinniśmy wycisnąć ją jak cytrynę ku pożytkowi Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Tylko tak się składa, że mam ochotę spokojnie spać w nocy, i patrząc co rano w lustro przy goleniu, nie zwalczać ochoty, by sobie napluć w gębę, a to by mnie czekało, gdybym tak postąpił. Nie wspominając o tym drobiazgu, że i tak będziemy mieli z Jakolewem, Hendersonem i Stallmaierem duży problem z ustaleniem, jak i kiedy ogłosić o istnieniu myśliwca i o dopuszczeniu do niego naukowców z innych państw. Na szczęście to tylko urządzenie, którego zasad działania i tak przez dłuższy czas nikt nie będzie w stanie rozszyfrować, a więc i wykorzystać. Jeśli dobrze to rozegramy, może on stać się wysoce pomocny dla nowego rządu zjednoczonej Ziemi. Czymś w rodzaju kamienia z Rosetty, projektu Manhattan i wyścigu do Księżyca w jednym. Czymś, co zogniskuje i zjednoczy wysiłki najlepszych ziemskich umysłów, by wpierw rozebrać go i zrozumieć, a potem skopiować i usprawnić. Gdyby pani była dostępna, pani pułkownik, sprawa byłaby trudniejsza, bo cały czas zwracano by się o pomoc do pani, zamiast wytężać szare komórki. Nie mówiąc już o kłótniach i zamieszaniu związanych z tym, który kraj miałby zaszczyt panią „gościć”. Skoro ja już widzę tyle korzyści z „posiadania” pani, inni szybko je dostrzegą, gdy tylko informacje o pani zaczną wypływać. I nawet jeśli nie będzie to egoistyczna chęć wykorzystania pani wiedzy i pani jako takiej, to równie silna będzie chęć uniemożliwienia tego innym. Czyli znów luksusowe więzienie z brygadą klawiszy.

- Rozumiem... - Ludmilla przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się badawczo. - Miło mi słyszeć o tych wszystkich powodach, dla których nie chce pan ze mnie zrobić własności Stanów Zjednoczonych, ale czy na pewno dokładnie pan to przemyślał, panie prezydencie? Zabiliśmy *Trolla*, ale jak sam pan zauważył, Kangi zjawia się tu za osiemdziesiąt lat.

- W rzeczy samej - zgodził się Armbruster. - Ale wygraliśmy nieuprzedzeni w pani przyszłości. Tym razem już wiemy, dzięki pani, a dzięki myśliwcowi *Trolla* będziemy lepiej uzbrojeni. Oczywiście będzie masa problemów, by go rozgryźć, ale to wyzwanie z gatunku budzących w ludziach najlepsze cechy. Między innymi doskonale pomaga im się zjednoczyć, a tego właśnie potrzebujemy. I dlatego jestem pewien, że nam się uda... i mam nadzieję, że nim pani zniknie, poda nam pani współrzędne ojczystego systemu Kangi.

- Sądzę, że tego może być pan pewien, panie prezydencie - zapewniła Ludmilla z uśmiechem.

- No proszę - ucieszył się Armbruster. - Widzę to tak: w czwórkę, czyli Jakolew, Henderson, Stallmaier i ja, użyjemy myśliwca jako przynęty, by wciągnąć resztę świata w nasze sidła, a równocześnie będziemy mieli dość sił, by uniemożliwić komukolwiek przejęcie

go lub zniszczenie. Potem uczynimy z zadania poznania go i skopiowania wyzwanie jednoczące wszystkich wokół wspólnego celu. I tak mi się coś widzi, że zdołam sam siebie przekonać, że pani obecność jedynie by w tym przeszkadzała. Pewnie trochę mi to zajmie, ale się uda. Znam siebie. Gdyby więc była pani tak uprzejma i podała mi te koordynaty, gdy będę stąd wychodził...

Zamiast kończyć, uśmiechnął się wymownie.

A ona zachichotała.

I spojrzała na Astona.

Ten się uśmiechnął, ale przelotnie - gdy spoważniał, spojrzał na prezydenta.

- Brzmi to pięknie - przyznał. - Może nawet logicznie... dla nas. Ale nie będzie brzmiało dobrze dla innych. I to choćby w naszym wojsku czy władzach, że o korporacjach nie wspomnę. Jak pan zamierza przeprowadzić to „zniknięcie”, panie prezydencie?

- W najprostszy możliwy sposób. Dlatego nie było jeszcze oficjalnego ogłoszenia strat. Jeśli zgadzacie się oboje z tym, co powiedziałem, we wszystkich dokumentach zostanie napisane, że admirał Richard K. Aston i kapitan Elizabeth Ross zmarli w wyniku odniesionych ran. Jedynymi poza mną, którzy będą znali prawdę, będzie kilku lekarzy i pielęgniarek oraz piloci, którzy was tu dostarczyli. Mogę zapewnić, że dochowają tajemnicy.

- Przynajmniej tak długo, jak będzie to najważniejsze - dodała Ludmilla.

- W najgorszym razie - zgodził się Armbruster. - Da to wam dość czasu, by zniknąć. Jeśli uznacie to za dobry pomysł, pomoże wam komandor Morris. Do niego, zdaje się, wszyscy mamy zaufanie, a ja dostarczę środków do tego potrzebnych, tak by nikt poza nim i mną o tym nie wiedział. To oczywiście jest wasz wybór i mogę się mylić co do tego, jak wyglądałaby wasza przyszłość bez pogrzebu na Arlington. Ale mogę też mieć rację, lepiej więc się zastanówcie. Bo cokolwiek wybierzecie, zasłużyliście na to.

I uśmiechnął się tak ciepło, że niewielu uwierzyłoby, że tak potrafi.

* * *

Dwunastometrowy jacht *Beowulf* płynął pod rozgwieżdżonym niebem Pacyfiku. Co prawda jego wysoki, czarnowłosy kapitan zamierzał w pierwszy długi rejs wypłynąć na południowy Atlantyk, ale pierwszy oficer spowodowała, że zmienił zdanie, i oto byli tydzień od Hawajów. Siedzieli przy sterze, popijali kawę i obserwowali niebo.

Evelyn Horton wtuliła się w męża, a Adam Horton popatrzył na nią z czułością. Jeszcze prawie nic nie było widać, ale miał nadzieję, że to będzie dziewczynka. I nie kierowały nim względy ewolucyjne - zawsze chciał mieć córkę i podejrzewał, że podobnie rzecz się miała z

większością mężczyzn, tylko wstyd im było się do tego przyznać. Drugim powodem było to, że przyszła matka zagroziła, iż dokończy dowcip Mordecaia i nazwie syna Kain.

Evelyn sprawdziła, która godzina, i ponownie wbiła spojrzenie w niebo.

- Lada chwila - powiedziała cicho.

- Jesteś pewna?

- Jared polecił NASA sprawdzenie wszystkich danych, nim jeszcze wykończyliśmy *Trolla*. Jestem pewna.

- W takim razie... - zaczął, ale potrząsnęła głową i położyła mu palec na ustach.

- Przytul mnie, Dick - szepnęła.

Wykonał polecenie i oboje wpatrzyli się w nocne niebo.

Nagle, wysoko i daleko, rozbłysł większy od gwiazd i jaśniejszy od nich punkt. Był to blask stosu pogrzebowego okrętu i jego załogi, który przybył z innego wszechświata, by uratować ten... i który potrzebował 14 miesięcy, by dotrzeć do Ziemi.

Jaśniał w mrokach kosmosu niczym latarnia - piękny i groźny, a równocześnie zapomniany i zagubiony, znacząc grób załogi dreadnoughta TNS *Defender*, która zginęła, by obronić nie swoją Ziemię. Blask rósł i potężniał, aż zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Richard Aston w milczeniu obejmował żonę, która w końcu opłakiwała swoich kolegów i przyjaciół.